

J. M. G. Le Clézio

Pustynia



Literacka Nagroda Nobla 2008

J. M. G. Le Clézio
Pustynia

przełożyła
Krystyna Osińska-Boska



Instytut Wydawniczy Pax
Warszawa

Sagiet el Hamra, zima 1909-1910

Ukazali się niczym we śnie, na szczycie wydmy, na pół skryci w tumanach kurzu, jaki wzbijały ich stopy. Prawie niewidoczną drogą wolno zeszli w dolinę. Na czele karawany byli mężczyźni, owinięci w wełniane płaszcze, z twarzami zakrytymi niebieską zasłoną. Razem z nimi szły dwa, trzy dromadery, następnie kozy i owce poganiane przez chłopców. Kobiety zamykały pochód. Sylwetki ich były ociążałe, przytłoczone ciężkimi płaszczami, a skóra rąk i czoł wydawała się jeszcze ciemniejsza w zasłonach koloru indygo.

Szli po piasku bezszelestnie, powoli, nie patrząc, dokąd zdążają. Wiatr wiał bez przerwy, wiatr pustynny, gorący za dnia, zimny nocą. Piasek wznosił się wokół nich, między łapami wielbłądów, smagał twarze kobiet, które opuszczały na oczy niebieskie płótno. Małe dzieci biegły, niemowlęta płakały, zawinięte w błękitne szmatki na plecach matek. Wielbłądy fukały, parsały. Nikt nie wiedział, dokąd podąża.

Słońce stało jeszcze wysoko na bezchmurnym niebie, wiatr unosił zapachy i dźwięki. Pot ściekał wolno po twarzach podróżnych, a ich ciemna skóra na policzkach, rękach i nogach przybrała odcień indygo. Niebieskie tatuaże na czołach kobiet lśniły niczym skarabeusze. Czarne oczy podobne do kropli metalu ledwie widziały piaszczystą przestrzeń, szukały śladu drogi między falami wydmy.

Niczego innego nie było na ziemi, niczego ani nikogo. Oni zrodzili się z pustyni. Żadna inna droga nie mogła ich prowadzić. Nic nie mówili. Niczego nie chcieli. Wiatr owiewał ich, przenikał na wskroś, jakby nikogo nie było na wydmach. Szli od pierwszych blasków świtu, nie zatrzymując się, zmęczenie i pragnienie szczelnie ich otulały. Od suszy stwardniały im wargi i języki. Drażył ich głód. Nie mogli rozmawiać. Stali się od dawna niemi jak pustynia, pełni światła, kiedy słońce pali pośrodku pustego nieba, zziębnięci od nocy o zastygłych gwiazdach.

Schodzili dalej zбочem w głąb doliny, zataczając się, kiedy piasek usuwał się spod stóp. Mężczyźni wybierali na oślep miejsce, w którym miały stanąć ich stopy, jak gdyby podążali niewidocznymi śladami, które prowadziły na drugi kraniec samotności, ku nocy... Tylko jeden spośród nich niósł karabin skałkowy o długiej lufie z poczerniałego brązu. Niósł go na piersi, ściskając ramionami, z lufą skierowaną ku górze niczym drzewce sztandaru. Jego bracia szli obok owinięci płaszczami, uginając się pod ciężarem ładunków. Ich niebieskie odzienie było w strzępach, porwane przez kolce, zniszczone przez piasek. Za wyczerpanym stadem, przed matką i siostrami szedł Nur, syn mężczyzny z karabinem. Twarz miał poczerniałą od słońca, ale oczy błyszczały, a światło spojrzenia było prawie nadnaturalne.

Byli mężczyznami i kobietami piasku, wiatru, światła, nocy. Ukazywali się niczym we śnie, na szczycie wydmy, jakby zrodzeni z bezchmurnego nieba, jakby mieli w swym ciełe surowość przestrzeni. Nieśli ze sobą głód, pragnienie, od którego krwawią wargi, surową ciszę, w której lśni słońce, zimne noce, jasność Mlecznej Drogi, księżyc; mieli ze sobą swój cień, ogromny o zachodzie słońca, fale dziewiczego piasku, którego dotykały stopy o szeroko ustawionych palcach, niedostępny horyzont. Mieli przede wszystkim światło spojrzenia, które błyszczało tak jasno w białkach oczu.

Stado kóz i owiec podążało przed dziećmi. Również zwierzęta szły, nie wiedząc dokąd, stawiały kopyta na dawnych śladach. Piasek wirował między ich łapami, czepiał się brudnej sierści. Jeden z mężczyzn prowadził dromadery, posługując się wyłącznie głosem, chrząkając i plując jak one. Chrapliwy dźwięk oddechów mieszał się z wiatrem i zniknął natychmiast w

zagłębieniach wydm w południowej stronie. Ale wiatr, susza, głód nie miały już znaczenia. Ludzie i stado uciekali, powoli schodząc w głąb doliny bez wody, bez ognia.

Wyruszyli przed tygodniami, miesiącami, zdążyli od studni do studni, przechodzili przez wyschnięte strumienie, które ginęły w piaskach, przez kamienne wzgórza, równiny. Stado jadło skąpe trawy, osty, liście euforbii, które dzieliło z ludźmi. Wieczorem, kiedy słońce było blisko horyzontu i kiedy cień zarośli nadmiernie się wydłużał, ludzie i zwierzęta przerywali marsz. Mężczyźni zdejmowali ciężary z wielbłądów i rozstawiali wielki namiot z brązowej wełny, wzniesiony na jednym słupie z cedrowego drewna. Kobiety rozpałały ogień, przygotowywały kleik z prosa, zsiadłe mleko, masło, daktyle. Noc zapadała szybko, a ogromne i zimne niebo otwierało się nad wygasłą ziemią. Wówczas rodziły się gwiazdy, tysiące gwiazd zatrzymanych w przestrzeni. Mężczyzna z karabinem, który prowadził grupę, wołał Nura i pokazywał mu najpierw kraniec Małej Niedźwiedzicy, samotną gwiazdę nazywaną Kabri, później na przeciwnym krańcu konstelacji, Koszab, niebieską. W stronie wschodniej pokazywał Nurowi most, w którym błyszczało pięć gwiazd: Alkaid, Mizar, Alioth, Megrez, Fekda. Zupełnie na wschodzie, tuż ponad horyzontem w kolorze popiołu, dopiero co narodził się Orion z Alnilamem pochylonym trochę na bok niczym maszt statku. Znał wszystkie gwiazdy, nadawał im często dziwne imiona będące jakby początkiem opowieści. Pokazywał Nurowi szlak, którym podąża za dnia, jakby zapalające się na niebie światła wyznaczały drogi, które na ziemi powinni przemierzyć ludzie. Tyle gwiazd! Noc pustyni pełna była tych ogni, które drżały łagodnie, podczas gdy wiatr nasilał się i przycichał niczym oddech. Oto kraina poza czasem, daleka od ludzkiej historii, a może raczej ziemia, na której nic nie mogło się pojawić ani umrzeć, jak gdyby oddzielona była od innych krain, na szczycie ziemskiej egzystencji. Ludzie patrzyli często na gwiazdy, na wielką Mleczną Drogę, która tworzy jakby piaskowy most ponad ziemią. Rozmawiali trochę, paląc zwinięte liście konopi, snuli opowieści z podróży, wspominali wojny przeciw chrześcijańskim żołnierzom, akty zemsty. Później słuchali nocy.

Płomienie ognia z gałązek tańczyły pod miedzianym czajnikiem, sycząc od ciekącej wody. Z drugiej strony *brasem*¹ rozmawiały kobiety, jedna z nich nuciła niemowlęciu, które usypiało przy piersi. Skamlały dzikie psy, a w zagłębieniach wydm odpowiadało im echo. Woń zwierząt unosiła się, mieszała z wilgocią szarego piasku, z ostrym zapachem dymu.

Później kobiety i dzieci zasypiały pod namiotem, a mężczyźni kładli się w okryciach wokół wygasłego ognia. Znikali w kamienistej przestrzeni pełnej piasku niewidoczni, podczas gdy czarne niebo lśniło coraz mocniej.

Szli tak przez miesiące, może lata. Szli drogami nieba pośród wydmowych fal, wiodącymi z Dra, Tamgrut, Erg Igudi lub bardziej na północy – drogą z Ait Atta, Szeris, Tafilel, szlakami, które sięgały warownych miasteczek na zboczach Atlasu, albo też drogą bez końca prowadzącą w głąb serca pustyni, ponad Hank, w kierunku wielkiego miasta Tombuktu. Niektórzy zmarli w drodze, inni porodzili się, pobrali. Padały zwierzęta z poderżniętymi gardłami dla użyźnienia głębin ziemi albo ugodzone dżumą i gnijące na twardym gruncie.

Jakby nie było tu nazw, jakby nie było słów. Pustynia obmywała wszystko wiatrem, wszystko zacierała. Ludzie mieli w oczach wolność przestrzeni, ich skóra przypominała metal. Światło słońca lśniło wszędzie. Piasek koloru ochry, żółty, szary, lekki piasek osuwał się, wskazywał wiatr. Przykrywał wszystkie ślady, wszystkie kości. Odpychał słońce, wypierał wodę, życie, daleko od jakiegoś środka, którego nikt nie mógł rozpoznać. Ludzie dobrze wiedzieli, że pustynia ich nie chciała: a więc szli, nie zatrzymując się, drogami, którymi przeszły już inne stopy, szukali czegoś innego. Woda była w *aiun*, jeziorach koloru nieba albo w wilgotnych korytach starych, błotnistych strumieni. Ale ta woda nie sprawiała przyjemności i nie zachęcała do odpoczynku. Był to jedynie ślad potu na powierzchni pustyni,

1 *Brasero* (hiszp.) - kosz żarowy (przyp. tłum.).

skąpy dar boga suszy, ostatni znak życia. Ciężka woda wyrwana piaskowi, martwa woda szczelin, woda alkaliczna wywołująca bóle brzucha i wymioty. Trzeba było iść jeszcze dalej, pochylając się nieco, w kierunku, jaki wyznaczały gwiazdy.

Ale był to jedyny, ostatni może wolny kraj, kraj, w którym ludzkie prawa nie miały już znaczenia. Kraj dla wiatrów i kamieni, dla skorpionów i skoczków, umiających się kryć i uciekać, kiedy słońce pali, a noc mrozi.

Teraz ukazali się ponad doliną Sagiet el Hamra, powoli schodzili piaszczystymi zboczami. W głębi doliny zaczynały się ślady ludzkiego życia: poletka ziemi, otoczone murkami z suchego kamienia², zagrody dla wielbłądów, chaty z liści karłowatych palm, wielkie namioty z wełny, podobne do przewróconych statków. Mężczyźni schodzili powoli, zagłębiając pięty w usuwającym się piasku. Kobiety zwolniły kroku i pozostały daleko w tyle, za stadem zwierząt nagle zaniepokojonych zapachem studni. A więc wielka dolina ukazała się, otwierała poza kamiennym płaskowyżem. Nur szukał wysokich, ciemnozielonych drzew palmowych, strzelających z ziemi, w ciasnych rzędach wokół jeziora z jasną wodą, szukał białych pałaców, minaretów, wszystkiego, o czym opowiadano mu od dzieciństwa, mówiąc o mieście Smara. Od tak dawna nie widział drzew. Z lekko rozłożonymi ramionami szedł w dół doliny, na w pół przymknawszy oczy z powodu światła i piasku.

W miarę jak ludzie schodzili w głąb doliny, miasto, które widzieli przez moment, zniknęło i znajdowali tylko ziemię suchą i nagą. Było gorąco, pot ściekał obficie po twarzy Nura, przyklejał niebieskie odzienie do łędźwi, do ramion.

Teraz ukazali się inni mężczyźni i inne kobiety, również jakby zrodzeni z doliny. Kobiety rozpały *brasero*, by przygotować wieczorny posiłek, dzieci i mężczyźni trwali w bezruchu przed zakurzonymi namiotami. Przybyli ze wszystkich zakątków pustyni, z drugiej strony kamiennej Hammada, z gór Szeheiba i Warkiziz, z Sirwa, ze szczytów Um Szakurt, zza wielkich oaz południa, z okolic podziemnego jeziora Gurara. Przekroczyli góry przez wąwóz Maider, w okolicy Tarhamant lub niżej, tam gdzie Dra łączy się z Tengut przez Reghat. Przybyły wszystkie ludy południa, nomadzi, kupcy, pasterze, rabusie, żebracy. Być może niektórzy opuścili królestwo Biru lub wielką oazę Walata. Twarze ich nosiły ślady bezlitosnego słońca, śmiertelnego chłodu nocy na granicy pustyni. Niektórzy spośród nich mieli czarny, wpadający w czerwień kolor skóry, byli wysocy, o długich kończynach i krótkim tułowi, mówili nieznanym językiem: to byli Tubbus, którzy nadeszli z drugiej strony pustyni, od Borku i Tibesti, zjadacze orzeszków kola, podążający aż do morza.

W miarę jak grupa ludzi i zwierząt zbliżała się, czarne, ludzkie sylwetki stawały się coraz liczniejsze. Za pokrzywionymi akacjami ukazywały się szałasy, z gałęzi i błota, niczym kopce termitów, domy z gliny, rudery z błota i desek, a przede wszystkim niskie ogrodzenia z suchego kamienia, nie sięgające nawet do kolan, które dzieliły czerwoną ziemię na miniaturowe komórki. Na poletkach nie większych niż kobierzec pod siodłem, niewolnicy harratyńscy³ próbowali uprawiać bób, pieprz, proso. Nieurodzajne bruzdy *acequias*⁴ przecinały całą dolinę, by chwycić najmniejszą wilgoć.

To właśnie tu przybywali teraz, ku wielkiemu miastu Smara. Ludzie, zwierzęta, wszystko sunęło po wysuszonej ziemi, w głąb wielkiej rany: doliny Sagiet.

Przez tyle dni, twardych i ostrych jak krzemień, przez tyle godzin czekali, by to ujrzeć. Tak wiele było cierpienia w ich umęczonych ciałach, w krwawiących wargach, w wypalonym spojrzeniu. Pośpieszali ku studniom, nie słysząc głosów zwierząt ani krzyku innych ludzi. Kiedy dotarli do studni, przed kamienny mur zatrzymujący rozmiękłą ziemię, stanęli. Dzieci odpędzały zwierzęta kamieniami, podczas gdy mężczyźni padli na kolana, by się modlić. Później każdy zanurzył twarz w wodzie i długo pił.

2 Kamienie kładzione bez zaprawy.

3 *Harratin* (arab.) - czarni mieszkańcy oaz południowego Maroka (przyp. tłum.).

4 *Acequias* (hiszp.) - kanały nawadniające (przyp. tłum.).

To było właśnie tak, oczy wody pośrodku pustyni. Ale ciepła woda zawierała jeszcze siłę wiatru, piasku i wielkiego, lodowatego nieba nocy. Pijąc, Nur czuł, jak wstępuje weń pustka, która gnała go od studni do studni. Mętna i niesmaczna woda wzbudzała w nim wstręt, nie mógł ugasić pragnienia. Czuł, jak ona wprowadza w głąb ciała ciszę i samotność wydm, i wielkich, kamiennych płaskowyżów. Woda w studniach była nieruchoma, gładka jak stal, niosła na powierzchni resztki liści i wełnę zwierząt. Przy innej studni kobiety myły się i przyglądały włosy.

Blisko nich kozy i dromadery stały nieruchomo, jakby paliki zatrzymywały je w błocie studni.

Inni mężczyźni chodzili w tę i z powrotem między namiotami. Byli to błękitni wojownicy pustyni, o zasłoniętych twarzach, uzbrojeni w sztylety i długie karabiny; szli wielkimi krokami, nie patrząc na nikogo. Niewolnicy sudańscy odziani w lachmany nosili ładunki prosa lub daktyli, bukłaki oliwy. Synowie wielkiego namiotu ubrani na biało i ciemnoniebiesko, Szlehowie⁵, o prawie czarnej skórze, czerwono włosie dzieci wybrzeża, których ciało znaczyły plamy, ludzie bez rasy, bez imienia, żebracy, trędowaci, którzy nie zbliżali się do wody. Wszyscy oni stąpali po ziemi kamienistej i pełnej czerwonego pyłu, szli ku murom świętego miasta Smara. Uciekli z pustyni na kilka godzin, kilka dni. Rozstawili ciężkie płótno swych namiotów, owinęli się w wełniane płaszcze, oczekiwali nocy. Jedli teraz papkę z prosa polaną zsiadłym mlekiem, chleb, suszone daktyle o smaku miodu i pieprzu. Muchy i komary tańczyły wokół dziecięcych czupryn w wieczornym powietrzu, osy siadały im na rękach, na policzkach brudnych od kurzu.

Rozmawiali teraz bardzo głośno, a kobiety w dusznym cieniu namiotów śmiały się i rzucały kamykami w bawiące się dzieci. Mowa tryskała z ust mężczyzn jakby w upojeniu, słowa śpiewały, krzyczały, dźwięczały gardłowo. Z tyłu namiotów, blisko murów Smary, wiatr gwizdał w gałęziach akacji, w liściach karłowatych drzew palmowych. A przecież oni ciągle trwali w ciszy, mężczyźni i kobiety o ciałach niebieskich od indygo i naznaczonych potem, oni przecież nie opuścili pustyni.

Nie zapominali. W głębi ich ciał, w trzewiach trwała nieustannie ta wielka cisza panująca nad wydmami. Była to prawdziwa tajemnica. Chwilami mężczyzna z karabinem przerywał rozmowę z Nurem i patrzył do tyłu ku początkowi doliny, w stronę, z której nadlatywał wiatr.

Czasami jakiś mężczyzna z innego plemienia podchodził do namiotu i witał się, wyciągając otwarte dłonie. Wymieniali zaledwie kilka słów, kilka nazw. Ale były to słowa i nazwy, które zacierały się natychmiast, zwykle, lekkie ślady, zagrzebywane od razu przez wiejący piaskiem wiatr.

Kiedy tu, nad wodę studni, przychodziła noc, znów zaczynało się panowanie rozgwieżdżonego nieba pustyni. Nad doliną Sagiet el Hamra noce były cieplejsze, a księżyc w nowiu wschodził na ciemnym firmamencie. Nietoperze rozpoczynały taniec wokół namiotów, latały tuż nad wodą studni. Światła *brasero* migotały, rozchodził się zapach gorącej oliwy i dymu. Kilkoro dzieci biegało między namiotami, wydając gardłowe, psie piski. Zwierzęta spały: dromadery ze spętanymi nogami, kozy i owce w zagrodach z suchego kamienia.

Mężczyźni już nie czuwali. Przewodnik ustawił karabin przy wejściu do namiotu i palił, patrząc prosto przed siebie. Ledwie słuchał łagodnego dźwięku głosów, śmiechu kobiet siedzących przy *brasero*. Może myślał o innych wieczorach, innych drogach, jak gdyby gorące ślady słońca na jego skórze i ból pragnienia w gardle były tylko początkiem innego pożądania.

Sen spływał wolno na miasto Smara. Gdzie indziej, na południu, nad wielką kamienną Hammadą w nocy nie było snu, tylko drętwienie z zimna, kiedy wiatr dmuchał na piasek i odsłaniał podnóże gór. Na drogach pustyni nie można spać, żyje się i umiera z nieruchomym

5 *Szleh* (berb.) - nazwa używana w języku berberyjskim i francuskim dla oznaczenia mieszkańców i języka kraju Taszaheit (przyp. tłum.).

spojrzeniem, wypalonym przez zmęczenie i światło. Czasami błękitni ludzie napotykali któregoś ze swoich – siedział wyprostowany na piasku z nogami wyciągniętymi przed siebie, z nieruchomym ciałem w powiewających łachmanach. W szarej twarzy poczerniałe oczy były utkwione w ruchomy horyzont wydm, ponieważ tak właśnie zaskoczyła go śmierć.

Sen jest jak woda, nikt nie mógł dobrze spać daleko od źródeł. Wiał wiatr, podobny do wiatru stratosfery, zabierając ziemi całe ciepło.

Ale tu w czerwonej dolinie podróżni spali.

Przewodnik budził się przed innymi, stawał nieruchomo przed namiotem. Patrzył na mgłę, która podnosiła się powoli wzdłuż doliny, odpływając w kierunku Hammady. Noc mijała po zniknięciu mgły. Skrzyżowawszy ramiona na piersi, przewodnik ledwie oddychał, znieruchomiałe powieki nie drgnęły nawet. Tak oczekiwał pierwszego blasku świtu, fidżar, białej plamy, która rodzi się na wschodzie ponad wzgórzami. Kiedy zaczęło świtać, pochylił się nad Nurem i zbudził go łagodnie, kładąc ręce na jego ramieniu. Razem odchodzili, milcząc, szli piaszczystą drogą prowadzącą ku studniom. W dali czekały psy. W szarym świetle świtu mężczyzna i Nur myli się według ustalonego zwyczaju, kolejno każdą część ciała trzykrotnie. Woda ze studni była zimna i czysta, woda zrodzona z piasku i nocy. Mężczyzna i dziecko zanurzali jeszcze twarze i myli dłonie, później zwrócili się na wschód, aby odmówić pierwszą modlitwę. Słońce zaczynało oświetlać horyzont.

W obozowiskach *brasero* czerwieniły się w niknącym mroku. Kobiety szły zaczerpnąć wody, dziewczynki biegały po kałużach, pokrzykując, później zataczając się, wracały, niosły gliniane dzbany na chudych ramionach.

Odgłosy ludzkiego życia zaczynały unosić się nad obozowiskiem i chatami z błota; dźwięki wydawane przez metal, kamienie, wodę. Żółte psy zebrane na placu kręciły się w kółko, poszczekując. Wielbłądy i zwierzęta dreptały, wzbijając czerwony kurz.

Właśnie w tym momencie światło nad Sagiet el Hamra było piękne. Padało jednocześnie z nieba i ziemi, światło złote i miedziane, które wibrowało na nagim niebie, nie paląc, nie męcząc. Dziewczyny, odsunawszy ścianę namiotu, czesały ciężkie włosy, iskały się, upinały koki, do których przypinały niebieskie zasłony. Piękne światło lśniło na miedzianej barwie ich twarzy i ramion.

Nur skulony na piasku, nieruchomy, patrzył również na dzień, który wypełniał niebo ponad obozowiskami. Lecące kuropatwy przecinały powoli przestrzeń, wznosiły się nad czerwoną doliną. Dokąd zmierzały ptaki? Może dotrą aż do początku Sagiet, do wąskich dolin czerwonej ziemi między szczytami Agmaru. Później, kiedy słońce zajdzie, powrócą do otwartej doliny nad polami, gdzie chaty przypominają kopce termitów.

Może znały Ajun, miasto z błota i desek, gdzie dachy są czasami z czerwonego metalu, może nawet znały morze koloru szmaragdów i brązu, otwarte morze?

Podróżni zaczęli przybywać do Sagiet el Hamra; karawany ludzi i zwierząt, które schodziły w dół wydm, wzbijały chmury czerwonego pyłu. Mijali obozowiska, nawet nie odwracając głowy, jeszcze odlegli i samotni, jakby wciąż byli w sercu pustyni.

Szli powoli do studziennej wody, aby zwilżyć krwawiące usta. Wiatr zaczął dmuchać tam wysoko nad Hammadą. W dolinie słabł nad karłowatymi palmami w kolczastych zaroślach, w labiryntach suchych kamieni. Daleko od Sagiet świat iskrzył się w oczach podróżnych: równiny ostrych skał, kaleczące góry, szczeliny, warstwy piasku, które odbijały słońce. Niebo nie miało granic, a jego intensywny błękit aż palił twarz. Jeszcze dalej ludzie szli labiryntem wydm w obcym świecie.

Ale był to ich prawdziwy świat. Ten piasek, te kamienie, to niebo, słońce, cisza, ten ból, a nie miasta ze stali i cementu, gdzie słychać szmer fontann i ludzkie głosy. To tutaj panował niezapełniony ład pustyni, tu, gdzie wszystko było możliwe, gdzie szło się bez cienia na krawędzi własnej śmierci. Błękitni ludzie sunęli niewidzialnym szlakiem w kierunku Smary, wolni tak, jak nie mogła być wolna żadna istota na świecie. Wokół nich jak okiem sięgnąć

ruchome szczyty wydm, fale przestrzeni, której nie można poznać. Bose stopy kobiet i dzieci zostawiały na piasku niewielki ślad, zacierany natychmiast przez wiatr. W dali miraże unosiły się między niebem i ziemią: białe miasta, jarmarki, karawany wielbłądów i osłów obciążonych żywnością, rozbiegane marzenia. I nawet sami ludzie podobni byli mirażom, które głód, pragnienie i zmęczenie zrodziły na tej ziemi.

Drogi zataczały koła, prowadziły zawsze do punktu wyjścia, kreśląc coraz ciasniejsze kręgi wokół Sagiet el Hamra. Ale ta droga nie miała końca, była dłuższa od życia ludzkiego.

Jedni nadchodzili ze wschodu, zza gór Adm Rieh, zza Jetti, z Tabelbala. Inni z południa, z oazy Harisza, od studni Abd el Małek. Wędrowali przedtem na zachód, na północ aż do brzegów morza albo przez wielkie kopalnie soli Teghaza. Wrócili teraz, niosąc żywność i zapasy, aż do ziemi świętej, do wielkiej doliny Sagiet el Hamra; nie wiedzieli, dokąd ponownie wyruszą. Podróżowali, patrząc na gwiazdne drogi, uciekali od piaszkowych wiatrów, kiedy niebo czerwieniało, a wydmy zaczynały się poruszać.

Mężczyźni i kobiety żyli tak, wędrując bez odpoczynku. Umierali któregoś dnia, zaskoczeni słonecznym światłem, ugodzeni wrogą kulą lub wyniszczeni przez gorączkę. Kobiety rodziły, przykucnąwszy w cieniu namiotu z brzuchem ściśniętym wielkim płóciennym pasem, podtrzymywane przez dwie inne kobiety. Od pierwszej minuty życia ludzie walczyli i należeli do przestrzeni bez granic, do piasku, ostów, węży, szczurów, do wiatru szczególnie, i to właśnie była ich prawdziwa rodzina. Dziewczynki o włosach koloru miedzi rosły, poznawały niekończące się gesty życia. Nie miały innego zwierciadła niż fascynującą przestrzeń gipsowych równin pod jednobarwnym niebem. Chłopcy uczyli się chodzić, mówić, polować i walczyć tylko po to, by umieć zginąć na piasku.

Stojąc w bezruchu po stronie mężczyzn przed namiotem, przewodnik długo patrzył, jak karawany przesuwały się w kierunku wydm ku studniom. Słońce oświetlało jego brązową twarz, nos o kształcie orlego dzioba, długie kręcone włosy koloru miedzi. Nur mówił do niego, lecz on nie słuchał. Później, kiedy obozowisko przycichło, dał Nurowi znak i razem poszli wzdłuż szlaku, który prowadził na północ ku środkowi Sagiet el Hamra. Czasem mijali kogoś, kto zdążył do Smary, i wymieniali kilka słów:

- Kim jesteś?
- Bu Sba. A ty?
- Juemaia.
- Skąd przychodzisz?
- Z Aain Rag.
- Ja z południa, z Igetti.

Później rozstawali się, nie mówiąc sobie: żegnaj. Dalej prawie niewidoczna droga przecinała skały, kępy wątlých akacji. Ostre kamyki wystające z czerwonej ziemi utrudniały marsz i Nur ledwie nadążył za ojcem. Światło stawało się coraz jaskrawsze, pustynny wiatr unosił kurz spod ich stóp. W tym miejscu dolina nie była już otwarta: stanowiła rodzaj szczeliny szarej i różowej, która iskrzyła się miejscami niczym metal. Kamyki wypełniały koryto suchego strumienia: białe, czerwone, czarne krzemienie, na których słońce rozpałało iskry.

Przewodnik szedł pod słońce pochylony do przodu, z głową przykrytą wełnianym płaszczem. Kolce krzewów rozdierały ubranie Nura, znaczyły pręgami nogi i bose stopy, ale on nie zważał na ból. Wzrok wbił przed siebie w sylwetkę ojca, który się spieszył. Nagle obaj stanęli: pośród kamiennych wzgórz ukazał się biały grobowiec, lśniący w świetle nieba. Mężczyzna stanął nieruchomo nieco pochylony, jakby witał grób. Później znów ruszyli po osuwających się kamieniach.

Powoli, patrząc prosto przed siebie, przewodnik wspinał się w stronę grobu. W miarę jak podchodzili, zaokrąglony dach zdawał się wynurzać z czerwonych kamieni, rosnać ku niebu.

Bardzo piękne i czyste światło oświetlało grobowiec, wyolbrzymiało go w przegrzanym powietrzu. W tym miejscu nie było cienia, jedynie zaostrome kamienie wzgórza i poniżej wyschnięte koryto rzeki.

Dotarli przed grobowiec. Były to cztery ściany pobielone wapnem, wzniesione na cokole z czerwonych kamieni; jedno wejście, podobne do drzwiczek pieca, zatarasowano wielkim, czerwonym głazem. Biała kopuła kończyła się ostrym grotem. Nur widział już teraz wejście do grobowca i drzwi rosły w jego oczach, stawały się wrotami ogromnej budowli o murach podobnych do wysokich, kredowych, skalnych brzegów morskich, z kopułą wielką niczym góra. Tu zatrzymywały się wiatry i upał pustyni, samotność dnia: tu kończyły się niewidoczne drogi, nawet te, którymi postępowali zbłąkani szaleńcy, zwyciężeni. To był środek pustyni, a może miejsce, w którym kiedyś wszystko się zaczęło, kiedy ludzie pojawili się po raz pierwszy. Grobowiec lśnił na zboczach czerwonego wzgórza. Światło słońca odbite od udeptanej ziemi paliło białą kopułę, wyzwalając od czasu do czasu maleńkie strumyki czerwonego pyłu, które spływały po szczelinach skał. Nur i jego ojciec byli sami przy grobie. Nad doliną Sagiet el Hamra panowała niezmacona cisza.

Po odepchnięciu wielkiego kamienia przewodnik zobaczył przez okrągłe drzwi głęboki i zimny cień i zdawało mu się, że poczuł na twarzy czyjś oddech. Wokół grobu było klepisko z czerwonej ziemi, udeptane przez stopy odwiedzających. Tam też obaj uklękli, aby się modlić. Wysuszona ziemia doliny Sagiet el Hamra rozpościerała się jak okiem sięgnąć, a w dali na horyzoncie widać było inne wzgórza, inne skały na błękitnym niebie. Tutaj, na szczycie wzgórza, przy grobie świętego człowieka cisza stała się bardziej przejmująca, jak gdyby świat przestał poruszać się i mówić, jakby zamienił się w kamień. Od czasu do czasu jednak Nur słyszał trzaski glinianych ścian, brzęczenie owadów, pojękiwanie wiatru.

– Przyszedłem – mówił człowiek klęczący na udeptanej ziemi. – Pomóż mi, duchu mojego ojca, duchu mojego dziada. Przebyłem pustynię, przyszedłem prosić cię o błogosławieństwo, zanim umrę. Pomóż mi, pobłogosław mnie, ponieważ jestem twoim własnym ciałem. Przyszedłem.

Tak właśnie mówił i Nur słuchał słów ojca, nie rozumiejąc ich. Czasem mówił wyraźnie, czasem szeptał i podśpiewywał, kołysząc głową, powtarzał ciągle te proste słowa: „Przyszedłem, przyszedłem”. Pochylał się do przodu, nabierał w zagłębienie dłoni czerwonego pyłu, posypywał nim twarz, czoło, powieki, wargi. Później wstawał i szedł do drzwi. Przed wejściem klękał i jeszcze się modlił z czołem złożonym na kamiennym progu. Mrok rozpraszał się powoli we wnętrzu grobowca niczym nocna mgła. Ściany były nagie i białe tak jak na zewnątrz, a niski sufit ukazywał szkielet budowli z gałęzi pozlepianych wyschniętą gliną.

Teraz i Nur wszedł, również na czworakach. Czuł wewnętrzną częścią dłoni zimne i twarde grudki ziemi zmieszanej z krwią owiec. W głębi na klepisku przewodnik leżał na brzuchu. Ramiona wyciągnął przed siebie, rękami dotykał ziemi, jednocząc się z nią. Już nie modlił się, nie śpiewał. Oddychał powoli z ustami przy ziemi, słuchając pulsowania krwi w gardle i uszach. Czuł się tak, jakby coś obcego wchodziło weń ustami, czołem, wnętrzem dłoni i brzuchem, coś, co przenikało głęboko i zmieniało go niezauważenie. Była to może cisza przybyła z pustyni, od morza wydm, od kamiennych gór w jasności księżycowej albo z wielkich równin różowego piasku, gdzie światło słońca tańczy i drga niczym zasłona deszczu: cisza tafli zielonej wody, patrzących jak oczy w niebo, cisza nieba bez chmur i bez ptaków, w której wiatr jest wolny.

Mężczyzna wyciągnięty na ziemi czuł, jak drętwieją mu kończyny. Cień wypełniał jego oczy jak przed zaśnięciem. A jednak w tym samym czasie nowa energia przenikała weń przez brzuch i ręce, promieniowała w każdym mięśniu. Nie było już cierpienia, pragnień, zemsty. Zapomniał o tym, jakby woda modlitwy obmyła jego umysł. Nie było również słów, mroczny cień grobu uczynił je zbędnymi. Zamiast nich pojawił się ten dziwny prąd, który drżał w

ziemi zmieszanej z krwią, ta fala, ten upał. Nie przypominało to w niczym tego, co jest na ziemi. Była to moc bezpośrednia, niezawierająca myśli, przychodząca z głębi ziemi i odchodząca w przestrzeń, jak gdyby niewidzialne więzy łączyły ciało leżącego człowieka z resztą świata. Nur z trudem oddychał, patrząc na ojca w mroku grobowca. Jego rozstawione szeroko palce dotykały zimnej ziemi, która pociągała go za sobą poprzez przestrzeń w zawrotny bieg. Pozostali tak długo: przewodnik rozciągnięty na ziemi, Nur skulony, nieruchomy, z otwartymi oczami. Później, kiedy wszystko już się skończyło, mężczyzna wolno się podniósł i kazał wyjść synowi. Usiadł przy ścianie grobowca blisko drzwi i znowu przesunął kamień, żeby zamknąć wejście. Sprawiał wrażenie wyczerpanego, jakby siedł przez długie godziny bez picia i jedzenia. Ale miał w sobie nową siłę, szczęście, które rozjaśniało jego spojrzenie. Teraz wyglądał, jak gdyby wiedział, co ma uczynić, jakby z góry znał drogi, którymi powinien podążać.

Połą wełnianego płaszcza zasłonił twarz i podziękował świętemu bez słów, poruszając jedynie głową i nucąc gardłowo. Jego długie, błękitne ręce pieściły ubitą ziemię, chwytając drobny kurz.

Przed nimi słońce wędrowało swoim szlakiem po niebie, powoli schodząc z drugiej strony Sagiet el Hamra. Cienie pagórków i skał wydłużały się w głębi doliny. Ale przewodnik zdawał się nie zauważać niczego. Nieruchomy, z plecami opartymi o ścianę grobowca, nie czuł, jak mija dzień, nie czuł głodu ni pragnienia. Był przepełniony inną siłą, innym czasem, który uczynił go obojętnym na porządek ludzi. Może nie oczekiwał już niczego, może niczego już nie wiedział i stał się podobny do pustyni, ciszy, bezruchu, nieobecności.

Kiedy noc zaczęła zapadać, Nur przestraszył się i dotknął ramienia ojca. Mężczyzna popatrzył na niego w milczeniu, uśmiechając się lekko. Razem zaczęli schodzić ze wzgórza w stronę wyschniętego koryta strumienia. Mimo nadchodzącej nocy bolały ich oczy, a gorący wiatr palił twarze i ręce. Mężczyzna chwiał się nieco i musiał wesprzeć się na ramieniu syna.

Na dole, w głębi doliny, woda w studniach była czarna. Komary tańczyły w powietrzu, próbowały kąsać dziecięce powieki. Dalej, blisko czerwonych murów Smary, nietoperze latały tuż nad namiotami, kręciły się wokół brasem. Kiedy Nur z ojcem dotarli do pierwszej studni, przystanęli jeszcze, aby starannie się umyć. Później odmówili ostatnią modlitwę zwrócenia w stronę, z której nadchodziła noc.

I tak ścigali coraz liczniej do doliny Sagiet el Hamra. Przybywali z południa, niektórzy z wielbłędami i końmi, ale większość pieszo, ponieważ zwierzęta umierały po drodze z pragnienia i chorób. Każdego dnia wokół glinianych murów Smary chłopiec widział coraz to nowe obozowiska. Namioty z brązowej wełny tworzyły wciąż nowe koła wokół murów miasta. Co wieczór po zapadnięciu nocy Nur patrzył na podróżnych, którzy przybywali w chmurach pyłu. Nigdy nie widział tylu ludzi. Niekończący się zgiełk głosów mężczyzn i kobiet, ostre krzyki dzieci i płacz mieszały się z pobekiwaniem kóz i owiec, z hałasem zaprzęgów, z pohukiwaniem wielbłędów. Dziwny zapach, którego Nur nie znał, unosił się znad piasku i napływał falami w wieczornym wietrze: zapach mocny, cierpki i słodki zarazem, zapach ludzkiej skóry, parującego potu. Ogniska z drzewnego węgla, gałązek i zwierzęcego łajna zapalały się w półmroku. Dym z *brasero* wznosił się nad namiotami. Nur słyszał łagodne pieśni kobiet usypiających dzieci.

Większość z tych, którzy przybywali teraz, to starcy, kobiety i dzieci, zmęczeni trudnym marszem przez pustynię, w podartych ubraniach, o bosych lub owiniętych w szmaty stopach. Twarze mieli czarne, spalone przez słońce, oczy podobne do kawałków węgla. Małe dzieci szły nagie, ich nogi znaczyły rany, brzuchy rozdymały głód i pragnienie.

Nur przebiegał obóz, wślizgiwał się pod namioty. Dziwił się, widząc tylu ludzi, i jednocześnie odczuwał przerażenie, ponieważ myślał, nie bardzo wiedząc dlaczego, że wielu tych mężczyzn, wiele kobiet i dzieci wkrótce umrze.

Bez przerwy napotykał nowych podróżnych, którzy szli wolno między namiotami. Niektórzy spośród nich przybywali z południa, czarni jak Sudańczycy, mówili językiem, którego Nur nie znał. Mężczyźni w większości zasłaniali twarze, zawinięci w wełniane płaszcze, nosili błękitne odzienie, a na stopach sandały z koziej skóry. Mieli długie, skałkowe karabiny z lufami z brązu, włócznie i sztylety. Nur odsunął się, robiąc im przejście, i patrzył, jak idą w kierunku bram Smary. Szli powitać wielkiego szejka Mulaja Ahmeda ben Mohammeda el Fadel, tego, którego nazywano Ma al Ainin, Woda Oczu.

Wszyscy mieli zasiąść na glinianych ławeczkach wokół dziedzińca domu szejka. A później, o zachodzie słońca klękawszy na piasku, zwróceni w stronę pustyni – odmówić modlitwę.

Kiedy zapadła noc, Nur powrócił do namiotu ojca i siadł obok starszego brata. Po prawej stronie matka i siostry rozmawiały wyciągnięte na dywanach pośród żywności i wielbłądzich juków. Pomału cisza wracała nad Smarę i dolinę, dźwięki ludzkich i zwierzęcych głosów cichły kolejno. Księżyc w pełni ukazał się na czarnym niebie, biały wspaniale powiększony krążek. Noc była zimna mimo gorąca dnia, które pozostało w piasku. Kilka nietoperzy krążyło przed księżycem, niespodzianie opadając ku ziemi. Nur, leżąc na boku z głową podpartą na ramieniu, prowadził je wzrokiem, czekał nadejścia snu. Zasnął nagle, nie wiedząc kiedy, z otwartymi oczyma.

Obudził się nagle z dziwnym wrażeniem, że czas stoi w miejscu. Poszukał wzrokiem tarczy księżycy i widząc, że zaczęła przesuwać się ku zachodowi, zrozumiał, że spał długo.

Nad obozowiskami panowała przytłaczająca cisza. Słyszał tylko odległe głosy dzikich psów gdzieś na krańcu pustyni.

Nur wstał i zobaczył, że ojca i brata nie ma w namiocie. Jedynie kształty kobiet i dzieci zawiniętych w kobierce majaczyły niewyraźnie w mroku po lewej stronie namiotu. Nur poszedł piaszczystą drogą między obozowiskami w kierunku murów Smary. Piasek oświetlony blaskiem księżycy był bardzo biały z niebieskimi cieniami kamieni i krzewów. Żadnego dźwięku, jakby wszyscy spali, ale Nur wiedział, że mężczyźni nie ma pod namiotami. Spały tylko dzieci, a kobiety znieruchomiełe patrzyły na zewnątrz, zawinięte w płaszcze i kobierce. Powietrze nocy sprawiło, że chłopiec drżał, pod bosymi stopami czuł piasek zimny i twardy. Kiedy Nur zbliżył się do miejskich murów, usłyszał wrzawę. Trochę dalej ujrzał nieruchomą sylwetkę strażnika, skulonego przed bramą miasta, z długim karabinem opartym na kolanach. Ale Nur znał miejsce, gdzie mury były wykruszone i które mógł wejść do Smary, omijając strażę.

Od razu zobaczył zgromadzenie mężczyzn na dziedzińcu domu szejka. Siedzieli na ziemi grupami po pięciu lub sześciu wokół *brasero*, na których wielkie, miedziane czajniki były pełne wody na zieloną herbatę. Nur wślizgnął się bezszelestnie. Nikt na niego nie spojrzał. Wszyscy skupili uwagę na grupie uzbrojonych mężczyzn stojących pod drzwiami domu. Było tam kilku wojowników pustyni ubranych na niebiesko; w zupełnym bezruchu patrzyli na starego człowieka ubranego w zwykły płaszcz z białej wełny przysłaniający głowę i na dwóch młodych ludzi, którzy bardzo gwałtownie rozprawiali.

Z miejsca, w którym siedział Nur, z powodu hałasu, jaki czynili mężczyźni, powtarzając lub komentując to, co zostało już powiedziane, nie można było zrozumieć ich słów. Kiedy oczy przyzwyczaiły się do kontrastu między mrokiem a czerwonym blaskiem *brasero*, Nur rozpoznał sylwetkę starego człowieka. To był wielki szejk Ma el Ainin, którego ojciec i starszy brat witali po przyjeździe do studni Smary. Nur zapytał sąsiada, kim są dwaj młodzi ludzie. Powiedziano mu ich imiona:

– To Saadbu i Larhdaf, bracia Ahmeda ed Dehiba, którego nazywają Działka Złota i który będzie wkrótce naszym prawdziwym królem.

Nur nie pragnął zrozumieć słów młodych wojowników. Spoglądał ze wszystkich sił na kruchą, nieruchomą sylwetkę starego człowieka, którego płaszcz oświetlony przez księżyc

jaśniał białą plamą. Wszyscy mężczyźni patrzyli na niego, jak gdyby to on właśnie mówił, jakby uczynić miał jeden gest, którym by wszystko odmienił, ponieważ on właśnie ustanawiał porządek pustyni.

Ma el Ainin nie ruszał się. Zdawało się, że nie słyszał słów synów ani nieustannej wrzawy czynionej przez setki mężczyzn siedzących na dziedzińcu przed nim. Czasami odwracał lekko głowę i patrzył gdzieś ponad ludźmi i glinianymi murami swego miasta w stronę ciemnego nieba, ku kamienistym wzgórzom. Nur pomyślał, że on chciałby może, aby ludzie wrócili na pustynię tam, skąd wyruszyli, i serce mu się ścisnęło. Nie rozumiał słów mężczyzn wokół siebie. Nad Smarą roztaczało się niebo bez dna, przemarznięte, z gwiazdami skąpanymi w białej poświacie księżycowego światła. Był to jakby znak śmierci lub opuszczenia, znak straszliwej nieobecności, która drażyła pustkę w nieruchomych namiotach i w murach miasta. Nur czuł to wyraźnie, kiedy patrzył na kruchą sylwetkę wielkiego szejka, jak gdyby spojrzeniem przenikał serce starego człowieka i jego milczenie.

Kolejno przybyli również inni szejkowie, dowódcy wielkiego namiotu i błękitni wojownicy. Wszyscy mówili to samo głosem złamanym zmęczeniem i suszą.

Opowiadali o żołnierzach chrześcijańskich, którzy wkraczali do oaz południa, przynosząc wojnę nomadom, mówili o miastach obronnych, jakie budowali chrześcijanie na pustyni, które zamykały dostęp do studni aż po wybrzeże. Mówili o przegranych walkach, o zmarłych, tak licznych, że umykały z pamięci ich imiona... o grupach kobiet i dzieci, które uciekały na północ przez pustynię, o szczątkach padłych zwierząt, napotykanych wszędzie na drodze. Mówili o zatrzymanych karawanach, z których żołnierze chrześcijańscy uwalniali niewolników i wysyłali ich na południe, i o tym, jak wojownicy Tuaregów otrzymywali od chrześcijan pieniądze za każdego porwanego niewolnika. Mówili o przechwyconych towarach i stadach, o bandach rabusiów, którzy weszli na pustynię razem z chrześcijanami. Opowiadali również o grupach żołnierzy chrześcijańskich, którym wskazywali drogę Murzyni z południa, grupach tak licznych, że pokryłyby piaszczyste wydmy od jednego krańca horyzontu do drugiego. Później o jeźdźcach, którzy otaczali obozowiska, zabijali stawiających opór i zabierali dzieci, by oddać je do szkół chrześcijańskich w warownych miastach nad brzegiem morza. Słyszając to, inni mężczyźni przytakiwali – to prawda, na Boga, i zgiełk głosów wzrastał, i krążył po placu jak szum nadchodzącego wiatru. Nur słuchał tego dźwięku, który potężniał, a później cichł jak powiew pustynnego wiatru nad wydmami; coś dławilo go w gardle, straszliwa groźba wisiała nad miastem i ludźmi, groźba, której nie potrafił zrozumieć.

Prawie nie mrugając powiekami, patrzył teraz na białą sylwetkę starego człowieka, który mimo zmęczenia i chłodu nocy stał nieruchomo między synami. Nur myślał, że tylko on, Ma el Ainin, może zmienić bieg tej nocy, uspokoić gniew tłumu jednym gestem ręki lub, przeciwnie, wyzwolić go za pomocą kilku słów powtarzanych z ust do ust, które wzmogłyby falę wściekłości i goryczy. Wszyscy mężczyźni, podobnie jak Nur, patrzyli w jego stronę oczami płonącymi zmęczeniem i gorączką, z umysłem napiętym przez cierpienie. Wszyscy czuli swą skórę stwardniałą od palącego słońca, wargi wysuszone przez pustynny wiatr. Czekali prawie w bezruchu, z zastygłym spojrzeniem, chcąc uchwycić jakiś znak. Ale Ma el Ainin zdawał się tego nie widzieć. Jego oczy były nieruchome, a spojrzenie dalekie, wędrujące ponad głowami ludzi, ponad glinianymi murami Smary. Może szukał odpowiedzi na ludzką trwogę w największych głębokościach nieba, w dziwnej mgłę światła unoszącej się wokół krążka księżyca. Nur spojrzał wyżej, w miejsce, w którym widzi się zwykle siedem gwiazd Małego Wozu, ale niczego nie zobaczył. Tylko Jowisz ukazał się zastygły na przemarzniętym niebie. Światło księżyca pokryło wszystko swoją mgłą. Nur lubił gwiazdy, ponieważ ojciec nauczył go ich nazw, kiedy był jeszcze zupełnie mały: ale tej nocy nie mógł rozpoznać nieba. Wszystko było ogromne i zimne, pogrążone w białym świetle księżyca, oślepienie. Na ziemi płomienie *brasero* tworzyły czerwone dziury, dziwnie oświetlając twarze

ludzi. Może to strach zmienił wszystko, wydłużył twarze i dłonie i poznał cieniem puste oczodoły: to noc mroziła blask w spojrzeniu ludzi, którzy wydrążyli ten ogromny otwór w czeluściach nieba.

Kiedy mężczyźni skończyli mówić, kiedy po kolei stanęli obok szejka Ma el Ainina wszyscy ci, których imiona wymieniane kiedyś przez ojca słyszał Nur, przywódcy wojowniczych plemion, ludzie z legendy, Makii, Arib, Uland Jahia, Uland Delim, Arussin, Iszerigin, Regibat z czarną zasłoną na twarzy, i ci, którzy mówili językiem szleh-Idaw Belal, Idaw Meriabt, Ait ba Amran, i ci nawet, których imiona były nieznane, przybyli z krańców Mauretanii, z Tombuktu, ci, którzy nie chcieli usiąść przy braseru i stali u wejścia na plac, owinięci w płaszcze z miną pogardliwą i jednocześnie niepewną, i nawet ci, którzy nie chcieli mówić. Nur obejrzał wszystkich kolejno i poczuł straszliwą pustkę, która drażyła ich twarze, tak jakby wkrótce mieli umrzeć.

Ma el Ainin nie widział ich. Nie patrzył na nikogo. Może raz tylko spojrzenie jego przez krótką chwilę spoczęło na twarzy Nura, jakby w zdziwieniu, że spotyka go pośród tylu mężczyzn. To od tego momentu właśnie, szybkiego jak mgnienie i ledwie zauważalnego, w którym serce zaczęło mu bić szybciej i mocniej, Nur czekał na znak, jaki stary szejek powinien dać zebrany wokół niego ludziom. Ale starzec pozostawał w bezruchu, zatopiony w myślach, podczas gdy dwaj jego synowie, pochyleni ku niemu, rozmawiali cicho. Wreszcie wyjął z sukni hebanowy różaniec i przykucnął w kurzu bardzo wolno, z głową wysuniętą do przodu. Później zaczął się modlić, odmawiając formułę, jaką dla siebie ułożył, a synowie zasiedli po jego bokach. Wkrótce, jak gdyby ten prosty gest wystarczył, wrzawa ucichła i nad placem zapanowała cisza głęboka i zimna w nazbyt białym świetle księżycowej pełni. Odległe dźwięki, ledwie słyszalne, nadchodzące z pustyni, dźwięki wiatru, suchych kamieni płaskowyzu i urywane oczekiwanie dzikich psów zaczęły wypełniać przestrzeń. Nie żegnając się, bez hałasu, mężczyźni wstawali kolejno i w milczeniu opuszczali plac. Szli zakurzoną drogą pojedynczo, nie mieli ochoty rozmawiać. Kiedy ojciec dotknął jego ramienia, Nur wstał i również odszedł. Zanim opuścił plac, obejrzał się, aby popatrzeć na dziwną, samotną teraz w świetle księżyca, kruchą sylwetkę starca, który śpiewał modlitwę, kołysząc tułowiem, jak ktoś, kto jedzie konno.

W następnych dniach niepokój w obozowisku Smary wciąż narastał. Był niezrozumiały, ale czuł go każdy, jak ból w sercu, jak groźbę. Słońce mocno grzało w ciągu dnia, odbijając ostre światło na krawędziach kamieni i w korytach wyschniętych strumyków. Zbocza skalistej Hammady drgały w oddali, a nad doliną Sagiet ciągle jawiły się miraży. Co godzina nadchodziły nowe zastępy wyczerpanych i spragnionych nomadów, przybyłe forsownym marszem z południa, sylwetki ich łączyły się na horyzoncie z drganiami miraży. Szli powoli, stopy owinięte mieli w kawałki koziej skóry, na plecach nieśli skąpe tobołki. Czasami postępowały za nimi wygłodniałe wielbłądy, okulałe konie, owce. W pośpiechu wznosili namioty na skraju obozowiska. Nikt ich nie witał ani nie pytał, skąd przybyli. Niektórzy mieli ślady po ranach otrzymanych w walce z żołnierzami chrześcijańskimi albo z rabusiami pustyni, większość była u kresu sił, wyczerpana gorączką i chorobami brzucha. Czasami przybywały resztki jakiejś armii, zdziesiątkowane, bez dowódców, bez kobiet, mężczyźni o czarnej skórze, prawie nadzy, w postrzępionych ubraniach, o spojrzeniu pustym i płonącym od gorączki i obłąkania. Szli ugasić pragnienie przy studni u bram Smary, później układali się na ziemi w cieniu murów miasta, jak do snu, ale oczy mieli szeroko otwarte.

Od nocnego zgromadzenia Nur nie widział Ma el Ainina ani jego synów. Ale czuł wyraźnie, że wielka wrzawa, która ucichła, kiedy szejek rozpoczął modlitwę, nie wygasła do końca. Teraz nie było już jej w słowach. Ojciec, starszy brat, matka nie mówili nic i odwracali głowę, jakby nie chcieli, by zadawano im pytania. Ale niepokój ciągle narastał w obozowym zgiełku, w pokrzykiwaniach niespokojnych zwierząt, w dźwięku kroków nowych podróżnych, którzy przybywali z południa, w twardych słowach, jakie mężczyźni wymieniali

między sobą lub kierowali do dzieci. Niepokój był również w ostrych zapachach potu, moczu, w głodzie, w całej tej cierpkości, jaka napływała od ziemi i z obozowych zakamarków. Rósł w niedostatku posiłków – kilka posypanych pieprzem daktyli, zsiadłe mleko i jęczmienna papka, którą szybko zjadano w pierwszej godzinie dnia, kiedy słońce nie wyszło jeszcze zza wydm. Niepokój był w brudnej, studziennej wodzie, którą zmąciły kroki ludzi i zwierząt i której smaku nie mogła polepszyć zielona herbata. Od dawna brakowało już cukru i miodu, daktyle były suche jak kamienie, a mięso, cierpkie i twarde, było mięsem wielbłądów padłych z wyczerpania. Niepokój narastał w suchych ustach i krwawiących palcach, w ciężarze, jaki przytłaczał głowę i ramiona ludzi, w upale dnia, później w chłodzie nocy, od którego drżały dzieci, owinięte w stare kobierce.

Każdego dnia Nur, mijając obozowiska, słyszał głosy płaczących kobiet, ponieważ nocą ktoś umierał. Każdego dnia postępowano coraz dalej w rozpacz i gniew i serce Nura ścisnęło się coraz mocniej. Myślał o spojrzeniu szejka, które odpływało w dal, błądziło ponad niewidzialnymi wzgórzami nocy, a później spoczęło na nim przez moment krótki jak mgnienie i oświetliło jego wnętrze.

Wszyscy przyszli do Smary z tak daleka, jak gdyby tutaj czekał ich kres podróży. Jakby już niczego nie mogło zabraknąć. Przyszli, ponieważ brakowało im ziemi pod nogami, jakby zapadła się za nimi i jakby już nie mogli się cofnąć. A teraz setkami, tysiącami stali na ziemi, która nie mogła ich przyjąć, ziemi bez wody, bez drzew, bez żywności. Spojrzenie ich wędrowało nieustannie ku wszystkim punktom horyzontu, ku ostrym szczytom gór południa, pustyniom wschodu, ku wyschniętym korytom strumieni Sagiet, ku wysokim płaskowyżom północy. Spojrzenie to gubiło się w pustym, bezchmurnym niebie, na którym oślepiało ogniste słońce. Wtedy niepokój przeradzał się w strach, strach w gniew i Nur czuł, jak nad obozem przepływa dziwna fala, a może zapach, który wznosi się z płótna namiotów i krąży wokół miasta Smara. Było również upojenie, upojenie pustką i głodem, zmieniające kształty i kolory ziemi, a także błękit nieba; ono sprawiało, że na palących dnach salin powstawały jeziora czystej wody, a lazur zapełniał się chmurami ptaków i much.

Nur siadał w cieniu glinianego muru, kiedy zachodziło słońce, i patrzył w miejsce, gdzie ukazał się Ma el Ainin owej nocy na placu, w niewidoczne miejsce, w którym przykucnął na piętach, aby zmówić modlitwę. Czasami inni mężczyźni przychodzili tak jak on, stawali nieruchomo przy wejściu na plac, aby patrzeć na mur z czerwonej ziemi o wąskich oknach. Nie mówili nic, patrzyli tylko, potem wracali do obozu.

Później, po tych wszystkich dniach gniewu i strachu na ziemi i na niebie, po tych wszystkich mroźnych nocach, kiedy spano odrobinę, budząc się nagle bez powodu, z rozgorączkowanymi oczami i ciałem mokrym od niedobrego potu, po tym czasie tak długim, który gasił po trochu starców i małe dzieci, nagle, tak, że nikt nie wiedział, jak to się stało, wszyscy dowiedzieli się, że nadeszła pora, by ruszyć w drogę.

Nur słyszał o tym, zanim powiedziała mu matka, zanim powiedział starszy brat, roześmiany, jakby wszystko się odmieniło:

– Wyruszymy jutro lub pojutrze, słuchaj uważnie, pójdziemy na północ, szejka Ma el Ainin tak powiedział, odejdziemy bardzo daleko stąd.

Może nowina przyszła z powietrzem, może z kurzem, a może usłyszał ją Nur, oglądając ubitą ziemię na placu Smary.

Rozeszła się po obozie bardzo szybko i powietrze dźwięczało jak muzyka. Głosy mężczyźni, krzyki dzieci, dźwięk miedzi, chrząkanie wielbłądów, dreptanie i prykanie koni, to wszystko przypominało szum nadchodzącego deszczu, który spływa w dół doliny i toczy razem z nią czerwone wody strumieni. Mężczyźni i kobiety biegali wokół namiotów, konie dreptały, wielbłądy gryzły pęta. Panowała wielka niecierpliwość. Mimo padającego z nieba żaru kobiety stały przed namiotami, rozmawiały, wołały. Nikt nie umiałby powiedzieć, jak

nadeszła nowina, ale wszyscy powtarzali zdanie, które ich upajało: „Wyruszymy, wyruszymy na północ”.

Oczy ojca Nura błyszczały gorączkową radością.

– Wkrótce odejdziemy stąd, nasz szejik tak powiedział, wkrótce odejdziemy.

– Dokąd? – zapytał Nur.

– Na północ, za góry Dra, w stronę Sus, Tiznit. Tam jest woda i ziemia dla wszystkich; czekają na nas, Mulaj Hiba, nasz prawdziwy król, syn Ma el Ainina, tak powiedział, i Ahmed Esz Szems również.

Grupy mężczyzn szły alejkami w stronę Smary i Nur dostał się w ich wir. Kroki ludzi i dreptanie zwierząt wzbijały nad obozem chmurę czerwonego kurzu. Już słyhać było pierwsze wystrzały z karabinów, a cierpki zapach prochu wypierał odór strachu unoszący się nad obozowiskiem. Nur posuwał się nic nie widząc, potrącany przez mężczyzn, odrzucony ku ścianom namiotów. Kurz wysuszał mu gardło i palił w oczy. Słoneczny żar był straszliwy, rzucał białawe smugi poprzez warstwy kurzu. Nur szedł przez chwilę na oślep, wyciągnawszy przed siebie ręce. Później upadł na ziemię i wczuł się pod namiot. W półmroku mógł przyjść do siebie. Przy dolnej części płótna siedziała stara kobieta zawinięta w niebieski płaszcz. Kiedy zobaczyła Nura, wzięła go z początku za złodzieja i przeklinając, cisnęła mu kamykami w twarz. Później zbliżyła się i zobaczyła jego policzki ubrudzone kurzem, na których łyżki poznały czerwone bruzdy.

– Co ci jest? Jesteś chory? – zapytała łagodnie.

Nur skłonił głowę. Starucha podeszła do niego na czworakach.

– Pewnie jesteś chory – powiedziała. – Dam ci herbaty.

Naląła herbaty do miedzianego kubeczka.

– Pij!

Wrząca herbata bez cukru wzmocniła Nura.

– Wkrótce stąd wyruszymy – odparł trochę niepewnym głosem.

Stara popatrzyła na niego. Wzruszyła ramionami.

– Tak, tak mówią.

– To dla nas wielki dzień – rzekł Nur.

Ale stara kobieta zdawała się nie podzielać tej opinii, może po prostu dlatego, że była stara.

– Ty, ty może dotrzesz tam, gdzie oni mówią, na północ, ale ja przedtem umrę.

Powtórzyła:

– Tak, ja umrę, zanim dotrą na północ.

Później Nur wyszedł z namiotu. Obozowe ścieżki znów były puste, jakby wszyscy żywi odeszli. Ale w cieniu namiotów Nur rozpoznał ludzkie sylwetki: starców, chorych, którzy drżeli z gorączki mimo upału, młode kobiety trzymały w ramionach dzieci i patrzyły przed siebie. W ich oczach była pustka i smutek. Raz jeszcze Nur poczuł, jak ściska mu się serce, ponieważ pod namiotami krążył cień śmierci.

Kiedy zbliżał się do obwarowań miasta, usłyszał narastający, rytmiczny dźwięk muzyki. Mężczyźni i kobiety zebrani u bram Smary tworzyli szerokie półkole wokół muzykantów. Nur słyszał ostry dźwięk fletów, który wznosił się, opadał, wznosił, później cichł, a bębny i rebaby powtarzały niestrudzenie tę samą frazę. Jakiś męski głos, niski i monotony, śpiewał andaluzyjską pieśń, ale Nur nie mógł rozpoznać słów. Ponad czerwonym miastem rozciągało się gładkie niebo, bardzo niebieskie i bardzo surowe. Święto wędrowców miało się rozpocząć właśnie teraz, potrwa do jutra, do świtu, a może jeszcze do następnego dnia. Sztandary popłyną na wietrze, jeźdźcy okrążą miasto, strzelając ze swych długich karabinów, podczas kiedy młode kobiety będą wołać głosem drżącym jak dźwięk grzechotek.

Nur poczuł upojenie muzyką i tańcem i zapomniał o śmiertelnym cieniu, który został pod namiotami. Jak gdyby już zdążył w kierunku wysokich brzegów północy, gdzie zaczynają się

płaskowyżu, gdzie rodzą się strumienie czystej wody, wody, której nikt nigdy nie oglądał. A jednak przerażenie, jakie powstało w nim na widok nadjeżdżających grup nomadów, pozostało gdzieś w głębi duszy.

Chciał zobaczyć Ma el Ainina. Okrążył tłum, szukając go po stronie mężczyzn, którzy śpiewali. Ale szejka nie było z tłumem. Wtedy Nur odszedł w kierunku murów. Dostał się do miasta przez tę samą szczelinę co w noc Zgromadzenia. Wielki plac z ubitą ziemią był zupełnie pusty. Ściany domu szejka błyszczały w świetle słońca. Wokół drzwi namalowano gliną na białym murze dziwne rysunki. Nur stał długą chwilę i patrzył na nie, patrzył na zniszczone przez wiatr ściany. Później poszedł na środek placu. Pod jego bosymi stopami ziemia była twarda i gorąca jak pustynne kamienie. Dźwięk fletów cichł tutaj, na tym pustym dziedzińcu, jak gdyby Nur znalazł się na drugim końcu świata. Wszystko ogromniało, kiedy chłopiec szedł ku środkowi placu. Czuł wyraźnie pulsowanie krwi w tętnicach szyi i skroni. Słyszał uderzenia serca odbijane echem aż w ziemi pod stopami.

Kiedy Nur doszedł do glinianego muru, do miejsca, w którym stary człowiek przykucnął, aby odmówić modlitwę, padł twarzą do ziemi, nie ruszając się, nie myśląc już o niczym. Dłonie trzymały ziemię tak, jakby przywarł do ściany wysokiego brzegu morskiego, a smak pylistego kurzu wypełniał jego usta i nozdrza.

Po długiej chwili ośmielił się unieść twarz i zobaczył białą płaszcz szejka.

– Co tu robisz? – zapytał Ma el Ainin.

Głos jego bardzo łagodny i odległy, jakby dochodził z przeciwnego krańca placu. Nur się zawahał. Klęknął, ale głowę miał pochyloną. Brakowało mu odwagi, by spojrzeć na szejka.

– Co tu robisz? – powtórzył starzec.

– Ja, ja się modliłem – odparł Nur, po czym dorzucił: – Chciałem się modlić.

Szejk uśmiechnął się.

– I nie mogłeś się modlić?

– Nie – powiedział zwyczajnie Nur. Ujął ręce starego człowieka. – Proszę cię, udziel mi boskiego błogosławieństwa.

Ma el Ainin przeciągnął dłońmi po głowie Nura, masował lekko jego kark. Później podniósł chłopca i ucałował go.

– Jak się nazywasz? – zapytał. – Czy to nie ciebie widziałem tamtej nocy, kiedy odbyło się Zgromadzenie?

Nur powiedział swoje imię, imię ojca, a także imię matki. Przy tym ostatnim twarz Ma el Ainina się rozjaśniła.

– A więc twoja matka jest z rodu Sidi Mohammeda, którego nazywają Al Azrak, Błękitny Człowiek?

– On był wujem mojej babki – powiedział Nur.

– A więc jesteś naprawdę synem czerify⁶ – rzekł Ma el Ainin.

Przez długą chwilę milczał, szare oczy utkwivszy w chłopcu, jakby szukał jakiegoś wspomnienia. Później mówił o Błękitnym Człowieku, którego spotkał w oazach południa po drugiej stronie skał Hammady. Działo się to wówczas, kiedy w tej okolicy nie było jeszcze niczego, nawet miasta Smara. Błękitny Człowiek mieszkał w szałasie z kamieni i gałęzi na skraju pustyni, nie obawiając się ani ludzi, ani dzikich zwierząt. Codziennie rankiem znajdował przed drzwiami szałasu daktyle i miskę zsiadłego mleka oraz dzban ze świeżą wodą, ponieważ Bóg czuwał nad nim i go żywił. Kiedy Ma el Ainin odwiedził go, aby prosić o nauki, Błękitny Człowiek nie chciał go przyjmować. Przez miesiąc kazał mu sypiać pod swymi drzwiami, nie odzywając się ani słowem, nawet nań nie patrząc. Zostawiał tylko połowę daktyli i mleka i nigdy Ma el Ainin nie spożywał tak sytych posiłków. Woda z dzbana

6 Czerifa (arab.) rodzaj żeński od *czerif* - książę lub potomek Mahometa z linii Alego i Fatimy (przyp. tłum.).

natychmiast gasiła pragnienie i wypełniała radością, ponieważ była wodą dziewiczą, z najczystszej rosy.

Pod koniec miesiąca szejk był smutny, ponieważ Al Azrak nawet na niego nie spojrział. Wtedy postanowił wrócić do rodziny, bo sądził, że Błękitny Człowiek uważa, że nie jest on godny służyć Bogu. Szedł, nie mając żadnej nadziei, drogą do swojego miasteczka, kiedy zobaczył, że czeka na niego jakiś człowiek. Tym człowiekiem był Al Azrak, który zapytał, czemu go opuścił. Później poprosił, by z nim pozostał w tym miejscu, w którym się zatrzymał. Ma el Ainin został przy nim jeszcze przez wiele miesięcy i któregoś dnia Błękitny Człowiek powiedział, że niczego już nie może go nauczyć. „Ale przecież nie zaczęłeś jeszcze twych nauk” – rzekł Ma el Ainin. Wówczas Al Azrak pokazał mu talerz z daktylami, miskę zsiadłego mleka i dzban z wodą: „Czy nie dzieliłem tego z tobą co dzień od chwili, kiedy przybyłeś?”. Później wskazał horyzont na północy w kierunku Sagiet el Hamra i kazał mu zbudować święte miasto dla swych synów, i nawet przepowiedział, że jeden z nich zostanie królem. Wówczas Ma el Ainin opuścił swe miasteczko razem z rodziną i zbudował miasto Smara.

Kiedy szejk skończył opowiadać tę historię, raz jeszcze ucałował Nura i powrócił w cień swojego domu.

Nazajutrz o zachodzie słońca Ma el Ainin wyszedł z domu odmówić ostatnią modlitwę. Mężczyźni i kobiety z obozu prawie nie spali, ponieważ nie przestawali śpiewać i uderzać w ziemię stopami. Ale już zaczęła się wielka podróż na drugą stronę pustyni i upojenie marszem wzdłuż piaszczystej drogi było w ich ciałach, już wypełniało ich palącym powiewem, roztaczało lśniące miraży przed oczami. Nikt nie zapomniał cierpień, pragnienia, rozpalonych przez słońce kamieni i niekończących się piasków ani horyzontu, który zawsze ucieka. Nikt nie zapomniał drżącego głodu, głodu nie tylko żywności, ale wszystkich jego rodzajów, głodu nadziei i oswobodzenia, głodu tego, czego brak, co pogłębia na ziemi zawrót głowy, głodu, który pcha do przodu, który każe pokonywać zbrocza wzniesień do miejsca, w którym znów trzeba schodzić w dół, mając przed sobą dziesiątki i setki innych, identycznych wzniesień.

Ma el Ainin znów siedział na ubitej ziemi pośrodku placu przed domami bielonymi wapnem. Ale tym razem wodzowie plemion siedzieli po jego bokach. Tuż przy sobie kazał usiąść Nurowi i jego ojcu, podczas kiedy starszy brat i matka zostali w tłumie. Mężczyźni i kobiety z obozu utworzyli półkole na placu, niektórzy przykucnęli, otuleni w wełniane płaszcze, by chronić się przed zimnem nocy, inni stali lub szli wzdłuż murów placu. Muzykanci grali smutno, szarpiąc struny gitar i uderzając czubkiem wskazującego palca w skórę małych, stojących bębnow.

Pustynny wiatr wiał teraz z przerwami, rzucając na twarze ludzi ziarenka piasku, które parzyły skórę. Nad placem niebo stało się ciemnobłękitne, już prawie czarne. Wszędzie wokół miasta Smara panowała nieskończona cisza, cisza wzgórz z czerwonego kamienia, cisza głębokiej niebieskości nocy. Jakby nigdy nie istnieli inni ludzie prócz tych więźniów w małym kraterze z wyschniętej gliny, przyczepionych do czerwonej ziemi wokół kałuży szarej wody. Gdzie indziej był kamień i wiatr, fale wydm, sól, dalek morze lub pustynia.

Kiedy Ma el Ainin zaczął odmawiać *dzikr*, głos jego zabrzmiał dziwnie w ciszy placu, podobny do dalekiego beczenia kozy. Śpiewał cicho, kołysząc tułowiem do przodu, ale cisza nad placem, w mieście, nad całą doliną Sagiet el Hamra miała swoje źródło w próżni pustynnego wiatru, a głos starego człowieka był czysty i pewny jak głos pełnego życia zwierzęcia. Nur, drżąc, słuchał długiego nawoływania. Każdy mężczyzna i każda kobieta na placu trwali w bezruchu ze spojrzeniem jakby zwróconym ku wnętrzu ciała.

Na zachodzie ponad poszarpanymi skałami Hammady słońce tworzyło już dużą, czerwoną plamę. Cienie na ziemi wydłużyły się nadmiernie, później łączyły się ze sobą jak przybierająca woda.

– Chwała Bogu, Bogu żywemu, który nigdy nie umiera, chwała Bogu, który nie ma ojca ani dzieci, który nie ma podpory, który jest sam i z siebie samego, chwała Bogu, który nami kieruje, ponieważ wysłańcy Boga przyszli i przynieśli nam prawdę...

Głos Ma el Ainina drżał pod koniec każdej inwokacji, zdyszany, cienki jak płomień, a jednak każda sylaba, długa, oddzielona i czysta, wybuchała pośród ciszy.

– Chwała Bogu, który jest jedynym ofiarodawcą, jedynym mistrzem, tym, który wie, widzi, tym, który rozumie i rozkazuje, chwała temu, który daje dobro i zło, ponieważ słowo jego jedyną ucieczką, wola jego – jedynym pragnieniem przeciw złu, jakie czynią ludzie, przeciw śmierci, przeciw chorobie, przeciw nieszczęściu, które to stworzone były razem ze światem...

Noc wypełniała się powoli, najpierw na ziemi w zagłębieniach piasku, u podnóża glinianych ścian, przed nieruchomymi ludźmi, pod płótnem namiotów, w dołkach, gdzie spały psy, w szmaragdowej głębinie studziennej wody.

– To imię Boga, który ochrania, imię tego, który przychodzi do mnie i daje mi siłę, bo imię jego jest największe, imię jego jest takie, że nie obawiam się już niczego od nieprzyjaciół moich i wymawiam jego imię wewnątrz siebie, kiedy idę walczyć, bo imię jego jest tym, które króluje na ziemi i na niebie...

Na niebie, po którym światło słońca uciekało na zachód, podczas gdy zimno wychodziło z głębi ziemi, wznosiło się przez twardy piasek i przenikało nogi ludzi.

– Chwała wielkiemu Bogu, nie ma siły i mocy poza Bogiem na wysokości, Boże wielki, ty, który nie jesteś z ziemi ani z nieba, ty, który żyjesz poza moim spojrzeniem, poza moją wiedzą, ty, który mnie znasz, ale którego ja nie mogę poznać, Boże na wysokości, Boże wielki...

Głos Ma el Ainina rozbrzmiewał daleko na pustyni, jakby zdążył do krańców opustoszałej ziemi, daleko poza wydmy i wąwozy, poza nagie płaskowyże i wysuszone doliny, jakby docierał już do nowych ziem po drugiej stronie Dra, nad pola zboża, gdzie ludzie znaleźliby wreszcie pożywienie.

– Boże potężny, Boże doskonały, bo poza Bogiem żadna boskość nie istnieje, mędrce obdarzony siłą, najwyższy obdarzony wiedzą, ofiarodawco niestrudzony, jedyna hojności, łaskawco, który dowodzisz armią nieba i ziemi, doskonały, czuły...

Ale słaby i daleki głos przenikał każdego mężczyznę i każdą kobietę, wdzierał się jakby do wnętrza ciała i czuli, jak wychodził z ich gardła, jak łączył się z ich myślami i słowami, aby brzmieć swą muzyką.

– Chwała, chwała walecznemu, chwała, chwała temu, który się nie unieście, temu, którego istnienie jest najwyższe, ponieważ jest tym, który wie i rozumie...

Powietrze wchodziło do piersi Ma el Ainina, później wydychał je z siłą, prawie nie poruszając wargami, z zamkniętymi oczami, kołysząc tułowiem, jakby był drzewem.

– Boże nasz, mistrzu, Boże nasz, najdoskonalszy, Boże nasz, światło światłości, gwiazdo nocy, cieniu cienia, Boże nasz, jedyna prawdo, jedyne słowo, chwała i sława temu, który bierze udział w naszej walce, chwała i sława temu, którego imię gromi nieprzyjaciół naszych, mistrzu ziemi bożej...

Wówczas bezwiednie mężczyźni i kobiety wymawiają słowa *dzikir*, ich głos wznosi się za każdym razem, kiedy głos starego człowieka, drżąc, cichnie.

– On jest wielki, potężny, doskonały, on, który jest naszym mistrzem i Bogiem, którego imię jest wpisane w nasze ciało, uwielbiany, uświęcony, objawiony, który nie ma mistrza, który powiedział: „Byłem ukrytym skarbem, chciałem być poznany i dlatego stworzyłem człowieka...”. Jest wielki, nie ma równego sobie ani rywala, on, który jest pierwszy wobec każdego istnienia, który istnienie stworzył, który jest surowy, który posiada, który widzi, rozumie i wie, który jest doskonały, który nie ma równego sobie... On jest wielki, jest piękny w sercu wiernych mu ludzi, jest czysty w sercu tego, który go uznał, nie ma równego sobie w

duszy, która go posiadała, jest naszym mistrzem, najlepszym z mistrzów. Nie ma równego sobie ani rywala, jest tym, który żyje na szczycie najwyższej góry, tym, który jest w piasku pustyni, tym, który jest w morzu, w niebie, w wodzie, jest tym, który jest drogą, jest z gwiazd i nocy...

Wówczas bezwiednie muzykanci zaczęli grać, a ich cicha muzyka rozmawiała z głosem Ma el Ainina, mrużąc ostrymi i głuchymi dźwiękami mandolin, hałasem małych bębnow, później milknąc nagle na czystej melodii trzcinowych fletów, jak milknie śpiew ptaków.

Głos starego człowieka i muzyka piszczałek odpowiadały sobie teraz, jakby mówiły o tym samym ponad głosami ludzi i głuchym dudnieniem kroków na twardej ziemi.

– On nie ma równego sobie ani rywala, ponieważ jest potężny, jest tym, który nie został stworzony, jest światłem, które dało życie świecom, ogniem, który pozapalał inne ognie, to pierwsze słońce, pierwsza gwiazda nocy, ten, który się rodzi przed każdym narodzeniem, ten, który wyznacza początek i kres każdemu życiu na ziemi, ten, który tworzy i niszczy kształty stworzeń...

Wówczas tłum tańczył, potrząsając głowami i unosząc wewnętrzne strony dłoni ku czarnemu niebu i wołał rozdzierająco:

– Huwa! On!

– On jest tym, który przyniósł prawdę wszystkim świętym, tym, który błogosławił wielkiego Mahometa, który dał moc i słowo naszemu Wielkiemu Prorokowi, wysłannikowi Boga na ziemi...

– Ach! On!

– Chwała Bogu, chwała Bogu wielkiemu, doskonałemu, sercu tajemnicy, tej, która jest wpisana w serce, najwyższemu, wielkiemu...

– Huwa! On!

– Chwała Bogu, ponieważ my jesteśmy jego stworzeniami, jesteśmy biedni, niewidzący, ślepi, głusi, jesteśmy niedoskonali.

– Ach! Huwa!

– O, ty, który wiesz, daj prawdę! O ty, łagodny, czuły, cierpliwy, hojny, ty, który nie potrzebowałeś nikogo, by istnieć.

– Ach! Huwa!

– Chwała Bogu, który jest królem, świętym, wszechmocnym, zwycięskim, pełnym chwały, tym, który istnieje przed każdym życiem, który jest boskim, niezmiernym, jedynym zwycięzcą wszystkich nieprzyjaciół twoich, tym, który wie, który widzi, który rozumie, boskim, uczonym, niezmiernym, widzącym świadkiem, stwórcą, jedynym, pojmującym, pięknym, hojnym, silnym, doskonałym, najwyższym, niezmiernym...

Głos Ma el Ainina przeszedł teraz w krzyk. Później nagle zamilkł niczym śpiew świerszcza nocą. Wówczas zgiełk głosów i bębnow ustał również, ucichła muzyka gitar i fletów i znów była tylko długa, straszliwa cisza, która ścisnęła skronie i przyspieszała bicie serca. Z oczami pełnymi łez Nur patrzył na starego człowieka pochylonego ku ziemi, zakrywającego twarz rękami, i poczuł wewnątrz siebie szybki jak błysk ostrza, nieznanym wyrazem rozpacz. Wtedy z kolei Larhdaf, trzeci syn Ma el Ainina, zaczął śpiewać. Jego silny głos zabrzmiał nad placem, już nie z tą wyrazistą czystością głosu Ma el Ainina, ale podobny do gniewnego dźwięku, zaraz też muzykanci zaczęli grać.

– O Boże, Boże nasz! Przyjmij świadków wiary i prawdy, towarzyszy Mulaja bu Azza, Bekkaia, towarzyszy Gudfia, wysłuchaj słów pamięci, jakie podyktował im pan nasz, szejka Ma el Ainin!

Zgiełk tłumy zamienił się nagle w krzyk:

– Chwała naszemu szejkowi Ma el Aininowi, chwała wysłannikowi Boga! Chwała Ma el Aininowi! Chwała towarzyszom Gudfia!

– O Boże, wysłuchaj pamięci syna jego, szejka Ahmeda, tego, którego nazywają Esz Szems, Słońce, wysłuchaj pamięci jego syna Ahmeda ed Dehiba, tego, którego nazywają Złotą Działką, Mulaja Hiba, naszego prawdziwego króla!

– Chwała im! Chwała Mulaj Hibowi, naszemu królowi!

Teraz upojenie znów ogarnęło ludzi, a ochrypiły głos młodego mężczyzny wydawał się budzić gniew i odsuwać zmęczenie.

– O Boże, Boże nasz, bądź zadowolony ze swych towarzyszy i następców! Ludzie chwały i wielkości, niech Bóg będzie z nich zadowolony! Władcy, panowie, wojownicy, niech Bóg będzie z nich zadowolony! Ludzie miłości i prawdy, niech Bóg będzie z nich zadowolony! Święci, błogosławieni służebnicy wiary, niech zadowolą Boga! Biedni, zbłąkani, nieszczęśliwi niech zadowolą Boga! Niech Bóg udzieli nam swego wielkiego błogosławieństwa!

Zgiełk tłumu rósł, a ściany domów odbijały dźwięki, podczas gdy głosy wykrzykiwały imiona, wpisywały je na zawsze w pamięć, na wystygłej i nagiej ziemi i na pełnym gwiazd niebie.

– Niech błogosławieństwo Wielkiego Wysłannika Boga będzie z nami, o Boże, a także błogosławieństwo wysłannika Iliasa, błogosławieństwo El Chadira, który pił u samego źródła życia. O Boże, i błogosławieństwo Uwajsa Kaarni, o Boże, wielkiego Abd el Kadima al Dżilani, świętego Bagdadu, wysłannika Boga na ziemi, o Boże...

Imiona brzmiały w nocnej ciszy ponad muzyką, która szumiała i umykała nieuchwytna jak oddech.

– Wszyscy ludzie ziemi i morza, o Boże, ludzie północy, ludzie południa, o Boże. Ludzie wschodu, ludzie zachodu, o Boże, ludzie nieba, ziemi, o Boże...

Słowa pamięci były najpiękniejsze, przychodziły z najodleglejszej pustyni odnajdującej wreszcie serce każdego mężczyzny, każdej kobiety, jak dawny sen, który znów się zaczyna.

– Daj nam, o Boże, wielkie błogosławieństwo władców, Abu Jaza, Jananura, Abu Madiana, Maarufa, Al Dżunaida, Al Halladża, Al Czibli, wielkich świętych miasta Bagdadu...

Światło księżyca ukazywało się powoli nad kamiennymi wzgórzami na wschodzie el Sagiet i Nur patrzył na nie, kołysząc ciałem, z oczami nieruchomymi w obliczu głębi czarnego nieba. Pośrodku placu szejka Ma el Ainin stał wciąż pochylony, bardzo biały, prawie upiorny. Tylko jego chude palce poruszały się, przesuując paciorki hebanowego różańca.

– Daj nam, o Boże, błogosławieństwo władców, Al Halawiego, który tańczył dla dzieci, Ibn Hawariego, Tsawriego, Junusa ibn Obaida, Basriego, Abu Jazrda, Mahomeda as Zaghira as Suaili, który nauczał słowa wielkiego Boga, Abesselaama, Ghazalego, Abu Szuhaiba, Abu Mahdiego, Malika, Abu Mohammeda Abdelzazziz ath Thobba, świętego miasta Marakesz, o Boże.

Imiona były najwyższym upojeniem pamięci, podobne do oczu konstelacji, jakby z ich zagubionego spojrzenia spływała siła tu, na wychłodzony plac, gdzie zgromadzili się ludzie.

– Boże, o Boże, daj nam błogosławieństwo wszystkich proroków, towarzyszy, następców armii twojego zwycięstwa, Abu Ibrahima Tunsiego, Sidi bel Abbasa Sebti, Sidi Ahmeda el Haritsi, Sidi Jakira, Abu Zakriego, Jahia an Nawaniego, Sidi Mohammeda ben Issa, Sidi Ahmeda er Rifai, Mohammeda ben Silmana al Dżazuli, wielkiego władcy, wysłannika Boga na ziemi, świętego miasta Marakesz, o Boże!

Słowa pojawiały się i ginęły na wszystkich wargach, imiona mężczyzn, nazwy gwiazd, ziarenka piasku na wietrze pustyni, imiona dni i nocy, bez końca, poza śmiercią.

– Boże, o Boże, daj nam błogosławieństwo wszystkich władców ziemi, którzy poznali tajemnicę, tych, którzy poznali życie i przebaczenie, prawdziwych władców ziemi, morza i nieba, Sidi Abderrhamana, którego nazywali Sahadi, towarzysza proroka. Sidi Embarka, Sidi Belkheira, który udoił mleko z kozła, Lalli Mansura, Lalli Fatima, Sidi Ahmeda al Harussi,

który posklejał stłuczony dzban, Sidi Mohammeda, którego nazywali Al Azrak, Błękitny Człowiek, i który pokazał drogę zbawienia wielkiemu szejkowi Ma el Aininowi, Sidi Mohammeda Esz Szeich el Kaamel, doskonałego, i wszystkich władców ziemi, morza i nieba...

Znowu zapadła cisza pełna oszołomienia i błysków. Chwilami muzyka piszczałek unosiła się jeszcze, płąsała, później cichła. Ludzie wstawali i odchodzili ku bramom miasta. Tylko Ma el Ainin trwał w bezruchu, nachylony ku ziemi, patrząc wciąż w to samo miejsce oświetlone światłem księżyca.

Kiedy zaczęto taniec, Nur wstał i przyłączył się do tłumu. Mężczyźni uderzali bosymi stopami w twardą ziemię, stłoczeni w kształcie szerokiego półksiężyca, który zamykał plac. Imię Boga wymawiano z siłą, jakby wszyscy cierpieli i odnosili rany w tej samej chwili. Stojący na ziemi bęben podkreślał każdy okrzyk:

– Huwa! On!

Kobiety wołały wibrującym głosem.

Była to muzyka, która przenikała w zimną ziemię, szła ku największej głębi czarnego nieba, zlewała się ze świetlistym kręgiem wokół księżyca. Teraz czas nie istniał, nie było nieszczęścia. Mężczyźni uderzali ziemię czubkiem stopy i piętą, powtarzali niewyciężone zawołanie:

– Huwa! On!... Hej!... Żyjący!...

Odwracali głowę na prawo, na lewo, na prawo, a muzyka z wnętrza ich ciał przez gardło wyrwała się ku najdalszemu punktowi horyzontu. Chrapliwy i przerywany oddech niósł ich, porywał ponad ogromną pustynię, poprzez noc, w stronę jasnych plam jutrenki, po drugiej stronie gór, do kraju Sus, do Tiznit, w stronę równiny Fezu.

– Huwa! On!... Bóg... – krzyczały ochryple głosy mężczyzn oszołomionych głuchym dźwiękiem bębnów i grą trzcinowych fletów, podczas gdy przykucnięte kobiety kołysały torssem, uderzając wewnętrzną częścią dłoni w ciężkie naszyjniki z brązu i srebra. Ich głos drżał chwilami jak głos fletów, na granicy ludzkiej percepcji, później cichł nagle. Wówczas mężczyźni podejmowali swój mozolny trud i nad placem rozlegało się przeraźliwe dyszenie.

– Huwa! On!... Hej! Żyjący! Huwa! Hej! Huwa! Hej!

Oczy na wpeł przymknięte, głowy odrzucone do tyłu.

Był to dźwięk, który sięgał poza siły przyrodzone, dźwięk, który rozdzierał rzeczywistość, ale jednocześnie uspokajał, niczym miarowy ruch ogromnej piły pożerającej pień drzewa. Każdy głęboki i bolesny oddech powiększał jeszcze ranę nieba, która łączyła ludzi z przestrzenią. Każdy śpiewak wykrzykiwał imię Boga coraz szybciej, z głową wyciągniętą jak u ryczącego byka, z tętnicami szyi podobnymi do napiętych strun. Światło *brasero* i biały blask księżyca oświetlały ich chwiejące się ciała, które pośrodku chmur kurzu lśniły jak błyskawice. Coraz szybszy oddech rzucał prawie nieme wołania, wargi były nieruchome, usta wpółotwarte, a na placu w próżni pustynnej nocy niósł się już tylko jeden dźwięk niczym z kuźni, wydawany przez oddychające gardła.

– Hh! Hh! Hh! Hh!

Teraz nie padały już słowa. Właśnie tak, środek nieba i ziemi złączone zostały gwałtownym wichrem ludzkich oddechów, przyspieszony ich rytm usuwał dni i noce, miesiące, pory roku, a nawet przestrzeń bez nadziei i przybliżał koniec wszystkich podróży, koniec wszelkiego czasu. Cierpienie było wielkie, a upojenie oddechem wprawiało w drzenie ciało, poszerzało gardło. Pośrodku półkola mężczyzn kobiety tańczyły jedynie bosymi stopami, z nieruchomym tułowiem, z rozchylonymi nieco ramionami, drżąc lekko. Głuchy rytm wybijany piętami wchodził do wnętrza ziemi, dudniąc jednostajnie jak maszerująca armia. Obok muzykantów wojownicy południa z twarzami zakrytymi czarną zasłoną podskakiwali w miejscu, unosząc wysoko kolana, niczym pragnące odfrunąć wielkie ptaki. Później powoli, nocą, jedni po drugich nieruchomieli. Kobiety i mężczyźni kucali na ziemi z

wyciągniętymi przed siebie ramionami, z dłońmi zwróconymi ku niebu; tylko ich ochrypły oddech wydobywał się ciągle, wyrzucając w ciszę te same niekończące się sylaby:

– Hh! Hh! Huwa! Hej!... Hh! Hh!

Przenikliwy dźwięk oddechów był tak silny, tak potężny, jak gdyby wszyscy w drobnym pustynnym pyłe wraz z wiatrem odeszli daleko od Smary przez niebo, wtopieni w światło księżyca. Ani cisza, ani samotność nie były możliwe. Dźwięk oddechów wypełnił całą noc, pokrył całą przestrzeń.

Ma el Ainin, siedzący w kurzu pośrodku placu, nie patrzył na nikogo. Jego ręce ścisnęły paciorki hebanowego różańca i przesuwwały jeden koralik przy każdym oddechu tłumu. To on był środkiem oddechu, tym, który pokazał ludziom drogę pustyni, tym, który nauczał każdego rytmu. Teraz na nic już nie czekał. Nikogo już nie pytał. Oddychał według rytmu modlitwy, jakby i on, i inni oddychali jednym gardłem, jedną piersią. A ich oddech otworzył już drogę ku północy, ku nowym ziemiom. Stary człowiek nie czuł swych lat, zmęczenia ani niepokoju. Oddech krążył w nim, zebrany ze wszystkich ust, oddech gwałtowny i łagodny zarazem, potęgujący istnienie. Mężczyźni nie patrzyli już na Ma el Ainina. Mieli zamknięte oczy i rozwarte ramiona, z twarzą zwróconą ku nocy unosili się, wślizgiwali na drogę północną.

Kiedy na wschodzie ponad kamiennymi wzgórzami wstał dzień, mężczyźni i kobiety zaczęli iść ku namiotom. Mimo tych wszystkich dni i wszystkich nocy upojenia nikt nie był zmęczony. Osiodłano konie, zwinięto wielkie, wełniane namioty, objuczono wielbłądy.

Słońce nie stało jeszcze wysoko na niebie, kiedy Nur i jego brat ruszyli drogą pełną kurzu na północ. Nieśli na ramionach tobołki z bielizną i żywnością. Przed nimi inni mężczyźni i inne dzieci poszli również; chmura szarego i czerwonego pyłu zaczęła unosić się ku szafirowemu niebu. Gdzieś u bram Smary otoczony błękitnymi wojownikami na koniach, wśród synów Ma el Ainin patrzył na długą karawanę ciągnącą przez pustynną równinę. Później otulił się białym płaszczem i stopą dotknął szyi wielbłąda. Powoli, nie oglądając się, opuszczał Smarę, zmierzał do swego kresu.

Szczęście

Słońce wstaje nad ziemią, cienie wydłużają się na szarym piasku w kurzu dróg. Wydmy stanęły przed morzem. Małe rośliny o grubych listkach drżą na wietrze. Na bardzo błękitnym, zimnym niebie nie ma ptaków ani chmur. Jest tylko słońce. Ale światło poranka chwije się nieco, jakby niezupełnie pewne siebie.

Wzdłuż drogi pod osłoną linii szarych wydm idzie powoli Lalla. Od czasu do czasu staje i ogląda coś leżącego na ziemi. Albo zrywa liść z soczystej rośliny i zgniata go w palcach, aby wachać słodki i pieprzny zapach soku. Ciemnozielone, błyszczące rośliny przypominają algi. Czasami na liściu cykuty pojawia się wielki złocisty trzmiel i Lalla goni go. Jednak nie zbliża się do niego nadto, ponieważ mimo wszystko trochę się boi. Kiedy owad odlatuje, biegnie za nim z wyciągniętymi rękami, jakby naprawdę chciała go pochwycić. Ale tylko udaje dla zabawy.

Tutaj wokół jest tylko to: światło nieba, jak daleko sięga wzrok. Wydmy drżą od uderzeń morza, którego nie widać, ale które słyszą. Małe, pełne soków roślinki lśnią od soli niczym od potu. Tu i tam widać owady, bladą biedronkę, osy o talii tak wąskiej, że wyglądają jak przecięte na pół, starą stonogę zostawiającą delikatne ślady w kurzu i płaskie muchy koloru metalu, szukające nóg i twarzy dziewczynki, aby wypijać sól.

Lalla zna wszystkie drogi, wszystkie zagłębienia wydm. Mogłaby iść wszędzie z zamkniętymi oczyma i rozpoznałaby od razu, gdzie jest, tylko dotykając ziemi bosymi stopami. Chwilami wiatr przeskakuje barierę wydm, rzuca garście igiełek na twarz dziewczynki, płacząc jej czarne włosy. Sukienka przykleja się do wilgotnej skóry i Lalla musi ciągnąć za materiał, by ją odlepić.

Lalla zna wszystkie drogi: te, które idą jak okiem sięgnąć wzdłuż szarych wydm między zaroślami, te, które zakręcają i wracają, te, które zawsze prowadzą donikąd. Jednak za każdym razem, kiedy tędy przechodzi, znajduje coś nowego. Dzisiaj złocistego trzmieła, który zaprowadził ją bardzo daleko, za domy rybaków i laguny stojącej wody. Nieco dalej wśród zarośli szkielet z zardzewiałej stali, wznoszący swe szpony i groźne rogi. Później w piasku na drodze małą puszkę po konserwach z białego metalu, bez etykiety, z dwiema dziurkami po każdej stronie wieka.

Lalla ciągle idzie bardzo wolno, patrząc na szary piasek tak uważnie, że aż boją ją oczy. Wyszukuje na ziemi różne rzeczy, nie myśląc o niczym innym, nie patrząc na niebo. Później siada pod pinią, chroniąc się od światła i na chwilę przymyka oczy. Obejmuje kolana rękami i kołysze się w przód i tył, później na boki, podśpiewując po francusku piosenkę:

– *Mediterra-ne-e-e...*

Lalla nie wie, co to znaczy. Piosenkę słyszała kiedyś w radiu, zapamiętała tylko to jedno słowo, które bardzo jej się podoba. A więc od czasu do czasu, kiedy jest jej dobrze, kiedy nie ma nic do roboty albo kiedy, przeciwnie, jest bez powodu smutna, śpiewa to słowo, czasami cicho, dla siebie, tak cicho, że ledwie słyszy swój głos, albo bardzo głośno, prawie na całe gardło, aby obudzić echo i odpędzić strach.

Teraz śpiewa cicho, ponieważ jest szczęśliwa. Wielkie, czerwone mrówki z czarnymi głowami maszerują po sosnowych igłach, wahają się, wspinają po gałęziach. Lalla odsuwa je suchym patykiem. Czuje zapach drzew niesiony wiatrem, zmieszany z cierpkim smakiem morza. Piasek tryska momentami ku niebu, tworzy wirujące trąby powietrzne, które później nagle się załamują i rzucają tysiące szpilek na nogi i twarz dziecka.

Lalla pozostaje w cieniu drzewa do chwili, kiedy słońce stanie wysoko na niebie. Wtedy niespiesznie wraca ku miastu. Na piasku rozpoznaje własne ślady. Wydają się mniejsze i większe niż stopy, ale odwracając się, Lalla sprawdza, że ona je zostawiła. Wzrusza ramionami i zaczyna biec. Kolce ostów wbijają się w palce u stóp. Co pewien czas, by nie kuleć, musi stanąć i wyjąć kolce.

Tam, gdzie przystanie, zaraz pojawiają się mrówki. Wyglądają tak, jakby wychodziły spomiędzy kamieni i niczym szpiedzy biegały po szarym, rozpalonym piasku. Ale mimo wszystko Lalla bardzo je lubi. Lubi również powolne stonogi, biedronki, złocistobrązowe chrabąszcze, stonkę, skarabeusze, jelonki, szarańcze podobne do kawałków spalonego drewna. Wielkie modliszki przejmują ją lękiem i Lalla czeka, aż się oddalą, albo nie spuszczać ich z oczu, omija je, podczas gdy owady obracając się wokół siebie, pokazują szczytce. Są nawet szare i zielone jaszczurki. Umykają w kierunku wydm, uderzając silnie ogonem, aby biec szybciej. Czasami Lalla chwytą jedną z nich i bawi się, trzymając za ogon do chwili, kiedy ogon oderwie się. Patrzy na kawałek wijący się w kurzu. Jakiś chłopiec powiedział jej kiedyś, że gdyby poczekać, można by zobaczyć odrastające przy nim łapy i głowę jaszczurki. Ale Lalla nie bardzo w to wierzy.

Przede wszystkim widać muchy. Lalla bardzo je lubi mimo ich brzęczenia i ukąszeń. Nie bardzo wie, dlaczego, ale tak właśnie jest. Może z powodu delikatnych łapek, przezroczystych skrzydeł, a może dlatego, że umieją szybko latać do przodu, do tyłu, zygakiem i Lalla myśli, że to musi być przyjemne umieć latać tak właśnie.

Kładzie się na plecach na piasku wydm, a muchy siadają jej na twarzy, na rękach, na gołych nogach. Nie pojawiają się wszystkie od razu, ponieważ na początku boją się Lalli. Ale lubią spijać słony pot ze skóry i szybko nabierają odwagi. Kiedy posuwają się na lekkich łapkach, Lalla zaczyna się śmiać, ale niezbyt głośno, żeby ich nie spłoszyć. Czasem jakaś płaska mucha ukąsi Lallę w policzek i dziewczynka wydaje gniewny okrzyk. Lalla długo się tak bawi. Te płaskie muchy żyją w porostach morskich na plaży. Ale są również czarne muchy w domach Cité na ceratach, na kartonowych ścianach, na szybach. W pobliżu chłodni wielkie niebieskie muchy latają nad śmietnikami, buczać jak bombowce.

Nagle Lalla wstaje. Tak szybko, jak tylko może, biegnie w stronę wydm, wspina się po piaszczystym zboczu, które usuwa się jej spod bosych stóp. Osty kłują ją w palce, ale ona nie zwraca na to uwagi. Chce wejść na szczyt wydmy, żeby jak najszybciej zobaczyć morze. Na górze wydm wiatr wieje gwałtownie w twarz i omal nie przewraca Lalli. Zimny morski podmuch zamyka jej nozdrza i pali w oczy; morze jest ogromne, szaroniebieskie, poplamione pianą, szumi głośno i głucho, podczas gdy krótkie fale upadają na piaszczystą równinę, w której odbija się prawie czarny błękit nieba.

Lalla pochyliła się pod wiatr. Jej sukienka (po prawdzie jest to chłopcica koszula z perkalu, w której ciotka obcięła rękawy) przykleja się do brzucha i ud, jakby była mokra. Wiatr i morze huczą w uszach raz z lewej, raz z prawej strony, a huk ten zlewa się z uderzeniami kosmyków włosów o skronie. Czasami wiatr unosi garść piachu i rzuca w twarz Lalli. Dziewczynka musi zamykać oczy, aby jej nie oślepiło. Ale wiatrowi udaje się mimo wszystko wycisnąć łzy z oczu, a w ustach ziarenka piasku zgrzytają między zębami.

Kiedy Lalla upoi się już do syta wiatrem i morzem, schodzi w dół wydm. Przykuca na chwilę u ich stóp, żeby złapać oddech. Wiatr nie dociera na drugą stronę wydm. Przechodzi górą, zmierza ku wnętrzu łądu, aż do niebieskich wzgórz, gdzie ściela się mgła. Wiatr nie czeka. Robi to, na co ma ochotę, i Lalla jest szczęśliwa, kiedy wieje, nawet jeśli pali oczy i uszy, nawet jeśli rzuca garści piasku w twarz. Myśli o nim często i o morzu również, kiedy jest w ciemnym domu w Cite, gdzie powietrze jest tak ciężkie i cuchnie tak mocno; myśli o wietrze, który jest wielki, przezroczysty, który zrywa się bez przerwy nad morzem, który w jednej chwili przebywa pustynię aż do cedrowych lasów i tańczy tam, u stóp gór, pośród ptaków i kwiatów. Wiatr nie czeka. Przebywa góry, wymiata kurz, piasek, popioły, wywraca

kartony, dociera nawet do miasta z desek i papy i zabawia się, zrywając dachy i przewracając ściany. Ale to nic nie szkodzi, Lalla uważa, że jest piękny, przezroczysty jak woda, szybki jak błyskawica i tak silny, że mógłby zniszczyć wszystkie miasta świata, gdyby chciał... nawet te, w których domy są wysokie i białe z wielkimi szklanymi oknami.

Lalla umie wymówić jego imię, nauczyła się tego sama, kiedy była mała i kiedy słuchała, jak wciskał się pomiędzy deski domu nocą. Ono brzmi: „Wooooohhhh”, właśnie tak, z pogwizdywaniem.

Trochę dalej wśród zarośli Lalla go odnajduje. To on rozgarnia żółte trawy jak przesuwaną się dłoń.

Krogulec jest prawie nieruchomy nad trawiastą równiną, ze skrzydłami koloru miedzi rozpostartymi na wietrze. Lalla patrzy na niego, podziwia go, ponieważ on, on umie fruwać na wietrze. Krogulec przesuwa nieco końce lotek, rozwija ogon w wachlarz i szybuje bez wysiłku, jego cień w kształcie krzyża drży na pożółkłych trawach. Od czasu do czasu pokrzykuje: „Kaiiik! Kaiiik!” i Lalla mu odpowiada.

Później nagle rzuca się ku ziemi ze złożonymi skrzydłami, muska długo trawy podobny do ryby, która przesuwa się na morskim dnie, gdzie poruszają się algi. I właśnie tak znika, daleko między poruszonymi trawami. Lalla na próżno pokrzykuje, naśladuje jego skargę: „Kaiiik! Kaiiik!”. Ptak nie wraca.

Ale długo pozostaje w jej oczach cień w formie strzały, która ślizga się tuż nad żółtymi trawami jak płaszczka, bezdźwięcznie, na fali strachu.

Lalla trwa teraz w bezruchu z głową odrzuconą do tyłu, z szeroko otwartymi oczami wpatrzonymi w białe niebo, oglądając koła, które unoszą się w miejscu, przecinają jak wtedy, kiedy rzuca się kamyki do cysterny. Nie ma owadów ani ptaków, nic takiego, a jednak widać tysiące punktów, które poruszają się na niebie, jak gdyby tam wysoko były tłumy mrówek, wołków i much. One nie latają w białym powietrzu: chodzą we wszystkich kierunkach, ożywione gorączkowym pośpiechem, jakby nie wiedziały, dokąd uciekać. Są to może twarze tych wszystkich ludzi, którzy mieszkają w miastach tak wielkich, że nigdy nie można ich opuścić, tam, gdzie jest tyle samochodów, tylu ludzi i gdzie nigdy nie zobaczy się dwa razy tego samego oblicza. O tym opowiada stary Naman, który wymawia również obce nazwy – Algeciras, Madryt, Marsylia, Lyon, Paryż, Genewa.

Lalla nie zawsze widzi te twarze. Tylko w niektóre dni, kiedy wiatr wieje i przepędza chmury w stronę gór i kiedy powietrze jest bardzo białe i drży od słonecznego światła: wtedy można ich zobaczyć, to ludzie-owady, poruszają się, chodzą, biegają i tańczą, tam wysoko, ledwie widoczni, jak bardzo małe muszki.

Później morze znowu ją wzywa. Lalla biegnie przez zarośla aż do szarych wydm. Wydmy są jak leżące krowy z pochylonym czołem, wygiętym grzbietem, Lalla lubi wdrapywać się im na grzbiet, rękoma i nogami tworząc drogę tylko dla siebie, i turlać się zwinięta w kłębek na drugą stronę, w kierunku piasku plaży. Ocean rozpryskuje się na twardym brzegu z głośnym trzaskiem, później cofa się i piana topnieje w słońcu. Jest tutaj tyle światła i hałasu, że Lalla musi zamknąć usta i oczy. Sól morska pali jej wargi i powieki, a wiatr uderza porywami i zatrzymuje oddech w gardle. Ale Lalla lubi być blisko morza. Wchodzi do wody, fale uderzają o jej nogi i brzuch, przyklejają niebieską koszulę do skóry. Czuje, jak stopy zagłębiają się w piasku niczym dwa słupy. Ale nie odważa się iść dalej, ponieważ morze od czasu do czasu porywa dzieci, właśnie tak, prawie przypadkiem, a później wyrzuca je po dwóch dniach na twarde piasek plaży, z twarzą i brzuchem opuchniętymi od wody, z nosem, wargami, czubkami palców i narządami płciowymi zjedzonymi przez kraby. Lalla idzie po piasku wzdłuż piany. Zmoczona aż do piersi sukienka schnie na wietrze. Czarne włosy wiatr splątał z jednej tylko strony, a twarz w świetle słońca ma kolor miedzi.

Z rzadka widać wyrzucone na piasek meduzy z włókienkami rozrzuconymi wokół jak czupryna. Lalla patrzy na zagłębienia, jakie powstają w piasku za każdym razem, kiedy fala

się cofa. Goni również maleńkie szare kraby, które umykają bokiem, lekkie, podobne do pajaków, z uniesionymi szczypcami, i to ją bardzo śmieszy. Ale nie próbuje ich schwytać, jak robią inne dzieci; pozwala im schronić się w morzu, zniknąć w oslepiającej pianie.

Lalla idzie ciągle wzdłuż wybrzeża, podśpiewując nieustannie:

– *Mediterra-ne-e-e...*

Później siada u stóp wydm przed plażą z ramionami wokół kolan, z twarzą ukrytą w fałdach niebieskiej koszuli, żeby nie wdychać piasku, który rzuca na nią wiatr.

Zawsze siada w tym samym miejscu, tam gdzie zgniły drewniany słup wynurza się z wody pośród fal, gdzie między wydmami w kamieniach rośnie wielki figowiec. Czeka na Namana, rybaka.

Naman rybak nie jest taki jak inni. To mężczyzna dosyć wysoki, chudy, o szerokich ramionach, z kościstą twarzą, o skórze koloru cegły. Chodzi zawsze boso, ubrany w niebieskie spodnie i białą, za dużą dla niego koszulę, która powiewa na wietrze. Ale i tak Lalla uważa go za pięknego i bardzo eleganckiego i serce jej zawsze trochę mocniej bije, kiedy wie, że on przyjdzie. Jego twarz o wyraźnych rysach jest stwardniała od wiatru morskiego, skóra na czole i policzkach naciągnięta i poczerniała od morskiego słońca. Gęste włosy Namana mają kolor jego skóry. Lecz przede wszystkim oczy rybaka są niezwyklej barwy, niebieskozielonej, zmieszanej z szarym, bardzo jasne i przezroczyste w brązowej twarzy, jakby zachowały jasność i przejrzystość morza. Po to właśnie, by zobaczyć jego oczy, Lalla lubi czekać na plaży, blisko wielkiego figowca, a także by widzieć uśmiech, kiedy Naman ją dostrzeże.

Czeka nań długo, siedząc na drobnym piasku wydm w cieniu drzewa. Podśpiewuje trochę z głową schowaną w ramiona, aby nie łykać zbyt wiele piasku. Śpiewa słowo, które bardzo lubi, które jest długie i piękne:

– *Mediterra-ne-e...*

Czeka, patrząc na morze, które staje się złe, szaroniebieskie jak stal, a biała mgła skrywa linię horyzontu. Czasami wydaje się jej, że widzi czarny punkt tańczący pośrodku błysków między grzbietami fal, i unosi się nieco, ponieważ sądzi, że to przypływa barka Namana.

Ale czarny punkt znika. To tylko przywidzenie albo grzbiet delfina.

Naman opowiadał jej o delfinach. Opowiadał o czarnogrzbietych stadach, które skaczą pośród fal przed dziobem statków, wesoło, jakby witając rybaków, a później oddalają się nagle, znikają na horyzoncie. Naman bardzo lubi opowiadać Lalli historie o delfinach. Kiedy mówi, światło morza mocniej łśni w jego oczach i wtedy Lalla jakby widziała czarne zwierzęta poprzez kolor tęczy. Ale na próżno wpatruje się w morze z całej siły. Z pewnością nie lubią one zbliżać się do brzegów.

Naman opowiedział historię delfina, który przyprowadził aż do lądu statek pewnego rybaka, kiedy ten zagubił się na morzu w czasie burzy. Chmury opadły nad samą wodę i pokryły ją niczym zasłona, a straszliwy wiatr złamał maszt statku. Wtedy burza porwała statek rybaka bardzo daleko, tak daleko, że nie wiedział już, gdzie brzeg. Statek dryfował przez dwa dni pośród fal, które groziły, że go wywrócą. Rybak myślał, że jest zgubiony, i modlił się, kiedy między falami ukazał się nagle wielki delfin. Skakał wokół statku, bawił się w falach, tak jak to zwykle delfiny. Ale był sam. Później zaczął prowadzić statek. Niepojęte, ale tak właśnie uczynił; płynął za statkiem i popychał go przed sobą. Kilka razy delfin oddalał się i znikał w falach, a rybak myślał, że odpłynął na dobre. Później jednak wracał i zaczynał pchać statek czołem, uderzając w morze potężnym ogonem. W ten sposób płynął przez cały dzień i noc, a kiedy rozsunęły się chmury, rybak zauważył światła brzegu. Wołał i płakał z radości, ponieważ wiedział, że jest uratowany. Kiedy statek dotarł blisko portu, delfin zrobił półobrót i wrócił w stronę pełnego morza, a rybak patrzył, jak jego wielki, czarny grzbiet oddala się, połyskując w świetle zmierzchu.

Lalla bardzo lubi tę historię. Często przychodzi nad morze, żeby zobaczyć wielkiego, czarnego delfina, ale Naman powiedział, że wszystko to zdarzyło się bardzo dawno i delfin musi być dzisiaj już bardzo stary.

Lalla czeka jak co rano, siedząc w cieniu wielkiego figowca. Patrzy na morze szare i niebieskie, po którym biegną ostre grzbiety fal. Fale padają na plażę, jakby zakolem, najpierw uderzają na wschodzie, po stronie skalistego przylądka, później na zachodzie, gdzie rzeka, wreszcie środkiem. Wiatr podrywa się, chwyta strzępy piany i rzuca je daleko ku wydmom; piana miesza się z piaskiem i kurzem.

Kiedy słońce jest wysoko na bezchmurnym niebie, Lalla wraca do Cité, niespiesznie, ponieważ wie, że po powrocie będzie zajęta. Musi przynieść wody ze studni, niosąc wielki zardzewiały pojemnik na głowie, a później uprać bieliznę w rzece – ale to jest raczej przyjemne, ponieważ może rozmawiać z innymi i słuchać, jak opowiadają różne niewiarygodne historie, szczególnie ta dziewczyna, która nazywa się Ikikr, co znaczy „ziarno grochu” po berberyjsku, z powodu brodawki, jaką ma na policzku. Ale są dwie rzeczy, których Lalla nie lubi wcale: nie lubi zbierać gałązek na ogień i mleć zboża na mąkę.

Tak więc wraca bardzo powoli, powłócząc nieco nogami po ścieżce. Teraz już nie śpiewa, bo jest to pora, kiedy na wydmach spotyka się ludzi, chłopców, którzy zdejmują sidła na ptaki, albo mężczyźni idących do pracy. Czasami chłopcy wyśmiewają się z Lalli, ponieważ nie bardzo umie chodzić boso i nie zna brzydkich słów. Ale Lalla słyszy z daleka, jak nadchodzą. Wtedy chowa się za krzakiem cierni blisko wydmy, i czeka, aż odejdą. Jest również ta kobieta, której się boi. Niestara, ale bardzo brudna, ze splątanymi czarnymi i czerwonymi włosami, w ubraniu podartym przez ciernie. Kiedy pojawia się na drodze wśród wydm, trzeba uważać, bo potrafi być zła i nie lubi dzieci. Ludzie nazywają ją Aisza Kondisza, bo nikt nie zna jej prawdziwego imienia.

Mówią, że porywa dzieci, żeby je skrzywdzić. Kiedy Lalla słyszy, że jest na drodze, ukrywa się za krzakiem i wstrzymuje oddech. Aisza Kondisza przechodzi, mrucząc niezrozumiałe zdania. Staje na chwilę, unosi głowę, ponieważ wyczuła kogoś. Ale jest prawie ślepa i nie może Lalli zobaczyć. Odchodzi więc, kulejąc, i rzuca przekleństwa swym niedobrym głosem.

W niektóre poranki pojawia się na niebie coś, co Lalla bardzo lubi: wielka biała chmura, długa, rozciągnięta, przecinająca niebo w miejscu, gdzie nie ma już błękitu. Na końcu białej smugi widać małe, srebrny krzyżyk, który posuwa się powoli, tak wysoko, że ledwie go widać. Lalla z głową odrzuconą do tyłu długo patrzy na małe punkt sunący po niebie. Lubi patrzeć, jak przesuwa się po wielkim błękitnym niebie bezdźwięcznie, zostawiając za sobą tę długą, białą chmurę, złożoną z małych, jak z waty kulek, które mieszają się i poszerzają niczym droga; później wiatr dmucha na chmurę i zmywa niebo. Lalla myśli, że chciałaby lecieć tam wysoko w małym, srebrnym krzyżku ponad morzem, ponad wydmami, ot tak, aż do najdalszych ziem. Długo jeszcze patrzy na niebo, kiedy samolot już zniknął.

Cité widać na zakręcie drogi, kiedy już odejdzie się od morza, zmierzając przez pół godziny w stronę rzeki. Lalla nie wie, czemu to miejsce nazwano Cité, bo na początku było tu tylko jakieś dziesięć domków z desek i smołowanego papieru po drugiej stronie rzeki oraz nieużytki oddzielające je od prawdziwego miasta. Może dano taką nazwę, by ludzie zapomnieli, że mieszkają razem z psami i szczurami pośród kurzu.

To tutaj zamieszkała Lalla, kiedy zmarła jej matka, tak dawno temu, że nie bardzo już pamięta czasy, w których tu przyjechała. Panował upał, ponieważ było lato i wiatr unosił chmury kurzu nad domkami z desek. Szła z zamkniętymi oczami za ciotką aż do szopy bez okien, w której mieszkali jej synowie. Wtedy miała ochotę pójść drogą prowadzącą w stronę wielkich gór i nigdy nie wrócić.

Za każdym razem, kiedy Lalla wraca z wydm i widzi blaszane dachy, ścisną jej się serce i przypomina dzień, w którym przybyła do Cité po raz pierwszy. Ale to teraz takie już odległe,

zupełnie jakby wszystko, co przeżyła przedtem, nie zdarzyło się naprawdę, ale było historią przez kogoś opowiedzianą.

Zupełnie jak jej narodziny w górach południa, tam gdzie zaczyna się pustynia. Czasami zimą, kiedy nie ma nic do roboty na dworze i kiedy wiatr mocno wieje nad równiną kurzu i soli i gwizdże między niedokładnie złączonymi deskami domu Aammy, Lalla siada na ziemi i słucha opowieści o swoich narodzinach.

To historia bardzo długa i dziwna i Aamma nie zawsze opowiada ją tak samo. Swoim nieco śpiewnym głosem, kołysząc głową, jakby miała zasnąć, mówi:

– Było to tuż przed latem, przed suszą. Nadszedł ów dzień, gdy miałaś się urodzić. Hawa poczuła, że przyjdiesz wkrótce na świat, a ponieważ wszyscy jeszcze spali, wyszła po cichu z namiotu. Ścisnęła tylko brzuch bielizną i jak mogła, tak szła do miejsca, w którym było drzewo i źródło, ponieważ wiedziała, że kiedy ukaże się słońce, będzie potrzebowała cienia i wody. To tamtejszy zwyczaj, trzeba rodzić przy źródle. Tak więc poszła aż tam, a później położyła się przy drzewie i czekała końca nocy. Nikt nie wiedział, że twojej matki nie ma w namiocie. Umiała chodzić bardzo cicho, tak że nawet psy nie szczekały. Chociaż spałam przy niej, nie słyszałam, żeby się skarżyła, ani kiedy wstała, żeby wyjść z namiotu...

– A później co się wydarzyło, Aammo?

– Później ty się urodziłaś, tak po prostu na ziemi pośród korzeni drzewa i umyło cię w wodzie ze źródła, i owinięto w płaszcz, ponieważ było jeszcze zimno po nocy. Słońce wstało i twoja matka wróciła spać do namiotu. Pamiętam, że zabrakło bielizny do zawinięcia ciebie i spałaś w niebieskim płaszczu matki. Twoja matka była zadowolona, bo urodziłaś się bardzo szybko, ale i smutna, bo myślała o tym, że z powodu śmierci twego ojca nie wystarczy jej pieniędzy, by cię wychować, i bała się, że będzie zmuszona oddać cię komuś innemu.

Czasami Aamma opowiada tę historię inaczej, jakby już nie bardzo ją pamiętała. Mówi na przykład, że Hawa nie trzymała się gałęzi drzewa, ale lin od studni i że ciągnęła je ze wszystkich sił, by wytrzymać bóle. Albo też mówi, że dziecko odebrał przechodzący pasterz i owinał je w swój wełniany płaszcz. Ale wszystko to jest w mroku jakiejś tajemniczej mgły, jakby wydarzyło się w innym świecie, po drugiej stronie pustyni, tam gdzie jest inne niebo, inne słońce.

Po kilku dniach twoja matka mogła po raz pierwszy iść do studni, żeby umyć się i uczesać włosy. Niosła cię zawiniętą w ten sam niebieski płaszcz, który zawiązała wokół talii. Szła pomału, ponieważ nie była jeszcze tak silna jak przedtem, ale za to bardzo szczęśliwa, że się urodziłaś, i kiedy zapytano ją o twoje imię, powiedziała, że nazywasz się tak jak ona, Lalla Hawa, ponieważ jesteś córką czerify.

– Proszę cię, opowiedz mi o tym, którego nazywali Al Azrak, Błękitny Człowiek.

Ale Aamma potrząsa głową.

– Nie teraz, kiedy indziej.

– Proszę, Aammo, opowiedz mi o nim.

Ale Aamma potrząsa głową w milczeniu. Wstaje i idzie wyrabiać chleb w dużym glinianym naczyniu blisko drzwi. Aamma jest właśnie taka; nigdy nie chce mówić długo i nigdy nie mówi zbyt wiele, kiedy chodzi o Błękitnego Człowieka lub Mulaja Ahmeda ben Mohammeda el Fadel, tego, którego nazywano Ma el Ainin, Woda Oczu.

W Cité dziwne jest to, że wszyscy są bardzo biedni, ale nikt się nie skarży. Cité to przede wszystkim wiele szop z desek i cynku z ogromnymi połączeniami smołowanego papieru, przytrzymywanego kamieniami, zamiast dachów. Kiedy wiatr zbyt silnie wieje nad doliną, słychać, jak stukają wszystkie deski, dźwięczą kawałki cynku i trzeszczy papa darta porywami wiatru. Stwarza to dziwną muzykę, która kołysze i skrzypi, jakby się jechało wielkim, rozklekotanym autobusem po bitej drodze albo jakby mnóstwo szczurów i innych zwierząt galopowało po dachach i uliczkach.

Czasami burza jest bardzo silna i zmiata wszystko. Nazajutrz trzeba miasto odbudowywać. Ale ludzie robią to ze śmiechem, ponieważ są tak biedni, że nie boją się utracić tego, co mają. A może cieszą się i dlatego, że po burzy niebo nad nimi jest jeszcze większe, bardziej niebieskie, a światło piękniejsze. W każdym razie wokół Cité nie ma niczego prócz bardzo płaskiej ziemi, wiatru niosącego pył i morza tak wielkiego, że nie daje się zobaczyć go w całości.

Lalla bardzo lubi oglądać niebo. Idzie często w stronę wydmy, tam gdzie piaszczysta droga prowadzi prosto przed siebie. Kładzie się na plecach pośród piasków i ostów z rozkrzyżowanymi ramionami. Wtedy niebo otwiera się nad jej gładką twarzą, błyszczący niczym lustro, spokojne, bardzo spokojne, bez chmur, bez ptaków, bez samolotów.

Lalla szeroko otwiera oczy, pozwala, by niebo w nią weszło. Daje to wrażenie kołysania, jakby była na statku albo jakby zbyt dużo paliła i czuła zawrót głowy, To z powodu słońca. Parzy mimo zimnego morskiego wiatru, grzeje tak mocno, że jego ciepło przenika ciało dziewczynki, wypełnia brzuch, płuca, ramiona i nogi. To również boli, bolą oczy i głowa, ale Lalla trwa w bezruchu, ponieważ bardzo lubi słońce i niebo.

Kiedy leży tak wyciągnięta na piasku z dala od innych dzieci, z dala od Cité – miasteczka pełnego hałasu i zapachów, i kiedy niebo jest bardzo błękitne, jak dzisiaj. Lalla może myśleć o tym, co lubi. Myśli o tym, którego nazywają Es Ser, Tajemnica, o tym, którego spojrzenie jest jak światło słońca – otacza i chroni. Tutaj w Cité nikt go nie zna, ale czasami, kiedy niebo jest bardzo piękne i kiedy światło jaśnieje nad morzem i wydmy, wtedy imię Es Ser pojawia się jakby wszędzie, wszędzie rozbrzmiewa, nawet w jej wnętrzu. Lalli wydaje się, że słyszy jego głos, słyszy cichy dźwięk jego kroków, czuje na skórze twarzy ogień spojrzenia, które widzi wszystko, wszystko dostrzega. Jest to spojrzenie przychodzące z drugiej strony gór, spoza Dra, z głębi pustyni, spojrzenie lśniące jak światło, które nie może zgasnąć.

Nikt nic o nim nie wie. Kiedy Lalla mówi o Es Serze, Naman potrząsa głową, bo nigdy nie słyszał jego imienia i nigdy o nim nie opowiada w swoich historiach. A przecież jest to z pewnością imię prawdziwe, myśli Lalla, ponieważ właśnie o takim imieniu słyszała. Ale może to był tylko sen. Nawet Aamma nic o nim nie wie. A przecież jest ono piękne, myśli Lalla, sprawia, że jest ci dobrze, kiedy je słyszysz.

Aby usłyszeć to imię, aby dostrzec światło spojrzenia, Lalla idzie daleko między wydmy, tam gdzie jest już tylko morze, piasek i niebo. Bo Es Ser nie pozwala usłyszeć swego imienia i nie może obdarzyć Lalli ciepłem spojrzenia, kiedy dziewczynka przebywa w Cité z desek i papy. Jest człowiekiem, który nie lubi hałasu i zapachów. Musi być sam na wietrze, samotny jak ptak zawieszony na niebie.

Ludzie nie wiedzą, dlaczego ona odchodzi. Może myślą, że idzie do domków pasterzy na drugą stronę kamienistych wzgórz. Nic nie mówią.

Ludzie czekają. Tu, w Cité, tak naprawdę nic innego nie robią. Zamieszkali tutaj, niezbyt daleko od brzegu morza, w swoich domkach z desek i cynku, nieruchomi leżą w gęstym cieniu. Kiedy nad kamykami i kurzem wstaje dzień, wychodzą, jakby przez chwilę miało się coś wydarzyć. Trochę rozmawiają, dziewczyny idą do studni, chłopcy do pracy w polu albo włóczyć się ulicami prawdziwego miasta po drugiej stronie rzeki lub usiąść na skraju drogi, by patrzeć na jadące ciężarówki.

Co ranka Lalla przemierza Cité. 2 wiadrami zdąża po wodę do studni. Idąc, słucha muzyki ze wszystkich odbiorników. To ciągle ta sama, niekończąca się piosenka egipska krąży od domu do domu uliczkami Cité. Lalla bardzo lubi słuchać tej muzyki, która jęczy i rytmicznie zawodzi, mieszając się z odgłosem kroków dziewcząt i hałasem wody przy fontannie. Kiedy przychodzi do studni, czeka na swoją kolej, kołysząc cynkowym wiadrem w rękę. Patrzy na dziewczyny; niektóre są czarne jak Murzynki, na przykład Ikikr, inne bardzo białe, z zielonymi oczami, jak Mariem. Są też stare kobiety z zasłoniętymi twarzami, które przychodzą po wodę z czarnym garnkiem i szybko, w milczeniu odchodzą.

Studnia to kran z mosiądzu na końcu długiej ołowianej miry, który drży i pomrukuje za każdym razem, kiedy się go odkręca albo zakręca. Dziewczyny myją twarze i nogi pod lodowatym strumieniem, czasami polewają się z wiader, piszcząc przenikliwie. Zawsze wokół ich głów krążą osy, które wpadają w zwichrzone warkocze.

Lalla odnosi wiadro na głowie, idzie bardzo wyprostowana, żeby nie uronić ani kropli. Rankiem niebo jest ładne i jasne, jakby wszystko było zupełnie nowe. Ale kiedy słońce zbliża się do zenitu, mgła wstaje blisko horyzontu niczym kurz i niebo zaczyna ciążyć nad ziemią.

Jest takie miejsce, gdzie Lalla bardzo lubi chodzić. Trzeba iść ścieżkami, które oddalają się od morza, prowadząc na wschód, a później w górę koryta wyschniętego strumienia. Kiedy dotrze się naprzeciw kamiennych wzgórz, trzeba iść dalej po czerwonych kamieniach śladami kóz. Słońce świeci mocno na niebie, ale wiatr jest zimny, ponieważ wieje z krainy, w której nie ma drzew ani wody; to wiatr, który przychodzi z głębi przestrzeni. Właśnie tutaj żyje ten, którego Lalla nazywa Es Ser, Tajemnica, ponieważ nikt nie zna jego imienia. A więc Lalla staje przed wielkim płaskowyżem z białego kamienia, który rozciąga się aż po kres horyzontu, aż do nieba. Światło oślepia, zimny wiatr sieka wargi i wyciska z oczu łzy. Lalla patrzy ze wszystkich sił, aż serce jej bije mocno i głośno w gardle i skroniach, aż czerwona zasłona zakrywa niebo, aż słyszy w uszach nieznane głosy, które mówią i szepczą wszystkie naraz.

Później idzie środkiem kamiennego płaskowyżu, tam gdzie żyją tylko skorpiony i węże. Tam nie ma już drogi. Są jedynie pokruszone bloki ostre jak noże, w których iskrzy się światło. Nie ma drzew ani trawy, tylko wiatr, który przychodzi ze środka przestrzeni. To tam przybywa czasami na jej spotkanie ten człowiek. Lalla nie wie, kim on jest ani skąd przychodzi. Czasem napawa ją strachem, a kiedy indziej wydaje się łagodny i spokojny, pełen niebiańskiego piękna. Widzi tylko jego oczy, ponieważ twarz zasiania mu błękitne płótno, tak jasne jak u wojowników pustyni. Nosi obszerny biały płaszcz, który iskrzy się niczym sól w słońcu. Oczy w cieniu niebieskiego turbanu płoną dziwnym i ciemnym ogniem, a Lalla czuje ciepło spojrzenia, które dotyka jej twarzy i ciała jak ciepło pochodzące od żaru.

Ale Es Ser nie zawsze przychodzi. Człowiek pustyni zjawia się tylko wtedy, kiedy Lalla bardzo pragnie go ujrzeć, kiedy naprawdę go potrzebuje, tak bardzo, jak bardzo potrzebuje mówić i płakać. Ale nawet wtedy, kiedy on nie przychodzi, coś z niego mimo wszystko pozostaje na kamiennym płaskowyżu, może jego palące spojrzenie, które oświetla krajobraz od krańca do krańca horyzontu? Wtedy Lalla może iść środkiem obszaru pokruszonych kamieni, nie zważając, dokąd idzie, nie szukając. Napotyka skały z dziwnymi znakami, których nie rozumie, krzyże, kropki, plamy w kształcie słońca i księżyca, strzały wyrte w kamieniu. Może to znaki magii; tak właśnie mówią chłopcy z Cité i dlatego nie lubią przychodzić na biały płaskowyż. Ale Lalla nie boi się znaków ani samotności. Wie, że błękitny człowiek pustyni chroni ją swym spojrzeniem, i nie obawia się już ciszy ani pustki wiatru. Jest to miejsce, w którym nie ma nikogo, zupełnie nikogo. Jest jedynie błękitny człowiek pustyni, który w milczeniu patrzy na nią nieustannie. Lalla nie bardzo wie, czego on chce, o co prosi. Potrzebuje go i on przychodzi w ciszy ze swym spojrzeniem pełnym mocy. Jest szczęśliwa, kiedy znajduje się na kamiennym płaskowyżu w świetle jego spojrzenia. Wie, że nie powinna o tym mówić nikomu, nawet Aammie, bo to tajemnica, najważniejsza rzecz, jaka jej się przydarzyła. Jest to tajemnica również dlatego, że jedna Lalla nie obawia się, mimo ciszy i pustki wiatru, przychodzić często na kamienny płaskowyż. Może tylko pasterz *szleh*, ten, którego nazywają Hartani, również zjawia się czasem na płaskowyżu, ale tylko wtedy, kiedy jedna z kóz zabłądzi, biegnąc wzdłuż wąwozów. On również nie boi się znaków na kamieniach. Jednak Lalla nigdy nie ośmieliła się powiedzieć mu o swojej tajemnicy.

Właśnie to imię Lalla nadaje człowiekowi, który ukazuje się czasami na kamiennym płaskowyżu. Es Ser, Tajemnica, bowiem nikt nie może znać jego imienia.

On nie mówi. To znaczy, nie mówi tym samym językiem co ludzie. Ale Lalla słyszy jego głos, w swoim własnym języku opowiada on o rzeczach bardzo pięknych, które wnoszą niepokój do wnętrza jej ciała i przyprawiają o dreszcze. Może przemawia razem z cichym powiewem wiatru, który nadchodzi z głębi przestrzeni, albo ciszą między jego podmuchami. Może mówi słowami światła, które wybuchają snopami iskier na ostrzu kamieni, słowami piasku, słowami kamyków, które kruszą się na twarde proszek, a także mową skorpionów i węży, które zostawiają delikatne ślady w kurzu. Umie posługiwać się tymi wszystkimi słowami, a jego spojrzenie przeskakuje z kamienia na kamień, żywe jak zwierzę, jednym ruchem sięga horyzontu, wznosi się prosto ku niebu, szybuje wyżej od ptaków.

Lalla lubi przychodzić na płaskowyż z białego kamienia, aby słuchać tych tajemnych słów. Nie zna tego, którego nazywa Es Ser, nie wie, kim on jest ani skąd przychodzi, ale lubi spotykać go w tym miejscu, ponieważ niesie on w sobie, w swoim spojrzeniu i mowie ciepło krainy wydmy i piasku, południa, ziemi bez drzew i wody.

Nawet jeśli Es Ser nie przychodzi, Lalla jak gdyby patrzy jego spojrzeniem. Trudno to pojąć, ponieważ niczym we śnie Lalla jakby przestaje być sobą, porwana do świata, który rozciąga się po drugiej stronie spojrzenia błękitnego człowieka.

Wtedy ukazują się rzeczy piękne i tajemnicze, rzeczy, których nigdzie indziej nie widziała, które ją wprawiają w zakłopotanie i niepokój. Widzi przestrzeń piasku koloru złota i siarki, ogromną, podobną do morza z wielkimi nieruchomymi falami. Na tej piaszczystej przestrzeni nie ma nikogo, ani jednego drzewa, ani jednej trawy, tylko cienie wydmy, które wydłużają się, dotykają siebie, a o zmierzchu tworzą jeziora. Tak jak tutaj Lalla jest jednocześnie tu i dalej, tam gdzie jej wzrok zatrzymuje się przez przypadek, później gdzie indziej jeszcze, tuż przy granicy między niebem a ziemią. Wydmy poruszają się pod jej spojrzeniem, wolno rozsuwając swe piaszczyste palce. Widać płynące w miejscu strumyki złota na dnie gorących dolin. Widać twarde, maleńkie fale spieczone przez straszliwy upał i wielkie, białe plaże o doskonałych lukach, nieruchome przed morzem czerwonego piasku. Światło błyszczy jak złoto. Światło sływa ze wszystkich stron jednocześnie, światło nieba, ziemi i słońca. Niebo jest bezkresne. Nic prócz suchej mgiełki falującej blisko horyzontu, która załamuje odbłaski, tańczącej jak świetliste trawy, i pyłu różowego i w kolorze ochry, który drży na zimnym wietrze i wznosi się ku środkowi nieba.

Wszystko to jest dziwne i odległe, a jednak wydaje się bliskie. Lalla widzi przed sobą, jakby nie swoimi oczami, wielką pustynię, w której jaśnieje światło. Czuje na skórze powiew południowego wiatru, wzbijający chmury piasku, czuje pod bosymi stopami palące wydmy. Czuje przede wszystkim ponad sobą bezmiar pustego nieba, nieba bez cienia, na którym świeci słońce.

Wtedy na dłuższy czas przestaje być sobą; staje się kimś innym, dalekim, zapomnianym. Widzi inne kształty, sylwetki dzieci, mężczyzn, kobiet, wielbłądów, stada kóz; widzi kształt miasta, pałac z kamienia i gliny, obwarowania z błota, z których wychodzą grupy wojowników. Widzi, ponieważ to nie sen, ale wspomnienie jakiejś innej pamięci, w którą weszła, nie wiedząc o tym. Słyszy gwar męskich głosów, śpiewy kobiet, muzykę i może nawet sama tańczy, obracając się w kółko, uderzając w ziemię czubkiem bosych stóp i piętami, dzwicząc miedzianymi bransoletkami i ciężkimi naszyjnikami. Później nagle, jak za powiewem wiatru, wszystko się oddala. To po prostu opuszcza ją spojrzenie Es Sera, odwraca się od płaskowyżu z białych kamieni. Wtedy Lalla odnajduje własne spojrzenie i na nowo czuje swoje serce, płuca, swoją skórę. Dostrzega każdy szczegół, każdy kamień, każdą szczelinę, każdy maleńki rysunek w kurzu.

Wraca. Schodzi w stronę koryta wyschniętego strumienia, uważając na ostre kamienie i kolczaste zarośla.

Kiedy dociera na dół, jest bardzo zmęczona światłem, pustką wiatru, który nigdy nie ustaje. Powoli idzie piaszczystymi drogami aż do Cité, gdzie cienie mężczyzn i kobiet

poruszają się jeszcze. Idzie aż do studni, zanurza twarz i ręce, klęczy, jakby powracała z dalekiej podróży.

Miłe są również osy wszechobecne w mieście, żółte, prążkowane na czarno, z przezroczystymi skrzydełkami. Wszędzie ciężko latają, nie zajmują się ludźmi. Szukają pożywienia. Lalla bardzo je lubi i patrzy często, jak wiszą w promieniach słońca nad stosem odpadków albo nad mięsem u rzeźnika. Czasami, kiedy je pomarańcze, zbliżają się do niej; próbują usiąść na jej twarzy, na rękach. Niekiedy również któraś z nich użądli ją w szyję albo w ramię i ukłucie piecze przez wiele godzin. Ale to nic. Lalla i tak lubi osy, mimo wszystko.

Muchy nie są tak miłe. Przede wszystkim nie mają długiego, żółtego i czarnego tułowia ani tak cienkiej talii, kiedy siadają na brzegu stołu. Muchy latają szybko, siadają od razu, zupełnie płaskie, z wielkimi, wystraszonymi, szaro-czerwonymi oczami na głowie.

W Cité jest zawsze dużo dymu, który unosi się nad domkami z desek wzdłuż uliczek z ubitej ziemi. Widać kobiety gotujące posiłki na *brasero*, ogniska, w których płoną śmiecie, ogniska dla rozgrzania smoły, używanej do nasączania dachów.

Kiedy Lalla ma wolny czas, lubi przystawać i patrzeć na ogień. Albo iść w stronę wyschniętych strumieni, żeby nazbierać gałęzi akacji; wiąże je później sznurkiem i odnosi wiązkę do domu Aammy. Płomienie skaczą wesoło, trzaskają ich łodygi i kolce, skwierczy sok. Płomienie tańczą w zimnym powietrzu poranka, wygrywając piękną muzykę. Kiedy spogląda się w sam środek płomieni, można zobaczyć opiekuńcze duchy, w każdym razie tak powiedziała Aamma. Można również ujrzeć krajobrazy, miasta, rzeki, wszystkie te niezwykle rzeczy, które ukazują się i giną, trochę jak chmury.

Później nadlatują osy, ponieważ poczuły zapach baraniego mięsa gotowanego w żelaznym kociołku. Dzieci boją się os, chcą je odpędzić kamykami albo zabić. Ale Lalla pozwala, by krążyły wokół jej włosów, próbuje zrozumieć, o czym śpiewają, brzęcząc skrzydełkami.

Kiedy nadchodzi godzina posiłku, słońce jest wysoko na niebie. Grzeje mocno. Biel jest tak biała, że nie można na nią patrzeć, a cienie tak czarne, że wyglądają jak dziury w ziemi. Wtedy pierwsi przychodzą synowie Aammy. Jest ich dwóch, jeden czternastoletni, imieniem Ali, drugi siedemnastoletni, zwany Bareki, ponieważ pobłogosławiono go w dniu, gdy się urodził. To ich najpierw obsługuje Aamma, jedzą szybko, żarłocznie, bez słowa. Zawsze przy jedzeniu zewnętrzną stroną dłoni odganiają osy. Później przychodzi mąż Aammy, który pracuje na plantacji pomidorów na południu. Nazywa się Selim, ale mówią na niego Susi, ponieważ pochodzi z okolic nad rzeką Sus. Jest malutki i chudy, ma ładne zielone oczy i Lalla go lubi, chociaż wszędzie mówią, że jest leniwy. Ale on nie zabija os, przeciwnie, bierze je między palec wskazujący a kciuk i bawi się, wyjmując im żądło, później kładzie je delikatnie na ziemi i pozwala, by odleciały. Zawsze znajdują się ludzie, którzy skądś przychodzą i Aamma odkłada dla nich kawałek mięsa. Czasami jest to Naman, rybak, przychodzący pożywić się w domu Aammy. Lalla zawsze bardzo się cieszy, kiedy wie, że on ma przyjść, bo Naman również ją lubi i opowiada piękne historie. Je powoli i od czasu do czasu mówi coś zabawnego. Nazywa ją małą Lallą, ponieważ wie, że jest potomkinią prawdziwej czerify. Kiedy Lalla patrzy w jego oczy, ma wrażenie, że widzi kolor morza, że przepływa przez ocean, że znajduje się po drugiej stronie horyzontu, w tych wielkich miastach, w których są białe domy, ogrody, fontanny. Lalla bardzo lubi wsłuchiwać się w nazwy miast i często prosi Namana, by je wymawiał, ot tak po prostu, same nazwy, powoli, aby miała czas wyobrazić sobie rzeczy, jakie ukrywają się pod tymi nazwami:

– Algeciras, Sewilla, Madryt.

Chłopcy Aammy chcą o nich wiedzieć więcej. Czekają, aż stary Naman skończy jeść, i zadają różne pytania na temat życia po drugiej stronie morza. Chcą dowiedzieć się poważnych rzeczy, a nie tylko poznać same nazwy, przy których można marzyć. Pytają Namana, ile pieniędzy można tam zarobić, pytają o pracę, o ceny ubrań, żywności, pytają, ile kosztuje samochód, czy dużo jest kin. Naman jest za stary, nie wie tego, a może zapomniał,

życie musiało się zmienić od czasu, kiedy tam mieszkał przed wojną. Więc chłopcy wzruszają ramionami, ale milczą, bo Naman ma brata, który został w Marsylii i pewnego dnia może się przydać.

Bywają dni, że Naman ma ochotę mówić o tym, co widział, i opowiada to właśnie Lalli, bo ją najbardziej lubi, a ona nie stawia pytań. Nawet jeśli to wszystko niezupełnie jest prawdą, Lalla lubi, jak Naman snuje opowieści. Słucha uważnie, kiedy mówi o wielkich, białych miastach na brzegu morza, z palmowymi alejami, z ogrodami sięgającymi szczytów wzgórz, pełnymi kwiatów, drzewek pomarańczowych, krzaków granatu, z wieżami tak wysokimi jak góry, z alejami tak długimi, że nie można dostrzec końca. Lubi również, kiedy Naman opowiada o czarnych autach, które jadą powoli, zwłaszcza nocą, z zapalonymi reflektorami i o różnokolorowych światłach na wystawach sklepów. Albo jeszcze o wielkich białych statkach, które przybijają wieczorem do Algeciras, suną powoli wzdłuż mokrych nabrzeży, podczas kiedy tłum krzyczy, gestykuluje i wita tych, co przybywają. Albo o kolei, która prowadzi na północ od miasta do miasta, przemierza mgliste wsie, rzeki, góry, z pasażerami i bagażami wchodzi w długie, ciemne tunele aż do wielkiego miasta Paryża. Lalla słucha wszystkiego i drży trochę z niepokoju, a jednocześnie myśli, że bardzo chciałaby być w takim pociągu jadącym od miasta do miasta ku nieznanym miejscom, ku krainom, gdzie już nikt nie wie, co to kurz i wygłodniałe psy ani domy z desek, do których wdziera się pustynny wiatr.

– Zabierz mnie tam, kiedy odjedziesz – prosi Lalla.

Stary Naman potrząsa głową.

– Teraz jestem zbyt stary, mała Lallo, teraz już nie pojedę, umarłbym w drodze. – I żeby pocieszyć ją, dodaje: – Ale ty, ty pojedziesz. Zobaczysz wszystkie te miasta, a później wrócisz tu, jak ja.

Ona zadawała się patrzyeniem w oczy Namana, żeby widzieć to, co on widział, jak gdyby spoglądała w głąb morza. Rozpamiętuje długo piękne nazwy miast i śpiewa je w myśli, jakby były to słowa piosenki. Czasami Aamma prosi, by opowiadał o tych obcych krajach. Teraz jeszcze mówi o swojej podróży przez Hiszpanię, o granicy, a później o drodze nad brzegiem morza i o wielkim mieście Marsylii. O domach, ulicach, schodach, niekończących się nabrzeżach, o dźwigach, statkach wielkich jak domy, jak miasta, z których wyładowuje się ciężarówki, wagony, kamienie, cement i które później odpływają po czarnej wodzie portu przy wyciu syreny. Dwaj chłopcy nie bardzo tego słuchają, ponieważ niezbyt wierzą staremu Namanowi. Kiedy Naman odchodzi, mówią, że wszyscy wiedzą, iż w Marsylii był kucharzem i wyśmiewają się z niego, nazywając go Tayyeb, co znaczy: „Zajmował się kuchnią”.

Ale Aamma słucha tego, co on mówi. Nie obchodzi jej, że Naman tam był kucharzem, a tu jest rybakiem. Za każdym razem stawia inne pytanie, żeby raz jeszcze usłyszeć opowieść o podróży, granicy i życiu w Marsylii. Wtedy Naman mówi również o ulicznych bójkach, kiedy napadnięci w ciemnych ulicach Arabowie i Żydzi muszą się bronić nożem albo rzucać kamieniami i biec najszybciej jak umieją, aby uciec przed ciężarówkami policyjnymi, które zabierają ludzi i odwożą do więzienia. Mówi również o tych, co przechodzą przez granicę bezprawnie, idąc nocą przez góry, kryjąc się za dnia w grotach i chaszczach. Ale czasami policyjne psy podążają ich śladem i atakują na dole, po drugiej stronie granicy.

Naman mówi o tym ze smutną miną i Lalla czuje zimno pojawiające się w oczach starego człowieka. Jest to dziwne wrażenie, którego dobrze nie zna, ale które niesie strach i groźbę, coś jakby powiew śmierci, jak nieszczęście, a może Naman przywiózł to stamtąd, z tych miast po drugiej stronie morza. Kiedy stary Naman nie mówi o podróżach, snuje opowieści, które kiedyś słyszał. Opowiada je tylko Lalli i bardzo małym dzieciom, ponieważ tylko one słuchają, nie zadając zbyt wielu pytań.

Niekiedy siada nad morzem w cieniu figowca i naprawia sieci. Wtedy właśnie snuje najpiękniejsze historie, jakie zdarzają się na oceanie, na statkach w czasie burzy, te, w których

ludzie są rozbitkami i przybywają na nieznanne wyspy. Naman może opowiadać na każdy temat i właśnie to jest mile. Na przykład teraz Lalla siedzi obok niego w cieniu figowca i patrzy, jak Naman naprawia sieci. Jego wielkie, brązowe dłonie o połamanych paznokciach poruszają się szybko, zręcznie zawiązują węzły. W pewnym momencie widać dużą dziurę w oczkach sieci i Lalla pyta:

– Czy zrobiła to wielka ryba?

Naman zastanawia się chwilę, nim odpowie.

– Nie mówiłem ci o tym dniu, kiedy złowiliśmy rekina, prawda?

Lalla potrząsa głową i Naman zaczyna opowieść. Jak prawie w każdej jego historii, jest w niej burza z błyskawicami, które przechodzą po całym niebie. Są fale wysokie jak góry, ściany deszczu. A sieć jest ciężka, tak ciężka, że statek przechyla się na bok i ludzie boją się, że się przewróci. Kiedy sieć wynurza się na powierzchnię, widzą w niej ogromnego żarłacza, który rzuca się i otwiera paszczę pełną straszliwych zębów. Więc rybacy walczą z rekinem, który usiłuje zabrać sieć, uderzają go bosakiem, siekierą. Ale rekin gryzie burtę statku i rozdziera ją, jakby to była drewniana skrzynka. Wreszcie kapitanowi udało się zatłuc rekina drągiem i wyciągnięto zwierzę na pokład statku.

Wtedy otwarto mu brzuch, aby zobaczyć, co miał w środku, i znaleziono złoty pierścień z drogocennym kamieniem, całym czerwonym, tak pięknym, że nikt nie mógł oderwać od niego oczu. Oczywiście każdy z nas chciał pierścień dla siebie i wkrótce każdy był gotowy zabić, aby zdobyć ten przeklęty pierścień. Wtedy zaproponowałem, byśmy mimo strasznej burzy, która w każdej chwili mogła wywrócić statek, zagrali na pokładzie w kości. Było nas sześciu i graliśmy sześć razy, wygrywał ten, który wyrzucił w sumie największą liczbę. Po pierwszej kolejce zostałem tylko ja i kapitan, bo każdy z nas miał jedenaście – sześć i pięć. Wszyscy tłoczyli się wokół, żeby zobaczyć, kto wygra. Rzuciłem, i dwa razy wypadła szóstka! Tak więc ja otrzymałem pierścień i przez kilka chwil byłem tak szczęśliwy jak nigdy w życiu. Ale długo oglądałem pierścień, a jego czerwony kamień błyszczał jak piekielny ogień, złym blaskiem, czerwonym jak krew. Wtedy zauważyłem również, że oczy moich towarzyszy lśnią tym samym złym blaskiem i zrozumiałem, że pierścień jest przeklęty, tak samo jak ten, który go nosił i którego pożarł rekin, i zrozumiałem, że przeklęty będzie ten z kolei, kto go otrzyma. Kiedy dobrze mu się przyjrzałem, zdjąłem go z palca i rzuciłem w morze. Kapitan i towarzysze byli wściekli i mnie również chcieli wyrzucić za burtę. Wtedy powiedziałem im: „Dlaczego gniewacie się na mnie? To, co przyszło z morza, wróciło do morza, to tak, jakby nic się nie zdarzyło”. W tym momencie burza nagle ucichła i słońce zaświeciło. Marynarze się uspokoili, a sam kapitan, który miał taką ochotę na ten pierścień, nagle o nim zapomniał i powiedział, że dobrze zrobiłem. Tak samo zrobiliśmy z ciałem rekina, i wróciliśmy do portu naprawiać sieci.

– Myślisz, że ten pierścień naprawdę był przeklęty? pyta Lalla.

– Nie wiem, czy był przeklęty – odpowiada Naman. – Ale wiem, że gdybym nie wrzucił go do morza, tego samego dnia któryś z moich towarzyszy zabiłby mnie, żeby go ukraść, i wszyscy zginęliby w ten sam sposób, aż do ostatniego.

Historii tych Lalla bardzo lubi słuchać, siedząc obok starego rybaka naprzeciw morza w cieniu figowca, kiedy wiatr gwizdże i szeleści liśćmi. To trochę tak, jakby słyszała głos morza, i słowa Namana ciężą na powiekach i sprowadzają sen. Wtedy zwija się w kłębek na piasku z głową między korzeniami drzewa, podczas gdy rybak dalej naprawia sieć z czerwonej linki, a osy brzęczą nad kropelkami soli.

– Ohe, Hartani!

Lalla woła głośno na wietrze. Zbliży się do kamienistych i cierniowych wzgórz. Tutaj jest zawsze sporo jaszczurek, które uciekają między kamieniami, a czasem są nawet węże, które wymykają się, sycząc. Są wielkie trawy ostre jak noże i wiele karłowatych drzew palmowych,

z których liści można robić koszyki i plecionki. Wszędzie słyhać brzęczące owady, ponieważ wśród skał biją maleńkie źródelka, a w wielkich studniach ukrytych w zagłębieniach czeka zimna woda. Lalla, przechodząc, rzuca kamyki do szczelin i słucha dźwięku, który rozbrzmiewa głęboko w cieniu.

– Harta-aa-ni!

On często się chowa, żartuje z niej, wyciągnięty na ziemi u stóp kolczastego krzewu. Zawsze ma na sobie długą suknię z grubej wełny postrzępioną na rękawach i u dołu i długie białe płótno, które okręca wokół głowy i szyi. Jest wysoki i szczupły jak liana, ma piękne brązowe ręce z paznokciami w kolorze kości słoniowej i nogi jakby stworzone do biegania. Ale najbardziej Lalla lubi jego twarz, ponieważ nie przypomina nikogo z mieszkających tu, w Cité. To bardzo gładka i szczupła twarz z wypukłym czołem, prostymi brwiami i wielkimi ciemnymi oczami o metalicznym blasku. Ma krótkie, skręcone włosy, nie ma wąsów ani brody. Ale wygląda na silnego i pewnego siebie, z patrzącym wprost spojrzeniem, które przygląda się badawczo, bez obawy, a kiedy chce, umie się śmiać śmiechem dźwięcznym, od którego każdy czuje się szczęśliwy.

Dzisiaj Lalla znajduje go łatwo, ponieważ się nie ukrył. Siedzi na wielkim kamieniu i patrzy prosto przed siebie na stado kóz. Nie rusza się. Wiatr lekko unosi jego brązową suknię, porusza krańcem białego turbanu. Lalla idzie ku niemu, nie wołając, ponieważ wie, że słyszy, jak nadchodzi. Hartani ma czułe ucho, słyszy nawet, jak skacze zając po drugiej stronie wzgórza, i pokazuje Lalli samoloty na niebie, zanim ona usłyszy dźwięk silników.

Kiedy jest tuż przy nim, Hartani wstaje i odwraca się. Jego czarna twarz lśni w słońcu. Uśmiecha się i zęby również błyszczą w świetle. Choć młodszy od Lalli, jest tak wysoki jak ona. W lewej dłoni trzyma mały nóż bez rękojeści.

– Co robisz tym nożem? – pyta Lalla.

Ponieważ zmęczyła się drogą, siada na skale. On stoi przed nią na jednej nodze. Później nagle uskakuje do tyłu i zaczyna biec przez kamieniste wzgórze. Po kilku chwilach przynosi garść trzcin, które ścinał na bagnach. Z uśmiechem pokazuje je Lalli. Dyszy trochę jak pies, który biegł zbyt szybko.

– To ładne – mówi Lalla. – Czy będzie z tego muzyka?

Tak naprawdę nie pyta o to. Szepce słowa, gestykulując. Za każdym razem, kiedy mówi, Hartani stoi bez ruchu, patrzy na nią ze skupioną uwagą, ponieważ stara się ją zrozumieć.

Może Lalla jest jedyną osobą, którą rozumie i która jego rozumie. Kiedy ona mówi „muzyka”, Hartani skacze w miejscu, rozkładając długie ramiona, jakby miał zamiar tańczyć. Gwiżdże za palcach tak głośno, że kozy i kozioł podskakują na zboczu wzgórza.

Później bierze kilka ściętych trzcin, łączy je w dłoniach. Dmucha w nie, wydobywając dziwną melodię, nieco ochryplą, jak krzyk lelków w nocy, melodię trochę smutną, jak śpiew pasterzy *szleh*.

Hartani gra przez chwilę, nie oddychając. Później wyciąga trzciny do Lalli i teraz ona gra, podczas gdy młody pasterz nieruchomieje z błyskiem radości w ciemnych oczach. Tak się bawia, dmuchając na zmianę w trzcinowe tubki różnej długości, a smutna muzyka zdaje się wydostawać z krajobrazu białego od światła, z otworów w podziemnych grotach, z samego nieba, gdzie porusza się powolny wiatr.

Od czasu do czasu brak im tchu, więc przerywają, a chłopak wybucha znów dźwięcznym śmiechem i Lalla również zaczyna się śmiać, nie wiedząc czemu, później idą przez kamieniste pola i Hartani ujmuje dłoń Lalli, ponieważ pełno tu między kępami krzaków ostrych skał, których ona nie zna. Przeskakują przez małe murki z suchych kamieni, kluczą między ciemnymi zaroślami. Hartani pokazuje Lalli wszystko to, co jest na kamienistych polach i zboczach wzgórz. Zna lepiej od innych kryjówki złocistych owadów, świerszczy, modliszek.

Zna również wszystkie rośliny: te, które pachną łagodnie, kiedy zgnieść je w palcach, te, których korzenie pełne są wody, te, które mają smak anyżku, pieprzu, mięty, miodu. Zna

ziarnka pękające pod zębami i małe jagody, barwiące palce i wargi na niebiesko. Zna nawet kryjówki, gdzie wśród kamieni można znaleźć małe ślimaki albo ziarenka piasku w kształcie gwiazdy. Zabiera Lallę ze sobą daleko, za mury z suchego kamienia, prowadzi wzdłuż ścieżek, których ona nie zna, aż na wzgórze, z których widać początek pustyni. Jego oczy błyszczą mocno, skóra twarzy jest ciemna i lśniąca, kiedy przybywają na szczyt wzgórza. Wtedy pokazuje Lalli południe, stronę, w której się urodził.

Hartani nie jest taki jak inni chłopcy. Nikt nie wie, skąd naprawdę pochodzi. Wiadomo tylko, że któregoś dnia, już dawno temu, przyjechał jakiś mężczyzna na wielbłądzie. Ubrany był jak wojownik pustyni w wielki błękitny płaszcz i miał twarz zakrytą niebieską zasłoną. Zatrzymał się przy studni, aby napić wielbłąda, sam również długo pił. Widziała go Jaśmina, żona pasterza kóz, kiedy szła po wodę. Zaczekała, by obcy mógł się napić do woli, a kiedy odjechał, zobaczyła, że zostawił przy cembrowinie studni niemowlę owinięte w skrawek niebieskiego materiału. Ponieważ nikt dziecka nie chciał, Jaśmina je zatrzymała. Wychowała w rodzinie i traktowała jak syna. Tym dzieckiem był Hartani; dano mu to imię, ponieważ miał skórę czarną jak niewolnicy z południa.

Hartani wychował się w miejscu, w którym zostawił go wojownik pustyni. Pilnował kóz Jaśminy, był taki jak inni chłopcy, pasterze. Umie opiekować się zwierzętami, umie prowadzić je tam, gdzie zechce, nie bijąc ich, gwizdząc jedynie na palcach, bo zwierzęta się go nie boją. Umie również rozmawiać z rojami pszczół, pogwizdując między zębami i prowadząc je dłońmi. Ludzie boją się trochę Hartaniego, mówią, że on jest *meżnum*, że posiada moc sprowadzania demonów. Mówią, że umie rozkazywać węzom i skorpionom, że może je wysyłać, aby niosły śmierć zwierzętom i innym pasterzom. Ale Lalla w to nie wierzy, nie boi się chłopca. Jest może jedyną osobą, która zna go dobrze, bo mówi do niego inaczej niż słowami. Patrzy na niego i czyta w świetle czarnych oczu, a on spogląda w głąb jej oczu koloru ambry; spogląda nie tylko na jej twarz, ale naprawdę w głąb oczu i dzięki temu rozumie, co ona chce powiedzieć.

Aamma nie lubi, kiedy Lalla tak często widuje się z pasterzem na kamiennych polach i wzgórzach. Mówi, że Hartani to znajda, obcy, że nie jest chłopcem dla niej. Ale gdy tylko Lalla skończy pracę w domu Aammy, biegnie na drogę prowadzącą w stronę wzgórz i gwizdże na palcach jak pasterze, i woła:

– Ohe! Hartani!

Zostaje z nim tam wysoko czasem aż do nocy. Wtedy chłopiec zbiera zwierzęta i prowadzi je do zagrody na dół, blisko domu Jaśminy. Często nie rozmawiają, siedzą nieruchomo na skałach przed kamiennymi wzgórzami. Trudno zgadnąć, co wtedy robią. Może patrzą przed siebie, jakby spoglądali przez wzgórze aż za horyzont. Nawet Lalla nie bardzo wie, jak to się dzieje, bo kiedy siedzi obok Hartaniego, to czas jakby przestawał dla niej istnieć. Słowa krążą swobodnie, lecą do Hartaniego i wracają do niej, niosąc inny sens, jak w snach, w których jest się dwiema osobami na raz. To Hartani nauczył ją tak długo siedzieć w bezruchu, patrzeć na niebo, kamienie, krzewy, patrzeć na latające osy, muchy, słuchać brzęczenia owadów w zaroślach, czuć cień drapieżnych ptaków i drzenie zajęcy.

Hartani, podobnie jak Lalla, nie ma rodziny, nie umie czytać ani pisać, nawet nie zna modlitw, nie umie mówić, a jednak wie o wszystkim. Lalla lubi jego gładką twarz, długie ręce, oczy w kolorze ciemnego metalu, uśmiech, lubi jego sposób chodzenia, szybki i lekki jak u zająca, i to, że umie skakać ze skały na skałę i znikać w mgnieniu oka w jednej ze swych kryjówek.

Nigdy nie przychodzi do miasta. Może dlatego, że boi się innych chłopców, bo nie jest taki jak oni. Kiedy odchodzi, idzie na południe, w stronę pustyni, tam, którędy przechodzą drogi nomadów jadących na wielbłądach. Odchodzi tak na całe dni i nie wiadomo, gdzie się podziewa. Później któregoś ranka wraca i zajmuje swoje miejsce na kamiennym polu z kozami, jakby odszedł tylko na kilka chwil.

Kiedy Lalla siedzi, jak teraz, na skale, obok Hartaniego i razem patrzą na kamienną przestrzeń w świetle słońca, kiedy wiatr wieje od czasu do czasu, a osy brzęczą nad małymi, szarymi roślinkami, kiedy kozie kopyta stukają na usuwających się kamieniach, niczego więcej naprawdę jej nie trzeba. Lalla czuje w sobie ciepło, jakby całe światło z nieba i kamieni przenikało do wnętrza jej ciała, rośło. Hartani ujmuje rękę Lalli w swoją brunatną dłoń o wysmukłych palcach i ściska mocno, prawie do bólu. Lalla czuje, jak po wewnętrznej części dłoni przechodzi prąd ciepła niczym dziwne, delikatne drżenie. Nie ma chęci ani mówić, ani myśleć. Jest jej tak dobrze, że mogłaby pozostać cały dzień tak w bezruchu aż do chwili, kiedy noc wypełni wąwozy. Patrzy przed siebie, widzi każdy szczegół kamiennego krajobrazu, każdą kępkę trawy, słyszy każdy trzask, każde brzęczenie owada. Czuje spokojny oddech pasterza, jest tak blisko niego, że spogląda jego oczami, oddycha jego skórą. Trwa to chwilę, która jednak wydaje się tak długa, że Lalla zapomina o wszystkim innym, czuje zawrót głowy.

Później, nagle jakby przestraszony, młody pasterz zrywa się, puszcza rękę Lalli. Nie patrząc nawet na nią, zaczyna biec szybko niczym pies, skacze przez skały i wyschnięte parowy. Przeskakuje murki z suchego kamienia i Lalla widzi, jak jego jasna sylwetka znika między kolczastymi zaroślami.

– Hartani! Hartani! Wracaj!

Lalla wola, stojąc na skale i głos jej drży, ponieważ wie, że to na nic. Hartani znika nagle w jednym z tych ciemnych zagłębień w wapiennej skale. Nie pokaże się już dzisiaj. Może jutro albo później? Lalla schodzi ze wzgórza powoli, ze skały na skałę, niezręcznie, odwraca się od czasu do czasu, próbując zobaczyć pasterza. Opuszcza kamienne pola i zagrodę z suchych kamieni, schodzi ku niecce doliny blisko morza, tam gdzie ludzie żyją w domach z desek, blachy i smołowanego papieru.

Tu, w Cité, wszystkie dni są takie same i czasami nie bardzo wiadomo, który dzień się przeżywa. Trwa to już od dawna, a jest tak, jakby nic nie zostało zapisane, nic nie było pewne. Nikt tu zresztą nie myśli o tym naprawdę, nikt nie zastanawia się, kim właściwie jest. Ale Lalla, idąc na kamienny płaskowyż, gdzie widzi błękitnego człowieka, którego nazywa Es Ser, często o tym myśli.

Może to również z powodu os. W Cité jest ich tyle. Dużo więcej niż mężczyzn i kobiet. Od świtu aż do zmierzchu brzęczą w powietrzu w poszukiwaniu pożywienia, tańczą w słonecznym świetle.

A jednak godziny nie są nigdy podobne do siebie, jak słowa, które wypowiada Aamma, jak twarze dziewcząt, które spotykają się przy fontannie. Są godziny upalne, kiedy słońce piecze skórę przez ubranie, kiedy światło kłuje oczy igiełkami i kaleczy wargi. Wtedy Lalla zawija się cała w niebieskie płótna, z tyłu głowy przywiązuje wielką chustę przykrywającą twarz aż po oczy i owija głowę drugim niebieskim płótnem, które sięga aż do piersi. Pałący wiatr nadchodzi z pustyni, sypie ziarnami twardego pyłu. Na zewnątrz w uliczkach Cité nie ma nikogo. Nawet psy pochowały się w dołkach wygrzebanych w ziemi u progu domów przy pustych bańkach po benzynie.

Ale Lalla lubi być w takie dni na dworze, może dlatego, że nikogo wtedy nie widać. Jak gdyby niczego nie było na ziemi, niczego, co należy do ludzi. Wtedy czuje, że jest sobie najdalsza, jakby już nic z tego, co zrobiła, nie liczyło się, jakby już nie było pamięci.

Więc idzie ku morzu, tam gdzie zaczynają się wydmy. Siada na piasku zawinięta w niebieskie płótna, patrzy na pył unoszący się w powietrzu. Niebo ze słońcem w zenicie jest intensywnie błękitne, prawie koloru nocy, i kiedy Lalla patrzy na horyzont ponad linią wydm, widzi ten sam co o wschodzie popielaty róż. W takie dni nie słyhać much ani os, gdyż wiatr wygonił je do skalnych wgłębień, do gniazd z suchego błota albo do ciemnych zakamarków domów. Nie ma mężczyzn, kobiet ani dzieci. Nie ma psów, nie ma ptaków. Jest tylko wiatr

powgwisujący między gałązkami krzewów, w liściach akacji i dzikich figowców. Są jedynie tysiące kamiennych drobin, które siekają twarz, które dzielą się wokół Lalli, tworzą długie wstążki, węże, opary. Jest dźwięk wiatru, szum morza, skrzypiący szmer piasku i Lalla pochyla się do przodu, by móc oddychać, z zasłoną przyłożoną do nosa i ust. Jest dobrze, zupełnie jakby płynęło się statkiem, jak Naman rybak i jego towarzysze zagubieni pośród wielkiej burzy. Niebo jest bezchmurne, niezwykle. Ziemia zniknęła albo prawie zniknęła, ledwie widoczna dzięki wyżłobieniom piasku, rozdarta, zniszczona, kilka czarnych plam raf pośrodku morza.

Lalla nie wie, czemu jest na dworze w takie dni, to silniejsze od niej, nie może pozostawać zamknięta w domu Aammy ani nawet chodzić uliczkami Cite. Pałacy wiatr wysusza wargi i nozdrza. Lalla czuje przenikający ją ogień. Może to ogień jasności nieba, ogień, który przychodzi ze wschodu, a wiatr zanurza go w jej ciele. Ale światło nie tylko patrzy: ono wyzwala i Lalla czuje, jak ciało staje się lekkie, zwinne. Opiera mu się uczipiona obiema rękami piasku wydmy z podbródkiem na kolanach. Oddycha z trudem, płytko, by nie stać się zbyt lekką.

Stara się myśleć o tych, których kocha, bo wtedy wiatr jej nie porwie. Myśli o Aammie, o Hartanim, a szczególnie o Namanie. Ale w takie dni nie liczy się naprawdę nic ani nikt z tych, których zna, i myśl jej ucieka nagle, ulatuje, jakby porwał ją wiatr i unosił wzdłuż wydmy.

Później zniecka czuje na sobie spojrzenie błękitnego człowieka. To samo spojrzenie co tam, wysoko, na kamiennym płaskowyżu na granicy pustyni. Spojrzenie puste i władcze, które spoczęło na jej ramionach ciężarem wiatru i światła, straszliwym spojrzeniem suszy, od którego cierpi, spojrzeniem twardym jak cząsteczki kamienia uderzającego w jej twarz i ubranie. Lalla nie wie, czego on chce, o co prosi. Może niczego od niej nie chce i płynie po prostu nad morskim krajobrazem, nad rzeką, nad Cité i sunie dalej jeszcze, żeby podpalać miasta i białe domy, ogrody, fontanny, wielkie aleje krain po drugiej stronie morza.

Teraz Lalla się boi. Chciałaby zatrzymać to spojrzenie, zatrzymać na sobie, żeby nie oddaliło się za horyzont, żeby zaprzestało swej zemsty, ognia, gwałtu. Nie rozumie, dlaczego burza zesłana przez człowieka pustyni chce zniszczyć te miasta. Zamyka oczy, żeby nie widzieć niebezpiecznych oparów piaskowych węży, które wiją się wokół niej. Wtedy w uszach słyszy głos wojownika pustyni, którego nazywa Es Ser, Tajemnica. Nigdy nie słyszała go tak wyraźnie, nawet wtedy, kiedy ukazywał się jej oczom na kamiennym płaskowyżu ubrany w biały płaszcz, z twarzą zakrytą niebieską zasłoną. Ten dziwny głos słyszy w głowie, miesza się on z dźwiękiem wiatru i skrzypieniem ziaren piasku. To odległy głos wymawia słowa, które Lalla nie zawsze rozumie, powtarza bez przerwy te same wyrazy.

– Spraw, by ustał wiatr – mówi Lalla głośno, nie otwierając oczu. – Nie niszcź miast, spraw, by ustał wiatr, niech słońce nie pali, niech wszystko trwa w spokoju. – I jeszcze mimo woli: – Czego chcesz? Po co tu przychodzisz? Jestem dla ciebie niczym, dlaczego do mnie mówisz, tylko do mnie?

Ale głos szepce ciągle, a Lalla drży. To tylko głos wiatru, morza, piasku, głos światła, które olśniewa i oszołamia wolę ludzi. Przychodzi w tym samym czasie co dziwne spojrzenie, łamie i wyrywa wszystko, co mu się sprzeciwia na ziemi. Później idzie dalej, do horyzontu i gubi się w morzu o ogromnych falach, zabiera chmury i piasek ku skalnym wybrzeżom po drugiej stronie morza, ku wielkim deltom, gdzie płoną kominy rafinerii.

– Opowiedz mi o Błękitnym Człowieku – prosi Lalla, ale Aamma zagniata właśnie ciasto na chleb w wielkim glinianym naczyniu. Potrząsa głową.

– Nie teraz.

Lalla nalega.

– Teraz, Aammo, proszę cię.

– Opowiedziałam już wszystko, co o nim wiem.

– Nie szkodzi, chciałam raz jeszcze usłyszeć, jak o nim mówisz, a także o tym, którego nazywali Ma el Ainin, Woda Oczu.

Aamma przestaje wyrabiać ciasto. Siada na ziemi i opowiada, bo tak naprawdę bardzo lubi opowiadać różne historie.

– Mówiłam ci już o tym. Było to bardzo dawno, w czasach dzieciństwa babki twojej matki, kiedy nie znałyśmy się z Lallą Hawą. Wtedy właśnie wielki Al Azrak, którego nazywano Błękitnym Człowiekiem, umarł, a Ma el Ainin był jeszcze młodym chłopcem.

Lalla zna dobrze ich imiona, słyszała je często w dzieciństwie, a jednak za każdym razem, kiedy je słyszy, drży nieco, jakby coś w niej poruszały.

– Al Azrak był z plemienia babki twojej matki, żył zupełnie na południu, za Dra, nawet za Sagiet el Hamra, w tamtych czasach w kraju tym nie było ani jednego cudzoziemca. Chrześcijanie nie mieli tam prawa wstępu. Wojownicy pustyni byli niezwykli i należały do nich wszystkie ziemie na południe od Dra bardzo daleko aż do serca pustyni, aż do świętego miasta Szengetti.

Za każdym razem Aamma dorzuca jakiś nowy szczegół, nowe zdanie, albo coś zmienia, jakby chciała, żeby opowieść nigdy się nie skończyła. Głos jej jest silny, trochę śpiewny, w ciemnym domu dźwięczy, dziwnie kontrastując ze skrzypieniem blachy na słońcu i z brzęczeniem os.

– Nazywano go Al Azrak, bo zanim został świętym, był wojownikiem pustyni, zupełnie na południu w okolicach Szengetti, ponieważ był szlachetnie urodzony i był synem szejka. Ale któregoś dnia wezwał go Bóg i stał się świętym; zostawił swój błękitny strój na pustyni i przywdział wełnianą suknię jak biedacy i szedł przez kraj od miasta do miasta boso, z kosturem jak żebrak. Ale Bóg nie chciał, by myłono go z innymi żebrakami, i sprawił, że skóra jego twarzy i rąk stała się niebieska, a kolor ten nigdy nie zniknął mimo mycia wodą. Niebieska barwa pozostała na twarzy i rękach, a kiedy ludzie widzieli go, poznawali, że choć w sukni ze zniszczonej wełny, to nie zwykły żebrak, ale prawdziwy wojownik pustyni; Błękitny Człowiek, którego wezwał Bóg, i dlatego właśnie nadali mu imię Al Azrak, Błękitny Człowiek...

Aamma, mówiąc, kołysze się trochę, jakby podkreślała rytm jakiejś muzyki. Czasami milknie na długą chwilę, pochylona nad dużym glinianym naczyniem, rozlepiając i zlepiając na nowo chlebowe ciasto, później gniotąc je silnymi pięściami.

Lalla czeka w milczeniu, aż Aamma zacznie opowiadać dalej.

– Nikt z tamtych czasów już nie żyje – mówi Aamma. – To, co się o nim mówi i opowiada, jest legendą, wspomnieniem. Ale są ludzie, którzy nie chcą temu wierzyć, twierdzą, że to kłamstwa.

Aamma waha się, ponieważ wybiera starannie to, o czym za chwilę opowie.

– Al Azrak był wielkim świętym – mówi. – Umiał leczyć chorych, nawet tych, co byli chorzy w środku, co utracili rozum. Mieszkał wszędzie, w szałasach pasterzy, w schronieniach z liści zbudowanych wokół drzewa, a nawet w grotach, w sercu góry. Ludzie przychodzili zewsząd, by go zobaczyć i prosić o pomoc. Któregoś dnia starzec przyprowadził ślepego syna i powiedział: „Wylecz mojego syna, ty, który otrzymałeś od Boga błogosławieństwo, wylecz go, a oddam ci wszystko, co posiadam”. I pokazał mu worek pełen złota, który przyniósł ze sobą. Al Azrak odrzekł mu: „Do czego może służyć tu złoto?” i wskazał pustynię bez kropli wody, bez jednego owocu. I wziął złoto starego człowieka i rzucił je na ziemię, a złoto zamieniło się w skorpiony i węże, które umykały daleko, a starzec zatrząsł się z przerażenia. Al Azrak zapytał go: „Czy zgodzisz się być ślepcem zamiast syna?”. Starzec odparł: Jestem bardzo stary, do czego służą mi oczy? Spraw, by syn mój widział, a ja będę zadowolony”. Zaraz też młodzieniec odzyskał wzrok i był olśniony blaskiem słońca. Ale kiedy zauważył, że jego ojciec nie widzi, przestał być szczęśliwy. „Oddaj wzrok mojemu ojcu, powiedział, to mnie Bóg skazał”. Wówczas Al Azrak dał wzrok

obu, bo wiedział, że serca ich są dobre. I szedł dalej swą drogą ku morzu, i zatrzymał się, żeby zamieszkać w takim miejscu jak to, blisko wydm nad brzegiem wody.

Aamma milczy jeszcze przez chwilę. Lalla myśli o wydmach, gdzie mieszkał Al Azrak, słyszy szum morza i wiatru.

– Rybacy codziennie żywili go, bo wiedzieli, że Błękitny Człowiek jest świętym, i prosili o błogosławieństwo. Niektórzy przybywali z bardzo daleka, z obronnych miast południa, przychodzili słuchać jego nauk. Lecz Al Azrak nie nauczał Sunny słowami i kiedy ktoś przychodził i prosił: „Naucz mnie Drogi”, zadowalał się odmawianiem różańca przez wiele godzin, niczego innego nie wyjaśniając. Później mówił: „Poszukaj drewna na ogień, przynieś wody”, jakby ten był jego sługą. „Powachluj mnie”, mówił wręcz surowo, nazywał gościa leniem i kłamcą, jakby był jego niewolnikiem.

W ciemnym domu Aamma mówi powoli, a Lalli wydaje się, że słyszy głos Błękitnego Człowieka.

– W ten sposób nauczał Sunny, nie słowami, ale gestami i modlitwą, aby zmusić odwiedzających do ukorzenia się w sercu. Ale kiedy przychodzili ludzie prości albo dzieci, Al Azrak był wobec nich bardzo łagodny, mówił im miłe słowa, opowiadał wspaniałe legendy, bo wiedział, że nie mają zatwardziałych serc, że są naprawdę blisko Boga. To dla nich czasami robił cuda, aby im pomóc, bo nie mieli innej opieki. – Aamma waha się: – Czy opowiadałam ci o cudzie ze źródłem, jakie dzięki niemu wytrysnęło spod skały?

– Tak, ale opowiedz raz jeszcze – prosi Lalla.

Tę opowieść lubi najbardziej. Ilekroć ją słyszy, czuje, jakby coś dziwnego poruszało się w głębi niej, jakby za chwilę miała płakać, czuje jakby dreszcz gorączki. Myśli o wszystkim, co się wydarzyło tak dawno temu u bram pustyni, w mieście błota i palm z wielkim pustym placem, gdzie brzęczą osy, a woda studni błyszczący w słońcu gładka jak lustro, w którym odbijają się chmury i niebo. Na miejskim placu nie ma nikogo, bo słońce pali mocno i wszyscy ludzie schronili się w chłodzie domów. Nad nieruchomą wodą studni, otwartą jak oko patrzące w niebo, przechodzą od czasu do czasu powolne drgania gorącego powietrza, które rzuca biały, delikatny pył na powierzchnię jak niezauważalną mgłę, która zaraz znika. Woda jest piękna i głęboka, niebieskozielona, cicha, nieruchoma w zagłębieniu czerwonej ziemi, gdzie bosa stopy kobiet zostawiły błyszczące ślady. Jedynie osy krążą nad nią, muskają powierzchnię i odlatują ku domom, gdzie wznoszą się dymy *brasero*.

– Jakaś kobieta szła po dzban wody do studni. Nikt już teraz nie pamięta jej imienia, bo wydarzyło się to dawno temu. Ale była to bardzo stara kobieta, której brakło już sił, a kiedy przysłała do studni, płakała i lamentowała, bo miała jeszcze przed sobą długą drogę powrotną. Przykucnęła więc na ziemi, płakała i jęczała... Wówczas Al Azrak stanął nagle obok niej, a ona nie usłyszała nawet jego kroków.

Lalla widzi go teraz wyraźnie. Jest wysoki i szczupły, zawinięty w płaszcz koloru piasku. Twarz ma ukrytą za zasłoną, ale jego oczy lśnią dziwnym blaskiem, który uspokaja i pokrzepia jak płomień lampy. Teraz go poznaje. To on ukazuje się na kamiennym płaskowyzu, tam gdzie zaczyna się pustynia, i ogarnia Lallę spojrzeniem tak natarczywie i z taką siłą, że aż kręci się jej w głowie. Przychodzi właśnie tak, po cichu, jak cień, umie być tam, gdzie go potrzebują.

– Stara kobieta ciągle płakała, wtedy Al Azrak spytał ją łagodnie, dlaczego płacze.

Ale choć nadchodzi tak cicho, jakby wyrastał z pustyni, nie można się przestraszyć. Jego spojrzenie jest pełne dobroci, głos powolny i spokojny, twarz jaśnieje blaskiem.

– Stara kobieta powiedziała o swoim zmartwieniu, o samotności; jej dom był bardzo daleko od wody, a ona nie miała sił, by wracać z dzbanem.

Jego głos i spojrzenie stanowią jedno, jakby już wiedział, co się wydarzy w przyszłości i jakby znał tajemnicę ludzkich losów.

– „Nie płacz, powiedział Al Azrak, pomogę ci wrócić do domu”. I poprowadził ją pod ramię, a kiedy przyszli przed dom, powiedział tylko: „Unieś ten kamień na skraju drogi, a nigdy nie zabraknie ci wody”. I stara kobieta zrobiła, jak powiedział, a pod kamieniem było źródło bardzo jasnej wody, które wytrysnęło i woda rozlewała się dookoła, aż powstała studnia tak piękna i świeża jak żadna inna w pobliżu. Wtedy stara kobieta podziękowała Al Azrakowi, a później przyszli ludzie z całej okolicy, żeby zobaczyć studnię i spróbować wody, i wszyscy chwalili Al Azraka, który taką moc otrzymał od Boga.

Lalla myśli o źródle tryskającym spod kamienia, o wodzie bardzo jasnej i gładkiej, która lśni w świetle słońca. Myśli długo, podczas gdy Aamma dalej wyrabia ciasto na chleb. I cień Błękitnego Człowieka oddala się po cichu, tak jak się pojawił, ale jego spojrzenie pełne siły pozostaje nad nią, otula jak podmuch.

Teraz Aamma milczy, już nic nie mówi. Dalej uderza i wyrabia ciasto w wielkim glinianym naczyniu, które się chwieje. Może ona również myśli o pięknej studni z głęboką wodą, która wytrysnęła spod przydrożnego kamienia jak prawdziwe słowo Al Azraka, prawdziwa droga.

Tu, nad Cité, światło jest piękne każdego dnia. Lalla nigdy nie zwracała wielkiej uwagi na światło aż do chwili, kiedy Hartani nauczył ją patrzeć. Jest to bardzo jasne światło, szczególnie rankiem, tuż po wschodzie słońca. Oświecla czerwone skały i ziemię, ożywia je. Są specjalne miejsca do oglądania światła. Któregoś ranka Hartani zaprowadził Lallę w takie miejsce. Jest to przepaść otwierająca się w głębi kamiennego wąwozu i tylko Hartani wie o tej kryjówce. Trzeba dobrze znać drogę. Hartani wziął Lallę za rękę i poprowadził ją wzdłuż wąskiego korytarza, który wiedzie w głąb ziemi. Od razu wyczuwa się wilgotną świeżość cienia, a hałasy cichną tak jak wtedy, kiedy chowa się głowę pod wodą. Przejście prowadzi daleko pod ziemię. Lalla trochę się boi, bo po raz pierwszy schodzi do środka ziemi. Ale pasterz trzyma ją mocno za rękę i to dodaje jej odwagi.

Nagle stają: długi korytarz zalewa światło, jego wylot otwiera się na niebo. Lalla nie wie, jak to jest możliwe, przecież nie przestali schodzić, ale tak jest naprawdę: niebo jest przed nią, ogromne, lekkie. Lalla stoi nieruchomo, wstrzymując oddech, z szeroko otwartymi oczami. Tutaj jest tylko niebo, tak jasne, że ma się wrażenie, jakby się było szybującym ptakiem.

Hartani daje znak Lalli, by zbliżyła się do otworu. Później siada na kamieniach, powoli, żeby ich nie poruszyć. Lalla siada trochę z tyłu, drżąc od zawrotu głowy. Na dole, na samym dole skalistego brzegu widać we mgle wielką pustynną równinę, wyschnięte strumienie. Na horyzoncie gromadzi się para koloru ochry: to początek pustyni. Właśnie tam czasami odchodzi Hartani, sam, nie biorąc ze sobą nic prócz odrobiny chleba zawiniętego w chustkę. To jest na wschodzie, tam gdzie światło słońca jest najpiękniejsze, tak piękne, że chciałoby się jak Hartani biec bosymi stopami po piasku, przeskakiwać nad ostrymi kamieniami i szczelinami, zdążać coraz dalej w kierunku pustyni.

– To piękne, Hartani.

Czasem Lalla zapomina, że pasterz nie rozumie. Kiedy mówi do niego, on zwraca twarz w jej stronę, jego oczy błyszczą, wargi usiłują naśladować mowę. Później nagle wykrzywia się i Lalla wybucha śmiechem.

– Och!

Pokazuje mu czubkiem palca czarny, nieruchomy punkt pośrodku przestrzeni. Hartani patrzy przez chwilę w tę stronę i ręką naśladuje ptaka, kciuk zgięty, trzy ostatnie palce rozstawione jak ptasie pióra. Punkt przesuwa się wolno ku środkowi nieba, wiruje wokół siebie, obniża się, przybliża. Teraz Lalla widzi wyraźnie jego tułów, głowę, skrzydła z rozłożonymi lotkami. To krogulec. Szuka ofiary, unosząc się na wietrze cicho jak cień. Lalla obserwuje go długo z bijącym sercem. Nigdy nie widziała nic równie pięknego jak ten ptak, który powoli rysuje kręgi na niebie, bardzo wysoko, ponad czerwoną ziemią, samotny i cichy

w przestworzach, w świetle słońca, i który opada chwilami ku pustyni, jakby miał runąć na ziemię. Serce Lalli bije mocniej, ponieważ milczenie drapieżnego ptaka przenika ją, rodzi strach. Spojrzenie utkwiała w krogulcu, nie może od niego oderwać oczu. Ogromna cisza nieba, chłód powietrza, a szczególnie palące światło, wszystko to oszołamia, potęguje zawrót głowy. Lalla opiera dłoń na ramieniu Hartaniego, żeby nie upaść przed siebie w przepaść. On również patrzy na krogulca. Ale tak jakby ptak był jego bratem i jakby nic ich nie różniło. Mają to samo spojrzenie, tę samą odwagę, dzielą bezkresne milczenie nieba, wiatru i pustyni.

Kiedy Lalla spostrzega, że Hartani i krogulec są do siebie podobni, drży, ale zawrót głowy mija. Niebo przed nią jest ogromne, a ziemia to tylko szare i ochrowe opary, które unoszą się aż po horyzont. Ponieważ Hartani zna tu wszystko, Lalla nie boi się już wejść w ciszę. Zamyka oczy, unosi się w powietrzu pośrodku nieba, uczepiona ramienia młodego pasterza... Powoli zataczają razem wielkie kręgi nad ziemią, tak daleko, że nie słychać żadnego hałasu, nic prócz lekkiego drżenia wiatru w lotkach, tak wysoko, że prawie już nie widać skał, kolczastych zarośli, domów z desek i papy.

Później, kiedy już długo razem szybowali upojeni wiatrem, światłem i błękitem nieba, wracają ku otworowi groty na szczyt czerwonego brzegu: siadają lekko, nie strącając kamieni, nie poruszając nawet ziarenka piasku. To są rzeczy, które Hartani umie robić tak zwyczajnie, nie mówiąc, nie myśląc, tylko za pomocą swego spojrzenia.

Zna wszystkie miejsca, z których można oglądać światła, bo jest nie tylko jedno światło, ale wiele różnych światła. Na początku, kiedy prowadził Lallę przez skały ku wgłębieniom, ku starym, wyschniętym szczelinom albo na szczyt czerwonej skały, sądziła, że robi to po to, by płoszyć jaszczurki czy jak inni chłopcy rabować ptasie gniazda. Ale wówczas Hartani, wyciągając rękę, z oczami błyszczącymi radością coś jej pokazywał; na końcu jego gestu było jedynie niebo, ogromne, uderzające białością albo taniec promieni słońca wzdłuż pęknięć kamienia, albo znów osobliwe księżycy, jakie tworzy słońce przeświecające liście krzewów. Czasami również pokazywał jej muszki wiszące w powietrzu, podobne do bąbelków między dwiema kępkami trawy, jakby tam była ogromna pajęczyna. Te rzeczy były najpiękniejsze, kiedy on na nie patrzył, i jakieś nowsze, jakby nikt ich przed nim nie oglądał, jak na początku świata.

Lalla lubi chodzić z Hartanim. Idzie za nim wzdłuż ścieżki, którą on postępuje pierwszy. Tak naprawdę nie jest to ścieżka, ponieważ nie ma na niej śladów; jednak kiedy Hartani idzie przodem, widać dobrze, że przejście jest właśnie tam, a nie gdzie indziej. Może są to ścieżki dla kóz i lisów, nie dla ludzi. Ale Hartani jest jak one, wie o rzeczach, o których ludzie nie wiedzą, widzi je całym ciałem, a nie tylko oczyma.

Tak jak w przypadku zapachów. Czasami Hartani idzie daleko po kamiennej równinie na wschód. Słońce piecze ramiona i twarz Lalli i trudno jej nadążyć za towarzyszem. On wtedy nie zajmuje się nią. Szuka czegoś, prawie się nie zatrzymując, lekko pochylony ku ziemi skacze ze skały na skałę. Później nagle staje, przykładając do ziemi twarz, leży płasko na brzuchu, jakby pił. Lalla zbliża się powoli, podczas gdy Hartani unosi się nieco. Jego oczy koloru metalu błyszczą ze szczęścia, jakby znalazł coś najcenniejszego w świecie. Między kamieniami w pylistej ziemi jest szara i zielona kępka, zupełnie mały krzaczek o skąpych liściach, taki, jakich tu wiele, ale kiedy Lalla przybliżyła z kolei swoją twarz, czuje zapach najpierw słaby, później coraz mocniejszy, zapach najpiękniejszych kwiatów, zapach mięty i trawy *sziba*, zapach cytryn również, zapach morza i wiatru, letnich łąk. Wszystko to jest tutaj, i więcej jeszcze, w tej maleńkiej roślinie, brudnej i delikatnej, rosnącej w cieniu kamieni pośrodku wielkiego, suchego płaskowyzu; i tylko Hartani wie o tym.

To on pokazuje Lalli wszystkie piękne zapachy, bo zna ich kryjówki. Zapachy są jak kamienie i zwierzęta, każdy ma swoją kryjówkę. Ale trzeba umieć je odszukać, jak psy, dzięki wiatrowi, wachając maleńkie ślady, skacząc bez wahania aż do samej kryjówki.

Hartani pokazał Lalli, jak trzeba to robić. Kiedyś nie wiedziała. Mogła przejść obok krzaku, korzenia, plastra miodu, niczego nie zauważając. Powietrze jest pełne zapachów, które przemieszczają się nieustannie jak wiatr, wznoszą się, opadają, krzyżują ze sobą, mieszają, dzielą. Nad śladami królika unosi się dziwny zapach strachu. Przeszedłszy nieco dalej, Hartani gestem przywołuje Lallę. Na czerwonej ziemi najpierw nie ma nic, ale powoli dziewczyna rozróżnia coś cierpkiego, przykrego, zapach uryny i potu, i nagle odgaduje od razu; to zapach dzikiego psa, głodnego, ze zjeżoną sierścią, który biegł przez płaskowyż, goniąc królika.

Lalla lubi spędzać dnie z Hartanim. Jej jednej pokazuje te wszystkie rzeczy. Innych się wystrzega, ponieważ nie mają czasu, by czekać, szukać zapachów i patrzeć, jak fruwać ptaki pustyni. Hartani nie boi się ludzi. To raczej on napawałby ich lękiem, Mówią, że jest *meżnun*, opętany przez demony, że jest czarownikiem, i może zauroczyć. Hartani nie ma ojca ani matki, przyszedł znikąd, wojownik pustyni bez słowa zostawił go któregoś dnia blisko studni. Nie ma imienia. Czasami Lalla bardzo chciałaby wiedzieć, kim on jest, chciałaby go zapytać: „Skąd pochodzisz?”.

Ale Hartani nie zna języka ludzi, on nie odpowiada na pytania. Najstarszy syn Aammy powiada, że Hartani nie umie mówić, ponieważ jest głuchy. Tak w każdym razie twierdzi nauczyciel ze szkoły; o takich mówi się: głuchoniemi. Ale Lalla wie dobrze, że to nieprawda, bo Hartani słyszy lepiej niż inni. Reaguje na dźwięki tak ciche, tak delikatne, że nawet przystawiając ucho do ziemi, nie można ich usłyszeć. Umie usłyszeć zająca, który przeskoczył z jednej strony kamiennego płaskowyżu na drugą, albo kiedy ścieżką na drugim końcu doliny zbliża się człowiek. Umie znaleźć miejsce, w którym śpiewa świerszcz albo gniazdo kuropatwy w wysokich trawach. Ale Hartani nie chce słyszeć języka ludzi, pochodzi bowiem z kraju, w którym ludzi nie ma, jest tylko piasek, wydmy i niebo.

Czasami na przykład Lalla mówi do pasterza: „Biluula”, powoli patrząc w głąb jego oczu koloru ciemnego metalu, i widzi dziwne światło rozjaśniające spojrzenie chłopca. Kładzie rękę na wargach Lalli i śledzi ich ruch. Ale nie wymawia nigdy żadnego słowa.

Później, po chwili, ma dosyć, odwraca wzrok, idzie usiąść nieco dalej na innym kamieniu. Ale w gruncie rzeczy to nie ma znaczenia, bo teraz Lalla wie, że słowa nie liczą się tak naprawdę. Tylko to, co chce się powiedzieć, zupełnie od środka, jak tajemnicę, jak modlitwę, tylko takie słowo się liczy. I Hartani tak mówi, umie dawać i rozumieć jedynie takie słowa. Tyle rzeczy jest zawartych w milczeniu. O tym również Lalla nie wiedziała przed spotkaniem Hartaniego. Inni czekają tylko na słowa lub czyny, dowody, ale on, Hartani, patrzy na Lallę bez słowa pięknym, metalicznym spojrzeniem i w świetle jego oczu słysząc, co mówi, o co prosi.

Kiedy jest zaniepokojony lub przeciwnie, bardzo szczęśliwy, wstaje i kładzie dłonie na skroniach Lalli, to znaczy, wyciąga je po obu stronach głowy dziewczynki, nie dotykając jej, i pozostaje tak przez długą chwilę z twarzą rozjaśnioną blaskiem. A Lalla czuje ciepło wewnętrznej części jego dłoni przy policzkach i przy skroniach, jakby ogrzewał je ogień. To dziwne wrażenie, które ją z kolei napełnia szczęściem, przenika do wnętrza, rozpręża ją, uspokaja. Dlatego właśnie Lalla lubi Hartaniego, on ma tę moc w dłoniach, może naprawdę jest czarownikiem. Patrzy na ręce pasterza, usiłuje odgadnąć. To długie dłonie o szczupłych palcach, perłowych paznokciach, o skórze delikatną i brązowej, prawie czarne na wierzchu i różowożółte pod spodem jak dwukolorowe liście drzewa. Lalla bardzo lubi dłonie Hartaniego. Nie są takie jak dłonie innych mężczyzn w Cité i wierzy, że takich jak te nie ma w całym kraju. Są zręczne i lekkie, pełne siły i Lalla myśli, że są to ręce kogoś szlachetnie urodzonego, może syna szejka, a może nawet samego wojownika wschodu, przybyłego z Bagdadu.

Hartani umie wszystko zrobić dłońmi, nie tylko chwycić kamienie lub łamać drewno, ale także robić pętle z palmowych włókien, zastawiać sidła na ptaki, gwizdać, grać melodie, naśladować krzyk kuropatwy, krogulca, głos lisa, udawać dźwięk wiatru, burzy, morza.

Przede wszystkim jego ręce umieją mówić. To Lalla lubi najbardziej. Czasami Hartani siada na wielkim płaskim kamieniu w słońcu ze stopami pod obszerną suknią z grubej tkaniny. Jego ubranie jest bardzo jasne, prawie białe i wtedy widać tylko twarz i ręce w kolorze cienia. Siedząc tak, zaczyna mówić.

Nie opowiada Lalli prawdziwych opowieści. Są to raczej obrazy, jakie kreśli w powietrzu samymi tylko gestami, wargami i światłem oczu. Ulotne obrazy, znaczone błyskami, które zapalają się i gasną, ale Lalla nigdy nie słyszała nic piękniejszego ani prawdziwszego. Nawet historie Namana rybaka, nawet opowieści Aammy o Al Azraku, Błękitnym Człowieku pustyni, i o źródłach z jasną wodą, która wytrysnęła spod kamienia, nie są tak piękne. To, co Hartani opowiada dłońmi, jest dziwne jak on sam, ale jest jak sen, bo każdy obraz, który tworzy, pojawia się w najmniej oczekiwanym momencie, a przecież to właśnie na ten obraz się czeka. Opowiada bardzo długo, pokazuje ptaki z rozpostartymi skrzydłami, skały zamknięte jak pięść, domy, psy, burze, samoloty, ogromne kwiaty, góry, wiatr dmuchający na uśpione twarze. Wszystko to nic nie znaczy, ale kiedy Lalla patrzy na niego, na grę czarnych rąk, wtedy widzi, jak powstają te obrazy tak piękne i nowe, jaśniejące światłem życia, jakby wytryskiwały naprawdę z wnętrza jego dłoni, jakby powstawały z warg, przekazywane przez promień oczu.

Piękne jest przede wszystkim to, że Hartani mówi, a nic nie ma ci ciszy. Słońce pali kamienny płaskowyż, czerwone skaliste brzegi, wiatr nadchodzi, chwilami trochę zimny i ledwie słycać skrzypienie piasku toczącego się po szczelinach skał. Długimi dłońmi, zręcznymi palcami Hartani pokazuje węża, który pełźnie w szczelinie w głębi wąwozu, później zatrzymuje się z uniesioną głową. Wtedy zrywa się wielki biały ibis, uderzając skrzydłami. Nocą na niebie księżyc jest okrągły i Hartani kciukiem zapala gwiazdy, jedną, drugą i trzecią... Latem zaczyna padać deszcz, woda spływa strumykami, powiększa kałużę, nad którą krążą komary. Prosto ku środkowi błękitnego nieba Hartani wyrzuca trójkątny kamień, który leci w górę, w górę i hop! nagle otwiera się i zamienia w drzewo z bujnym listowiem pełnym ptaków.

Czasami Hartani posługuje się twarzą, żeby naśladować ludzi lub zwierzęta. Umie bardzo dobrze udawać żółwia, ściągając wargi z głową wciągniętą w ramiona, wygiętymi w pałak plecami. Zawsze to śmieszy Lallę jak za pierwszym razem. Albo udaje wielbłąda z wargami wysuniętymi do przodu z odsłoniętymi zębami. Bardzo dobrze również naśladuje bohaterów widzianych w kinie, Tarzana, Maciste, i tych z komiksów.

Od czasu do czasu Lalla przynosi małe ilustrowane gazetki, które zabrała synom Aammy albo kupiła z własnych oszczędności. Są tam historie o Akimie, Rochu Rafale, opowieści, jakie dzieją się na księżycu albo na innych planetach, małe książki o Myszcze Miki albo o Donaldzie. Te Lalla lubi najbardziej. Nie umie czytać, ale każe sobie opowiadać te historie dwa albo trzy razy synowi Aammy i zna je na pamięć. Hartani nie słucha jednak tych historyjek. Bierze małe książeczki i w dziwny sposób ogląda je, ustawiając krzywo i przechylając głowę trochę na bok. Później, kiedy dokładnie obejrzy rysunki, odskakuje i naśladuje Rocha Rafała albo Akima na grzbiecie słonia. Ale Lalla nigdy nie zostaje długo z Hartanim, bo zawsze nadchodzi moment, kiedy oblicze jego zdaje się zamykać. Lalla nie bardzo wie, o co chodzi, kiedy twarz młodego pasterza staje się surowa i zastygła, a spojrzenie dalekie. Zupełnie tak jakby słońce zasłoniła chmura albo jakby noc zapadła szybko nad wzgórzami i w zagłębieniach dolin. To straszne, ponieważ Lalla bardzo chciałaby zatrzymać chwilę, w których Hartani miał szczęśliwą minę, uśmiech, światło błyszczące w oczach. Ale to niemożliwe. Nagle Hartani odchodzi jak zwierzę. Skacze i znika w mgnieniu oka, zanim Lalla zdola zobaczyć, dokąd poszedł. Teraz już nie usiłuje go zatrzymać. Czasem, kiedy jest tyle światła na kamiennym płaskowyżu, kiedy Hartani mówi dłońmi i ukazuje tyle niezwykłych rzeczy, Lalla woli odejść pierwsza. Wstaje i pomału oddala się, nie spoglądając za siebie, aż do drogi,, prowadzącej do Cite z desek i papy. Może patrząc na Hartaniego, stała

się teraz taka jak on. Zresztą ludzie nie pochwalają tego, że tak często się z nim widuje. Może boją się, że stanie się również *meźnun*, że przejmie złe duchy, które są w ciele pasterza. Starszy syn Aammy powiedział, że Hartani jest złodziejem, bo ma złoto w małym, skórzanym woreczku na szyi. Ale Lalla wie, że to nieprawda. Złoto znalazł Hartani w korycie suchego strumienia. Wziął Lallę za rękę i zaprowadził w głąb szczeliny, a tam, w szarym piasku strumienia, Lalla widziała błyszczący, złoty pył.

— To nie jest chłopiec dla ciebie — mówi Aamma, kiedy Lalla wraca z kamiennego płaskowyżu. Twarz Lalli jest teraz prawie czarna jak twarz Hartaniego z powodu słońca, które tam wysoko mocniej świeci. Czasami Aamma dorzuca: — Nie poślubisz przecież Hartaniego.

— Dlaczego nie? — pyta Lalla i wzrusza ramionami.

Lalla nie ma ochoty wyjść za mąż, nigdy o tym nie myśli. Na myśl, że mogłaby poślubić Hartaniego, wybucha śmiechem.

Jednak za każdym razem, kiedy może, kiedy zdecyduje, że skończyła swoje zajęcia, wychodzi z Cité i idzie w stronę wzgórz, gdzie przebywają pasterze, na wschód od Cité tam, gdzie zaczynają się ziemie bez wody, wysokie, skaliste brzegi z czerwonego kamienia. Lubi bardzo iść białą ścieżką, która wije się pomiędzy wzgórzami; słuchając przenikliwej muzyki świerszczy, patrzy na ślady węży na piasku. Trochę dalej słyszy pogwizdywanie pasterzy. Są to w większości małe dzieci, chłopcy i dziewczęta, rozsiani wszędzie po trochu na wzgórzach ze swymi stadami owiec i kóz. Gwiżdżą, nawołując się, rozmawiają ze sobą albo straszą dzikie psy.

Lalla lubi teraz chodzić po wzgórzach, idzie ze zmrużonymi oczami z powodu białego światła, słucha dobiegających zewsząd pogwizdywań. Drży mimo upału, czuje przyśpieszone bicie serca. Czasami, bawiąc się, odpowiada im. Hartani pokazał jej, jak należy to robić, wkładając dwa palce do ust.

Kiedy młodzi pasterze przychodzą na drogę, by obejrzeć Lallę, trzymają się najpierw z daleka, bo są raczej nieufni. Mają gładkie twarze barwy miedzi z wypukłymi czołami i włosami dziwnego koloru, prawie czerwonymi. Słońce i wiatr pustyni spaliły ich skórę i włosy. Są w łachmanach, ubrani tylko w długie koszule z surowego płótna lub w sukienki uszyte z worków po mące. Nie zbliżają się, ponieważ mówią *szleh* i nie rozumieją języka, jakim posługują się ludzie w dolinie. Ale Lalla bardzo ich lubi i oni się jej nie boją. Czasami niesie im coś do jedzenia, to, co mogła wziąć po kryjomu z domu Aammy, trochę chleba, herbatniki, suszone daktyle.

Tylko Hartani może z nimi przebywać, ponieważ jak oni jest pasterzem i nie mieszka z ludźmi w Cité. Kiedy Lalla jest z nim daleko, pośrodku kamiennego płaskowyżu, przybiegają, przeskakując ze skały na skałę, nie hałasują. Gwiżdżą tylko od czasu do czasu, by uprzedzić o swym nadejściu. Przyszedszy, otaczają Hartaniego i mówią coś bardzo szybko w swoim dziwnym języku, który przypomina świergot ptaków. Później odchodzą śpiesznie, gwiżdżą, skacząc po kamiennym płaskowyżu, czasem Hartani biegnie z nimi, a Lalla próbuje dotrzymać im kroku, ale nie potrafi skakać tak szybko. Wszyscy śmieją się głośno, patrząc na nią, i dalej biegną, wybuchając wesołym śmiechem.

Dzieli swoje posiłki na białych skałach pośrodku płaskowyżu, pod koszulą na piersi noszą zawiniątko zawierające trochę czarnego chleba, daktyle, figi, suszony ser. Dają po kawałku Hartanieniu i Lalli, a w zamian Lalla częstuje ich odrobiną swego białego chleba. Czasami przynosi czerwone jabłko, które sama kupiła. Hartani wyjmuje mały nóż bez rękojeści i dzieli jabłko na kawałeczki, żeby każdy miał swoją część. Miłe jest popołudnie na kamiennym płaskowyżu, światło słońca nieustannie skacze po krawędziach kamieni, a wokół lśnią iskierki. Niebo ma kolor głębokiego błękitu bez tej białej mgiełki, która przychodzi od morza i rzeki. Kiedy wiatr mocno dmucha, trzeba wejść w dziurę między skałami, chroniąc się przed zimnem, a wtedy nie słychać już dźwięku powietrza, które gwiżdże nad ziemią wśród krzewów. Jest to dźwięk podobny do szumu morza, ale powolniejszy i dłuższy. Lalla słucha

wiatru, piskliwych głosów małych pasterzy i odległego beczenia stad. Są to dźwięki, które lubi najbardziej na świecie, tak jak krzyk mew i uderzenia fal. Dźwięki zapewniające jakby, że nigdy nic złego nie zdarzy się na ziemi. W któryś z takich dni Lalla po zjedzeniu chleba i daktyli poszła za Hartanim aż do podnóża czerwonych wzgórz, do grot. Tam właśnie śpi pasterz w suchej porze roku, kiedy stado kóz musi się oddalić, żeby znaleźć nowe pastwiska. W skalistym, czerwonym brzegu widać czarne otwory, w połowie zasłonięte przez kolczaste zarośla. Niektóre z tych otworów są zaledwie takie jak jamy, ale kiedy się wchodzi, jaskinia się powiększa, jest obszerna jak dom i tak chłodna.

Lalla wczołgała się tam na brzuchu w ślad za Hartanim. Na początku nic nie widziała i bała się. Nagle zaczęła wołać:

– Hartani! Hartani!

Pasterz wrócił, wziął ją za ramię i wprowadził do wnętrza groty. Kiedy oswoiła się z mrokiem, zauważyła wielkie pomieszczenie. Ściany były tak wysokie, że nie widać było ich końca, z szarymi i niebieskimi plamami, śladami bursztynu i miedzi. Powietrze miało szarą barwę z powodu niewielkiej ilości światła, które przenikało otworami w skale. Lalla usłyszała głośnie bicie skrzydeł i przytuliła się do pasterza. Ale były to tylko nietoperze, którym przeszkodzono we śnie. Popiskując, odleciały, by zawisnąć trochę dalej.

Hartani usiadł na wielkim, płaskim kamieniu, Lalla tuż obok i razem patrzyli na oslepiające światło, jakie dostawało się przez otwór przed nimi. W grocie jest mrok, wilgoć wiecznej nocy, ale na zewnątrz, na kamiennym płaskowyżu, światło zadaje ból oczom. Jak gdzieś w innym kraju, w innym świecie. Jak na dnie morza.

Teraz Lalla nic nie mówi, nie ma ochoty mówić. Oboje z Hartanim są po stronie nocy. Jego spojrzenie jest ciemne jak noc, skóra ma kolor cienia. Lalla czuje ciepło ciała pasterza tuż obok siebie, a światło jego spojrzenia przenika w nią po trochu. Chciałaby dotrzeć do niego, do jego królestwa, być z nim bez reszty, aby nareszcie mógł ją usłyszeć. Przybliży usta do ucha chłopca, czuje zapach jego włosów, skóry, wymawia jego imię bardzo cicho, prawie bezgłośnie. Cień jest wokół nich, otula jak lekki, mocny woal. Lalla słyszy wyraźnie szum wody płynącej wzdłuż ścian groty i ciche pokrzykiwanie nietoperzy. Kiedy jej skóra dotyka skóry Hartaniego, czuje falę dziwnego gorąca w ciele, jakieś oszołomienie. Ciepło słońca, które przenika przez cały dzień ich ciała, teraz wydostaje się gorączkowymi falami. Oddechy ich stykają się również, mieszają, bo niepotrzebne są już słowa, ale tylko to, co oboje czują. Oszołomienie, którego jeszcze nie zna, zrodziło się w cieniu groty, w ciągu kilku chwil, jakby kamienne ściany i wilgotny cień czekały od dawna na ich przyjście, by uwolnić swą moc. Lalla czuje coraz silniejsze wirowanie i słyszy wyraźnie pulsowanie krwi, zmieszane z dźwiękami kropel wody na ścianach i cichymi krzykami nietoperzy. Ciała ich jakby zjednoczyły się z grotą albo były niewolnikami w brzuchu olbrzyma.

Zapach Hartaniego, zapach kozy i owcy, miesza się z zapachem dziewczyny. Lalla czuje ciepło jego rąk, pot zrasza jej czoło, zlepia włosy.

Nagle przestaje rozumieć, co się z nią dzieje. Boi się, pochyla głowę i chce uciec z objąć pasterza, który przytrzymuje jej ramiona na kamieniu i splata swe długie, mocne nogi z jej nogami. Lalla chciałaby krzyczeć, ale niczym we śnie nie może wydobyć głosu. Wilgotny cień obejmuje ją i zasłania oczy, ciężar ciała pasterza przeszkadza oddychać. Wreszcie w rozpacz woła, a głos jej dźwięczy jak grzmot pod sklepieniem groty. Nietoperze, nagle obudzone, zaczynają krążyć pośród ścian, hałasując skrzydłami i piszcząc.

Hartani już stoi na kamieniu, odsuwa się trochę. Macha długimi rękami, by odpędzić chmary oszołomionych nietoperzy wirujących wokół niego. Lalla nie widzi jego twarzy, bo cień groty stał się bardzo gęsty, ale odgaduje w nim przerażenie. Ogarnia ją wielki smutek, który narasta bez granic. Już nie boi się cienia ani nietoperzy. Teraz ona bierze rękę Hartaniego i czuje, jak bardzo drży, że wstrząsają nim dreszcze. Chłopiec stoi nieruchomo. Z tułowiem odchylonym do tyłu, z ramieniem przed oczami, by nie widzieć nietoperzy, drży tak

mocno, że szczęka zębami, więc Lalla prowadzi go ku wejściu do grotty i ciągnie na zewnątrz, aż słońce zalewa ich głowy i ramiona.

W świetle dnia Hartani ma twarz tak zmienioną, tak godną litości, że Lalla nie może powstrzymać się od śmiechu. Wyciera ślady mokrej ziemi z podartej sukienki i z długiej koszuli Hartaniego. Później razem schodzą zboczem w stronę kamiennego płaskowyżu. Słońce mocno lśni na ostrych kamieniach, ziemia jest biała i czerwona pod prawie czarnym niebem.

Czują się teraz zupełnie tak, jakby zanurzyli naprzód głowy w zimnej wodzie, chroniąc się przed gorącem, a później długo pływali, by umyć całe ciało. Biegną następnie przez kamienny płaskowyż, tak szybko, jak tylko mogą, przeskakując skały, aż Lalla staje, tracąc oddech, zgięta w pół od kolki. Hartani skacze dalej ze skały na skałę, jak zwierzę, następnie spostrzega, że Lalli już nie ma za nim i zatacza wielkie koło, wracając.

Siedzą razem w słońcu, na kamieniu, trzymając się mocno za ręce. Słońce opada ku linii horyzontu, niebo staje się żółte. W dali, na wzgórzach, w zagłębieniach dolin odpowiadają sobie przenikliwe gwizdy pasterzy.

Lalla lubi ogień. Tutaj, w Cité, są wszystkie rodzaje ognia: ogień poranne, kiedy kobiety i małe dziewczynki gotują posiłki w wielkich czarnych garnkach i kiedy dym unosi się nad ziemią zmieszany z mgłą świtu, na chwilę przedtem, nim słońce ukaże się ponad czerwonymi wzgórzami; ogień z traw i gałązek, które płoną długo prawie zduszone, bez płomieni; ogień z *brasero*, widoczne u schyłku popołudnia w pięknym świetle zachodzącego słońca, pośród miedzianych odblasków. Nisko unoszący się dym pełza niczym długi wąż o niewyraźnych kształtach, ciągnie się od domu do domu, rzuca szare kółka w kierunku morza. Wreszcie ogień, które rozpalono pod starymi puszkami po konserwach, by rozgrzać smołę potrzebną do zatkania dziur w dachach i ścianach.

Tu wszyscy lubią ogień, szczególnie dzieci i starcy. Za każdym razem, gdy rozpala się ogień, siadają wokół niego, kucają na piętach i pustymi oczami patrzą na tańczące płomienie. Kiedy indziej rzucają małe, suche gałązki, które natychmiast zapalają się z trzaskiem, a także garści trawy, które płoną, tworząc błękitne kłęby.

Lalla idzie posiedzieć na piasku, nad brzegiem morza, tam, gdzie Naman rybak zapalił wielkie ognisko z gałęzi, ażeby podgrzać smołę dla uszczelnienia barki. Pod wieczór powietrze jest bardzo łagodne, bardzo spokojne, a niebo jasnoblękitne, przezroczyste, bez jednej chmurki.

Nad brzegiem morza widać wciąż nieco rachityczne drzewa spalone przez sól i przez słońce, z listowiem utworzonym przez tysiące maleńkich szaroniebieskich igiełek. Kiedy Lalla przechodzi obok nich, zabiera garść igiełek na ognisko dla Namana rybaka, a kilka wkłada do ust i powoli żuje. Igiełki są słone, cierpkie, ale smak ten miesza się z zapachem dymu, i tak jest przyjemnie.

Naman rozpala swoje ognisko byle gdzie, tam, gdzie znajduje grube konary tkwiące w piasku, robi z nich stos, a dołki wypełnia suchymi gałązkami, które zbiera na równinie, z drugiej strony wydmy. Dodaje również wysuszonych alg i ostów. Czyni to wówczas, kiedy słońce stoi jeszcze wysoko na niebie. Pot sływa po czole i policzkach starego człowieka. Piasek parzy jak żar.

Następnie rozpala ogień, bacznie zwracając uwagę, by podłożyć płomień od strony, z której nie wieje wiatr. Naman bardzo dobrze umie rozpalic ognisko i Lalla obserwuje uważnie wszystkie jego gesty, ucząc się ich. On umie wybrać miejsce, ani zbyt odsłonięte, ani zbyt ukryte, w zagłębieniu wydmy.

Ogień zapala się i gaśnie dwa lub trzy razy, ale Naman jakby nie zwracał na to uwagi. Za każdym razem, kiedy płomień niknie, rozgarnia gałązki dłonią, nie lękając się żaru. Ogień jest właśnie taki; lubi tych, którzy się go nie boją. I na nowo wystrzela, z początku mały, widać

jedynie jego głowę świecąca pośród gałęzi, później nagle ogarnia całą podstawę ogniska i bije jasnym blaskiem, głośno trzaskając.

Wtedy Naman rybak umieszcza nad nim żeliwny trójnóg, na którym stawia spory kociołek smoły. Później siada na piasku i spogląda w ogień, rzucając od czasu do czasu gałązkę, którą płomienie natychmiast pożerają. Dzieci również przychodzą posiedzieć; poczuły zapach dymu, przybyły z daleka, biegnąc wzdłuż plaży. Pokrzykują, nawołują się, wybuchają śmiechem, bo ogień ma siłę magiczną, zachęca ludzi do biegania, nawoływań, śmiechu. W pewnym momencie płomienie stają się wysokie i jasne, drżą, trzaskają, tańczą, a w ich załamaniach można wszystko zobaczyć... Lalli najbardziej podobają się gorące główne u podstawy ogniska, otoczone płomieniami; ten kolor ognisty, który nie ma nazwy, a który przypomina barwę słońca.

Lalla patrzy również na iskry; unoszą się z szarym dymem, zapalają się i gasną, znikają w błękitnym niebie. Nocą są jeszcze piękniejsze, podobne do kłębków latających gwiazd. Pojawiły się również pustynne muchy, zwabione zapachem płonących alg, gorącej smoły i podrażnione spiralami dymu. Naman nie zwraca na nie uwagi. Patrzy tylko na ogień. Od czasu do czasu wstaje, macza kij w kociołku ze smołą i sprawdza, czy jest wystarczająco ciepła, później miesza gęstą ciecz, mruży oczy od wirującego dymu. Jego barka czeka o kilka metrów stąd, na plaży, z kilem w powietrzu, gotowa do smołowania. Teraz słońce szybko zachodzi, zbliża się do wysuszonych wzgórz po drugiej stronie wydmy. Cień rośnie. Dzieci siedzą na plaży, przytulone do siebie, a śmiechy ich cichną powoli. Lalla spogląda na Namana, próbuje dostrzec jasne światło koloru wody, błyszczące w jego spojrzeniu. Naman rozpoznaje ją, robi ręką przyjacielski znak, później mówi nagle, jakby to była najnaturalniejsza rzecz w świecie:

– Czy opowiadałem ci już o Balaabilu?

Lalla potrząsa głową. Jest szczęśliwa, ponieważ teraz nadeszła odpowiednia chwila, by wysłuchać jakiejś historyjki, właśnie tu, na plaży, i patrzeć na ogień, dzięki któremu smoła w kociołku bulgocze, na bardzo niebieskie morze, i czuć ciepły wiatr, pełen brzęczących much i os, i słuchać szumu fal morskich, które dopływają aż do starej barki wywróconej na piasku.

– A więc nigdy nie opowiadałem ci historii o Balaabilu?

Stary Naman wstaje, żeby popatrzeć na gotującą się smołę. Wolno miesza kijem w kociołku i minę ma taką, jakby wszystko było w porządku. Wtedy daje Lalli stary rondel o spalonym uchwycie.

– Napełnij to smołą i przyniesiesz mi, kiedy będę blisko barki.

Nie czeka na odpowiedź i idzie zająć miejsce na plaży, przy swojej łodzi. Przygotowuje przeróżne pędzle zrobione ze szmatek, zawiniętych na końcu drewniek.

– Chodź!

Lalla napełnia garnek. Z gotującej się smoły wyskakują małe bąbelki, które kłują, a dym piecze w oczy. Ale ona biegnie, trzymając rondel przed sobą, w wyciągniętej ręce. Dzieci podążają za nią ze śmiechem i siadają wokół barki.

– Balaabilu, Balaabilu!

Stary Naman podśpiewuje imię słowika, jakby chciał dobrze sobie przypomnieć to wszystko, o czym mowa w bajce. Zanurza pędzle w gorącej smole i zaczyna malować kadłub barki w miejscach, gdzie są uszczelnienia z pakuł, między spojeniami desek.

– Było to bardzo dawno temu – mówi stary Naman. – Działo się to w czasach, których ani ja, ani mój ojciec, ani nawet dziadek nie znaleźliśmy, choć wszyscy dobrze pamiętają, co się wydarzyło. Wówczas ludzie nie byli tacy jak teraz i nie znano Rzymian ani niczego, co przychodzi z innych krajów. I dlatego też żyli jeszcze wtedy *dżinn*⁷, ponieważ nikt ich nie wygnał. Tak więc, w tamtych czasach w jednym z wielkich miast wschodu mieszkał potężny

7 *Dżinn* (arab.) - małe diabły, duchy (przyp. tłum.).

emir, który miał tylko jedno dziecko, córkę imieniem Leila, Noc. Emir kochał swoją córkę najbardziej na świecie, a była to najpiękniejsza dziewczyna w królestwie, najłagodniejsza, najmądrzejsza i przyrzeczono jej wszelakie szczęście...

Powoli na niebie zapada wieczór, błękit morza staje się ciemniejszy, a piana fal wydaje się jeszcze bielsza.

Stary Naman zanurza miarowo swoje pędzle w rondelku ze smołą i pociąga nimi, obracając, wzdłuż rowków wypełnionych pakułami. Wrząca ciecz przenika w szczeliny, spływa kroplami po piasku plaży. Wszystkie dzieci i Lalla także patrzą na ręce Namana.

– A więc w tym królestwie zdarzyło się coś strasznego – mówi dalej Naman. – Nastąpiła wielka susza, plaga Boża na całe królestwo i nie było wody w rzekach ani w zbiornikach i wszyscy umierali z pragnienia, najpierw drzewa i rośliny, później stada zwierząt, owce, konie, wielbłądy, ptaki i wreszcie ludzie. Umierali z pragnienia na polach, na skraju dróg, strasznie było na to patrzeć, dlatego też jeszcze o tym się pamięta...

Nadlatują płaskie muchy, siadają na ustach dzieci, brzęczą przy uszach. Oszałamia je cierpki zapach smoły i dym, który ciężkimi spiralami wiruje pośród wydm. Są również osy, ale nikt ich nie przepędza, ponieważ stary Naman snuje opowieść. I one również jakby stawały się zaczarowane, niczym *dzinn*.

– Emir tego królestwa był smutny i kazał zwołać mędrców, aby zasięgnąć ich rady, ale nikt nie wiedział jak przetrwać suszę. Wtedy przybył pewien obcy podróżnik, Egipcjanin, który znał czary. Emir i jego zapytał, jak odsunąć przekleństwo od kraju. Egipcjanin popatrzył w płamę z atramentu i nagle przeraził się, zadrżał i nie chciał nic powiedzieć. „Mów, rozkazał emir, mów, a uczynię cię najbogatszym człowiekiem w tym królestwie”. Ale cudzoziemiec nie chciał mówić: „Panie, proszę, padając na kolana, pozwól mi odejść, nie żądam, bym ujawnił ci tę tajemnicę”.

Kiedy Naman przerywa opowieść, by zanurzyć pędzle w rondelku, dzieci i Lalla prawie nie śmieją oddychać. Słuchają trzaskania ognia i bulgotania smoły, która gotuje się w garnku.

– Wówczas emir rozgniewał się i rzekł Egipcjaninowi: „Mów albo koniec z tobą”. I kaci zajęli się nim i już wyciągali szable, żeby uciąć mu głowę. Wtedy cudzoziemiec zawołał: „Zaczekajcie. Zdradzę ci tajemnicę klątwy. Ale wiedz, że jesteś przeklęty!”.

Stary Naman ma bardzo szczególny sposób mówienia: wymawia przeciągle *Mlaaun*, przeklęty przez Boga, i głos jego wprawia dzieci w drżenie. Przerywa na chwilę, żeby resztę smoły wylać z rondla. Bez słowa podaje go Lalli, a ona musi biec aż do ogniska, by napełnić rondelk wrząca smołą. Na szczęście Naman czeka na jej powrót, by dalej ciągnąć opowieść:

– Wtedy Egipcjanin powiedział emirowi: „Czy nie kazałeś ukarać pewnego człowieka, za to, że ukradł złoto jakiemuś kupcowi? – Tak, uczyniłem to, ponieważ był złodziejem. – Wiedz, że człowiek ten był niewinny, odrzekł Egipcjanin, i fałszywie oskarżony, i on ciebie przeklął, to właśnie on zesłał tę suszę, ponieważ jest sprzymierzony z duchami i demonami”.

Kiedy zapada wieczór, właśnie tu, na plaży, i kiedy słyhać poważny głos starego Namana, wydaje się, że czas już nie istnieje, albo że cofnął się w przeszłość, w inny okres, długi i spokojny. I Lalla chciałaby bardzo, żeby opowiadanie Namana nie skończyło się nigdy, nawet gdyby miało trwać dni i noce i żeby ona i inne dzieci zasnęły, a po obudzeniu były tu jeszcze i słuchały głosu starego rybaka.

– „Co trzeba uczynić, aby uwolnić się od tego przekleństwa”, zapytał emir. Egipcjanin popatrzył mu prosto w oczy: „Wiedz, że jest tylko jedno lekarstwo, powiem jakie, ponieważ prosisz, bym ci je ujawnił. Musisz poświęcić swoją jedyną córkę, tę, która kochasz bardziej niż wszystko inne na świecie. Daj ją dzikim bestiom w lesie na pożarcie, a susza, jaka spadła na twój kraj, minie”. Wówczas emir zaczął płakać i krzyczeć z bólu i gniewu. Ale ponieważ był człowiekiem szlachetnym, pozwolił Egipcjaninowi spokojnie odejść. Kiedy ludzie dowiedzieli się o nowinie, także płakali, bo i oni kochali Leilę, córkę króla. Ale ofiara musiała się spełnić i emir zdecydował, że doprowadzi córkę do lasu i da ją na pożarcie dzikim

bestiom. Ale żył w kraju pewien młodzieniec, który kochał Leilę bardziej niż inni i postanowił ją uratować. Dostał on w spadku po krewnym czarowniku pierścień, który sprawiał, że noszący go człowiek mógł przybrać postać zwierzęcia. Wtedy jednak do poprzedniego wcielenia nie wracał, zyskując za to nieśmiertelność. Nadeszła noc ofiary i emir pojechał do lasu w towarzystwie córki...

Powietrze jest gładkie i czyste, horyzont – linią bez końca. Lalla patrzy najdalej, jak tylko może, jakby była zamieniona w mewę i leciała prosto przed siebie, ponad morzem.

– Emir dotarł do środka lasu, kazał córce zsiąść z konia i przywiązał ją do drzewa. Później odjechał, płacząc z bólu, bo słysząc już było głosy okrutnych bestii, które zbliżały się do swej ofiary...

Na plaży szum fal jest chwilami wyraźniejszy, jakby morze przybliżało się. Ale to tylko wiejący wiatr, który wiruje w zagłębieniach wydm i wyrzuca trąby piasku, które mieszają się z dymem.

– W lesie, przywiązana do drzewa, biedna Leila drżała z trwogi i wzywała na pomoc ojca, bo brakowało jej odwagi, by umrzeć rozszarpana przez dzikie bestie... Już zbliżał się do niej wielki wilk i widziała, że jego ślepie błyszczą jak płomienie w nocy. Wtedy nagle w lesie usłyszano muzykę. Była to muzyka tak piękna i czysta, że Leila przestała się bać, a wszystkie dzikie bestie z lasu stanęły, by jej posłuchać...

Dłonie starego Namana ujmują pędzle, jeden po drugim i przesuwiają je, obracając, wzdłuż kadłuba barki. Na nie patrzą też dzieci i Lalla, jakby to właśnie one snuły opowieść.

– Niebiańska muzyka rozlegała się w całym lesie i słuchając jej dzikie bestie kładły się na ziemi łagodne jak baranki, ponieważ śpiew spływający z nieba zawracał je, niepokoił ich dusze. Leila również słuchała muzyki oczarowana i wkrótce więzy jej opadły, same się rozwiązały i zaczęła ich lasem, a wszędzie, gdzie szła, niewidzialny muzyk był ponad nią, schowany w listowiu drzew. A dzikie bestie leżały wzdłuż drogi i lizaly dłonie księżniczki, nie robiąc jej najmniejszej krzywdy...

Powietrze jest teraz tak przezroczyste, a światło tak łagodne, jakby było się w innym świecie.

– Leila wróciła więc nad ranem do domu ojca, szła całą noc, a muzyka towarzyszyła jej aż do wrót pałacu. Kiedy ludzie dowiedzieli się o tym, ogarnęła ich radość, bo bardzo kochali księżniczkę. Ale nikt nie zauważył małego ptaszka, który ostrożnie przelatywał z gałęzi na gałąź. I jeszcze tego samego ranka deszcz zaczął padać na ziemię...

Naman na chwilę przestaje malować, dzieci i Lalla patrzą na jego miedzianą twarz, w której błyszczą zielone oczy. Ale nikt nie stawia pytań, nikt nie mówi ani słowa.

– I w deszczu ptak Balaabilu śpiewał ciągle, bo to on właśnie uratował życie księżniczce, którą kochał. A ponieważ nie mógł już wrócić do ludzkiej postaci, przylatywał co wieczór na gałąź drzewa blisko okna Leili i śpiewał jej swoją najpiękniejszą pieśń. Mówi się nawet, że po śmierci księżniczka zmieniła się również w ptaka i mogła razem z Balaabilu śpiewać po wsze czasy, razem z nim w lasach i ogrodach.

Naman milknie. Dalej naprawia barcę, przeciągając pędzlem ze smołą wzdłuż kadłuba. Światło gaśnie, ponieważ słońce wślizguje się na drugą stronę horyzontu. Niebo staje się żółte, gdzieś zielonkawe, wzgórza wyglądają jak wycięte ze smołowanego papieru. Dym z żaru jest delikatny, lekki, ledwie widać go pod światło, jak dym z papierosa.

Dzieci kolejno odchodzą. Lalla zostaje ze starym Namanem. On w milczeniu kończy swą pracę. Później odchodzi, zabierając pędzle i rondelki ze smołą, idzie powoli wzdłuż plaży. Wtedy obok Lalli zostaje już tylko gasnący ogień. Cień wypełnia szybko niebo, cały intensywny błękit dnia staje się czernią nocy. Morze nie wiadomo czemu uspokaja się w tej chwili. Fale rozciągają na piasku lilaróż obrusy z piany. Pierwsze nietoperze zaczynają latać nad powierzchnią morza, szukając owadów. Jest kilka komarów, kilka szarych, zbłąkanych motyli. Lalla słyszy w oddali zduszony krzyk lelków. W żarze kilka czerwonych główki tli się

jeszcze, bez płomieni i dymu, jak dziwne podskakujące stwory, schowane w popiele. Kiedy ostatnia iskra gaśnie, jaśniejac przedtem silniej przez kilka sekund jak ostatnia umierająca gwiazda, Lalla wstaje i odchodzi.

W kurzu starych dróg, prawie wszędzie widać ślady i Lalla bawi się idąc po nich. Czasami, kiedy są to ślady ptaka lub owada, nie prowadzą nigdzie. Czasami do nory w ziemi albo do drzwi jakiegoś domu. To Hartani nauczył ją chodzić po śladach, tak by nie dać się zwieść przez to, co znajduje się wokół nich: przez trawy, kwiaty lub błyszczące kamienie. Kiedy Hartani idzie jakimś śladem, jest zupełnie podobny do psa myśliwskiego. Jego oczy błyszczą, nozdrza są rozdęte, całe ciało pochylone do przodu. Od czasu do czasu kładzie się nawet na ziemi, żeby lepiej czuć trop.

Lalla bardzo lubi ścieżki w pobliżu wydm. Przypominają jej pierwsze dni po przyjeździe do Cité, po tym, jak matka jej umarła w gorączce. Przypominają podróż w ciężarówce okrytej plandeką. Siostra ojca, ta, która nazywa się Aamma, jechała owinięta w płaszcz z czarnej wełny, z twarzą zakrytą przed kurzem pustyni. Podróż trwała kilka dni i każdego dnia Lalla siedziała z tyłu ciężarówki, pod przytłaczającą plandeką, pośród toreb i zakurzonych tobołków. Później, któregoś dnia, przez dziurę w plandece zobaczyła bardzo niebieskie morze, wzdłuż plaży okolonej pianą, i zaczęła płakać, nie wiedząc, z radości czy ze zmęczenia.

Za każdym razem, kiedy Lalla idzie ścieżką nad brzegiem, myśli o morzu tak niebieskim pośród kurzu ciężarówki i o pełnych ciszy długich ostrzach, które poruszają się na ukos, bardzo daleko, wzdłuż plaży. Myśli o tym wszystkim, co zobaczyła nagle, tak zwyczajnie, przez szczelinę w plandece ciężarówki, i czuje łzy w oczach, bo jest trochę tak, jakby spojrzenie jej matki wracało do niej, ogarniało ją, przyprawiało o dreszcze.

Tego właśnie szuka wzdłuż wydmowej drogi, z bijącym sercem, z pochylonym ciałem, jak Hartani, kiedy śledzi trop. Szuka miejsc, w których wtedy była, tak dawno, że nie pamięta nawet samej siebie.

Czasem mówi: „*Ummi*”, tak zwyczajnie, cichutko, szeptem. Czasami do niej przemawia, bardzo cicho, jednym tchem, patrząc na bardzo niebieskie morze pośród wydm. Nie bardzo wie, co powinna powiedzieć, bo przecież od tak dawna nie pamięta nawet, jak wygląda matka. Może też zapomniała dźwięku jej głosu i słowa, których lubiła wtedy słuchać?

– Dokąd poszłaś *Ummi*? Chciałabym bardzo, żebyś przyszła mnie zobaczyć, tak bardzo bym chciała...

Lalla siada na piasku twarzą do morza i patrzy na powolne ruchy fal. Jest jednak inaczej niż wtedy, kiedy zobaczyła morze po raz pierwszy, po tylu dniach spędzonych w kurzu czerwonych dróg prowadzących z pustyni.

– *Ummi*, nie chcesz wrócić, by mnie zobaczyć? Widzisz, ja o tobie nie zapomniałam.

Lalla szuka w pamięci śladów słów, jakie kiedyś wymawiała matka, słów, jakie śpiewała. Ale trudno je odnaleźć. Trzeba zamknąć oczy i odchylić się do tyłu, najdalej jak to możliwe, jakby leciało się do studni bez dna. Lalla znów otwiera oczy, ponieważ nie ma już niczego w pamięci.

Wstaje, idzie plażą, patrzy na wodę ścielącą pianę na piasku. Słońce piecze ją w ramiona i kark, światło oślepia. Lalla bardzo to lubi. Lubi także sól, którą wiatr zostawia na jej wargach. Ogląda pozostałe na piasku muszelki, perłoworóżowe, słomkowożółte, puste muszle ślimaków, długie wstęgi alg, zielono-czarne, szare, purpurowe. Zwraca uwagę, żeby nie postawić stopy na meduzie albo płaszczce. Kiedy woda się cofa, na piasku, tam, gdzie leżała ryba, widać dziwne poruszenie. Lalla idzie brzegiem bardzo daleko, gnana szumem fal. Od czasu do czasu staje nieruchomo i patrzy na swój czarny cień płynący u stóp albo na błysk piany.

– *Ummi* – mówi znowu Lalla. – Czy nie możesz wrócić? Tylko na chwilę. Chcę cię zobaczyć, bo jestem zupełnie sama. Kiedy umarłaś, Aamma przyjechała po mnie, nie chciałam z nią iść, ponieważ wiedziałam, że nie będę cię mogła więcej zobaczyć. Wróc, wróc choć na chwilę.

Patrząc przymkniętymi oczami na światło, odbijające się na białej plaży, Lalla widzi wielkie piaszczyste pola, które były wszędzie tam, w kraju *Ummi*, wokół domu. Nagle drży, przez chwilę zdawało jej się, że widzi suche drzewo.

Serce bije szybciej i Lalla zaczyna biec w kierunku wydm, tam gdzie nie dochodzi wiatr od morza. Pada brzuchem na gorący piasek, małe osty drą jej sukienkę i wbijają kolce w brzuch i uda, ale ona nie zwraca na to uwagi. Wewnątrz ciała czuje gwałtowny ból, ból tak mocny, że wydaje jej się, że zaraz zemdleje. Dłonie zagłębiają się w piasku, Lalla przestaje oddychać. Sztywnieje niczym deska. Wreszcie znowu może otworzyć oczy, bardzo wolno, jakby naprawdę miała zobaczyć sylwetkę uschniętego drzewa, które na nią czeka. Ale nie ma nic, niebo jest wielkie, bardzo błękitne i słychać ciągły szum fal po drugiej stronie wydm.

– *Ummi*, och *Ummi* – powtarza raz jeszcze Lalla, pojękując.

Ale teraz widzi bardzo wyraźnie. Widzi wielkie pole czerwonych kamieni i kurz tam, przed uschniętym drzewem, pole tak szerokie, że zdaje się rozciągać aż na kraj ziemi. Pole jest puste, a mała dziewczynka biegnie w kurzu w stronę uschniętego drzewa, jest tak mała, że nagle zgubiła się pośrodku pola, blisko czarnego drzewa, nie wiedząc dokąd iść. Wtedy woła z całych sił, ale głos jej odbija się od czerwonych kamieni, rozprasza w świetle słońca. Krzyczy, a cisza, która ją otacza, jest straszna, cisza, która dławi, która boli. Dziewczynka idzie prosto przed siebie, upada, wstaje, kaleczy bosa stopy o brzegi kamieni, głos jej załamuje się w szlochu, i nie może już oddychać.

– *Ummi! Ummi!* – Tak właśnie woła, teraz słyszy wyraźnie swój głos, swój rozdzierający głos, który nie może wydostać się z pola kamieni i kurzu, który wraca do niej i ginie. Właśnie te słowa słyszy po jakimś czasie i one sprawiają ból, bo znaczą, że *Ummi* nie wróci.

Wówczas przed zagubioną dziewczynką pojawia się nagle to drzewo, w samym środku kamiennego pola i kurzu, uschnięte drzewo. Drzewo, które umarło z pragnienia lub starości, albo rażone gromem. Nie jest bardzo wysokie, ale niezwykle, ponieważ powykręcane we wszystkie strony, z kilkoma starymi gałęziami, nastroszonymi niczym ości, i z czarnym pniem ze splecionych pędów, z długimi czarnymi korzeniami splątanymi wokół skał. Dziewczynka idzie w stronę drzewa, wolno, nie wiedząc czemu zbliża się do wypalonego pnia i dotyka go dłońmi. I nagle mrozi ją strach: z wierchołka drzewa bardzo długo owija się wąż i spuszcza w dół. Bez końca ześlizguje się wzdłuż gałęzi, jego łuski zgrzytają na suchym drzewie, wydają metaliczny dźwięk.

Wąż spuszcza się bez pośpiechu, przysuwa swoje szaroniebieskie ciało do twarzy dziewczynki. Ona patrzy na niego bez mrugnięcia powiek, w bezruchu, prawie nie oddychając, i żaden krzyk nie może wyjść z jej gardła. Nagle wąż nieruchomieje, spogląda na nią. Wtedy dziewczynka odskakuje i zaczyna biec ze wszystkich sił, sama przez kamienne pole, biegnie, jakby chciała przebiec całą ziemię, z wyschniętymi ustami, z oczami oślepiionymi światłem, ze świszczącym oddechem, biegnie do jakiegoś domu, do cienia *Ummi*, która przytula ją bardzo mocno i gładzi po twarzy; dziewczynka czuje słodki zapach włosów *Ummi* i słyszy jej łagodne słowa.

Ale dziś nie ma nikogo, niczego na krańcu przestrzeni białego piasku, a niebo jest jeszcze większe, bardziej puste. Lalla siedzi w zagłębieniu wydm, z ciałem zgiętym w pół, z głową wciśniętą między kolana. Czuje pieczenie słońca na karku, tam, gdzie włosy rozdzielają się, i na ramionach, przez szorstki materiał sukienki.

Myśli o Es Serze, o tym, który nazywa się Tajemnica i którego spotkała na kamiennym płaskowyżu. Może chciał jej coś powiedzieć, powiedzieć, że nie jest sama, pokazać drogę prowadzącą do *Ummi*. Może to jeszcze jego spojrzenie pali teraz jej ramiona i kark?

Ale kiedy ponownie otwiera oczy, nikogo nie ma na brzegu. Strach minął. Uschnięte drzewo, wąż, wielkie pole czerwonych kamieni i kurzu znikły, jakby nigdy nie istniały. Lalla wraca ku morzu. Jest prawie tak piękne jak w owym dniu, kiedy zobaczyła je po raz pierwszy przez dziurę w plandecie ciężarówki i kiedy się rozpląkała. Słońce oczyściło powietrze nad morzem. Ponad falami i wielkimi grzywami piany tańczą isierki. Wiatr jest ciepły, pełen zapachów głębin, alg, muszelek, soli, piany.

Lalla rusza powoli wzdłuż brzegu i czuje upojenie, jakby naprawdę czyjeś spojrzenie biegło od morza, światła, nieba, białej plaży. Nie bardzo wie, co to, ale wie, że wszędzie jest ktoś, kto na nią patrzy, kto oświetla ją swym spojrzeniem. To ją trochę niepokoi, a jednocześnie daje uczucie ciepła, falę, która w niej promieniuje i z brzucha rozchodzi się aż do krańców ciała.

Staje, patrzy wokół siebie: nie ma nikogo, żadnej ludzkiej istoty. Są jedynie wielkie zjeżone wydmy, usiane ostami, i fale, które nadchodzą jedna po drugiej ku brzegowi. Czy to morze patrzy tak bez przerwy głębokim spojrzeniem wodnych fal, spojrzeniem oślepiającym, sfałdowanych, piaszczystych wydm i soli? Naman, rybak, mówi, że morze jest jak kobieta, ale nigdy tego nie tłumaczy. Spojrzenie dobiega jednocześnie ze wszystkich stron naraz.

Wtedy, w tym właśnie momencie odbywa się wielki przelot mew i morskich jaskółek, które zdążają wzdłuż wybrzeża, pokrywając plażę cieniem. Lalla staje, nogi ma zagłębione w mokrym piasku, głowę odrzuconą do tyłu; patrzy na lecące morskie ptaki. Lecą powoli unoszone ciepłym wiatrem, ich długie, wyciągnięte skrzydła tną powietrze. Głowy mają trochę przechylone na bok, a z wpółotwartych dziobów wydobywają się dziwne pojękiwania, skrzyknięcia.

Pośrodku stada widać mewę, którą Lalla dobrze zna, bo jest zupełnie biała, bez jednej czarnej plamki. Przelatuje wolno nad Lallą, wiosłując powoli pod wiatr, pióra skrzydeł ma nieco rozchylone, dziób wpółotwarty i kiedy tak leci, patrzy na Lallę, pochylając ku brzegowi małą głowę z okrągłym okiem, błyszczącym jak kropla.

– Kim jesteś? Dokąd zmierzasz? – pyta Lalla. Biała mewa patrzy na nią i nie odpowiada. Oddala się, goniąc inne, długo leci wzdłuż brzegu, szuka czegoś do jedzenia. Lalla myśli, że biała mewa musi ją znać, ale że brak jej odwagi, by się zbliżyć, bo mewy przecież nie są stworzone do życia z ludźmi.

Stary Naman mówi czasami, że morskie ptaki to duchy tych, co zginęli na morzu w czasie burzy, i Lalla myśli, że biała mewa jest duchem rybaka, wysokiego i szczupłego, o jasnej cerze i włosach koloru światła, z oczami błyszczącymi jak płomień. Był to może jakiś morski książę.

Więc Lalla siada na plaży, między wydmami, patrzy na stado mew, które szybuje wzdłuż wybrzeża. Latają z łatwością, bez większego wysiłku, ich długie, wygięte skrzydła przeciwstawiają się wiatrowi, głowy przechylone są nieco na bok. Szukają pożywienia, bo niedaleko stąd jest wielkie wysypisko miejskie, gdzie przyjeżdżają ciężarówki. Ptaki pokrzykują, ciągle wydając dziwne nieprzerwane jęki albo wybuchają niespodzianie, bez powodu, ostrymi krzykami, piskiem, śmiechem.

A poza tym, od czasu do czasu, biała mewa, która jest księciem morskim, fruwa blisko Lalli, rysuje wielkie koła nad wydmami, jakby ją rozpoznawała... Lalla daje jej znaki rękami, próbuje ją zawołać, szuka imion w nadziei znalezienia właściwego, tego, które może przywróci ptakowi pierwotną postać i sprawi, że pośrodku piany ukaże się książę morski z włosami koloru światła, z oczami błyszczącymi, jak płomień.

– Sulejman! Mumin! Daniel!

Ale wielka, biała mewa dalej krąży po niebie, nad morzem, muskając fale skrajem skrzydła, z okiem utkwionym w sylwetce Lalli; nie odpowiada. Czasami Lalla trochę rozżalona biegnie za mewami, macha rękoma i wykrzykuje przypadkowe nazwy, żeby rozgniewać tego, który jest księciem morskim:

– Kury! Wróble! Gołąbki!

A nawet:

– Krogulce! Sępy!

Bo są to ptaki, których mewy nie lubią. Ale on, biały ptak bez imienia, leci dalej wolnej; obojętny oddala się wzdłuż wybrzeża, szybuje ze wschodnim wiatrem i Lalla na próżno biegnie po twardym piasku plaży – i tak nie zdoła go odciągnąć.

Ptak odlatuje, ślizga się wraz z innymi wśród piany, oddala się. Wkrótce są już tylko niezauważalnymi punktami, które wtapiają się w błękit nieba i morza.

Woda również jest piękna. Kiedy zaczyna padać w pełni lata, woda cieknie strumieniami po dachach z blachy i smołowanego papieru, śpiewa swoją łagodną piosenkę w wielkich metalowych bańkach, pod rynnami. Deszcz przychodzi nocą i Lalla słucha dźwięku grzmotów, który toczy się i rośnie nad doliną albo nad morzem. Przez szczeliny w deskach patrzy na piękne białe światło – nieustannie zapala się i gaśnie i dzięki niemu wszystkie rzeczy w domu drgają. Aamma nie rusza się na posianiu, śpi dalej z głową przykrytą prześcieradłem, obojętna na odgłos burzy. Ale z drugiej strony izby obaj chłopcy obudzili się i Lalla słyszy, jak szeptem rozmawiają i cicho się śmieją. Siedzą na materacach i również chcą wyrzeć na zewnątrz, przez szczeliny w deskach.

Lalla wstaje, idzie po cichu aż do drzwi, żeby zobaczyć rysunki błyskawic. Ale zrywa się wiatr, duże zimne krople padają na ziemię i bębnią po dachu; wtedy Lalla kładzie się znowu na posłaniu, bo właśnie tak lubi słuchać odgłosów deszczu; z szeroko otwartymi oczami, w ciemnościach, widząc chwilami rozjaśniający się dach, i słuchając, jak krople uderzają gwałtownie o ziemię i blachę, jakby były maleńkimi kamieniami padającymi z nieba.

Po chwili Lalla słyszy strumień wody, który tryska z rynny i uderza o dno pustych beczek po nafcie; jest szczęśliwa, jakby to ona sama piła wodę. Na początku dobiega ją metaliczny trzask, a później, w miarę jak beczki napełniają się, hałas staje się mniej dźwięczny. Woda płynie z wszystkich stron naraz, na ziemię, do kałuż, do starych garnków pozostawionych na zewnątrz. Kiedy pada deszcz, suchy kurz zimy unosi się do góry, z dziwnym zapachem mokrej ziemi, słomy, dymu, zapachem, którym dobrze jest oddychać.

Dzieci biegają po nocy... Zdjęły ubrania i wszystkie biegają nago po deszczu, wzdłuż ulic, pokrzykując i śmiejąc się. Lalla chciałaby bardzo robić tak jak one, ale teraz jest już za duża; dziewczynki w jej wieku nie mogą biegać nago. A więc zasypia wsłuchana w uderzenia wody o blaszany dach, nie przestaje myśleć o dwóch wspaniałych fontannach, które tryskają z każdej strony dachu i wlewają jasną wodę do beczek po nafcie.

Dzięki temu, że woda spadała z nieba całymi dniami i nocami, można teraz brać ciepłe kąpiele w łaźni, z drugiej strony rzeki, w mieście. Aamma postanowiła zaprowadzić Lallę do łaźni pod koniec popołudnia, kiedy upał trochę zmalął i kiedy wielkie białe chmury zaczęły zbierać się na niebie.

To dzień kąpieli kobiet i wszystkie idą do miasta wąską ścieżką, pnącą się wzdłuż brzegu. O trzy lub cztery kilometry w górę jest most dla ciężarówek; ale zanim się tam dojdzie, widać bród. Właśnie tam kobiety przechodzą przez rzekę.

Aamma idzie przodem z Zubidą i ze swoją kuzynką, Zorą, i z innymi kobietami, które Lalla zna z widzenia, ale których imiona zapomniała. Przechodząc bród, podkasują sukienki, śmieją się i głośno rozmawiają. Lalla idzie trochę z tyłu, cieszy się bardzo, ponieważ tego popołudnia nie ma w domu nic do roboty, nie musi również szukać drewna na ogień. A poza tym bardzo lubi wielkie, białe chmury, tak nisko na niebie, i zielony kolor traw na brzegu rzeki. Woda w rzece jest lodowata, koloru ziemi, drga między nogami, kiedy Lalla przechodzi bród. Przy kanale, pośrodku rzeki, jest schodek i Lalla wpada do wody aż po brzuch; śpiesznie więc wychodzi w sukience przyklejonej do brzucha i ud. Na drugim brzegu chłopcy patrzą, jak kobiety unoszą sukienki, przechodząc przez rzekę. Rozgniewane rzucają w nich kamyczkami.

Łaźnia mieści się w wielkim hangarze z cegieł, zbudowanym tuż przy brzegu rzeki. Właśnie tam Aamma zaprowadziła Lallę, kiedy przybyła do Cité po raz pierwszy. Lalla nigdy przedtem nie widziała nic takiego. Jest tam tylko jedna, wielka sala z wannami i ciepłą wodą, i z piecami, w których rozgrzewa się kamienie. Jednego dnia przychodzą kobiety, następnego dnia mężczyźni. Lalla bardzo lubi tę salę, bo przez okna, wysoko w ścianach, pod dachem z falistej blachy, wchodzi dużo światła. Łaźnia czynna jest tylko latem, bo mało tu wody. Woda spływa z wielkiej, wysoko umieszczonej cysterny i płynie kanałem pod gołym niebem aż do budynku łaźni, gdzie spada kaskadą do wielkiego, cementowego basenu przypominającego umywalnię. Właśnie tam Lalla i Aamma myją się później, po gorącej kąpieli, opryskując się wielkimi strumieniami zimnej wody i pokrzykując trochę, bo drżą z zimna.

Lalla bardzo lubi tutaj również parę, która wypełnia całą salę jak biała mgła, tworzy warstwy aż do sufitu i ucieka przez okna, powodując migotanie światła. Kiedy wchodzi się do sali, przez chwilę trudno oddychać właśnie z powodu pary. Później zdejmuje się ubranie i złożone zostawia na krześle, w głębi hangaru. Na początku Lalla się wstydziła, nie chciała obnażać się przed innymi kobietami, bo nie była przyzwyczajona do kąpieli. Myślała, że patrzą na nią i śmieją się, bo nie ma piersi, a skóra jej jest bardzo jasna. Ale Aamma zbesztala ją i zmusiła do zdjęcia odzienia, a później do związania w koczek długich włosów. Teraz, kiedy się rozbiera, nie robi to na niej wrażenia. Nawet na innych nie zwraca uwagi. Na początku uważała to za okropność, bo widziała kobiety bardzo brzydkie i bardzo stare, ze skórą pomarszczoną jak na martwym drzewie, albo grube, tłuste, z piersiami jak worki, albo jeszcze inne, chore, z nogami zniekształconymi przez wrzody i żyłaki. Ale teraz Lalla już tak na nie nie patrzy. Żal jej kobiet brzydkich lub chorych; już się ich nie boi. A poza tym woda jest tak wspaniała, tak czysta, spada prosto z nieba do wielkiej cysterny, jest tak świeża, że powinna leczyć te, które jej potrzebują.

Lalla wchodzi po raz pierwszy do wanny po długich miesiącach suszy. Woda natychmiast ogarnia jej ciało, ścisza tak mocno skórę, nogi, brzuch, piersi, że Lalla na chwilę przestaje oddychać.

Woda jest bardzo ciepła, bardzo twarda, powoduje, że krew napływa pod skórę, rozszerza pory, wysyła fale ciepła aż do wnętrza ciała, jakby miała moc słońca i nieba. Lalla zanurza się głęboko, tak, by parząca woda sięgała jej aż za brodę, do warg, by zatrzymała się pod nosem. Pozostaje tak przez dłuższą chwilę, nie ruszając się, patrząc na sufit z falistej blachy, który zdaje się poruszać nad gęstą chmurą pary.

Później przychodzi Aamma z garścią mydliny i proszku do mycia i trze ciało Lalli, by zmyć pot i kurz z pleców, ramion i nóg. Lalla pozwala na to, bo Aamma umie bardzo dobrze mydlić i szorować; później idzie do umywalni i zanurza się w chłodnej wodzie, prawie zimnej, a woda zamyka pory, wygładza skórę, napina mięśnie i nerwy. Tę kąpiel bierze razem z innymi kobietami, słuchając dźwięku wody spadającej kaskadą z cysterny. Właśnie tę wodę Lalla lubi najbardziej. Jasną, jak woda ze źródeł górskich, i lekką. Woda ślizga się po czystej skórze jak wygładzony kamień, podskakuje w świetle, tryska tysiącami kropel. Pod jej strumieniem kobiety myją długie, ciężkie, czarne włosy. Nawet najbrzydsze ciała przez kryształ czystej wody wydają się piękne, zimno budzi głosy, niesie dźwięk przenikliwych śmiechów. Aamma pryska z całej siły w twarz Lalli i białe zęby dziewczynki lśnią w miedzianej twarzy.

Iskrzące się kropelki spływają po jej ciemnych piersiach, brzuchu, udach. Woda szlifuje, gładzi skórę, wydelikatnia wewnętrzną część dłoni. Jest zimno mimo pary wypełniającej hangar.

Aamma zawija Lallę w wielki ręcznik, sama okręca się prześcieradłem, które zawiązuje na piersiach. Razem idą w głąb hangaru, gdzie zostawiły na krzesłach złożone ubrania. Siadają i Aamma zaczyna długo rozczesywać włosy Lalli, pasemko po pasemku, dokładnie przesuwając je między palcami lewej ręki, zdejmując gnidy.

To również jest miłe, jak we śnie, ponieważ Lalla patrzy prosto przed siebie, nie myśli o niczym, zmęczona wodą, senna z powodu ciężkiej pary, jaka z trudem unosi się aż do okien, gdzie drży słoneczne światło, oszołomiona głosami i śmiechem kobiet, tryskaniem wody, mrużeniem pieców, w których grzeją się kamienie. Siedzi na metalowym krześle, bosc stopy postawiła na zimnym cemencie podłogi, drży w mokrym ręczniku, a zręczne ręce Aammy niestrudzenie czeszą jej włosy, prostują, gładzą, podczas gdy ostatnie krople wody ściekają po policzkach i plecach.

Później, kiedy jest już po wszystkim, kiedy kobiety włożyły ubrania, razem siadają na zewnątrz, w ciepłe zachodzące słońca, i piją miętę w małych, ozdobionych złotymi rysunkami szklaneczkach, prawie do siebie nie mówią, jakby wróciły z długiej podróży i były nasycone cudami. Droga dłuży się, kiedy trzeba wracać do Cité z desek i smołowanego papieru, po drugiej stronie rzeki. Kiedy przybywają do domów, zapada już niebieskoczarna noc, między chmurami błyszczą gwiazdy.

Są dni różne od innych, dni świąteczne, i właśnie trochę dla tych dni żyje się, czeka, ma nadzieję. Kiedy taki dzień jest blisko, wszyscy tylko o nim mówią, na wszystkich ulicach Cité, w domach, przy studni. Wszyscy się niecierpliwią i chcieliby bardzo, żeby świąteczny dzień wreszcie nastał. Czasami Lalla budzi się rankiem z bijącym sercem, z dziwnym mrowieniem w ramionach i nogach, ponieważ myśli, że właśnie dzisiaj przypada taki dzień. Prędko wstaje, i nie przyglądając nawet ręką włosów, wychodzi na ulicę, żeby pobiegać w zimnym powietrzu poranka, wtedy kiedy słońca jeszcze nie widać i kiedy wszystko, z wyjątkiem kilku ptaków, jest szare i ciche. Ale ponieważ w Cité nikt się nie rusza, Lalla rozumie, że dzień ten jeszcze nie nadszedł i nie pozostaje jej nic innego, jak tylko wrócić na posłanie, chyba że zdecyduje się pójść na wydmy, aby zobaczyć pierwsze promienie słońca na grzbietach fal.

Post trwa długo, ciągnie się i wzbudza drżenie niecierpliwości w ciałach mężczyzn i kobiet. We wszystkie dni, poprzedzające święta, je się mało, tylko przed wschodem i po zachodzie słońca, a także niewiele pije. A więc, w miarę jak czas mija, wewnątrz ciała rośnie próżnia, która pali i huczy w uszach. Jednak Lalla bardzo lubi pościć, bo kiedy się nie je i nie pije, przez godziny i dni, to tak jakby się myło wewnątrz ciała. Godziny wydają się dłuższe i bardziej zapełnione, gdyż zwraca się uwagę na najmniejszą rzecz. Dzieci nie chodzą już do szkoły, kobiety nie pracują już na polach, chłopcy nie chodzą do miasta. Wszyscy siedzą w cieniu domów i drzew, mówią niewiele i patrzą na cienie poruszające się razem ze słońcem.

Kiedy nie jadło się przez całe dni, również niebo wydaje się bardziej czyste, bardziej błękitne i gładkie ponad białą ziemią. Dźwięki rozbrzmiewają głośniejsze, dłużej, jak we wnętrzu groty, a światło wydaje się piękniejsze i bardziej czyste.

Nawet dni są dłuższe, trudno to wytłumaczyć, ale od wschodu słońca aż do zmierzchu ma się wrażenie, jakby minął cały miesiąc.

Lalla lubi tak właśnie pościć, kiedy słońce piecze i kiedy susza ogarnia wszystko. Szary kurz pozostawia w ustach smak kamienia i trzeba od czasu do czasu ssać małe źdźbła trawy, o zapachu cytryny, albo cierpkie liście sziba, pamiętając zawsze o wypluciu śliny.

W okresie postu Lalla codziennie odwiedza Hartaniego na kamiennych wzgórzach. On również spędza cały dzień bez jedzenia i picia, jednak nie zmienia to w niczym jego zachowania i twarz chłopca jest wciąż tak samo ogorzała. Oczy błyszczą silnie w cieniu twarzy, zęby lśnią w uśmiechu. Jedyna różnica polega na tym, że owija się szczelnie płaszczem z grubej, wełnianej tkaniny, żeby ciało nie traciło wody. Stoi tak, nieruchomo, w słońcu, na jednej nodze, z drugą opartą na łydce pod kolanem i patrzy w dal, w kierunku błysków tańczącego powietrza, w stronę stada kóz i owiec.

Lalla siada obok niego na płaskim kamieniu, słucha dźwięków, które nadchodzą zewsząd od gór, pbrzękiwania owadów, gwizdania pasterzy, szumu wiatru, a także trzasków

spowodowanych przez upał rozsadzający kamienie. Czas należy do niej, ponieważ w okresie postu nie musi chodzić po wodę ani po drewno.

Dobrze jest pośród tej suszy, w czasie postu, choć wszystko przypomina przejmujący ból, który narasta wokół i jest niczym ciągle patrzyenie. Nocą księżyc ukazuje się na brzegu kamiennych wzgórz, okrągły, powiększony. Aamma podaje zupę z grochu i chleb, i wszyscy szybko jedzą; nawet Selim, mąż Aammy, ten, którego nazywają Sussi, spieszy się, jedząc, nie polewa jak zwykle chleba oliwą. Nikt nic nie mówi, nie ma opowieści.

Lalla bardzo chciałaby mówić, miałyby tyle rzeczy do opowiedzenia, trochę gorączkowo, ale wie, że to niemożliwe, ponieważ nie można zakłócać ciszy postu. Kiedy się pości, pości się właśnie tak – słowami i głową również. Chodzi się powoli, powłócząc nogami, i nie pokazuje się palcem różnych rzeczy, nie gwizdże się.

Dzieci od czasu do czasu zapominają o poście, bo trudno im przez cały czas zachować powściągliwość. Wybuchają śmiechem albo ruszają biegiem przez ulice, wznecając tumany kurzu. Ściga je szczekanie psów, więc starsi krzyczą na nie i rzucają kamieniami, dzieci więc po chwili przestają biec, może również dlatego, że są wygłodzone i brak im sił.

Wszystko trwa tak długo, że Lalla nie pamięta, jak było, zanim zaczął się post. Później, któregoś dnia, Aamma idzie w stronę wzgórz kupić barana i wszyscy wiedzą, że święto się zbliża. Aamma wyrusza sama, ponieważ twierdzi, że Selim Sussi nie jest w stanie kupić czegokolwiek, co byłoby dobre. Odchodzi wąską ścieżką, która wije się między kamiennymi wzgórzami, gdzie żyją pasterze. Lalla i dzieci kroczą za nią z daleka. Kiedy Aamma przybywa na wzgórze, Lalla patrzy, czy jest tam Hartani, ale wie dobrze, że to na nic: pasterz nie lubi ludzi i oddała się, kiedy ci z Cité przychodzą kupować barany. To właśnie przybrani rodzice Hartaniego sprzedają barany. Z gałęzi zatkniętych w ziemię zbudowali zagrodę i czekają, siedząc, w cieniu.

Są też inni sprzedawcy baranów, również pasterze. Dziwny zapach łożu i moczu unosi się nad suchą ziemią i słychać przenikliwe krzyki zwierząt uwięzionych w zagrodach z gałęzi. Dużo ludzi przychodzi z Cité, czasami nawet i z dalszych stron; zostawili swoje samochody na przedmieściu, gdzie kończy się droga i przyszli pieszo ścieżką. Są to ludzie północy, o żółtej skórze, panowie ubrani w garnitury albo wieśniacy z południa, Sussi, Fassi, ludzie z Mogadoru. Wiedzą, że jest tu wielu pasterzy, czasami mają tu krewnych, przyjaciół i chcą znaleźć ładne zwierzę za niewielką cenę, zrobić dobry interes. Stoją więc przed zagrodą, dyskutują, machają rękami, pochylają się, żeby lepiej widzieć barany.

Aamma przechodzi przez targowisko, nie spiesząc się. Nie przystaje, okrąża tylko zagrodę, patrzy szybko, ale od razu widzi, ile warte są zwierzęta. Kiedy obejrzała wszystkie zagrody, nie ma wątpliwości, że wybrała już barana, jakiego jej trzeba. Idzie wtedy do kupca i pyta o cenę. A ponieważ chce tego właśnie barana, a nie innego, prawie wcale się nie targuje i od razu daje pieniądze właścicielowi. Była na tyle przezorna, że przyniosła linkę i pasterz zawiązuje ją wokół szyi zwierzęcia. Gdyż już gotowe, pozostaje tylko przyprowadzić go do domu. Najstarszemu synowi Aammy, którego nazywają Bareki, przypada ten zaszczyt. Baran jest duży i silny, z żółtym, brudnym runem, które mocno czuć moczem, ale Lalli mimo wszystko żał go, kiedy tak przechodzi obok z opuszczonym czołem i przerażonymi oczyma, bo chłopiec ciągnie ze wszystkich sił za linkę, która dusi zwierzę. Później przywiązuje barana z tyłu domu Aammy, w komórcie ze starych desek, którą zrobiono specjalnie dla niego i gdzie daje mu się jeść i pić, wszystko, co chce przez te dni, jakie zostały mu do przeżycia.

A więc któregoś pięknego ranka, kiedy Lalla budzi się, wie od razu, że to dzień świąteczny. Wie o tym, zanim ktokolwiek jej powie, otwierając oczy i widząc poświatę dnia. W ciągu sekundy jest na nogach, na ulicy z innymi dziećmi – i już gwar święta zaczyna rozbrzmiewać w powietrzu, unosić się nad domami z desek i papy jak śpiew ptaków.

Lalla biegnie po zimnej jeszcze ziemi tak szybko, jak tylko potrafi, biegnie wąską ścieżką, prowadzącą ku morzu. Kiedy jest na szczycie wydm, od razu uderza ją morski wiatr, tak

mocno, że nozdrza jej zamykają się i Lalla chwieje się do tyłu. Morze jest ciemne i wzburzone, ale niebo ma jeszcze szarość tak łagodną, że Lalla już się nie boi. Szybko się rozbiera i bez wahania zanurza głowę pod wodą. Rozlewająca się fala przykrywa ją, uderza w powieki, skronie, przenika do nozdrzy. Słona woda wypełnia usta, płynie do gardła. Ale tego dnia Lalla nie boi się morza, pije słoną wodę wielkimi łykami, wynurza się z fal, oślepiona solą, jak pijana. Potem znowu pływa długo wzdłuż brzegu, a kiedy morze się cofa, uderza kolanami o piasek, później wznosi się na szczyt fali, która wokół niej wzbiera.

Wtedy biała mewa, którą Lalla dobrze zna, pokrzykując, przelatuje powoli nad jej głową. Lalla przyzywa ją różnymi imionami:

– Hej! Kalla! Ilia! Zemzar! Horrija! Habib! Szerara! Haim!...

Kiedy wykrzykuje ostatnie imię, mewa pochyła głowę, i patrząc na dziewczynkę, zaczyna nad nią zataczać kręgi.

– Haim! Haim! – woła znowu Lalla i teraz jest pewna, że to imię marynarza, który kiedyś zginął na morzu, bo imię to oznacza: Błądzący.

– Haim! Haim! Przyleć tu, proszę cię!

Ale biała mewa zatacza jeszcze jedno koło, później oddala się z wiatrem, wzdłuż plaży, w kierunku miejsca, w którym ptaki zbierają się co rano, zanim rozpoczną lot w stronę miejskiego wysypiska śmieci.

Lalla drży trochę, bo właśnie poczuła zimno morza i wiatru. Teraz słońce nie jest już tak daleko. Różowe i żółte światło rodzi się za kamiennymi wzgórzami, gdzie żyje Hartani. Na ciele Lalli lśnią krople morskiej wody, ma gęsią skórkę. Wiatr wieje mocno i piasek zakrył prawie całkowicie niebieską sukienkę Lalli. Dziewczynka nie czekając, aż wyschnie, ubiera się i odchodzi, to biegnie, to znów idzie, w stronę Cite.

Przykucnąwszy przed drzwiami domu, Aamma smaży racuchy w wielkim garnku, pełnym wrzącej oliwy. *Brasero* roztacza czerwony blask w mroku, który snuje się jeszcze przy domach.

Chyba ten moment święta Lalla lubi najbardziej. Drży jeszcze od chłodu morza, siada przy ogniu i zjada chrupiące racuchy, delektując się smakiem słodkiego ciasta i cierpkim zapachem wody morskiej, który pozostał jej w ustach. Aamma widzi mokre włosy dziewczynki i trochę ją beszta, ale nie za bardzo, bo przecież jest święto. Z kolei dzieci Aammy siadają przy *brasem* z oczami zapuchniętymi jeszcze od snu, a później przychodzi Selim Sussi. Jedzą w milczeniu, biorąc z wielkiego glinianego naczynia złociste racuchy. Mąż Aammy je powoli, jakby żuł, od czasu do czasu zlizuje krople oliwy ściekające po rękach. Coś opowiada, mówi o sprawach bez znaczenia, więc nikt go nie słucha.

Tego dnia czuć smak kiwi, ponieważ baran ma być zabity. Robi to dziwne wrażenie, jakby pojawiło się coś twardego i napiętego, niczym wspomnienie złego snu, od którego szybciej bije serce. Mężczyźni i kobiety radują się, ponieważ przyszedł koniec postu i będzie można jeść bez przerwy, aż do syta. Ale Lalla nie jest tak naprawdę zadowolona, wciąż myśli o baranie. Trudno to wyrazić, przypomina to pośpiech wewnątrz ciała, chęć ucieczki. Myśli o tym szczególnie w dni świąteczne. Może dlatego, że jest jak Hartani, i że święta są nie dla niej.

Barana zabija rzeźnik. Czasami robi to Naman rybak, bo jest Żydem i może zabić barana bez żadnej ujmy. Albo mężczyzna przybyły skądinąd, jakiś Aissawa, który ma wielkie, umięśnione ramiona i niedobrą twarz. Lalla nienawidzi go. W przypadku Namana jest inaczej, on robi to tylko dlatego, że się go o to prosi; oddaje przysługę i nie przyjmuje zapłaty, tylko kawałek upieczonego mięsa. Ale rzeźnik jest niedobry i zabija barana tylko wtedy, gdy płaci mu się pieniędzmi. Mężczyzna zabiera zwierzę, ciągnąc za linkę, a Lalla biegnie aż nad morze, żeby nie słyszeć rozdzierającego beczenia, gdy ciągną barana aż na plac z ubitą ziemią, niedaleko studni, i żeby nie widzieć krwi, która bucha strumieniem, kiedy rzeźnik przecina gardło zwierzęcia wielkim, zakrzywionym nożem, i żeby nie widzieć czarnej krwi,

która dymiąc wypełnia emaliowane miski. Ale Lalla nie zwleka z powrotem, ponieważ wewnątrz niej jest drżące pragnienie, głód. Kiedy wraca w pobliże domu Aammy, słyszy wesoło trzaskający ogień i czuje wyborny zapach pieczonego mięsa. Aamma nie chce żadnej pomocy przy pieczeniu najlepszych kawałków. Woli być sama, kucnąc przy ogniu i obracać rożen, kawałek żelaznego drutu, na który nadziane są porcje mięsa. Kiedy udźce i żebra są dobrze upieczone, wyciąga je z ognia i kładzie na wielkim, płaskim naczyniu z gliny, ustawionym na żarze. Później woła Lallę, bo nadszedł moment wędzenia. Jest to również jedna z ulubionych przez Lallę chwil święta. Siada blisko ognia, niezbyt daleko od Aammy i patrzy na jej twarz przez płomień i dym. Od czasu do czasu, kiedy Aamma rzuca do ognia garść wilgotnych traw albo świeżego drewna, wznoszą się czarne spirale dymu.

Aamma, przygotowując mięso, mówi niewiele i Lalla słucha jednocześnie potrzaskiwania ognia, krzyków dzieci, które bawią się dokoła, głosów mężczyźn. Czuje ciepły i mocny zapach, którym nasiąka jej twarz, włosy, ubranie. Małym nożem tnąc mięso na cienkie paski i kładzie je na plecionkach ze świeżych gałązek, zawieszonych nad ogniem, gdzie dym oddziela się od płomieni. W takiej chwili Aamma opowiada o dawnych czasach, o życiu na ziemiach południa po drugiej stronie gór, gdzie zaczyna się piasek pustyni i gdzie źródła wody są niebieskie jak niebo.

– Opowiedz mi o Hawie, proszę cię Aammo – mówi Lalla.

A ponieważ dzień jest długi i Aamma nie ma nic innego do roboty, jak tylko patrzeć na kawałki mięsa, które suszą się w oparach dymu, i przesuwając je od czasu do czasu za pomocą gałązki, liżąc palce, by się nie oparzyć, zaczyna opowiadać. Mówi wolno i z początku niepewnie, jakby czyniła wysiłek, żeby odświeżyć pamięć; bardzo to pasuje do gorącego słońca, które posuwa się pomału po błękitnym niebie, do trzaskania płomieni, do zapachu mięsa i dymu.

– Lalla Hawa (tak właśnie nazywa ją Aamma) była starsza ode mnie, ale bardzo dobrze pamiętam, jak pierwszy raz weszła do domu i jak twój ojciec przyszedł razem z nią. Przybyła z południa, z wielkiej pustyni, to właśnie tam ją poznał, ponieważ jej plemię było z Sagiet el Hamra, niedaleko świętego miasta Smary, i pochodziła z rodziny wielkiego Ma el Ainina, którego nazywano Woda Oczu. Ale plemię jej musiało opuścić swoje ziemie, ponieważ żołnierze chrześcijańscy wygnali je z własnego kraju: mężczyźn, kobiety, dzieci. Szli dniami i miesiącami przez pustynię. Twoja matka powiedziała to nam później. W tamtych czasach w Sus byliśmy biedni, ale i szczęśliwi, ponieważ twój ojciec bardzo kochał Lallę Hawa. Ona umiała śmiać się i śpiewać, grała nawet na gitarze, siadała w słońcu, przed drzwiami naszego domu, i śpiewała...

– Co śpiewała, Aammo?

– To były pieśni południa, niektóre w języku *szleb*, pieśni Assaka, Gulimina i Tan-Tana, ale ja nie potrafię zaśpiewać ich tak jak ona.

– To nic Aammo, zaśpiewaj tylko dla mnie.

Wtedy Aamma śpiewała cicho, poprzez dźwięk trzaskającego płomienia; Lalla wstrzymywała oddech, żeby lepiej słyszeć piosenkę matki.

– „Któregoś dnia, och, któregoś dnia, kruk stanie się biały, morze wyschnie, znajdziemy miód w kwiecie kaktusa, ułożymy posłanie z gałązek akacji, och, któregoś dnia nie będzie już trucizny w ustach węża, a kule karabinów nie będą niosły śmierci, ale będzie to dzień, w którym opuszczę moją miłość...”

Nie widząc twarzy Aammy, Lalla słuchała głosu, który mruczy wśród ognia, jakby to był głos matki, która do niej przysłała.

– „Którego dnia, och, któregoś dnia, wiatr nie będzie wiał na pustyni, ziarenka piasku staną się słodkie jak cukier, pod każdym białym kamieniem będzie na mnie czekało źródło, któregoś dnia, och, któregoś dnia, pszczoły zaśpiewają dla mnie piosenkę, bo tego dnia utracę moją miłość...”

Ale głos Aammy zmienia się teraz, jest silniejszy, lżejszy, wznosi się do góry jak głos fletu, dźwięczny jak miedziane dzwoneczki; teraz to już nie jej głos, to głos zupełnie inny, głos młodej, nieznannej kobiety, która śpiewa za ścianą płomieni i dymu, dla Lalli, tylko dla niej.

– „Któregoś dnia, och, któregoś dnia dnia, słońce zaświeci nocą i woda księżycowa zostawi kałuże na pustyni, kiedy niebo będzie tak nisko, że będę mogła dotykać gwiazd, któregoś dnia, och, któregoś dnia, zobaczę, jak cień mój tańczy przede mną, i będzie to dzień, w którym utracę moją miłość...”.

Odległy głos sływa na Lallę jak dreszcz, ogarnia ją, spojrzenie jej się mąci, kiedy patrzy na płomienie, tańczące w świetle słońca. Cisza, która następuje po słowach pieśni trwa długo i Lalla słyszy z daleka dźwięki muzyki i bicie świątecznych bębnów. Teraz jest sama, Aamma jakby odeszła, pozostawiając ją z obcym głosem, który śpiewa.

– „Któregoś dnia, och, któregoś dnia, popatrzę w lustro i zobaczę twą twarz, i na dnie studni usłyszę dźwięk głosu, i poznam ślad twoich kroków na piasku, któregoś dnia, och, któregoś dnia, poznam dzień mojej śmierci, bo będzie to dzień, w którym utracę moją miłość...”.

Głos staje się bardziej poważny i głuchy, podobny do westchnienia, drży trochę w chwiejnym płomieniu, ginie w spiralach niebieskiego dymu.

– „Któregoś dnia, och, któregoś dnia, słońce będzie ciemne, ziemia otworzy się aż do samego środka, pustynię zaleje morze, któregoś dnia, och, któregoś dnia moje oczy nie ujrzą więcej światła, moje usta nie wypowiedzą twego imienia, moje serce przestanie cierpieć, ponieważ będzie to dzień, w którym opuszczę moją miłość...”.

Obcy głos cichnie, znika w ogniu i niebieskim dymie i Lalla musi czekać długo, w bezruchu, zanim zrozumie, że głos się nie powtórzy. Oczy ma pełne łez i boli ją serce, ale nic nie mówi, podczas gdy Aamma tnie paski mięsa i kładzie je na plecionkach z gałązek, pośrodku dymu.

– Opowiedz mi jeszcze o niej, Aammo.

– Ona знаła wiele piosenek. Lalla Hawa miała piękny głos, jak ty, i umiała grać na gitarze i flecie, i tańczyć. Później kiedy twój ojciec miał wypadek, zmieniła się nagle i nigdy już nie śpiewała ani nie grała na gitarze, nawet kiedy ty się urodziłaś, nie chciała śpiewać, śpiewała tylko dla ciebie, kiedy płakałaś nocą, kiedy cię kołysała, usypiając...

Teraz pojawiły się osy. Przyciągnął je zapach pieczeni i pojawiły się setkami. Brzęczą wokół ognia, chcą usiąść na płatach mięsa. Ale dym je odgania, dusi i oszołomione przelatują przez ogień. Niektóre padają na żar i płoną krótkim, żółtym płomieniem, inne spadają na ziemię wpół spalone. Biedne osy! Przyleciały po swoją część mięsa, ale nie umieją sobie poradzić. Cierpki dym oszałamia je i przyprawia o furję, ponieważ nie mogą usiąść na drewnianej plecionce. Wtedy lecą prosto przed siebie, oślepienie, głupie jak ćmy, i umierają. Lalla rzuca im kawałek mięsa, by uciszyć ich głód i oddalić je od ognia. Ale jedna z nich atakuje Lallę, kąsa w szyję. „Aj!” woła Lalla, odrywa ją od siebie, rzuca daleko, pełna bólu i litości, bo w głębi duszy bardzo lubi osy.

Aamma nie zwraca na nie uwagi. Odpędza je ściereczką i dalej przewraca kawałki mięsa na ruszcie, i opowiada:

– Nie bardzo lubiła zostawać w domu... – mówi. Głos jej jest trochę przytłumiony, jakby opowiadała bardzo dawny sen. – Często odchodziła, przywiązując ciebie chustką do pleców, i szła daleko, daleko... Nikt nie wiedział dokąd. Wsiadała do autobusu i jechała aż nad morze albo do sąsiednich miasteczek. Chodziła po targach, w pobliże studni, gdzie byli ludzie, których nie znała, siadała na jakimś kamieniu i patrzyła na nich. Może tamci sądzili, że była żebraczką... Nie chciała pracować w domu, bo moja rodzina była dla niej surowa, ale ja bardzo ją lubiłam, jakby była moją siostrą.

– Opowiedz mi jeszcze o jej śmierci, Aammo.

- Źle o tym mówić w dzień świąteczny.
- To nic, Aamma, opowiedz.

Oddzielone płomieniami Lalla i Aamma nie widzą się dobrze. Ale jakieś inne spojrzenie dotyka wnętrza ich ciał, miejsca, w którym ten dotyk boli.

Szare i błękitne spirale dymu tańczą, otwierają się i zamykają jak chmury. Paski mięsa zbrązowiały już jak stara skóra. Gdzieś jest słońce, które łagodnie zachodzi, przypląwa śpiew cykad, narastający z wiatrem, krzyki dzieci biegających po ulicach Cité, głosy mężczyzn, muzyka. Ale Lalla wcale tego nie słyszy. Pogrzeżyła się cała w szepcie, który opowiada o śmierci matki, przed wielu laty.

– Nie wiadomo, co się zdarzy, nikt tego nie wiedział. Pewnego dnia Lalla Hawa położyła się, bo była bardzo zmęczona i było jej bardzo zimno. Leżała przez kilka dni, ale nie skarżyła się. Kiedy pytano, co jej dolega, mówiła tylko: „Nic, nic, jestem zmęczona”. To wszystko. Wtedy ja zajmowałam się tobą, dawałam ci jeść, bo Lalla Hawa nie mogła nawet wstać z posłania... Ale w miasteczku nie było lekarza, a szpital był bardzo daleko i nikt nie wiedział, co trzeba zrobić. Później, któregoś dnia, to było chyba na szósty dzień, Lalla Hawa wezwała mnie, a głos jej był bardzo słaby, i uczyniła znak, bym się zbliżyła, i powiedziała tylko: „Ja umrę”. To wszystko. Głos miała obcy, twarz szarą, a oczy jej błyszczały. Wtedy przestraszyłam się i wybiegłam z domu, zabrałam ciebie najdalej, jak tylko mogłam, przez pola aż do wzgórza, i zostałam tam cały dzień, siedząc pod drzewem, podczas kiedy ty bawiłeś się obok. Kiedy wróciłam do domu, spałeś mi na rękach, ja usłyszałam płacz mojej matki i siostr. Przed domem spotkałam ojca i on powiedział, że Lalla Hawa umarła...”

Lalla słucha, ze wszystkich sił, z oczami utkwionymi w płomieniach, które tańczą i trzaskają. Siedzi przed kłębam dymu, które wznoszą się ku błękitnemu niebu. Osy dalej wirują w locie na oślep, przelatują przez płomień jak pociski, padają na ziemię ze spalonymi skrzydłami. Lalla słucha też ich muzyki, jedynej prawdziwej muzyki w Cité z desek i smołowanego papieru.

– Nikt nie wiedział, że to się zdarzy – mówi Aamma. – Ale kiedy już się zdarzyło, wszyscy płakali, a mnie zrobiło się tak zimno, jakbym i ja miała umrzeć, i wszyscy byli smutni z twojego powodu, bo byłaś za mała, żeby cokolwiek zrozumieć. Później umarł mój ojciec, więc wzięłam cię ze sobą i przyjechałam tu, do Cité, żeby żyć z Sussi.

Potrzeba jeszcze dużo czasu, by kawałki mięsa u wędziły się, więc Aamma mówi dalej, ale nie opowiada już o Lalli Hawa. Opowiada o Al Azraku, którego nazywali Błękitnym Człowiekiem, który umiał zamawiać wiatr i deszcz, który umiał podporządkować sobie wszystko, nawet kamienie i zarośla. Aamma mówi o szalasi z gałęzi i palm, który był jego domem, jedynym na pustyni. Mówi, że ponad Błękitnym Człowiekiem niebo wypełniało się ptakami wszystkich gatunków, które śpiewały niebiańskie pieśni, łącząc je z jego modlitwą. Ale tylko ludzie, których serca były czyste, mogli znaleźć dom Błękitnego Człowieka. Inni błądzili po pustyni.

– Czy on umiał również rozmawiać z osami? – pyta Lalla.

– Z osami i dzikimi pszczołami, bo był ich panem, znał słowa, które je oswajały. Ale znał również śpiew, który wysyłał chmury os, pszczoł i much na wroga, i mógłby zniszczyć całe miasta, gdyby chciał. Ale był sprawiedliwy i swoje moce wykorzystywał jedynie po to, by czynić dobro.

Aamma opowiada również o pustyni, o wielkiej pustyni, która zaczyna się na południe od Gulimin, na wschód od Tarudant, za doliną Dra. To właśnie tam, na pustyni urodziła się Lalla, u stóp pewnego drzewa, jak opowiada Aamma. Tam, w kraju wielkiej pustyni, niebo jest ogromne, horyzont nie ma końca, bo nic nie zatrzymuje wzroku. Pustynia jest jak morze, z falami wiatru na twardym piasku, z pianą ruchomych zarośli, z płaskimi kamieniami, z plamami porostów i grudkami soli, i czarnym cieniem, który draży dziury, kiedy słońce zbliża

się do ziemi. Aamma długo mówi o pustyni, a kiedy mówi, płomienie stają się coraz niższe, dym coraz lżejszy, przezroczysty, a żar pokrywa się powoli srebrnym kurzem, który drzy.

– Tam, na wielkiej pustyni, ludzie mogą iść całymi dniami, nie spotykając żadnego domu, nie widząc studni, bo pustynia jest tak duża, że nikt nie może poznać jej całej. Ludzie idą na pustynię i są jak statki na morzu, nikt nie wie, kiedy wrócą. Czasem zdarzają się burze, straszliwe burze, i wiatr porywa piasek i rzuca aż do nieba, i ludzie są wtedy zgubieni. Umierają zatopieni w piasku, umierają zbłąkani jak statki podczas burzy, a piasek zatrzymuje ich ciała. W tym kraju wszystko jest inne, słońce nie jest takie jak tutaj, bardziej piecze i niektórzy powracają oślepieni, ze spaloną twarzą. Nocą zbłąkani krzyczą z zimna, chłód łamie ich kości. Nawet ludzie nie są tacy jak tu. Okrutni, czatują na swoją zdobycz jak lis, podchodzą w ciszy. Są czarni jak Hartani, ubrani na niebiesko, z zasłoniętymi twarzami. To nie są ludzie, lecz *dzinn*, dzieci demona, z którym się bratają, jak czarownicy...

Więc Lalla myśli znów o Al Azraku, Błękitnym Człowieku, władcy pustyni, który umiał sprawić, że pod kamieniami pustyni rodziła się woda. Aamma także o nim myśli i mówi:

– Błękitny Człowiek był jak ludzie pustyni, później otrzymał błogosławieństwo boskie i opuścił swoje plemię, rodzinę, aby żyć samotnie... Ale wiedział o rzeczach, o których wiedzą ludzie pustyni. Otrzymał dar leczenia dłońmi i Lalla Hawa również miała ten dar, i umiała tłumaczyć sny, i przepowiadać przyszłość, i odnajdywać zagubione przedmioty. A kiedy ludzie dowiedzieli się, że pochodziła z rodu Al Azraka przychodzili prosić ją o radę i czasami mówiła im to, o co pytali, a czasami nie chciała im odpowiedzieć...

Lalla patrzy na swoje ręce i usiłuje odgadnąć, co w nich jest. Są duże i silne jak dłonie chłopca, ale skórę mają delikatną i wysmukłe palce.

– Czy ja również mam ten dar, Aammo?

Aamma zaczyna się śmiać. Wstaje i przeciąga się.

– Nie myśl o tym – mówi. – Teraz mięso jest gotowe i trzeba je położyć na talerze.

Kiedy Aamma odchodzi, Lalla rozkłada paski mięsa na wielkim glinianym talerzu, skubiąc po kawałku to tu, to tam. Gdy tylko ogień przygasł osy powróciły całą chmarą, brzęczą głośno, tańczą wokół rąk Lalli, wplątują się we włosy. Lalla się ich nie boi. Odsuwa je łagodnie i rzuca im jeszcze kawałek wędzonego mięsa, bo i dla nich jest to dzień wyjątkowy.

Później idzie nad morze wąską ścieżką, prowadzącą aż na wydmy. Ale nie dochodzi do wody. Pozostaje po drugiej stronie wydm, zasłonięta od wiatru i szuka zagłębienia w piasku, żeby się położyć. Kiedy znajdzie miejsce, gdzie nie ma zbyt wiele ostów ani mrówek, wyciąga się na plecach z rękoma wzdłuż ciała i leży tak z oczami wpatrzonymi w niebo. Płyną wielkie, białe chmury. Słychać. powolny szum morza, które ściera piasek z plaży, i przyjemnie jest słyszeć je, a nie widzieć. Rozbrzmiewają krzyki mew szybujących na wietrze; ich skrzydła migocą w słonecznym świetle. Słychać szelest suchych zarośli, listków akacji, igieł filaos, podobny do szumu wody. Pojawia się znowu kilka os, które krążą wokół rąk Lalli, czując na nich zapach mięsa.

Wtedy Lalla próbuje raz jeszcze usłyszeć obcy głos, który śpiewa daleko, jakby w innym kraju, głos, który wznosi się i miękko opada, jasny, podobny do dźwięku fontann, podobny do słonecznego światła. Niebo przed nią zasnuwa się pomału, ale daleko jeszcze do nadejścia nocy, bo teraz jest koniec zimy i początek pory światła. Zmierzch jest najpierw szary, potem czerwony, z wielkimi chmurami, podobnymi do pióropuszy płomieni. Lalla leży w piaszczystym dołku, między wydmami, nie spuszcza oczu z chmur i nieba. W szumie morza i wiatru, w przenikliwych krzykach mew, szukających swych legowisk, słyszy łagodny głos, który powtarza swą skargę, głos czysty, ale drżący nieco, jakby już wiedział, że śmierć przyjdzie go stłumić, głos czysty jak woda, którą się pije, nie mogąc ugasić pragnienia po długich dniach gorąca. To muzyka, która rodzi się z nieba i chmur, która odbija się w piasku wydm, rozlega wszędzie i wibruje nawet w suchych liściach ostów. Ona śpiewa dla Lalli,

tylko dla niej, ogarnia ją, kąpie swą łagodną wodą, przechodzi przez ręce i włosy na czoło i wargi, wyraża swą miłość, spływa na nią i daje swe błogosławieństwo. Wtedy Lalla odwraca się i chowa twarz w piasku, ponieważ coś się w niej załamuje i łzy płyną cicho. Nikt nie przychodzi położyć ręki na jej ramieniu, nikt nie pyta: „Dlaczego płaczesz, maleńka Lallo”? Ale ten obcy głos sprawia, że płyną ciepłe łzy, a w jej sercu drgnęły obrazy, które od lat pozostawały nieruchome.

Łzy kapią na piasek, robią małą plamkę pod jej podbródkiem, przylepiają piasek do policzków, do warg. Później nie ma nagle nic. Głos zamilkł! Nadeszła noc, piękna noc z ciemnoniebieskiego aksamitu, w którym gwiazdy błyszczą wśród fosforyzujących chmur. Lalla drży jak w gorączce. Idzie na oślep wzdłuż wydm pełnych migotania świetlików. Ponieważ boi się węży, wraca na wąską ścieżkę. Widać tam jeszcze ślady jej stóp. Zdążyła powoli w stronę Cité, gdzie święto ciągle trwa.

Lalla czeka na coś. Nie bardzo wie na co, ale czeka. W Cité dni trwają długo, dni deszczu, dni wiatru, letnie dni. Czasami Lalli wydaje się, że czeka tylko na to, by one nadeszły, a kiedy wreszcie przychodzą, widzi, że nie na to czekała. Ona czeka, to wszystko. Ludzie mają dużo cierpliwości, może dlatego, że całe życie czekają na coś, co nigdy się nie zdarza.

Mężczyźni siedzą często na kamieniu, w słońcu, z głową przykrytą połą płaszcza albo ręcznikiem. Patrzą przed siebie. Na co patrzą? Na piaszczysty horyzont, na drogi, po których jadą ciężarówki, podobne do wielkich skarabeuszy we wszystkich kolorach, i na sylwetki kamiennych wzgórz, na białe chmury, które płyną po niebie. To na to patrzą. Nie mają chęci na nic innego. Kobiety również czekają przy studni, w milczeniu, z twarzami zakrytymi czarną zasłoną, ich bose stopy stoją płasko na ziemi.

Nawet dzieci umieją czekać. Siadają przed domem sklepikarza i czekają, ot tak, nie bawiąc się, nie krzyżąc. Od czasu do czasu któreś z nich wstaje i idzie zamienić kilka monet na butelkę oranżady albo na garść cukierków miętowych. Inne patrzą na nie bez słowa.

Są dni, w których nie wiadomo, dokąd się idzie, kiedy nie wiadomo, co się wydarzy. Wszyscy czekają, na ulicach i na skraju drogi. Dzieci w łachmanach czekają na przybycie niebieskiego autokaru albo na przejazd wielkich ciężarówek, które przywożą tu olej napędowy, drewno, cement. Lalla zna dobrze warkot ciężarówek. Czasami siada z innymi dziećmi na stosie kamieni przy wjeździe do Cité. Kiedy ciężarówka nadjeżdża, wszystkie dzieci odwracają się ku krańcowi drogi, patrzą daleko, gdzie powietrze tańczy nad asfaltem i powoduje wibrowanie wzgórz. Dźwięk motoru słychać na długo przedtem, zanim ukaze się auto. Przenikliwy warkot, prawie gwizd, od czasu do czasu przerywa dźwięk klaksonu, który rozbrzmiewa i odbija się echem o ściany domów. Później widać chmurę kurzu, żółtą chmurę, z którą miesza się niebieski obłok spalin. Czerwona ciężarówka nadjeżdża pędem po asfaltowej drodze. Komin nad kabiną kierowcy wypływa białą parą, a słońce lśni na zderzakach i niklowaniach. Koła pożerają asfaltową drogę, ciężarówka jedzie zygzakiem, pewnie trochę z powodu wiatru. Za każdym razem, kiedy koła przyczepy wgryzają się w pobocze drogi, wzbijają ku niebu kurz. Później auto przejeżdża obok dzieci, trąbiąc głośno, ziemia drży pod jego czternastoma czarnymi kołami, a powiew kurzu i cierpki zapach spalin uderza jak gorący oddech.

Później długo jeszcze dzieci mówią o czerwonej ciężarówce, opowiadają różne historie o samochodach, o białych cysternach i żółtych dźwigach.

Tak jest, kiedy się czeka. Często wychodzi się na drogi, mosty i nad morze, aby popatrzeć na tych, co nie zostają, co odchodzą.

Dni, w które dokucza głód, są dłuższe od innych. Lalla dobrze zna takie dni, kiedy w domu nie ma ani grosza i kiedy Aamma nie znalazła pracy w mieście. Nawet Selim Sussi, mąż Aammy, nie wie, gdzie szukać pieniędzy i wszyscy stają się chmurni, smutni, prawie źli. Wtedy Lalla cały dzień spędza poza domem, odchodzi tak daleko, jak tylko to możliwe, na kamienny płaskowyż, gdzie żyją pasterze, i szuka Hartaniego.

Zawsze tak jest: kiedy ma wielką ochotę zobaczyć go, on ukazuje się w jakimś zagłębieniu, siedzi na kamieniu, z głową owiniętą białą tkaniną. Pilnuje kóz i owiec. Jego twarz jest czarna, dłonie chude i silne jak dłonie starca. Dzieli się daktylami i czarnym chlebem z Lallą, a nawet kilka kawałków daje pasterzom, którzy podeszli blisko. Ale robi to bez dumy, jakby to, co daje, nie miało znaczenia.

Lalla patrzy na niego od czasu do czasu, lubi jego niewzruszoną twarz, orli profil i światło, które błyszczy w głębi ciemnych oczu. On również, Hartani, czeka na coś, ale być może on jeden wie, czego oczekuje. Nie mówi tego, bo nie umie posługiwać się językiem ludzi. Ale w jego spojrzeniu odgadnąć można, na co czeka, czego szuka. Jakby jakaś jego część została w miejscu, gdzie się urodził, za kamiennymi wzgórzami i ośnieżonymi górami, w bezkresie pustyni, i jakby któregoś dnia musiał tę częśćkę odnaleźć, by w końcu, bez reszty, być jednym.

Lalla zostaje z pasterzem przez cały dzień, tylko nie zbliża się do niego zbyt blisko. Siada na kamieniu, niedaleko, i patrzy przed siebie, patrzy na powietrze, które tańczy i kłębi się nad wysuszoną doliną, na białe światło narzucające iskry i na powolne dreptanie owiec i kóz pośród białych kamieni.

Kiedy nastają dni smutne, dni trwogi, tylko Hartani może przy niej być – Hartani, który nie potrzebuje słów. Wystarczy jedno spojrzenie, a on potrafi dać chleba i daktyli, nie oczekując niczego w zamian. Woli nawet, kiedy jest się kilka kroków od niego, jak czynią to kozy i barany, które właściwie nigdy do nikogo nie należą.

Przez cały dzień Lalla słucha krzyków pasterzy na wzgórzach, gwizdów, które dziurawią białą ciszę. Kiedy wraca do Cité z desek i papy, czuje się bardziej wolna, nawet jeśli Aamma beszta ją, że nie przyniosła nic do jedzenia.

Jednego z takich dni Aamma zaprowadziła Lallę do handlarki dywanów, która mieszka po drugiej stronie rzeki, w biednej dzielnicy miasta, w wielkim, białym domu o wąskich zakratowanych oknach. Kiedy Lalla wchodzi do dużej sali, służącej za pracownię, słyszy odgłos krosien tkackich. Jest ich dwadzieścia, może więcej, ustawionych jedno za drugim, w mlecznym półmroku wielkiej sali, w której mrugają trzy jarzeniowe lampy. Przy krosnach małe dziewczynki, przykucnięte lub siedzące na taboretach, pracują szybko, przekładając czółenka między nitkami osnowy, małymi nożyczkami odcinają pasemka, gromadzą wełnę na wątku. Najstarsza ma jakieś czternaście lat, najmłodsza nie ma pewnie ośmiu. Milczą, nie patrzą nawet na Lallę, która wchodzi do sali razem z Aammą i handlarką o imieniu Zora. Ta wysoka, ubrana na czarno kobieta zawsze trzyma w ręku giętki kijek, którym uderza nogi i ręce dziewcząt pracujących nie dość szybko lub rozmawiających z sąsiadką.

– Czy ona już pracowała? – pyta, nie patrząc nawet na Lallę.

Aamma odpowiada, że kiedyś pokazywała dziewczynce, jak się tka. Zora kiwa głową. Wydaje się bardzo blada, może z powodu czarnej sukni, a może dlatego, że nigdy nie wychodzi ze sklepu. Idzie powoli aż do wolnych krosien, na których wisi wielki ciemnoczerwony dywan z białym wzorem.

– Ten dokończy – mówi.

Lalla siada i zaczyna tkać. Przez wiele godzin pracuje w dużej ciemnej sali, wykonując dłońmi mechaniczne ruchy. Na początku musi odpoczywać, ponieważ palce się męczą, ale czuje na sobie spojrzenie wysokiej, bladej kobiety i zaraz podejmuje pracę. Wie, że blada kobieta nie uderzy jej, bo jest starsza od innych pracujących tu dziewcząt. Kiedy spojrzenia ich spotykają się, Lalla czuje wzburzenie i w oczach jej pojawia się iskierka gniewu. Ale gruba kobieta ubrana na czarno mści się na najmniejszych, które są szczupłe i pełne strachu jak psy, na córkach żebraków, dziewczętach opuszczonych, które przez cały rok mieszkają w domu Żory i które nie mają pieniędzy. Jak tylko zwalniają tempo pracy albo wymieniają szeptem kilka słów, gruba, blada kobieta przypada do nich z zadziwiającą zręcznością i chłosta ich plecy kijkiem. Ale dziewczynki nigdy nie płaczą. Słychać tylko świst i uderzenie

po plecach. Lalla ściska zęby, pochyla głowę ku ziemi, żeby nie widzieć i nie słyszeć, bo chciałaby krzyknąć i uderzyć Zorę.

Ale nie mówi nic, z powodu pieniędzy, które musi przynieść do domu Aammy. Tylko z zemsty robi odwrotnie kilka supełków w czerwonym dywanie.

Ale następnego dnia Lalla nie wytrzymuje. Kiedy gruba, blada kobieta uderza Minę, małą, zaledwie dziesięcioletnią dziewczynkę, szczupłutką i wątłą, Lalla wstaje i mówi chłodno:

– Niech pani przestanie ją bić!

Zora, nie rozumiejąc, patrzy przez chwilę na Lallę. Jej tłusta i blada twarz przybrała tak głupi wyraz, że Lalla powtarza:

– Niech pani przestanie ją bić!

Twarcz Żory nagle zmienia się z gniewu. Wymierza gwałtowne uderzenie kijkiem w twarcz Lalli, ale sięgnęła tylko lewego ramienia, bo dziewczynka uchyliła się.

– Zobaczysz, jak dostaniesz! – krzyczy Zora, a twarcz jej zaróżowiła się ze złości.

– Tchórz! Niedobra kobieta!

Lalla chwyta kijek i łamie go na kolanie. Wtedy strach zmienia rysy grubej kobiety. Cofa się, z trudem łapiąc oddech.

– Wynoś się! Wynoś się! Natychmiast! Wynoś się! Precz!

Ale Lalla już biegnie przez wielką salę, wyskakuje w słoneczne światło, dobiega aż do domu Aammy. Wolność jest piękna. Znowu można patrzeć na chmury, na osy uganiające się wokół kupek śmieci, jaszczurki, kameleony, na trawy drżące na wietrze. Lalla siedzi przed domem, w cieniu ściany z desek i słucha chciwie wszystkich, najcichszych nawet dźwięków. Kiedy Aamma wraca pod wieczór, mówi jej po prostu:

– Nie będę już pracować u Zory, nigdy więcej. Aamma patrzy na nią przez chwilę i milczy.

Począwszy od tego dnia, wszystko w Cité zmieniło się dla Lalli. Jakby od razu wydorosła, a ludzie zaczęli ją dostrzegać. Nawet synowie Aammy nie są tacy jak przedtem, oschli, pełni pogardy. Chwilami żałuje czasów, kiedy była naprawdę mała, kiedy dopiero co przyjechała do Cité i kiedy nikt nie znał jej imienia, kiedy mogła chować się w zaroślach, w wiadrze, w kartonowym pudle. Bardzo to lubiła, być jak cień, chodzić tam i z powrotem, tak by jej nie widziano, by do niej nie mówiono.

Tylko stary Naman i Hartani nie zmienili się. Naman ciągle opowiada nieprawdopodobne historie, kiedy naprawia sieci na plaży albo kiedy przychodzi na kukurydziane placki do Aammy. Nie łowi już ryb, ale ludzie lubią go bardzo i dalej zapraszają do siebie. Jego jasne oczy są przejrzyste jak woda, a twarcz poorana głębokimi zmarszczkami jak bliznami po dawnych ranach.

Aamma słucha opowieści o Hiszpanii, Marsylii, o Paryżu i o tych wszystkich krajach i miastach, które widział, po których wędrował, gdzie zna nazwy ulic i imiona ludzi. Aamma zadaje mu pytania, chce wiedzieć, czy jego brat mógłby tam pomóc w znalezieniu pracy. Naman kiwa głową: „Dlaczego nie?”. Tak odpowiada na wszystko ale mimo to przyrzeka napisać do brata. Wyjechać jest niełatwo, potrzeba dokumentów, pieniędzy. Aamma siedzi zamyślona, marzy o białych miastach, gdzie jest tyle ulic, domów, samochodów. Może właśnie na to czeka.

Lalla o tym nie myśli. Jej jest wszystko jedno. Patrzy w oczy Namana i już jakby trochę poznała te morza, kraje, domy.

Hartani również o tym nie myśli. Jest jeszcze ciągle jak dziecko, choć wysoki i silny niczym dorosły. Szczupły i wysmukły, ma twarcz czystą i gładką jak z hebanu. Może dlatego, że nie umie mówić językiem innych ludzi. Zawsze siedzi na jakiejś skale, z oczami utkwionymi w dali, ubrany w suknię z grubej tkaniny, z białym płótnem opuszczonym na twarcz. Wokół niego widać zawsze pasterzy, jak on czarnych, ubranych w łachmany, którzy

gwiżdżąc, skaczą ze skały na skałę. Lalla bardzo lubi do nich przychodzić, do tego miejsca pełnego białego światła, gdzie czas nie mija, gdzie nie można urosnąć.

Któregoś ranka na początku lata do domu Aammy wszedł mężczyzna. Był z miasta, ubrany w szary, mieniący się zielenią garnitur, buty z czarnej skóry błyszcząły jak lustro. Przyniósł kilka podarków dla Aammy i jej synów, podświetlane lustro w ramie z białego plastiku, radio tranzystorowe, niewiele większe od pudełka zapalek, pióra ze złotymi skuwkami i torbę pełną cukru i konserw. Kiedy wchodził do domu, minął przy drzwiach Lallę, ale ledwie na nią popatrzył. Wszystkie prezenty położył na ziemi. Aamma poprosiła go, by usiadł, a on poszukał wzrokiem krzesła, ale były tylko poduszki i drewniany kufer Lalli Hawa, który Aamma przywiozła z południa, razem z Lallą. Siadł na kufrze, starszy go przedtem dłonią. Czekał, aż przyniosą mu herbatę i słodkie ciasteczka.

Kiedy trochę później Lalla dowiedziała się, że mężczyzna przyszedł prosić, by została jego żoną, bardzo się przestraszyła. Doznała jakby zawrotu głowy, a serce jej zaczęło bić bardzo mocno. To nie Aamma powiedziała o tym, ale jej najstarszy syn, Bareki:

- Matka postanowiła wydać cię za niego, bo jest bardzo bogaty.
- Ale ja nie chcę wyjść za mąż! – zawołała Lalla.
- Ty nie masz nic do powiedzenia, musisz być posłuszna swojej ciotce – odparł Bareki.
- Nigdy! Nigdy!... – Lalla wybiegła, krzycząc, z oczami pełnymi łez gniewu.

Później wróciła do domu Aammy. Mężczyzna w szarozielonym garniturze odszedł, ale prezenty pozostały. Ali, najmłodszy syn Aammy, słuchał nawet muzyki z miniaturowego radia, przyłożonego do ucha. Kiedy Lalla weszła, popatrzył na nią z tajemniczą miną.

Lalla odezwała się oschle do Aammy:

- Dlaczego przyjęłaś prezenty od tego człowieka? Ja za niego nie wyjdę.

Syn Aammy zaśmiał się szyderczo.

- Może ona chce poślubić Hartaniego!

- Wyjdź – rozkazała Aamma i chłopak odszedł z tranzystorem.

- Nie możesz mnie zmusić, bym poślubiła tego człowieka! – powiedziała Lalla.

– To będzie dla ciebie dobry mąż – mówi Aamma. – Nie jest już bardzo młody, ale bogaty, ma wielki dom w mieście, zna wielu wpływowych ludzi. Powinnaś go poślubić.

- Nie wyjdę za mąż, nigdy!

Aamma milczy przez długą chwilę. Kiedy odzywa się znowu, głos ma łagodniejszy, ale Lalla nie ustępuje.

– Wychowałam cię jak własną córkę, kocham cię, a ty dziś chcesz mi zrobić taki wstyd.

Lalla patrzy na Aammę z gniewem, bo po raz pierwszy odkrywa, że jest w niej coś nieszczerego.

– Mnie to nie obchodzi – mówi. – Nie chcę wyjść za tego człowieka. Nie chcę tych śmiesznych prezentów!

Pokazuje podświetlane lustro stojące na klepisku.

- Przecież u ciebie nie ma nawet prądu!

Później, nagle, wszystkiego ma dosyć. Wychodzi z domu Aammy i idzie aż nad morze. Ale tym razem nie biegnie po ścieżce; idzie powoli. Dziś wszystko jest inne. Jakby wszystko straciło blask, zużyte częstym oglądaniem.

– Trzeba będzie odejść – mówi głośno do siebie. Ale myśli też, że nawet nie wie, dokąd pójść. Przechodzi na drugą stronę wydm i idzie po wielkiej plaży w poszukiwaniu starego Namana. Chciałaby bardzo, żeby tam był, siedział jak zwykle na korzeniu starego figowca i reperował sieci. Pytałaby go o tamte miasta w Hiszpanii, miasta o magicznych nazwach, Algeciras, Malaga, Grenada, Teruel, Saragossa, i te, z których wypływają okręty wielkie jak miasta, o drogi, po których samochody jadą na północ, o odjeżdżające pociągi, o samoloty.

Chciałaby słuchać, jak Naman mówi godzinami o ośnieżonych górach, o tunelach, o rzekach wielkich jak morze, o równinach pokrytych zbożem, o ogromnych lasach, o kościołach, o fontannach, o sklepach jarzących się światłem. O Paryżu, Marsylii i wszystkich tych ulicach, o domach tak wysokich, że ledwo widać niebo, o ogrodach, kawiarniach, hotelach i skrzyżowaniach, na których spotyka się ludzi przybyłych ze wszystkich stron świata.

Ale Lalla nie znajduje starego rybaka. Jest tylko biała mewa; wolno fruwa pod wiatr, krąży nad jej głową, Lalla woła:

– Hej! Hej! Książę!

Biały ptak przelatuje jeszcze kilka razy nad głową Lalli, później szybko się oddala, niesiony wiatrem w kierunku rzeki. Więc Lalla zostaje bardzo długo na plaży, sama z szumem wiatru i morza w uszach.

W ciągu następnych dni w domu Aammy nikt o niczym nie wspominał, a mężczyzna w szarozielonym garniturze więcej nie przyszedł. Małe tranzystorowe radio było już zepsute, a wszystkie konserwy zjedzone. Tylko podświetlane lustro w plastikowej oprawie stało tam, gdzie je postawiono, na klepisku przy drzwiach.

Lalla źle spała przez te noce, drżąc przy najmniejszym hałasie. Przypominały jej się historie, jakie opowiadano o dziewczynach porywanych siłą, bo nie chciały wyjść za mąż. Każdego ranka o wschodzie słońca wychodziła przed wszystkimi, by umyć się i pójść po wodę. Dzięki temu pilnowała wejścia do Cité.

A później przyszedł wiatr nieszczęścia i wiał nad krajem przez wiele kolejnych dni. Wiatr nieszczęścia jest dziwnym wiatrem, który przychodzi tylko raz lub dwa razy do roku, pod koniec zimy lub w jesieni. Najdziwniejsze jest, to, że na początku nie odczuwa się go. Nie wieje silnie, a chwilami cichnie zupełnie i zapomina się o nim. Nie jest to zimny wiatr jak wiatr burz w środku zimy, kiedy morze podnosi gniewne fale. Nie jest to również wiatr palący i suchy jak ten, który nadchodzi z pustyni i rozpala w domach czerwony blask, od którego skrzypi piasek na dachach z blachy i papy. Nie, wiatr nieszczęścia jest bardzo łagodny, wiruje, czasami uderza silniej, później ciąży nad dachami domów, na ramionach i piersiach ludzi. Przy nim powietrze staje się cieplejsze i cięższe, jakby wszędzie było szaro. Kiedy nadchodzi, powolny i łagodny, ludzie chorują, wszędzie po trochu, szczególnie ludzie starsi i małe dzieci, i umierają. Dlatego nazywa się wiatrem nieszczęścia. Kiedy tego roku zaczął wiać nad Cité, Lalla rozpoznała go od razu. Zobaczyła chmury szarego kurzu, które posuwały się nad równiną, mąciły morze i ujście rzeki. Więc ludzie chodzili odtąd otuleni mimo gorąca w płaszcze. Nie było os, a psy pochowały się z nosem w kurzu w dołkach przed progiem domów. Lalla była smutna, bo myślała o tych, których wiatr zabierze ze sobą. Więc kiedy usłyszała, że stary Naman jest chory, serce ścisnęło jej się i przez chwilę nie mogła oddychać. Nigdy przedtem tego nie czuła i aż musiała usiąść, by nie upaść.

Później pobiegła do domu rybaka. Myślała, że zastanie przy nim ludzi, że będą mu pomagać i opiekować się nim, ale Naman jest zupełnie sam, leży na wiązce słomy, z głową opartą na ramieniu. Drży tak silnie, że szczeka zębami i nie może nawet unieść się na łokciach, kiedy Lalla wchodzi do jego domu. Uśmiecha się lekko i oczy błyszczą mu mocniej, kiedy rozpoznaje Lallę. Oczy mają ciągle ten sam kolor morza, ale szczupła twarz zrobiła się biała z tym odcieniem szarości, który budzi strach.

Lalla siada obok i mówi cichutko. Zwykle to on opowiada historie, a ona słucha, ale dziś wszystko się zmieniło. Lalla plecie byle co, żeby opanować strach i dać staremu człowiekowi trochę ciepła. Opowiada o tym, o czym on sam mówił jej kiedyś, o podróżach do miast Hiszpanii i Francji. Mówi tak, jakby widziała te miasta, jakby odbyła te wielkie podróże. Opowiada o ulicach w Algeciras, o wąskich, krętych uliczkach blisko portu, gdzie czuje się morski wiatr i zapach ryb, później o dworcu z peronami z niebieskich płytek i o wielkich mostach kolejowych, które biegną nad rzekami i wąwozami. Mówi o ulicach w Kadyksie, o ogrodach z wielobarwnymi kwiatami, o wielkich palmach rosnących szpalerem przed białymi

pałacami, o tych wszystkich ulicach, gdzie w tę i z powrotem chodzi tłum, gdzie jeżdżą czarne samochody, autobusy pośród błysków luster, o budynkach tak wysokich jak strome marmurowe wybrzeża. Opowiada o ulicach we wszystkich miastach, jakby sama tam chodziła, o Sewilli, Kordobie, Almaden, Toledo, Aranjuez i mieście tak wielkim, że można by się w nim błąkać całymi dniami, o Madrycie, do którego ludzie przybywają ze wszystkich zakątków ziemi.

Stary Naman słucha głosu Lalli i nic nie mówi, nie rusza się, ale jego jasne oczy błyszczą mocno i Lalla wie, że z przyjemnością słucha tych opowieści. Kiedy przestaje mówić, czuje, jak ciało starego człowieka drży, jak świszczę jego oddech; wtedy w pośpiechu zaczyna mówić dalej, żeby zagłuszyć te straszne dźwięki.

Teraz Lalla opowiada o wielkim mieście we Francji, o Marsylii, o porcie z ogromnymi nabrzeżami, przy których stoją zakotwiczone okręty z całego świata, o statkach towarowych, wielkich jak twierdze, z bardzo wysokimi dziobami i rufami, i o masztach grubszych od drzewa, o bardzo białych parowcach, które mają tysiące okienek i tajemnicze bandery i noszą imiona dziwnych miast – Odessa, Ryga, Bergen, Limassol. Na ulicach Marsylii tłum się spieszy, posuwa do przodu, wciąż wchodzi i wychodzi z gigantycznych sklepów, tłoczy się przed wejściem do kawiarni, restauracji, a czarne samochody jadą wzdłuż ulic, które nie mają końca, pociągi pędzą nad dachami po wiszących mostach, samoloty startują i krążą powoli na szarym niebie, wznoszą się ponad budynki i puste place. W południe dzwony w kościołach biją, a dźwięk ich niesie się wzdłuż ulic, placów, w głębi podziemnych tuneli. Nocą miasto się rozjaśnia. Latarnie morskie zamiatają wodę pędzlami światła, migocą reflektory pojazdów. Wąskie uliczki ucichły, a bandyci uzbrojeni w noże sprężynowe czekają w kącie bram na spóźnionych przechodniów. Czasami na niezabudowanych terenach albo nabrzeżach, w cieniu śpiących statków towarowych odbywają się prawdziwe bitwy.

Lalla długo opowiada, a głos jej jest tak łagodny, że stary Naman zasypia. Ciało jego przestaje drżeć, a oddech staje się bardziej regularny. Wtedy Lalla może wreszcie wyjść z domu rybaka. Światło boleśnie razi ją w oczy.

Wielu ludzi cierpi od wiatru nieszczęścia, biedacy, bardzo małe dzieci. Kiedy Lalla przechodzi przed ich domami, słyszy skargi, jęki kobiet, płacz dzieci i wie, że tam również może ktoś umrzeć. Jest smutna, chciałaby być bardzo daleko, z drugiej strony morza, w tych miastach, które wymyśliła dla starego Namana.

Ale człowiek w szarozielonym garniturze powrócił. On na pewno nie wie, że nad Cité z desek i papy wieje wiatr nieszczęścia; w każdym razie byłoby mu to zupełnie obojętne, bo wiatr nieszczęścia nie dosięga takich jak on. Jemu obce jest nieszczęście, obce to wszystko.

Powrócił do domu Aammy i spotkał Lallę przed drzwiami. Kiedy go zobaczyła, przestraszyła się i krzyknęła cicho; wiedziała, że wróci, i lękała się tego momentu. Mężczyzna w szarozielonym garniturze patrzy na nią dziwnie nieruchomym, twardym wzrokiem człowieka, który przywykł rozkazywać, a skóra jego twarzy jest biała i sucha z niebieskim cieniem zarostu na brodzie i policzkach. Niesie nowe torby z prezentami. Lalla odsuwa się, kiedy przechodzi obok niej, i spogląda na paczki. Mężczyzna źle odczytuje to spojrzenie, robi krok w jej stronę, wyciągając prezenty. Ale Lalla odskakuje szybko, biegnie i nie odwraca się tak długo, póki nie poczuje pod stopami piasku ścieżki prowadzącej ku kamiennym wzgórzom.

Nie wie, gdzie ścieżka się kończy. Z zapłakanymi oczami, ze ściśniętym sercem, Lalla idzie tak szybko, jak potrafi. Tu słońce zawsze mocniej grzeje, jakby się było bliżej nieba. Ale ciężki wiatr nie wieje na wzgórzach koloru cegły i kredy. Kamienie są twarde, połamane, z ostrymi krawędziami, najeżone; czarne zarośla pełne kolców, do których poprzyczepiały się to tu, to tam kawałki owczej wełny; nawet żdźbła trawy kaleczą jak noże. Lalla długo idzie przez wzgórza. Niektóre są wysokie i strome, o zboczach podobnych do ścian; inne – małe jak kupka kamieni i wyglądają jak zbudowane przez dzieci.

Ilekcroć Lalla znajdzie się w tej krainie, czuje, że należy już do innego świata, jakby czas i przestrzeń stawały się większe, jakby rozpalone światło nieba wchodziło do płuc i poszerzało je, a całe ciało stawało się podobne do ciała olbrzymki, żyjącej bardzo długo i spokojnie.

Teraz Lalla idzie powoli w górę korytem wyschniętego strumienia, w stronę kamiennego płaskowyżu, gdzie przebywa ten, którego nazywa Es Ser.

Nie wie dokładnie, dlaczego idzie w tę stronę; to trochę tak, jakby były dwie Lalle, jedna, która nie wie oślepią strachem i gniewem, uciekająca od wiatru nieszczęścia, i druga, która wie i kieruje kroki w stronę siedziby Es Sera. Więc idzie na kamienny płaskowyż z pustką w głowie, nie rozumiejąc. Bose stopy odnajdują dawne ślady, których słońce i wiatr nie mogły zatrzeć.

Wolno wspina się na kamienny płaskowyż. Słońce pali twarz i ramiona, pali nogi i ręce. Ale ona nie czuje bólu. Światło oswobadza, zaciera pamięć, sprawia, że staje się czysta jak biały kamień. Zmywa wiatr nieszczęścia, spala choroby, przekleństwa.

Lalla idzie naprzód z prawie zamkniętymi oczami z powodu blasku, a pot przylepia jej sukienkę do brzucha, do piersi, pleców. Nigdy być może nie było na ziemi tyle światła i nigdy Lalla nie była go tak spragniona, jakby przybywała z doliny cienia, gdzie panuje wieczny mrok i śmierć. Tutaj powietrze jest nieruchome, drży i wibruje w miejscu, i wydaje się, że słycać dźwięki fal światła, dziwną muzykę, która przypomina brzęczenie pszczoł.

Na ogromnym pustynnym płaskowyżu chwieje się pod uderzeniem wiatru. To wiatr zimny i surowy, który nie wieje, lecz opiera się o nią i sprawia, że dziewczyna drży w ubraniu mokrym od potu. Światło oślepia, wybucha na wietrze, zapalając gwiazdy na szczytach skał. Tu nie ma traw, nie ma drzew ani wody, od wieków jest tylko światło i wiatr. Nie ma dróg ani śladów ludzkich. Lalla idzie na oślep, ku środkowi płaskowyżu, gdzie żyją tylko skorpiony i stonogi. Tu nikt nie przychodzi, nawet pasterze pustyni, a kiedy jedno ze zwierząt tu zbłądzi, skaczą i gwizdzą, zawracając je kamieniami.

Lalla przymknęła oczy, idzie powoli, czubki bosych palców stawia na rozpalonych skałach. Jakby była w innym świecie, blisko słońca. Idzie naprzód, z trudem utrzymując równowagę, ale serce jej jest nieobecne albo raczej cała jej istota ją wyprzedza, w spojrzeniu, w czatujących zmysłach; tylko ciało się spóźnia, ciągle niepewne, na skałach o kaleczących krawędziach.

Oczekuje niecierpliwie tego, który teraz powinien nadejść, Lalla wie o tym, tak być musi. Od chwili, kiedy zaczęła uciekać przed mężczyzną w zielonoszarym garniturze, uciekać od śmierci starego Namana, wiedziała, że ktoś na nią czeka na kamiennym płaskowyżu, gdzie nie ma ludzi. To wojownik pustyni, zasłonięty błękitną tkaniną. Lalla zna tylko jego spojrzenie, przeszywające jak ostrze. Popatrzył na nią z wysokości pustynnych wzgórz, a spojrzenie dotarło do niej i dosięgnęło jej, sprowadziło aż tu bezpowrotnie.

Teraz stoi nieruchoma pośrodku wielkiej, kamiennej równiny. Wokół niej nie ma nic, tylko stosy kamieni, świetlisty kurz, zimny wiatr, wielkie niebo bez chmur, bez mgły.

Lalla nie rusza się, stoi na wielkiej, kamiennej płycie, twardej i suchej, której nie gładzi żadna woda. Światło słońca uderza w nią, pulsuje na jej czole, w brzuchu, światło, które jest spojrzeniem.

Błękitny wojownik przyjdzie z pewnością, teraz. Nie może dłużej zwlekać. Lalli wydaje się, że słyszy skrzypienie jego kroków, serce bije jej bardzo mocno. Otacza ją wir białego światła, owijają płomienie, które łączą się z włosami, palą wargi i powieki. Słone łzy płyną po policzkach, wpadają do ust, słony pot cieknie kropla za kroplą spod pach, drażni boki, spływa wzdłuż szyi, między łopatkami. Błękitny wojownik pustyni musi przyjść, teraz, jego palące spojrzenie będzie jak światło słońca.

Ale Lalla jest ciągle sama pośród kamiennego płaskowyżu, stoi nieco pochylona na płycie. Piecze ją zimny wiatr, straszny wiatr, który nie lubi życia ludzkiego, wieje, by ją zetrzeć, zamienić w proch. Wiatr, który lubi tylko skorpiony i stonogi, a w ostateczności lisy o

spalonej sierści. Ale Lalla nie boi się go, bo wie, że gdzieś, między skałami albo w niebie, jest spojrzenie Błękitnego Człowieka, którego ona nazywa Es Ser, Tajemnica, bo on się ukrywa. On nadejdzie na pewno, spojrzenie jego przeniknie ją i da siłę pokonania mężczyzny w garniturze i śmierci, która jest blisko Namana. Zamieni ją w ptaka, rzuci w przestrzeń; wtedy może zdoła dogonić białą mewę, która jest księciem i która fruwa niezmordowanie ponad morzem.

Kiedy spojrzenie do niej dociera, wywołuje w jej głowie wir, jak wielka fala światła, które się rozplywa. Spojrzenie Es Sera lśni bardziej od ognia, blaskiem niebieskim i jednocześnie tak palącym jak blask gwiazdy.

Lalla przez chwilę nie oddycha. Oczy ma szeroko otwarte. Kuca z zamkniętymi oczami, z głową odchyłoną, bo w świetle tym czuje ogromny ciężar, który przenika w nią i czyni ciężką jak kamień.

Nadszedł. Raz jeszcze, bezdźwięcznie, ślizgając się nad ostrymi kamieniami, ubrany jak dawni wojownicy pustyni w wielki płaszcz z białej wełny i z twarzą zasłoniętą niebieską tkaniną. Lalla patrzy na niego z całych sił, jak posuwa się naprzód w jej marzeniu. Widzi jego dłonie pomalowane kolorem indygo, widzi blask bijący z ciemnego spojrzenia. Es Ser nic nie mówi.

Nigdy się nie odzywa. Umie przemawiać spojrzeniem, bo żyje w świecie, w którym już nie trzeba ludzkich słów. Wokół jego białego płaszcza widać wielkie wiry złotego światła, jakby wiatr wzbijał chmury piasku. Ale Lalla słyszy tylko bicie własnego serca, które uderza bardzo wolno, gdzieś w dali.

Lalla nie potrzebuje słów. Nie musi zadawać pytań ani nawet myśleć. Z zamkniętymi oczami, siedząc w kurzu, czuje utkwione w sobie spojrzenie Błękitnego Człowieka i ciepło przenika jej ciało, pulsuje w kończynach. To właśnie jest niezwykle. Ciepło spojrzenia przenika do każdego zakątka ciała, łagodzi cierpienie, gorączkę, skrzepy, wszystko, co sprawia ból.

Es Ser nie rusza się. Stoi przed nią, podczas gdy fale światła kłębią się i ślizgają wokół jego płaszcza. Co robi? Lalla już się nie obawia, czuje narastające ciepło, jakby promienie przenikały jej twarz, oświetlając całe ciało.

Widzi to, co jest w spojrzeniu Błękitnego Człowieka. Bezkres pustyni wokół niej, pustyni, która lśni i faluje, pęki iskier, powolne wydmy fale, które posuwają się ku nieznanemu. Widzi miasta, wielkie, białe miasta z wieżami smukłymi jak palmy, czerwone pałace ozdobione listowiem, lianami, ogromnymi kwiatami. Widzi wielkie jeziora wody błękitnej jak niebo, wody tak pięknej i tak czystej, że nie ma takiej nigdzie indziej na ziemi. Lalla śni z zamkniętymi oczyma, z odchyłoną głową, w świetle słonecznym, z ramionami wokół kolan. To sen, który przychodzi skądinąd, który istniał tu, na kamiennym płaskowyżu, na długo przed nią, sen, w który wchodzi teraz jak śpiąca, sen, który teraz rozciąga przed nią swoją plażę.

Dokąd prowadzi ta droga? Lalla nie wie, zdana na łaskę losu, wciągana przez pustynny wiatr, który wieje, pali wargi i powieki, okrutnie oślepia, albo zimny i powolny zabija ludzi i rozsada skały u stóp morskiego brzegu. To wiatr, który zmierza ku nieskończoności, poza horyzont, poza niebo, aż do starych konstelacji, do Drogi Mlecznej, ku Słońcu.

Wiatr zabiera ją na drogę bez granic, na bezkresny kamienny płaskowyż, gdzie wiruje światło. Pustynia roztacza swoje puste pola piasku, usiane szczelinami, pomarszczone, podobne do skóry zmarłych. Spojrzenie Błękitnego Człowieka jest wszędzie, sięga najodleglejszej, pustynnej dali i teraz przez nie Lalla widzi światło. Czuje na skórze gorący dotyk tego spojrzenia, wiatru, suszy, a wargi mają smak soli. Patrzy na wydmy, wielkie uśpione zwierzęta, i wysokie czarne mury Hamady, na bezkresną, wysuszoną dolinę czerwonej ziemi. To kraj, gdzie nie ma ludzi, nie ma miast, niczego, co zatrzymuje i niepokoi. Są tylko kamienie, piasek, wiatr. Ale Lalla jest szczęśliwa, bo rozpoznaje każdą rzecz, każdy

szczegół krajobrazu, każdy wypalony krzak wielkiej doliny. Jakby już kiedyś szła tędy boso, a stopy jej paliła ziemia i oczy miała utkwione w horyzoncie, w tańczącym powietrzu. Więc serce bije szybciej, widzi przed sobą znaki, zagubione ślady, połamane gałązki, zarośla drżące na wietrze. Czeką, wie, że wkrótce tam przybędzie, że teraz to już blisko. Spojrzenie Błękitnego Człowieka prowadzi ją przez rozpadliny, kamienie, wzdłuż wyschniętych strumieni. Później nagle słyszy tę dziwną piosenkę, niewyraźną, nosową, która drży w oddali, jakby wydostawała się z samego piasku, zmieszana z nieustannym szelestem wiatru na kamieniach, z dźwiękiem światła. Melodia drży wewnątrz niej, Lalla ją rozpoznaje: to pieśń Lalli Hawy, którą śpiewała Aamma: „Któregoś dnia, och, któregoś dnia, kruk stanie się biały, morze wyschnie, znajdziemy miód w kwiecie kaktusa i zrobimy posłanie z gałązek akacji...”. Ale teraz Lalla nie rozumie już słów, bo ktoś śpiewa gdzieś bardzo daleko w języku szleb. Jednak piosenka trafia prosto do serca i oczy napełniają się łzami, chęć zaciska powieki ze wszystkich sił.

Muzyka dźwięczy długo, tak długo kołysze, aż cienie kamyków wydłużają się na piasku pustyni. Wtedy też Lalla zauważa czerwone miasto na krańcu wielkiej doliny. To nie jest prawdziwe miasto jak to, które zna, z ulicami i domami. Jest to miasto z gliny zniszczone przez czas i wiatr, podobne do gniazd termitów lub os. Światło nad czerwoną doliną tworzy sklepienie łagodności, jasne i czyste na niebie niekończącej się jutrzeńki. Domy stoją wokół studni, widać kilka nieruchomych drzew, białych akacji, podobnych do posągów. Ale najwyraźniej widzi Lalla biały grób przypominający skorupkę jajka na czerwonej ziemi. Właśnie stamtąd zdaje się biec spojrzenie i Lalla wie już, że to siedziba Błękitnego Człowieka.

Coś strasznego i jednocześnie pięknego dociera do Lalli. Coś w jej wnętrzu jakby się drze na strzępy i pęka, i pozwala przychodzić śmierci, nieznanemu. Ogarnia ją ogień pustyni, wznosi się żyłami, łączy z wnętrzem ciała. Spojrzenie Es Sera jest straszne i sprawia ból, ponieważ z pustyni przychodzi cierpienie, głód, strach, śmierć, przychodzi zalewającą falą. Piękne złote światło, czerwone miasto, biały lekki grób, promieniujący nad naturalną jasnością, niosą w sobie również nieszczęście, grozę, samotność. Nadchodzi przeciągłe spojrzenie rozpacz, bo ziemia jest okrutna, a niebo nie chce ludzi.

Lalla trwa w bezruchu, przygnieciona własnym ciężarem, z kolanami na kamieniach. Słońce piecze jej ramiona i szyję. Nie otwiera oczu. Łzy tworzą strumyki, które rysują bruzdy w czerwonym kurzu, przyklejonym do policzków.

Kiedy podnosi głowę i otwiera oczy, wzrok jej się mąci. Z trudem przyzwyczajają się do światła. Widzi ostre sylwetki wzgórz, później pustą przestrzeń płaskowyżu, gdzie nie ma trawy, tylko drzewa, słońce i wiatr.

Więc zaczyna iść chwiejnie, schodzi w dół ścieżką, prowadzącą ku dolinie, w stronę morza, do Cité z desek i papy. Cienie są teraz długie, słońce blisko horyzontu. Lalla czuje, że twarz jej spuchła od poparzeń, myśli, że teraz nikt jej nie pozna, teraz, kiedy stała się taka jak Hartani.

Kiedy schodzi na dół, do ujścia rzeki, nad Cité jest już noc. Żarówki świecą żółtymi punktami. Droga posuwają się do przodu ciężarówka, rzucając przed siebie białe pędzle reflektorów.

Lalla to biegnie, to znów idzie powoli, jakby miała zaraz się zatrzymać, obrócić i uciec. Kilka odbiorników radiowych wygrywa machinalnie pośród nocy muzykę. Ognie *braser*o wygasają same, w domach ze źle spojonych desek kobiety i dzieci zawinęły się już okryciami z powodu nocnej wilgoci. Od czasu do czasu słaby wiatr toczy pustą puszkę, uderza kawałkiem blachy. Psy się pochowały. Nad Cité rozpościera się niebo czarne, pełne gwiazd.

Zamiast iść w stronę domu Aammy, Lalla zmierza powoli na drugi koniec Cité, gdzie mieszka stary Naman. Drży w wilgotnym powietrzu nocy, a kolana trzęsą się pod nią, bo nic nie jadła od poprzedniego dnia. Dzień był tak bardzo długi, tam, na kamiennym płaskowyżu,

że Lalla ma wrażenie, jakby odeszła przed wieloma dniami, a może miesiącami. Ledwie rozpoznaje ulice Cité, baraki z desek, dźwięk radia i płacz dzieci, zapach uryny i kurzu. Nagle myśli, że może naprawdę minęły miesiące, tam, wysoko, na kamiennym płaskowyżu, które wydały jej się tylko jednym, długim dniem. Myśli więc o starym Namanie i serce jej się ściska. Mimo osłabienia zaczyna biec ulicami pustego Cité. Psy słyszą, jak biegnie, warczą i poszczekują. Kiedy dobiega do domu Namana, serce jej bije mocno i ledwie może oddychać. Drzwi są wpółotwarte, nie ma światła.

Stary Naman leży na wiązce słomy tak, jak go zostawiła. Oddycha jeszcze, bardzo powoli, świszcząc, a jego oczy w ciemnościach są szeroko otwarte. Lalla pochyła się nad jego twarzą, ale on jej nie poznaje. Otwarte usta tak bardzo usiłują oddychać, że nie mogą się już uśmiechnąć.

– Namanie... Namanie... – szepce Lalla.

Stary Naman nie ma już siły. Wiatr nieszczęścia przyniósł mu gorączkę, która ciąży nad ciałem i głową i nie pozwala jeść. Wiatr zabierze go być może. Przerażona Lalla przysuwa się blisko twarzy rybaka i pyta:

– Nie odejdziesz teraz? Jeszcze nie teraz.

Tak bardzo chciałyby usłyszeć, jak Naman mówi do niej, opowiada raz jeszcze historię o białym ptaku, który był księciem morza, albo o kamieniu, który anioł Gabriel ofiarował ludziom, a który stał się czarny z powodu ludzkich grzechów. Ale stary Naman nie może już mówić, sił ma tylko tyle, by oddychać, jakby przytłaczał go niewidzialny ciężar. Zły pot i mocz kąpią jego chude ciało, które wygląda jak połamane.

Lalla jest teraz zbyt zmęczona, by snuć inne opowieści, by opowiadać dalej, co znajduje się tam, po drugiej stronie morza, o tych wszystkich miastach Hiszpanii i Francji.

Siada więc obok starego człowieka i patrzy przez uchylone drzwi na światła nocy. Słucha świszczącego oddechu, słyszy na zewnątrz niedobry hałas wiatru, który toczy puszkę po konserwach i uderza blachą. Później zasypia właśnie tak, siedząc z głową opartą na kolanach. Od czasu do czasu dławiący oddech Namana budzi ją, a ona pyta:

– Jesteś tu? Jeszcze jesteś?

Rybak nie odpowiada, nie śpi; jego szara twarz jest zwrócona ku drzwiom, ale błyszczące oczy jakby nie widziały, jakby dostrzegały jedynie to, co jest w zaświatach.

Lalla próbuje walczyć ze snem, ponieważ boi się tego, co będzie, kiedy zaśnie. Jak rybacy na morzu, którzy nie widzą niczego, huśtani przez fale, ogarnięci porywami burzy. Oni nigdy nie mogą zasnąć, bo wtedy morze zabrałoby ich, rzuciło w głębiny, pochłonęło. Lalla chce walczyć ze snem, ale powieki same się zamykają i czuje, że upada do tyłu. Długo płynie, nie wiedząc dokąd, unoszona powolnym dźwiękiem oddechu starego Namana.

Później, przed nastaniem dnia, zrywa się ze snu. Patrzy na starego człowieka, leżącego na ziemi, jego pełna spokoju twarz oparta jest o ramię. Teraz Naman przestał oddychać. Na zewnątrz wiatr ustał, niebezpieczeństwo minęło. Wszystko się uspokoiło, jakby nigdy nie było śmierci, nigdzie.

Kiedy Lalla zdecydowała, że odejdzie, nikomu nic nie powiedziała. Postanowiła odejść, ponieważ mężczyzna w szarozielonym garniturze przychodził wiele razy do domu Aammy i zawsze patrzył na Lallę błyszczącymi, twardymi jak czarne kamienie oczami i siadał na kufrze Lalli Hawy, aby wypić szklaneczkę mięty. Lalla nie boi się go, ale wie, że jeśli nie odejdzie, któregoś dnia on zabierze ją siłą z domu Aammy i poślubi, bo jest bogaty i wpływowy, i nie lubi, żeby mu się sprzeciwiano.

Tego ranka, przed wschodem słońca, odeszła. Nie spojrzała nawet w głąb domu, na sylwetkę śpiącej Aammy, owiniętej w prześcieradło. Wzięła tylko kawałek błękitnego materiału, w który włożyła czerstwy chleb, kilka suszonych daktyli, a także złotą bransoletkę, która należała do jej matki.

Wyszła cicho, nie budząc nawet psa. Szła bosą po zimnej ziemi, między rzędami uspionych domów. Niebo jest jeszcze blade, bo dzień dopiero wstanie. Mgła przychodzi z nad morza, tworzy wielką, łagodną chmurę, która unosi się w górę rzeki, wyciągając dwa zakrzywione ramiona jak ogromny ptak o czarnych skrzydłach.

Przez chwilę Lalla ma ochotę pójść aż do domu Namana rybaka i zobaczyć go po raz ostatni, bo jest on jedyną osobą, którą Lalla ze smutkiem utraciła. Ale boi się spóźnić i oddala się od Cité ścieżką kóz, w stronę kamiennego płaskowyżu. Kiedy zaczyna się wspinać na skały, czuje przeszywający ją zimny wiatr. Tutaj też nie ma nikogo. Pasterze śpią jeszcze w szalaszach z gałęzi w pobliżu zagród i Lalla po raz pierwszy wchodzi na wzgórze, nie słysząc przenikliwych gwizdów. Napawa ją to trochę strachem, jakby wiatr przemienił ziemię w pustynię. Ale światło słońca ukazuje się wolno z drugiej strony wzgórz, czerwona i żółta plama, która wtapia się w szarość świtu. Lalla cieszy się na myśl, że później pójdzie właśnie tam, gdzie niebo i ziemia wypełnione są wielką plamą pierwszego świadka. Myśli doczą się w jej głowie, kiedy idzie po skałach. Wie, że więcej do Cité nie wróci, że nigdy nie zobaczy już wszystkiego, co tak lubiła, wielkiej wyschniętej równiny, białej plaży, na którą fale padają jedna za drugą; jest smutna, ponieważ myśli o nieruchomych wydmach, na których siadała i patrzyła na chmury płynące po niebie. Nie zobaczy nigdy białego ptaka, który był księciem morza, ani sylwetki starego Namana, siedzącego w cieniu figowca przy swojej wywróconej barce. Zwalnia więc trochę krok i przez chwilę ma ochotę spojrzeć za siebie. Ale przed nią są milczące wzgórza, ostre kamienie, w których zaczyna iskrzyć się światło, i małe kolczaste krzaki, na których drżą krople wilgoci nieba, a także maleńkie muszki, które dają się unosić wiatrowi.

Więc idzie, idzie, nie odwracając się, przyciska zawiniątko z chlebem i daktylami do piersi. Kiedy ścieżka się kończy, oznacza to, że wokół nie ma już ludzi. Wtedy ostre kamienie zaczynają wychodzić z ziemi i trzeba przeskakiwać ze skały na skałę, wspinając się ku najwyższemu wzgórz. Właśnie tam czeka Hartani, ale Lalla nie widzi go jeszcze. Może schował się w grotcie, od strony morskiego brzegu, w miejscu, skąd można obserwować całą dolinę aż do morza. Albo jest zupełnie blisko, za spalonym krzakiem, schowany po szyję w kamiennej rozpadlinie jak wąż.

Zawsze czatuje, jak dzikie psy gotowe do skoku i ucieczki. Może dzisiaj już nie będzie chciał odejść? Ale wczoraj Lalla powiedziała mu, że przyjdzie, i pokazała mu daleką przestrzeń, wielką kredową sztabę, która zdaje się podtrzymywać niebo, gdzie jest początek pustyni. Jego oczy zalsniły mocniej, bo myślał o tym zawsze, od małego, nie przestawał o tym myśleć ani na chwilę. Widać to po sposobie, w jaki patrzy na horyzont, nieruchomymi oczami w skupionej twarzy. Nigdy nie siada, przykuca na piętach jak do skoku. To on pokazał Lalli drogę pustyni, drogę, na której się ginie, z której nikt nigdy nie wraca, i niebo tak czyste i tak piękne, tam w dali.

Teraz wstaje słońce. Ukazuje się przed nią jak wielka, ognista, olśniewająca tarcza, wędrując wolno w górę ponad kamiennym chaosem. Nigdy nie wydawało się tak piękne. Mimo bólu i łez płynących po policzkach Lalla patrzy prosto w słońce, nie mrużąc oczu, tak jak książęta morscy, wie o tym od Namana. Światło przenika w głąb, sięga wszystkiego, co ukryte, sięga serca.

Tutaj nie ma już wyznaczonego przejścia. Lalla musi szukać drogi wśród skał. Skacze z kamienia na kamień, przez wyschnięte potoki, okrąża ściany wysokiego brzegu. Wstające słońce zrobiło wielką, olśniewającą plamę na siatkówce jej oczu i Lalla posuwa się po omacku, pochylona, by nie upaść. Przechodzi wzgórze, później idzie środkiem wielkiego pola kamieni. Nie ma nikogo. Tak daleko, jak sięga wzrokiem, widać tylko suche kamienie, a gdzieś kępy wilczomlecza i kaktusy. Tu słońce wyludniło ziemię, spaliło ją, zniszczyło, tak że nie pozostało nic prócz tych białych kamieni i zarośli. Lalla teraz nie patrzy na słońce wprost; jest za wysoko na niebie i wypaliłoby jej źrenice w ciągu kilku sekund jak

piorun. Niebo jest rozżarzone. Błękitne i palące jak wielki płomień i Lalla musi bardzo mrużyć oczy, żeby patrzeć przed siebie. W miarę jak słońce wznosi się coraz, wyżej na niebie, wszystko na ziemi nabrzmiewa światłem. Tu nie ma hałasów, ale wydaje się, że słychać, jak kamienie pęcznieją, trzeszczą. Długo już idzie. Jak długo? Bez wątplenia godziny, nie widząc dokąd, w stronę przeciwną do swego cienia, ku drugiemu krańcowi horyzontu. Tam są wysokie czerwone góry, które zdają się zawieszony na niebie, miasta, może rzeka, jeziora koloru nieba.

Później nagle, nie wiadomo skąd, pojawia się Hartani, stoi przed nią. Nieruchomy, ubrany jak co dzień w suknię z grubej tkaniny, z głową zawiniętą kawałkiem białego płótna. Jego twarz jest czarna, a na widok Lalli rozjaśnia się uśmiechem.

– Och, Hartani! Hartani!

Lalla tuli się do niego, rozpoznaje zapach jego potu w zakurczonym ubraniu. On również zabrał trochę chleba i daktyli w zwilżonej chusteczce przyklepionej do pasa.

Lalla otwiera swoje zawiniątko, nie siadając, dzieli się z nim odrobiną chleba. Jedzą szybko, ponieważ od dawna są głodni. Młody pasterz rozgląda się wokół siebie. Jego oczy obserwują uważnie wszystkie punkty krajobrazu, przypomina drapieżnego ptaka, nie mruży powiek. Pokazuje jakiś punkt, daleko na horyzoncie, po stronie czerwonych gór. Kładzie wewnętrzną część dłoni na usta: tam jest woda.

Wyruszają. Hartani na przedzie, skacze lekko po skałach. Lalla usiłuje stawiać stopy na jego śladach. Przez cały czas widzi przed sobą delikatną i lekką sylwetkę chłopca, który zdaje się tańczyć na białych kamieniach; patrzy na niego jak na płomień, jak na blask, i stopy jej zdają się iść same w rytm kroków Hartaniego.

Słońce jest teraz ostre, ciąży nad głową i ramionami Lalli, sprawia ból we wnętrzu ciała. Jakby światło, które weszło w nią rankiem, zaczynało palić, przelewać się, i Lalla czuje długie, bolesne fale idące wzdłuż nóg, ramion, które zagnieżdżają się w czaszce. Świetlny skwar jest suchy i pełen kurzu. Na ciele Lalli nie ma ani kropli potu, a jej błękitna sukienka niemal z traskiem ociera brzuch i uda. Łzy wyschły w jej oczach, grudki soli tworzą małe, ostre niczym ziarenka piasku kryształki w kącikach powiek. Usta ma suche i twarde. Dotyka warg czubkiem palców i myśli, że stały się podobne do warg wielbłądów i że wkrótce będzie mogła jeść kaktusy i osty.

Hartani ciągle skacze ze skały na skałę, nie oglądając się za siebie. Jego biała i lekka sylwetka oddala się, podobny jest teraz do uciekającego zwierzęcia, nie przystaje, nie odwraca się. Lalla chwieje się w kamiennym chaosie, idzie na oślep, patrząc prosto przed siebie. Jej podrapane stopy krwawią; wiele razy, padając, zraniła się w kolana. Ale prawie nie czuje bólu, tylko straszny odbłask światła, ze wszystkich stron. Wygląda to tak, jakby stada zwierząt skakały wokół niej po kamieniach, dzikie psy, konie, szczury, kozy. Są również wielkie, białe ptaki, ibisy, sekretarze, bociany; uderzają ogromnymi płomiennymi skrzydłami, jakby chciały ulecieć, i zaczynają niekończący się taniec. Lalla czuje na włosach powiew ich skrzydeł, słyszy szelest lotek w gęstym powietrzu. Więc odwraca głowę, patrzy do tyłu, aby zobaczyć wszystkie te zwierzęta, nawet lwy, które dostrzega kątem oka. Ale kiedy spogląda na nie, od razu roztapiają się i znikają jak miraże, by znów pojawić się za jej plecami.

Hartaniego ledwo widać. Jego lekka sylwetka tańczy nad białymi kamieniami jak cień oderwany od ziemi, Lalla już nie próbuje iść jego śladem. Nie widzi nawet czerwonej, nieruchomej masy gór na tle nieba, po drugiej stronie równiny. Może już nie idzie do przodu? Jej bosa stopy potykają się o kamienie, kaleczą, wpadają w dziury. Droga jakby się za nią rozpadała niczym woda z rzeki, płynąca między stopami. Przede wszystkim jednak porusza się światło, opada na wielką pustą równinę, odbiega z wiatrem, wymiata przestrzeń. Światło dźwięczy jak woda i Lalla słyszy jego śpiew, nie mogąc ugasić pragnienia. Światło płynie ze środka nieba, skrzy się w gipsie, w mice. Od czasu do czasu pośród kurzu barwy ochry, między białymi kamieniami pojawia się ognisty kamień koloru żaru, ostry niby kiel. Lalla

idzie, wpatrując się w iskrę, jakby kamień dodawał jej sił, był znakiem zostawionym przez Es Sera dla wskazania jej drogi. A dalej widać płytkę miki podobną do złota, której odblaski są niczym gniazdo owadów, i Lalli wydaje się, że słyszy brzęczenie ich skrzydeł. Ale czasami na zakurzonej ziemi leży wśród innych okrągły kamyczek, szary i matowy, zwykły morski kamyczek, i Lalla patrzy nań z całych sił; bierze do ręki i ściska, by ocalić. Kamień parzy, jest cały prądkowany, w białe żyłki, które rysują drogę pośrodku, a z niej rozgałęziają się inne ścieżki, cienkie jak włosy dziecka. Trzymając go w ręku, Lalla idzie prosto przed siebie. Słońce już skłania się na niebie, w stronę drugiego krańca białej równiny. Wieczorny wiatr unosi chwilami trąby kurzu kryjące wielką, czerwoną górę u stóp nieba.

– Hartani! Hartani! – woła Lalla.

Upada na kamienie, bo nogi odmawiają posłuszeństwa. Ponad nią rozpościera się puste niebo, coraz większe, coraz bardziej puste. Nie słyhać żadnego echa.

Wszystko jest wyraźne i czyste. Lalla widzi najmniejszy kamyczek, najmniejszy krzew, prawie po horyzont. Nic się nie rusza. Chciałaby bardzo zobaczyć osy, z przyjemnością patrzyłaby, jak robią niewidoczne pętle w powietrzu, wokół głów dzieci. Chciałaby bardzo zobaczyć ptaka, choćby i kruka, choćby sępa. Ale nie ma niczego i nikogo. Tylko jej wydłużony cień niczym rów w zbyt białej ziemi.

Kładzie się na ziemi i myśli, że wkrótce umrze, ponieważ w ciele brak już sił, a słoneczny ogień wypala jej płuca i serce. Powoli ubywa światła, a niebo zasnuwa mgłą, ale może to będąca w niej słabość gasi słońce.

Nagle Hartani pojawia się znowu. Stoi przed nią na jednej nodze, utrzymując równowagę jak ptak. Podchodzi do niej, pochyla się. Lalla chwyta go za suknię z grubej tkaniny, ze wszystkich sił ściska materiał, nie chce go wypuścić i omal nie przewraca chłopca. On kuca przy niej. W ciemnej twarzy pełne wyrazu oczy błyszczą mocno. Dotyka twarzy Lalli, czoła, oczu, pociąga palcami po spękanych wargach. Wskazuje jakiś punkt na kamiennej równinie, w stronie zachodzącego słońca, tam, gdzie przy skale widać drzewo: woda. Czy to blisko czy daleko? Powietrze jest tak czyste, że nie sposób tego wiedzieć. Lalla robi wysiłek, by się podnieść, ale ciało nie reaguje.

– Hartani, ja już nie zdołam... – szepce Lalla, pokazując podkurczone, pokaleczone nogi.
– Idź! Zostaw mnie, idź!

Pasterz waha się. Może odejdzie? Lalla patrzy na niego bez słowa, ma ochotę zasnąć, zniknąć. Ale Hartani obejmuje ją ramieniem i powoli podnosi. Lalla czuje, jak mięśnie nóg chłopca drżą z wysiłku, i chwyta go za szyję; próbuje połączyć ciężar swego ciała z ciężarem ciała pasterza.

Hartani idzie po kamieniach, przeskakuje szybko, jakby szedł sam. Biegnie na długich, chwiejących się nogach, przechodzi przez jary, przeskakuje szczeliny. Słońce i chmury kurzu przestały wirować nad kamienną równiną, ale jeszcze powolne podmuchy nadchodzą od strony czerwonego horyzontu, rzucając iskry na krzemienie. Przed nimi, tam, gdzie słońce przechyliło się ku ziemi, jest jakby wielki lej światła. Lalla słyszy, jak w tętnicach na szyi Hartaniego pulsuje krew, słyszy jego urywany oddech.

Nim noc zapadła, dotarli przed skałę i drzewo, gdzie lśni tafla wody. Hartani położył delikatnie Lallę i poi ją z zagłębienia dłoni. Woda jest zimna, trochę cierpka. Następnie pasterz pochyla się i pije długo z głową tuż przy wodzie.

Oczekuje nocy, która tutaj zapada bardzo szybko, jak zaciągana kurtyna, bez dymów, bez chmur, bez widowiska. Jakby nie było już prawie powietrza ani wody, tylko słoneczne światło gaszone przez góry.

Lalla leży na ziemi obok Hartaniego. Nie rusza się. Nogi ma zmęczone, podrapane, a zakrzepła krew na stopach utworzyła skorupę podobną do czarnej podeszwy. Chwilami ból ze stóp promieniuje wzdłuż kości i mięśni aż do pachwin. Lalla pojękuje przez zęby, stara się nie krzyknąć, zaciska ręce na ramionach chłopca. On na nią nie patrzy, patrzy wprost na horyzont,

w stronę czarnych gór, a może w stronę nocnego nieba. W mroku jego twarz stała się bardzo ciemna. Czy o czymś myśli? Lalla bardzo chciałaby wiedzieć, czego chce, dokąd zdąży... Mówi bardziej do siebie niż do niego. Hartani słucha tak jak psy – unosząc łeb i śledząc dźwięk sylab.

Lalla opowiada mu o mężczyźnie w szarozielonym garniturze, o jego oczach twardych i czarnych jak kawałki metalu, a później o nocy przy Namanie, kiedy niedobry wiatr wiał nad Cité.

– Teraz, kiedy ciebie wybrałam na męża, już nikt nie będzie mógł mnie porwać, zaprowadzić siłą przed sędziego i poślubić... Teraz będziemy żyć razem i będziemy mieć dziecko, i już nikt więcej nie będzie mnie chciał za żonę, rozumiesz, Hartani? Nawet jeśli nas złapią, powiem, że ty jesteś moim mężem i że będziemy mieli dziecko, a temu nie będą mogli przeszkodzić. Więc pozwolą nam odejść i będziemy mogli żyć w krajach południa, bardzo daleko na pustyni...

Nie czuje już zmęczenia ani bólu, tylko oszołomienie tą wolnością, w środku kamiennego pola, w nocnej ciszy. Obejmuje bardzo mocno młodego pasterza, aż ich zapachy i oddechy łączą się. Bardzo delikatnie chłopiec przenika w nią, bierze ją, a Lalla słyszy przyspieszone bicie swego serca na jego piersi.

Lalla zwraca twarz w stronę nieba i patrzy ze wszystkich sił. Zimna i piękna noc ogarnia ich, ściska w ciemnym błękicie. Lalla nigdy nie widziała tak pięknej nocy. Tam, w Cité, nad brzegiem morza było zawsze coś, co oddzielało od nocy, mgła, kurz. Była zawsze zasłona, która rzucała cień, bo tam dookoła byli ludzie ze swymi ogniskami, pożywieniem, oddechem. Ale tu wszystko jest czyste. Hartani kładzie się teraz obok Lalli i oboje ogarnia wielki zawrót głowy, powiększający źrenice.

Twarz Hartaniego jest napięta, jakby skóra policzków i czoła była z polerowanego kamienia. Powoli, ponad nimi, przestrzeń zapełnia się gwiazdami, tysiącami gwiazd. Rzucają białe blaski, drżą, rysują tajemne znaki. Dwoje uciekinierów patrzy na nie szeroko otwartymi oczami. Czują, że na ich twarzach kładą się rysunki konstelacji, jakby istnieli już tylko poprzez spojrzenie, jak gdyby pili łagodne światło nocy. Nie myślą już o niczym, ani o pustynnej drodze, ani o jutrzejszym cierpieniu, ani o innych dniach; nie czują już swych ran ani pragnienia, ani głodu, nic ziemskiego; zapomnieli nawet o słonecznych oparzeniach, które poczerśniły ich twarze i ciała, które wyżarły wewnątrz ich oczu.

Światło gwiazd pada łagodnie jak deszcz. Bezdźwięcznie, nie wzbijając kurzu, nie budząc wiatru. Oświetla teraz kamienne pole przy studni, spróchniałe drzewo staje się lekkie i ulotne niczym dym. Ziemia nie jest już płaska, wydłuża się na podobieństwo barki i teraz zdąży łagodnie do przodu, ślizga się, kołysząc i tocząc, sunie powoli wśród gwiazd, podczas gdy dwoje dzieci przytulonych do siebie robi miłosne gesty.

Co chwila pojawia się nowa gwiazda, maleńka, ledwie widoczna w ciemności i niedostrzegalne nitki jej światła łączą się z innymi. Są lasy światła szarego, czerwonego, białego, które mieszają się z głębokim błękitem nocy i zastygają jak bańki.

Później, kiedy Hartani zasypia spokojnie z twarzą przy Lalli, ona ogląda wszystkie znaki, wszystkie błyski światła, wszystko, co drży, miga albo, jak oczy, pozostaje nieruchome... Jeszcze wyżej, prosto nad nią, widać wielką Mleczną Drogę, drogę wyznaczoną przez krew Gabrielowego baranka, tak mówił stary Naman.

Lalla spija światło, bardzo blade, płynące z gwiazd, i nagle się jej wydaje, że jest ona tak blisko jak w piosence, którą śpiewał głos Lalli Hawa, i że wystarczy wyciągnąć rękę, by zebrać garść pięknego, iskrzącego się światła. Ale Lalla nie msza się. Jej ręka na szyi Hartaniego słucha krwi pulsującej w jego żyłach i powolnego oddechu. Gorączkę słońca i suszę gasi noc. Światło galaktyki ucisza głód, pragnienie, przerażenie, widać ślady każdej gwiazdy na niebie, niczym krople.

Nie widzą już teraz ziemi. Dwoje dzieci, przytulonych do siebie, podróżuje wśród nieba.

Każdego dnia posuwano się naprzód. Karawana podzieliła się na trzy części odległe jedna od drugiej o trzy godziny marszu. Larhdaf był po lewej blisko zboczy Hoa, w stronie Sidi el Hasz. Saadbu, najstarszy syn wielkiego szejka, na prawym skraju, szedł wzdłuż wyschniętego koryta Jang Sakum, doliną Sagiet el Hamra. Środkiem, za nimi, podążał Ma el Ainin z wojownikami na wielbłądach. Dalej karawana mężczyzn, kobiet i dzieci. Gnała przed sobą stado, za którym unosiła się wielka chmura czerwonego kurzu, wznosząca się przed nimi w niebo.

Codziennie posuwali się w głąb ogromnej doliny, podczas gdy słońce ponad nimi wędrowało w odwrotnym kierunku. Był koniec zimy i deszcze nie zdążyły zmiękczyć ziemi. Dno Sagiet el Hamra było popękane i twarde jak stara skóra. Nawet jej czerwony kolor palił oczy i twarz.

Rankiem, jeszcze przed wschodem słońca, rozbrzmiewało nawoływanie do pierwszej modlitwy. Później słychać było hałasowanie zwierząt. Dymy *brasero* wypełniały dolinę. Z dali dochodziły śpiewne krzyki żołnierzy Larhdafa, którym odpowiadali wojownicy Saadbu. Tylko błękitni ludzie wielkiego szejka modlili się w ciszy. Kiedy pierwszy czerwony kurz uniósł się w powietrzu, mężczyźni przygotowywali oddziały do drogi. Każdy brał swój ładunek i rozpoczynali marsz po ziemi jeszcze szarej i zimnej.

Powoli na horyzoncie nad Hammadą rozdziło się światło. Ludzie patrzyli na jaśniejszą tarczę, która oświetlała dolinę, mrużyli oczy i pochylali się trochę, jakby chcieli walczyć z ciężarem i z bólem czoła i ramion, powodowanym przez światło.

Czasami oddziały Larhdafa i Saadbu tak się zbliżały, że słychać było stukot końskich kopyt i pochrząkiwanie wielbłądów. Wówczas trzy chmury pyłu łączyły się na niebie i prawie zasłaniały słońce.

Kiedy słońce staowało w zenicie, zrywał się wiatr i zamiatał przestrzeń, odsuwając ściany czerwonego kurzu i piasku. Ludzie zatrzymywali stada w półkolach i chronili się za skulonymi wielbłądami albo kolczastymi krzewami. Ziemia wydawała się tak wielka jak niebo, tak samo pusta i oślepiająca.

Za oddziałem wielkiego szejka szedł Nur. W płóciennej płachcie zawiązanej na piersiach niósł żywność. Codziennie, od świtu aż do zachodu słońca, szedł śladami koni i ludzi, nie wiedząc dokąd, nie widząc ojca, matki ani siostr. Czasem odnajdywał ich wieczorem, kiedy zapalano ogniska z gałązek, by przygotować herbatę i kaszę. Nie odzywał się do nikogo i nikt z nim nie rozmawiał. Jakby zmęczenie i susza wypaliły słowa w jego gardle.

Po zapadnięciu nocy, gdy zwierzęta wygrzebały dołki na nocleg, Nur widział dokoła siebie ogromną, pustą dolinę. Kiedy oddaliwszy się nieco od obozowiska, stał na suchej równinie, miał wrażenie, że jest tak wysoki jak drzewa. Dolina wydawała się bez granic, nieskończona przestrzeń kamieni i czerwonego piasku, niezmienna od początków świata. Z rzadka widniały sylwetki małych, wypalonych akacji, krzaków, kęp kaktusów i karłowatych palm, tam, gdzie wilgoć doliny zostawiała szerokie, ciemne plamy. W mroku nocy ziemia nabierała koloru minerału. Nur stał nieruchomo, czekał, aż mrok zapadnie i wypełni dolinę powoli jak niewyczuwalna woda.

Później inne grupy nomadów połączyły się z karawaną Ma el Ainina. Rozmawiali z przywódcą plemienia, pytali, dokąd zmierzają, i poszli z nimi tą samą drogą. Teraz było ich kilka tysięcy, szli doliną w stronę studni Hoża, el Fonat i Jorf.

Nur nie pamiętał już, przed iloma dniami wyruszyli w podróż. Może to tylko jeden niekończący się dzień, który mijał, podczas gdy słońce wschodziło i zachodziło na płonącym niebie, a chmura kurzu płynęła, rozpryskiwała się jak fala. Ludzie synów Ma el Ainina byli daleko w przodzie; powinni już dojść w głąb doliny Sagiet el Hamra, minąć grobowiec Rajema Mohameda Embarek, gdzie otwiera się na równinę Hammady wielka księżycowa dolina Mezuar. Może nawet konie ich wspinały się już na zbocza skalistych wzgórz i widzieli,

jak za nimi otwiera się ogromna dolina Sagiet el Hamra, w której kłębią się chmury kurzu koloru ochry i czerwieni wzbijane przez ludzi i stada Ma el Ainina.

Teraz mężczyźni i kobiety w ostatniej kolumnie zwolnili tempo marszu. Od czasu do czasu Nur przystawał i czekał na grupę, w której była matka i siostry. Siadał na palących kamieniach, z połą płaszczu zarzuconą na głowę i patrzył na gromadę, która ścieżką posuwała się powoli do przodu. Wojownicy bez koni szli pochyleni, przygniecenii niesionym na ramionach ciężarem. Niektórzy wspierali się na długich karabinach, na włóczniach. Twarze ich były czarne, a przez skrzywienie kroków w piasku Nur słyszał bolesny odgłos ich oddechów.

Z tyłu szli pasterze i dzieci, w ślad za stadem kóz i owiec, gnając je przed sobą uderzeniami kamieni. Kłęby kurzu otulały ich jak czerwona mgła i Nur patrzył na dziwne, potargane sylwetki, które zdawały się tańczyć w pyłe. Kobiety szły obok jucznych wielbłądów, niektóre niosły w płaszczach dzieci, szły powoli, boso po palącej ziemi. Nur słyszał jasny dźwięk ich naszyjników ze złota i miedzi, bransolet wokół kostek. Szły, śpiewając niekończącą się smutną piosenkę, która przybliżała się i oddalała jak szum wiatru.

A na samym końcu szli ci, którzy nie mieli już sił: starcy, dzieci, ranni, młode kobiety, których mężczyźni poumierali i które nie miały już nikogo, kto by pomógł im znaleźć żywność i wodę. Było ich wielu, rozproszonych wzdłuż szlaku w dolinie Sagiet i nadchodzili całymi godzinami po przejściu żołnierzy szejka. To na nich spoglądał Nur ze szczególnym współczuciem.

Stojąc na brzegu drogi, widział, jak idą powoli, podnosząc z trudem ciężkie od zmęczenia nogi. Twarze mieli szare, wychudłe, oczy błyszczące z gorączki. Wargi ich krwawiły, ręce i piersi znaczyły rany, w których krew zakrzepła i zmieszała się ze złotem kurzu. Blask słońca bił w nich niczym w przydrożne, czerwone kamienie, a oni cierpieli jak od prawdziwych ciosów. Kobiety nie miały obuwia, ich bose stopy palił piasek i zżerała sól. Ale najbardziej bolało ich milczenie, rodząc litość i niepokój. Nikt nie mówił, nie śpiewał. Nikt nie płakał, nie jęczał. Wszyscy, mężczyźni, kobiety, dzieci, z okrwawionymi stopami, wszyscy szli do przodu w milczeniu, jak pokonani. Słychać było tylko ich kroki na piasku i krótkie zdyszane oddechy. Później oddalili się powoli, niosąc na plecach swoje tobołki, podobni do dziwnych owadów po burzy.

Nur stał na skraju drogi, tobołek położył na ziemi. Od czasu do czasu, kiedy stara kobieta albo ranny żołnierz szli w jego stronę, próbował z nimi rozmawiać, zbliżał się do nich i mówił:

– Witaj, witaj, czy nie jesteś nadto zmęczony, może chcesz, żebym ci pomógł?

Ale oni milczeli, nawet na niego nie patrzyli, a twarze ich były twarde jak kamień z doliny, ściągnięte od bólu i światła. Nadchodziła grupa ludzi pustyni, wojowników Szengetti. Ich wielkie, jasnoniebieskie płaszcze były w strzępach. Owinęli nogi i stopy w chustki poplamione krwią. Nic nie nieśli, nawet worka ryżu, nawet bukłaka z wodą. Mieli już tylko karabiny i włócznie, szli pełni bólu jak starcy i dzieci.

Jeden z nich był ślepy i chwycił innych za połę płaszczu, chwiejąc się na kamienistej drodze, dotykał na oślep korzeni i trujących krzewów. Kiedy przechodzili obok Nura, usłyszał głos witającego ich chłopca, puścił płaszcz towarzysza i przystanął.

– Czy już dotarliśmy? – spytał.

Inni poszli dalej, nie odwracając się nawet. Wojownik pustyni miał twarz jeszcze młodą, ale wyczerpaną zmęczeniem, kawałek brudnego materiału zasłaniał mu oczy.

Nur dał mu trochę swojej wody do picia, położył jego tobołek na ramiona, a rękę wojownika na swoim płaszczu:

– Chodź, teraz pójdiesz ze mną.

Szli znów drogą przed wielką chmurą czerwonego pyłu, w stronę krańca doliny.

Mężczyzna nic nie mówił. Jego ręka wczepiła się w ramię Nura tak mocno, że sprawiała ból. Wieczorem, kiedy stanęli przy studni Jorf, chłopiec był u kresu sił. Znajdowali się teraz u stóp wysokich, czerwonych brzegów, gdzie zaczynają się *mesas*⁸ Hoa i dolina idąca ku północy.

Tu spotkali się wszyscy – karawany Larhdafa i Saadbu, i błękitni wojownicy wielkiego szejka. W świetle zmierzchu Nur patrzył na tysiące ludzi siedzących na wysuszonej ziemi wokół czarnej plamy studni. Czerwony kurz pomału opadał, a dymy *brasero* unosiły się już w niebo.

Kiedy Nur odpoczął, zebrał swój tobołek, ale nie zawiązał go wokół piersi. Ujął rękę ociemniałego wojownika i poszli do studni.

Wszyscy już pili, mężczyźni i kobiety po wschodniej stronie studni, zwierzęta po zachodniej. Woda była zmacona, pomieszana z czerwonym błotem. Jednak nigdy nie wydawała się ludziom piękniejsza. Bezchmurne niebo błyszczało na jej czarnej powierzchni jak wypolerowany metal.

Nur pochylił się i pił długimi łykami, nie oddychając. Przy brzegu studni, klęcząc, ślepy wojownik pił również, chciwie, prawie nie pomagając sobie wgłębieniem dłoni. Kiedy nasycił się, siadł na brzegu studni, a jego ciemna twarz i broda lśniły od wody.

Później wrócili do stad. Taki był rozkaz szejka, ponieważ nikt nie mógł pozostać blisko studni, by nie mącić wody.

Blisko Hammady noc zapadała szybko. Ciężko wchodził w głąb doliny, pozostawiając w promieniach słońca jedynie nagie wierzchołki czerwonych kamieni.

Nur przez chwilę szukał ojca i matki, ale nigdzie ich nie dojrzał. Może odeszli już z żołnierzami Larhdafa w stronę początku północnej drogi. Nur wybrał miejsce na noc, blisko stąd. Położył swój tobołek i podzielił się kawałkiem chleba z prosa i daktylami ze ślepym wojownikiem. Mężczyzna zjadł szybko, później wyciągnął się na ziemi z rękami pod głowę. Wtedy Nur zagadnął go, kim jest. Mężczyzna opowiadał powoli, głosem nieco zachrypniętym od długiego milczenia, o wszystkim, co wydarzyło się tam bardzo daleko, w Szengetti, blisko wielkiego, słonego jeziora Szenszan, o żołnierzach chrześcijańskich, którzy zaatakowali karawany, spalili wioski, uprowadzili dzieci do obozów. Kiedy nadchodzili żołnierze chrześcijańscy – z zachodu, od brzegów morskich albo z południa, ubrani na biało wojownicy jadący na wielbłądach i czarni ludzie z Nigru – ludzie pustyni musieli uciekać na północ. W czasie jednej z walk został raniony kulą z karabinu i stracił wzrok. Wtedy towarzysze zabrali go na północ, do świętego miasta Smara, bo mówili, że wielki szejk potrafi leczyć zadane przez chrześcijan rany i że posiada moc przywracania wzroku. Podczas gdy mówił, łzy płynęły spod jego zamkniętych powiek, bo myślał o wszystkim, co utracił.

– Czy wiesz, gdzie jesteśmy teraz? – pytał nieustannie Nura, jakby się bał, że pozostanie tu, pośrodku pustyni.

– Czy wiesz, gdzie jesteśmy? Czy daleko od miejsca, gdzie będziemy mogli się zatrzymać?

– Niedaleko – mówił Nur. – Już wkrótce przybędziemy na ziemi obiecane przez szejka, tam, gdzie niczego nam nie zabraknie, gdzie będzie jakby królestwo Boga.

Ślepy wojownik mówił dalej, ale nie opowiadał już o wojnie. Mówił cicho o swoim dzieciństwie w Szengetti, z ojcem i braćmi, o drodze solnej. Mówił o nauce w meczecie w Szengetti, później o odjeździe wielkich karawan przez pustynne przestrzenie w stronę Adrar i jeszcze dalej na wschód, w stronę gór Hank, ku studni Abd el Małek, gdzie znajduje się grobowiec o cudownych właściwościach. Mówił o tym cicho, śpiewał prawie, wyciągnięty na ziemi, a noc kładła chłodny cień na jego twarzy i wypalonych oczach.

8 Mesas - płaskowyże (przyp. tłum.).

Nur położył się obok niego, owinięty w wełniany płaszcz, z głową wspartą na tobołku, i zasypiał z otwartymi oczami, patrząc na niebo i słuchając głosu mężczyzny, który mówił do siebie. Noce na pustyni były zimne, ale wargi i język nie przestawały palić i Nur miał wrażenie, jakby położono mu na powiekach rozgrzane w ogniu monety. Wiatr dął nad skałami, wiał na wydmach, sprawiał, że ludzie w łachmanach drżeli z gorączki. Gdzieś tam, pośród uśpionych wojowników, stary szejk ubrany w biały płaszcz patrzył w noc, nie śpiąc, tak jak czynił to od miesięcy. Jego spojrzenie podążało w stronę gmatwaniny gwiazd, które pograżały ziemię w swej rozproszonej jasności. Czasami przechadzał się pośród śpiących. Później wracał i siadał na swoim miejscu, pił herbatę, powoli, słuchając trzaskania węgla w *braseo*.

Tak mijały dni, upalne i straszne, podczas gdy karawany ludzi i zwierząt szły doliną ku północy. Podążali teraz drogą z Tinduf przez jałową równinę Hammady. Synowie Ma el Ainina z najbardziej sprawnymi ludźmi jechali konno jako zwiadowcy, przez doliny ciasno otoczone górami Warkiz, ale była to droga zbyt trudna dla kobiet i dzieci i szejk wybrał drogę wschodnią.

Z tyłu karawany szedł Nur, dłoń ślepego wojownika ścisnęła jego ramię. Z każdym dniem tobołek z jedzeniem stawał się coraz lżejszy i Nur dobrze wiedział, że pożywienia nie starczy do końca podróży.

Szli teraz po ogromnym, kamiennym płaskowyzu, blisko nieba. Czasami przechodzili przez szczeliny, wielkie czarne rany w białej skale, przez usypiska kamieni podobnych do noży. Ślepy wojownik mocno ścisnął ramię Nura, by nie upaść.

Mężczyźni zdarli obuwie z koziej skóry i wielu pozawijało nogi strzępami ubrań, by zatamować ciekącą krew. Kobiety szły boso, ponieważ przywykły do tego od dziecka, ale czasami ostrzejszy kamień ranił stopę i idąc, pojękiwały.

Ślepy wojownik nigdy nie odzywał się w ciągu dnia. Jego ciemną twarz zakrywał niebieski płaszcz i opatrunek zasłaniający oczy jak kaptur sokoła. Szedł, nie skarżąc się, i od czasu, kiedy Nur go prowadził, nie obawiał się już, że zblądzi. Tylko gdy czuł, że nadchodzi wieczór, gdy ludzie Larhdafa i Saadbu, będący daleko w przodzie, w dolinach, wykrzykiwali śpiewnymi głosami sygnał postoju, ślepy wojownik pytał zawsze z tym samym niepokojem:

– Czy to tutaj? Czy już tu jesteśmy? Powiedz, czy przybyliśmy do miejsca, gdzie zatrzymamy się na zawsze?

Nur rozglądał się wokół siebie i widział tylko bezkresną przestrzeń kamieni i kurzu, ciągle tę samą ziemię pod niebem. Zdejmował swój tobołek i mówił zyczajnie:

– Nie, to jeszcze nie tutaj.

Wówczas, jak co wieczór, ślepy wojownik wypijał kilka łyków z bukłaka, zjadał kilka daktyli i trochę chleba, później kładł się na ziemi i dalej opowiadał różne rzeczy o swoim kraju, o wielkim, świętym mieście Szengetti, blisko jeziora Szenszan. Mówił o oazie, gdzie woda jest zielona, a ogromne palmy dają owoce słodkie jak miód, gdzie cień jest pełen śpiewu ptaków i śmiechu dziewcząt idących po wodę. Opowiadał to melodyjnym głosem, jakby kołysał samego siebie, by złagodzić cierpienie. Czasami jego towarzysze siadali przy nim i dzielili się z Nurem chlebem i daktylami albo parzyli herbatę z trawy sziba. Słuchali monologu ślepego wojownika, później mówili oni, również o swojej ziemi, o studniach południa, Atar, Udżeft, Tamszakatt i o wielkiej dolinie Ulata. Mówili językiem obcym i miękkim jak język modlitw, a ich szczupłe twarze miały metaliczny odcień. Kiedy słońce zbliżało się do linii horyzontu, a pustynna równina lśniła w świetle, klękali i odmawiali modlitwę, czołem dotykając pyłu. Nur pomagał ślepemu wojownikowi pochylić się w stronę wschodu, później kładł się owinięty w płaszcz i aż do zaśnięcia słuchał dźwięku męskich głosów.

W ten sposób, idąc wzdłuż uskoków i koryt wyschniętych strumieni, przebyli góry Warkiz. Karawana rozciągała się po całej równinie od krańca do krańca horyzontu. Wielka

chmura czerwonego kurzu wznosiła się co dzień ku błękitnemu niebu, poruszała na wietrze. Stada kóz i baranów, juczne wielbłądy szły razem z ludźmi, oślepiając ich kurzem. Daleko za nimi starcy, chore kobiety, porzucone dzieci, ranni wojownicy posuwali się w świetle, które sprawiało ból, z pochylonymi głowami, na słabych nogach, zostawiając czasami na śladach stóp krople krwi.

Kiedy Nur po raz pierwszy zobaczył, jak ktoś pada bez jednego krzyku na brzegu drogi, chciał się zatrzymać, ale błękitni wojownicy i ci, którzy szli za nim, bez słowa popchnęli go do przodu, bo nic już nie można było uczynić. Teraz Nur nie przystawał. Czasami w kurzu leżał jakiś człowiek z ramionami i nogami podkurczonymi niczym we śnie. Był to stary mężczyzna lub kobieta, z wyschniętym już ciałem, których choroba i zmęczenie zatrzymały tu, na brzegu drogi, uderzyły w tył głowy jak obuchem. Wiatr rzuci na nich garści piasku, wkrótce zasypie, i nie trzeba będzie nawet kopać grobu.

Nur myślał o starej kobiecie, która dała mu herbaty w obozie pod murami Smary. Być może ona również umarła pewnego dnia rażona przez słońce i zasypał ją piasek pustyni. Ale nie myślał o niej długo, ponieważ każdy krok, który stawiał, był jak czyjaś śmierć, zacierająca wspomnienia; jakby przejście przez pustynię musiało wszystko zniszczyć, wszystko spalić w jego pamięci, uczynić zeń innego człowieka. Dłoń ślepego wojownika popychała go do przodu, kiedy zmęczone nogi odmawiały posłuszeństwa, i może bez tej dłoni położonej na ramieniu upadłby jak inni z podkurczonymi nogami i rękami na skraju drogi.

Na horyzoncie ukazywały się ciągle nowe góry, kamienny i piaszczysty płaskowyż zdawał się bez kresu, jak morze. Co wieczór ślepy wojownik, słysząc sygnał postoju, pytał Nura:

– Czy to tutaj, czy już przyszliśmy?

A później prosił:

– Powiedz mi, co widzisz?

Ale Nur odpowiadał tylko:

– Nie, to nie tutaj. Tu jest pustynia, musimy iść dalej.

Zwątpienie ogarniało ludzi. Nawet wojownicy pustyni, niezwykli błękitni ludzie Ma el Ainina czuli zmęczenie, a spojrzenia ich wyrażały wstyd jak u ludzi, którzy stracili wiarę.

Siadali małymi grupkami, w milczeniu obejmowali karabiny. Kiedy Nur szedł do ojca i matki prosić ich o wodę, najbardziej przerażało go ich milczenie. Jakby groźba śmierci dotknęła wszystkich i jakby już nie mieli siły, by się kochać.

Większość mężczyzn z karawany, kobiety, dzieci leżeli na ziemi, czekając, aż słońce zgaśnie na horyzoncie; nie mieli nawet siły odmówić modlitwy, mimo nawoływania duchownych Ma el Ainina, które rozbrzmiewało na płaskowyżu. Nur kładł się z głową na pustym prawie tobołku i patrzył w niebo bez dna, o zmiennych kolorach, słuchał głosu ślepego, który nucił cicho.

Czasami wydawało mu się, że to wszystko jest snem, strasznym, niekończącym się snem, który śnił z otwartymi oczami i który ciągnął go wzdłuż gwiazdnych dróg, po ziemi gładkiej i twardej jak wypolerowany kamień. Cierpienie było niczym wymierzone włócznie, a on szedł naprzód, nie wiedząc, co go rozszarpuje. Jakby wychodził z samego siebie, zostawiał ciało na spalonej ziemi, nieruchome ciało na piaszczystej, kamiennej pustyni, podobne do plamy, do kupki starych szmatek rzuconych na ziemię pośród innych stosów szmat, a jego dusza wędrowała po mroźnym niebie, pośród gwiazd, przebywając w mgnieniu oka przestrzeni, na której poznanie nie starczyłoby całego życia. Widział wówczas, powstałe jak w mirażu, niezwykle miasta z pałacami z białego kamienia, wieże, kopuły, wielkie ogrody ociekające czystą wodą, drzewa obwieszane owocami, kępy kwiatów, fontanny, przy których zbierały się roześmiane dziewczęta. Widział to wszystko wyraźnie, wślizgiwał się w chłodną wodę, pił z kaskad, kosztował każdego owocu, wdychał wszystkie zapachy. Ale najbardziej niezwykła była muzyka, którą słyszał, oddalając się od swego ciała. Nigdy nie słyszał czegoś podobnego.

Był to głos młodej kobiety, która śpiewała w języku *szleh* słodką pieśń płynącą w powietrzu, powtarzającą wciąż te same słowa:

„Któregoś dnia, och, któregoś dnia, kruk stanie się biały, morze wyschnie, znajdziemy miód w kwiecie kaktusa, zrobimy posłanie z gałązek akacji, och, któregoś dnia nie będzie już trucizny w ustach węża, a kule karabinu nie przyniosą śmierci, ponieważ będzie to dzień, w którym opuszczę moją miłość...”

Skąd pochodził ten głos, tak czysty, tak słodki? Nur czuł, jak duch jego coraz bardziej się oddala, poza tę ziemię, poza to niebo, ku krainie, gdzie czarne chmury nabrzmiały się deszczem, a rzeki, w których nie przestaje płynąć woda, wielkie i głębokie.

„Któregoś dnia, och, któregoś dnia, wiatr nie będzie wiał na ziemi, ziarenka piasku będą słodkie jak cukier, pod każdym kamieniem przy drodze czekać będzie na mnie źródło, któregoś dnia, och, któregoś dnia pszczoły zaśpiewają dla mnie, bo będzie to dzień, w którym opuszczę moją miłość...”

Tam grzmiały tajemnicze odgłosy burzy, tam króluje zimno, śmierć.

„Któregoś dnia, och, któregoś dnia, zaświeci słońce nocy, księżycowa woda pozostawi na ziemi kałuże, niebo odda złoto gwiazd, któregoś dnia, och, któregoś dnia, zobaczę, jak cień mój tańczy dla mnie, bo będzie to dzień, w którym opuszczę moją miłość...”

To stamtąd przychodzi nowy ład, ten, który wypędza błękitnych ludzi pustyni i który wszędzie rodzi strach.

„Któregoś dnia, och, któregoś dnia, słońce będzie czarne, ziemia otworzy się do środka, morze pokryje piasek, któregoś dnia, och, któregoś dnia, moje oczy nie ujrzą więcej światła, moje usta nie wypowiedzą twego imienia, moje serce przestanie bić, ponieważ będzie to dzień, w którym porzucę moją miłość...”

Obcy głos oddalił się i Nur słyszy znów powolną i smutną pieśń ślepego wojownika, mówiącego coś z twarzą zwróconą ku niebu, którego nie mógł zobaczyć.

Karawana Ma el Ainina przybyła pewnego wieczoru nad brzeg Dra, po drugiej stronie gór. Tam, schodząc na zachód, zauważyli dymy obozowisk grup Larhdafa i Saadbu. Kiedy ludzie się spotkali, odzyskali nadzieję. Ojciec Nura wyszedł na jego spotkanie i pomógł mu nieść tobolek.

– Gdzie jesteśmy, czy to tutaj? – zapytał ślepy wojownik.

Nur wytłumaczył mu, że przeszli pustynię i są już blisko celu.

Ta noc była jakby świętem. Po raz pierwszy od dawna słychać było dźwięk gitar i tamburynów, i czysty śpiew Hetów.

W dolinie noc była cieplejsza, zwierzęta miały trawę. Z ojcem i matką Nur zjadł daktyle i chleb z prosa, a ślepy wojownik także otrzymał swoją część. Rozmawiał z nimi o drodze, jaką przeszli od Sagiet el Hamra aż do grobu Sidi Mohammeda el Kenti. Później poszli razem, prowadząc ślepego wojownika przez zarośla aż do wyschniętego koryta rzeki Dra.

Było wiele ludzi i zwierząt, bowiem do karawany wielkiego szejka przyłączyli nomadzi z Dra, ci z okolic studni Tasuf, ludzie z Messeida, z Tkart, z El Gaba, od Sidi Brahima el Aattami, wszyscy ci, których nędza i groźba przybycia Francuzów wygnały z wybrzeża i którzy dowiedzieli się, że wielki szejk Ma el Ainin wyprawił się na świętą wojnę, żeby wyrzucić obcych z ziemi wiernych.

Wtedy nie widziano już spustoszeń, jakie śmierć poczyniła w szeregach mężczyzn i kobiet. Nie widziano już, że większość mężczyzn stanowili ranni lub chorzy, że małe dzieci umierały w ramionach matek, spalane przez gorączkę i odwodnienie.

Widziano tylko, jak okiem sięgnąć, w czarnym korycie wyschniętej rzeki, idące powoli sylwetki, stada kóz i baranów, i mężczyzn siedzących na wielbłądach, na koniach, którzy zdążali gdzieś ku swemu przeznaczeniu.

Całymi dniami szli w górę ogromnej doliny Dra, po spękany piasku, twardym jak wypalona w piecu ziemia, czarnym korytem rzeki, gdzie słońce w zenicie parzyło jak

plomień. Po drugiej stronie doliny ludzie Larhdafa i Saadbu pognali konie wzdłuż wąskiego potoku, a mężczyźni, kobiety i stada poszli otwartą dla nich drogą. Teraz, jako ostatni, jechali na wielbłądach wojownicy Ma el Ainina, a Nur zdążył razem z nimi, prowadząc ślepcę. Większość żołnierzy Ma el Ainina szła piechotą, podpierając się karabinami i włóczniami, kiedy przechodzili przez wąwozy.

Tego samego wieczoru karawana dotarła do głębokiej studni, nazwanej Ain Rhtra, niedaleko od Torkoz, u stóp gór. Jak co wieczór Nur poszedł po wodę dla ślepego wojownika, umyli się i razem odmówili modlitwę. Później Nur znalazł miejsce na nocleg w pobliżu żołnierzy szejka. Ma el Ainin nie rozstawiał namiotu. Spał pod gołym niebem jak ludzie pustyni, skulony na dywanie siodła, owinięty tylko w biały płaszcz. Noc zapadała szybko, bo wysokie góry były blisko. Ludzie drżeli z zimna. Ślepy wojownik już nie nucił obok Nura. Może nie śmiał w obecności szejka albo był zanadto zmęczony, by mówić.

Kiedy Ma el Ainin zjadł wieczorny posiłek z żołnierzami, kazał zanieść trochę pożywienia i herbaty dla Nura i jego towarzysza. Smakowała im zwłaszcza herbata i Nur pomyślał, że nigdy nie pił nic równie dobrego. Jedzenie i świeża woda ze studni były jakby światłem w ich ciałach, które wracało całą siłą. Nur jadł chleb, patrząc na siedzącą sylwetkę starego człowieka, owiniętą w wielki, biały płaszcz.

Od czasu do czasu ludzie przychodzili do szejka, prosząc go o błogosławieństwo. On przyjmował ich, kazał zająć miejsce obok siebie, rozdawał im część swego chleba, przemawiał do nich. Odchodzili, ucałowawszy poję jego płaszcz. Byli to nomadzi z Dra, pasterze w łachmanach albo błękitne kobiety, które niosły swe dzieci, zawinięte w płaszcze. Wszyscy chcieli zobaczyć szejka, by zyskać trochę sił, trochę nadziei, by złagodzić rany ciała.

Później, w nocy, Nur nagle się obudził. Zobaczył pochylonego nad sobą ślepego wojownika. W świetle gwiazd pełna cierpienia twarz lekko lśniła. Ponieważ Nur cofnął się prawie przerażony, mężczyzna powiedział cicho:

– Czy on przywróci mi wzrok? Czy znowu będę widział?

– Nie wiem – odparł Nur.

Ślepy wojownik zajęczał i opadł na ziemię głową w pył.

Nur rozglądał się. W głębi doliny, u stóp gór ruch zamarł, nie dochodził stamtąd żaden dźwięk. Wszędzie ludzie spali, zawinięci w płótna, walcząc z zimnem. Tylko Ma el Ainin siedział na dywanie zdjętym z siodła, nieruchomo, z oczami utkwionymi w nocnym krajobrazie, jakby dla niego zmęczenie nie istniało.

Nur ułożył się na boku, z policzkiem na ramieniu, i patrzył długo na starego człowieka, który modlił się, jakby raz jeszcze wyruszał w niekończący się sen, sen większy od niego, który prowadził go w inny świat.

Każdego dnia, kiedy wstawało słońce, ludzie byli już na nogach. Bez słowa brali toboły, a kobiety przywiązywały do pleców małe dzieci. Zwierzęta budziły się również, deptały ziemię, wzbijając kurz, bo rozkaz starego człowieka przenikał je, unosił się w słonecznym żarze, w oszałamiających porywach wiatru.

Szli dalej na północ przez poszarpane góry Tessa, wzdłuż wąwozów palących się jak zbocza wulkanu.

Czasami wieczorem, kiedy przystawali przed studnią, błękitni mężczyźni i błękitne kobiety, ci, którzy wyłonili się z pustyni, przybiegali do nich, ofiarowując daktyle, zsiadłe mleko, chleb z prosa. Wielki szejk udzielał im błogosławieństwa, bo przyprowadzali ze sobą małe dzieci chore na żołądek lub oczy. Ma el Ainin nacierał je odrobiną ziemi zmieszanej ze śliną, kładł dłonie na ich czołach; później kobiety odchodziły, wracały na czerwoną pustynię, skąd przyszły. Czasami przychodzili również mężczyźni z karabinami i włóczniami, żeby przyłączyć się do gromady. Byli to wieśniacy o surowych twarzach, z włosami blond lub rudymi i z dziwnie zielonymi oczami.

Po drugiej stronie gór karawana dotarła do palmowego gaju Taidalt, gdzie zaczyna się rzeka Nun i droga do Gulimin. Nur myślał, że mógłby odpocząć i napić się do syta, ale gaj palmowy był niewielki i zniszczony suszą i pustynnym wiatrem. Wielkie, szare wydmy pochłoneły oazę i woda miała kolor błota. Wśród palm nie było prawie nikogo prócz kilku wyczerpanych przez głód starców. A więc następnego dnia karawana Ma el Ainina odeszła wzdłuż wyschniętej rzeki, w stronę Gulimin.

Nim doszli do miasta, oddziały synów Ma el Ainina wyruszyły przodem. Wróciły po dwóch dniach, przynosząc złe nowiny: żołnierze chrześcijańscy wylądowali na Sidi Ifni i również posuwali się na północ. Larhdaf chciał mimo wszystko iść do Gulimin, żeby walczyć z Francuzami i Hiszpanami, ale szejek wskazał na obozujących na równinie ludzi i zapytał tylko: „Czy to są twoi żołnierze?”. Wówczas Larhdaf spuścił głowę i wielki szejek dał rozkaz odjazdu daleko od Gulimin, w stronę palmowego lasu Ait Bucha, a później przez góry aż do drogi Bu Izakam na wschodzie.

Mimo zmęczenia mężczyźni i kobiety wędrowali tygodniami przez czerwone góry, wzdłuż potoków bez wody, błękitni ludzie, kobiety, pasterze ze stadami, juczne wielbłądy, jeźdźcy, wszyscy musieli prześlizgiwać się między skalnymi blokami, znaleźć przejście na usypiskach. I tak przybyli do świętego miasta Sidi Ahmeda lub Mussa, patrona akrobatów i zonglerów. Karawana zatrzymała się w jałowej dolinie. Jedynie szejek z synami i ci z Gudfia zostali w obrębie grobowca, podczas gdy szlachetnie urodzeni przybywali złożyć im przysięgę wierności.

Tego wieczoru pod rozgwieżdżonym niebem odmówiono wspólnie modlitwę, a mężczyźni i kobiety zebrali się wokół grobu świętego. W pobliżu zapalonych ognisk ciszę przerywało tylko trzaskanie suchych gałązek i Nur widział lekką sylwetkę szejka, który przykucnął na ziemi i recytował po cichu *dżikr*. Ale tego wieczoru modlitwie nie towarzyszyły nawoływania ani muzyka, bo śmierć krążyła zbyt blisko, a zmęczenie ścisnęło gardła. Słysząc było tylko jeden słodki głos, zwiewny jak dym, który nucił w ciszy. Nur patrzył wokół siebie i widział tysiące ludzi ubranych w wełniane płaszcze, siedzących na ziemi, wokół nielicznych ognisk. Tiwali w bezruchu i milczeniu. Była to najżarliwsza, najboleśniejsza modlitwa, jaką kiedykolwiek słyszano. Nikt się nie poruszył, z wyjątkiem kaszłającego starca i kobiety karmiącej piersią dziecko. W dolinie o wysokich ścianach nie było najmniejszego podmuchu, ogniska paliły się prosto i bardzo mocno. Noc, piękną i mroźną, wypełniały gwiazdy. Później, ponad czarnymi, wysokimi brzegami pojawiło się na horyzoncie światło księżyca i srebrna tarcza, idealnie okrągła, wznosiła się godzina po godzinie ku zenitowi.

Szejek modlił się przez całą noc, podczas gdy kolejno gasły wszystkie ogniska. Ludzie przytłoczeni zmęczeniem kładli się tam, gdzie byli, i zasypiali. Nur odchodził tylko dwa lub trzy razy oddać mocz w zaroślach w głębi doliny. Nie mógł spać, jakby gorączka paliła jego ciało. Przy nim zasnęli owinięci w płaszcze ojciec, matka i siostry, również ślepy wojownik spał z głową na zimnej ziemi.

Nur patrzył ciągle na starego człowieka siedzącego przy białym grobowcu, śpiewającego półgłosem w ciszy nocy, jakby usypiał dziecko.

O wschodzie karawana wyruszyła w towarzystwie ludzi Ait i Mussa, górali przybyłych z Ilirih, z Tafermit, a także ludzi Ida Gugmar, Ilfran, Tirhmi, wszystkich tych, którzy chcieli iść z Ma el Aininem na wojnę w obronie królestwa Boga.

Minęło jeszcze wiele dni marszu przez puste góry, wzdłuż wąwozów i wyschłych strumieni. Każdego dnia na nowo paliło słońce, dokuczało pragnienie i olśniewający blask nazbyt białego nieba, zbyt czerwonych skał, kurz dusił ludzi i zwierzęta. Nur nie pamiętał już, jak wygląda ziemia, kiedy się nie wędruje, nie pamiętał już studni, przy których kobiety czerpią wodę glinianymi dzbanami i szczebioczą jak ptaki. Nie pamiętał już pieśni pasterzy gubiących stada ani zabaw dzieci na piasku wydym. Zupełnie jakby szedł wiecznie i

nieustannie widział te same wzgórza, wąwozy, czerwone skały. Czasami miał wielką ochotę usiąść na kamieniu przy brzegu drogi i patrzeć, jak długa karawana odchodzi, patrzeć na czarne sylwetki ludzi i wielbłądów w rozedrganym powietrzu, jakby wszystko to było znikającym mirażem. Ale dłoń ślepego wojownika nie puszczała jego ramienia, popychała do przodu, zmuszała do marszu.

Kiedy zbliżali się do jakiegoś miasteczka, stawali. Nazwa miasteczka krążyła od człowieka do człowieka, rozbrzmiewała na wszystkich ustach – „Tirhmi, Anezi, Assaka, Assersif...”. Zdążali teraz wzdłuż prawdziwej rzeki, w której płynęła strużka wody. Na brzegach rosły białe akacje. Później szli ogromną, piaszczystą równiną, białą jak sól, w blasku oślepiającego słońca.

Któregoś wieczoru, podczas gdy karawana zajmowała miejsca na nocleg, z północy przybyła grupa wojowników towarzyszących mężczyźnie na koniu, ubranemu w biały, obszerny płaszcz.

Był to sławny szejek Laussin, który przyprowadził swych wojowników i rozdzielał żywność wśród podróżnych. Wtedy ludzie zrozumieli, że podróż dobiega końca, ponieważ zbliżano się do doliny wielkiej rzeki Sus, gdzie będzie woda i pastwiska dla zwierząt, i ziemia dla wszystkich.

Kiedy nowina rozeszła się wśród wędrowców, Nura raz jeszcze ogarnęło uczucie pustki i śmierci, podobnie jak przed wyruszeniem ze Smary. Ludzie biegali w tę i z powrotem w kurzu, wykrzykując i nawołując:

– Doszliśmy! Doszliśmy!

Ślepy wojownik ścisnął mocno ramię Nura i również wołał:

– Doszliśmy!

Ale dopiero po dwóch dniach dotarli do doliny wielkiej rzeki przed miasto Tarudant. Godzinami szli w górę, brodząc w strużkach wody, płynącej po czerwonych, okrągłych kamykach. Mimo wody w rzece brzegi były suche i nagie, a ziemia twarda, spalona przez wiatr i słońce.

Nur szedł po okrągłych kamieniach, prowadząc ślepego wojownika. Woda mimo palącego słońca była lodowata. Kilka wątłych krzaków wyrosło pośrodku rzeki na wysepkach kamyków. Leżały tam również wielkie białe pnie, które wezbrana woda przyniosła z gór.

Nur zapomniał już o wrazeniu nadchodzącej śmierci. On również czuł się szczęśliwy, bo myślał, że to koniec podróży, że tu jest ziemia, którą Ma el Ainin im przyrzekł, zanim opuścili Smarę.

W ciepłym powietrzu unosiło się pełno zapachów, gdyż zaczynała się wiosna. Nur po raz pierwszy wdychał taki zapach. Ponad nurtem wody tańczyły owady – osy, lekkie muchy. Od tak dawna Nur nie widział zwierząt, że teraz na widok much i os przepełniło go szczęście. Nawet kiedy jakiś giez ukąsił go nagle przez ubranie, nie rozzłościł się i tylko odpędzał go dłonią.

Po drugiej stronie rzeki Sus, oparte bokiem o czerwoną górę wielkie miasto z domami z gliny wznosiło się niczym niebiańska wizja. Nierzeczywiste, jakby zawieszony w słonecznym świetle, zdawało się czekać na ludzi pustyni, aby ofiarować im schronienie. Nur nie widział nigdy tak pięknego miasta. Wysokie mury z czerwonych kamieni i błota, bez okien, lśniły w świetle zachodzącego słońca. Aureola z kurzu unosiła się nad miastem jak pył i otaczała je magiczną chmurą.

Karawana zatrzymała się w dolinie poniżej miasta, ludzie patrzyli na nie długo, z miłością i obawą jednocześnie. Teraz, po raz pierwszy od początku podróży, czuli, jak bardzo są zmęczeni. Ubrania mieli w strzępach, stopy owinięte pokrwawionymi szmatami, wargi i powieki spalone przez słońce pustyni. Usiedli na okrągłych, rzecznych kamieniach, niektórzy rozstawili namioty albo zbudowali szałas z gałęzi i liści. Dzieląc jakby obawę tłumu, Ma el Ainin zatrzymał się z synami i żołnierzami na brzegu rzeki.

Stawiano teraz wielkie namioty przywódców plemienia, zdejmowano ciężary z jucznych wielbłądów. Nad murami miasta zapadała noc, niebo zgasło, a czerwona ziemia pociemniała. Jedyne wysokie szczyty Atlasu, Tiszka, Tinergwet, pokryte szronem, lśniły jeszcze w słońcu, kiedy w dolinie nastała już noc. Z miasta dochodziły nawoływania do wieczornej modlitwy; jakiś głos brzmiał jak skarga. Podróżni pochylali się i modlili na kamieniach rzeki, nie podnosząc głosu, przy cichym szumie płynącej wody.

Rankiem Nur doznał olśnienia. Spał, nie budząc się, nie czując kamyków wbijających się w boki, nie czuł nawet zimna ani wilgoci rzeki. Kiedy się obudził, zobaczył mgłę opadającą powoli wzdłuż doliny, jakby światło dnia popychało ją przed sobą. W korycie rzeki, pośród śpiących mężczyzn, kobiety szły już po wodę albo po suche gałązki. Pod płaskimi kamieniami dzieci szukały skorupiaków. Ale prawdziwy zachwyt ogarnął Nura, gdy spojrzął na miasto. Warowny Tarudant wznosił się w czystym powietrzu świtu, u stóp góry. Mury z czerwonego kamienia, tarasy, wieże były zarysowane wyraźnie, robiły wrażenie wyrzeźbionych w skale. Czasami biała mgiełka przepływała między korytem rzeki a miastem, kryła je w połowie, jakby twierdza unosiła się nad doliną niczym statek z ziemi i kamienia, który prześlizguje się powoli przed wyspami ośnieżonych gór.

Nur patrzył na to, nie mogąc oderwać wzroku. Wysokie mury bez okien zachwyciły chłopca. Było w nich coś tajemniczego i groźnego, jakby nie ludzie tam mieszkali, ale istoty nieziemskie. Powoli światło ukazywało się na niebie, różowe, później koloru bursztynu, aż do momentu, kiedy błękit zapanował wszędzie. Światło iskrzyło się na murach z błota, na tarasach, w ogrodach z pomarańczowymi drzewami, na wielkich palmach. Niżej jałowe tereny usiane *acequias* miały kolor czerwony, prawie fioletowy. Nur stał nieruchomo na plaży pośród ludzi pustyni i w milczeniu patrzył na cudowne miasto, które się budziło. Lekkie dymy wznosiły się w powietrzu i słychać było prawie nierzeczywiste codzienne odgłosy życia, rozmowy, śmiechy dzieci, śpiew młodej kobiety.

Ludziom pustyni, nieruchomym w korycie rzeki, te dymy, dźwięki wydawały się nierealne, jakby warowne miasto na stoku góry, pola, palmy, pomarańczowe drzewa przyśniły im się.

Słońce, teraz wysoko na niebie, paliło już kamyki w korycie rzeki. Dziwny zapach dochodził do obozowiska nomadów i Nur miał trudności z rozpoznaniem go. Nie był to cierpki i zimny zapach dni ucieczki i strachu, który na pustyni wdychał od tak dawna. Był to zapach piżma i oliwy, mocny, oszałamiający, zapach *brasero*, w których spala się cedrowy węgiel, zapach kolendry, pieprzu, cebuli.

Nur wdychał ten zapach, bojąc się poruszyć, by go nie zgubić. Również ślepy wojownik rozpoznał w nim szczęście. Wszyscy stali nieruchomo, ich wytrzeszczone oczy patrzyły bez mrugnięcia, aż do bólu, na wysoki, czerwony mur miasta. Patrzyli na miasto, tak bliskie i dalekie jednocześnie, miasto, które może zechce otworzyć swe bramy, i serca ich były szybciej. Wokół nich rzeczne plaże wypełnione kamykami drgały w upale dnia. Patrzyli w bezruchu na magiczne miasto. Później, ponieważ słońce wznosiło się w górę na błękitnym niebie, kolejno przykrywali głowy połamami płaszczy.

Życie u niewolników

Wsparta o burtę Lalla patrzy na wąski pasek ziemi, który niczym wyspa ukazuje się na horyzoncie. Mimo zmęczenia wpatruje się w tę ziemię ze wszystkich sił, próbuje rozróżnić domy, drogi, może nawet sylwetki ludzi. Obok niej przy burcie zgromadzili się pasażerowie. Wołają, gestykują, mówią z ożywieniem, nawołują się we wszystkich językach od krańca do krańca pokładu. Od tak dawna czekają na ten moment. Dużo jest dzieci i młodzieży. Noszą przypiętą do ubrań jednakową tabliczkę z własnym nazwiskiem, datą urodzenia oraz nazwiskiem i adresem osoby, która czeka na nich w Marsylii. Na dole tabliczki jest podpis, pieczętka i mały czerwony krzyż w czarnym kółku. Lalli nie podoba się ten mały czerwony krzyż, ma wrażenie, jakby przez bluzę palił jej skórę i stopniowo odznaczał się na piersiach.

Zimny wiatr uderza podmuchami w pomost i ciężkie fale wprawiają w drgania blachę statku. Lalla ma mdłości, ponieważ nocą zamiast spać, dzieci puściły w obieg tubki ze skondensowanym mlekiem, które przedstawiciele Czerwonego Krzyża rozdali przed wejściem na pokład. Później, ponieważ nie starczyło leżaków, Lalla musiała spać w odrażającej duchocie ładowni, w zapachu mazutu, smaru, wstrząsana drganiami silnika. Teraz nad rufą okrętu latają pierwsze mewy, popiskują, krzyczą, jakby gniewało je to, że widzą nadpływający statek. Wcale niepodobne do księcia morza, brudnoszare, z żółtym dziobem i błyszczącym surowo okiem.

Lalla nie widziała świtu. Zasnęła na płachcie w ładowni, pokonana zmęczeniem, z głową na kawałku kartonu. Kiedy się obudziła, wszyscy byli już na pokładzie, z oczami utkwionymi w skrawku ziemi. W ładowni pozostała tylko młoda, bardzo blada kobieta, która trzymała w ramionach maleńkie dziecko. Dziecko było chore, wymiotowało, jęczało cichutko. Kiedy Lalla podeszła, żeby zapytać, co mu dolega, młoda kobieta popatrzyła na nią w milczeniu pustym wzrokiem.

Teraz ziemia jest już zupełnie blisko, unosi się na zielonym morzu pełnym odpadków. Deszcz pada na pokład, ale nikt nie szuka schronienia. Zimna woda spływa po kręconych włosach dzieci, zawisa kroplą na końcu nosa. Ubrani są jak biedacy w koszule z krótkimi rękawami, spodnie z niebieskiego płótna lub szare spodnice, czasami w obszerną, tradycyjną suknię z grubej tkaniny. Bose stopy mają w zbyt dużych trzewikach z czarnej skóry. Dorośli mężczyźni noszą stare, znoszone marynarki, przykrótkie spodnie i wełniane, narciarskie czapki. Lalla ogląda wokół siebie dzieci, kobiety, mężczyzn; mają miny smutne i zatrwożone, żółte twarze opuchnięte są ze zmęczenia, nogi i ramiona pokryte gęsią skórą. Zapach morza miesza się z zapachem zmęczenia i niepokoju, a w dali, jak plama na zielonej wodzie, ziemia również wydaje się smutna i zmęczona. Niebo jest nisko, chmury zakrywają szczyty wzgórz; Lalla na próżno patrzy, nie widzi białego miasta, o którym opowiadał Naman rybak, ani pałaców, ani kościelnych wież. Teraz widać tylko niekończące się wybrzeża barwy kamienia i cementu, które otwierają się na inne nabrzeża. Statek wypełniony pasażerami sunie wolno po czarnej wodzie basenów portowych. Na brzegu stoi kilku mężczyzn. Obojętnie patrzą na przepływający statek. A jednak dzieci krzyczą na całe gardło, machają rękami, choć nikt im nie odpowiada. Deszcz pada ciągle, drobny i zimny; Lalla wpatruje się w czarną i tłustą wodę, w której pływają resztki niechciane nawet przez mewy.

A może nie ma miasta? Lalla patrzy na mokre nabrzeża, na sylwetki przycumowanych statków, białe budynki, tworzące mur w głębi portu. Z wolna wesołość dzieci ze statku Czerwonego Krzyża przygasa. Od czasu do czasu słychać jeszcze jakieś wołania, ale nie trwają one długo. Już komisarze i opiekunki chodzą po pokładzie, wydają polecenia, których

nikt nie rozumie. Zdołali zebrać dzieci, ale głos ich gubi się w szumie silników i wrzawie tłumu.

– Makel... Sefar... Ko-di-k-i... Lagor...

To nic nie znaczy, nikt też nie odpowiada. Później odzywa się głośnik, szczerkając ponad głowami pasażerów, i powstaje wielkie zamieszanie. Jedni biegną do przodu, inni próbują wejść na schody, prowadzące w stronę górnego pokładu, skąd odpychają ich oficerowie. Wreszcie wszyscy się uspokajają, ponieważ statek przycumował i wyłączył silniki. Na nabrzeżu stoi brzydki barak z cementu z oświetlonymi oknami. Dzieci, kobiety, mężczyźni wychylają się przez burzę, próbując dojrzeć znajomą twarz pośród ludzi, którzy przechadzają się po drugiej stronie baraku i wyglądają na nie większych niż owady.

Zaczyna się wysadzanie pasażerów na brzeg. Przez wiele godzin zostaną jeszcze na statku Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, czekając na jakiś znak. W miarę jak czas mija, wśród dzieci, które zebrały się na pokładzie, narasta zdenerwowanie. Malcy zaczynają płakać. Ich marudzenie drażni i irytuje. Kobiety krzyczą, mężczyźni również. Lalla siedzi na zwoju lin, walizkę postawiła obok, w cieniu ściany pokładu oficerskiego, i czeka, patrząc na szare mewy, które latają pod szarym niebem.

Nareszcie nadchodzi moment zejścia na ląd. Pasażerowie są tak zmęczeni oczekiwaniem, iż mija dobra chwila, zanim się ruszą. Lalla idzie razem z tłumem aż do wielkiego, szarego baraku; tam są trzej policjanci i tłumacze, którzy przyjezdnym zadają pytania. Z dziećmi idzie trochę szybciej, ponieważ policjant zadowala się odczytaniem tabliczek i przepisaniem ich treści na kartki. Kiedy kończy, mężczyzna spogląda na Lallę i pyta:

– Masz zamiar pracować we Francji?

– Tak – odpowiada Lalla.

– Co będziesz robić?

– Nie wiem.

– Pomoc domowa.

Tak powiedział policjant i zapisał to na swojej kartce. Lalla zabiera walizkę i idzie czekać razem z innymi w wielkiej sali o szarych ścianach, w której pali się elektryczne światło. Nie ma na czym usiąść, a mimo zimnego deszczu na zewnątrz, w sali panuje duchota i gorąco. Najmłodsze dzieci zasnęły w ramionach matek albo na ziemi na ubraniach. Teraz skarżą się dzieci starsze. Lalli chce się pić, ma sucho w gardle, oczy jej błyszczą z gorączki. Jest zbyt zmęczona, by myśleć o czymkolwiek. Czeką oparta plecami o ścianę, przestępując z nogi na nogę. Po drugiej stronie sali, przed barierką dla policjantów, widać młodą, białą kobietę o pustym spojrzeniu, która w ramionach trzyma maleńkie dziecko. Stoi naprzeciw biurka inspektora z błędnym wyrazem twarzy, nie odzywa się. Policjant długo do niej mówi, pokazuje dokumenty tłumaczowi Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Coś się nie zgadza. Policjant zadaje pytania, które tłumacz powtarza młodej kobiecie, ale ona patrzy na nich, jakby niczego nie rozumiała. Nie chcą jej przepuścić. Lalla spogląda na młodą, bardzo bladą kobietę, która trzyma swoje dziecko. Ścisną ją w ramionach tak mocno, że maluch budzi się i zaczyna krzyczeć, później, kiedy matka szybkim gestem obnaża pierś i daje mu ją do ssania, uspokaja się. Policjant ma zakłopotaną minę. Odwraca się, szuka spojrzeniem wokół siebie. Jego oczy spotykają wzrok Lalli, która podeszła bliżej. Policjant przywołuje ją.

– Czy mówisz jej językiem?

– Nie wiem – mówi Lalla.

Lalla wymawia kilka słów w *szleħ*, młoda kobieta patrzy na nią przez chwilę, później odpowiada.

– Powiedz, że jej dokumenty nie są w porządku, brakuje pozwolenia na dziecko.

Lalla próbuje to przetłumaczyć. Wydaje jej się, że młoda kobieta nie zrozumiała, później nagle tamta siada i zaczyna płakać. Policjant mówi jeszcze kilka słów i tłumacz

Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z trudem podnosi kobietę i prowadzi ją w głąb sali, gdzie stoi kilka foteli.

Lalla jest smutna, bo rozumie, że młoda kobieta musi wsiąść na statek i wrócić ze swoim chorym dzieckiem. Ale sama jest zbyt zmęczona, by długo o tym myśleć. Wraca oprzeć się o ścianę, przy swojej walizce. Wysoko, po drugiej stronie sali wisi zegar z cyframi wypisanymi na płytkach. Co minutę klapka opada z trzaskiem. Teraz ludzie już nie rozmawiają. Czekają, siedząc na ziemi albo stojąc przy ścianie, z nieruchomym spojrzeniem, napiętą twarzą, jakby drzwi w głąbi przy każdym trzasku miały się otworzyć, pozwalając im odejść.

Wreszcie, po czasie tak długim, że nikt nie miał już na nic nadziei, ludzie z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża przechodzą przez salę. Otwierają drzwi i zaczynają wywoływać dzieci. Hałas głosów narasta, ludzie zbierają się przy wyjściu. Lalla ze swoją tekturową walizką w ręku wyciąga szyję, żeby widzieć ponad innymi; z taką niecierpliwością czeka, aż ją wywołają, że nogi jej zaczynają drżeć. Kiedy mężczyzna z Czerwonego Krzyża wymawia jej imię, rozlega się jakby szczekanie i Lalla nic nie rozumie. Wtedy on powtarza:

– Hawa! Hawa ben Hawa!

Lalla biegnie, przedziera się przez tłum, a walizka kołysze się jej w ręku. Staje pod drzwiami, podczas gdy mężczyzna sprawdza jej tabliczkę; później jednym susem wyskakuje na zewnątrz, jakby pchnięto ją w plecy. Na zewnątrz jest tyle światła, że po całych godzinach spędzonych w dużej, szarej sali Lalli kręci się w głowie. Idzie między rzędami kobiet i mężczyzn, nie widząc ich, idzie prosto przed siebie, na oślep; wreszcie czuje, jak ktoś chwytą ją za ramię, ściska, całuje. Aamma prowadzi ją ku wyjściu z nabrzeża, w stronę miasta.

Aamma mieszka sama w starej dzielnicy, blisko portu, na ostatnim piętrze walącego się domu. Jest tam jeden pokój z kanapą, drugi ciemny pokój z składanym łóżkiem i kuchnia. Okna mieszkania wychodzą na podwórze, ale nad blaszanymi dachami dobrze widać niebo. Rankiem, aż do południa, przez dwa okna pokoju, w którym stoi kanapa, zagląda tu nawet słońca. Aamma mówi, że miała dużo szczęścia, znajdując to mieszkanie, i równie dużo szczęścia, otrzymując pracę kucharki w stołówce szpitala. Kiedy przyjechała do Marsylii przed wieloma miesiącami, mieszkała najpierw w nędznym hoteliku na przedmieściu. Sypiało tam po pięć kobiet w pokoju, każdego ranka przychodziła policja, a na ulicy były ciągle bójki. Raz nawet dwóch mężczyzn pobito się na noże i Aamma musiała uciekać, zostawiając walizkę, ponieważ bała się, że zostanie zaprowadzona na policję, a później deportowana.

Aamma wydaje się bardzo zadowolona, że widzi Lallę po tak długim czasie. Nie pyta, co się wydarzyło wówczas, gdy uciekła na pustynię z Hartanim, i później, kiedy zawieziono ją do szpitala, do miasta, bo umierała z pragnienia i gorączki. Hartani poszedł dalej sam, na południe, ku karawanom – właściwie powinien był już dawno to zrobić. Aamma bardzo się postarzała przez tych kilka miesięcy. Ma twarz szczupłą i zniszczoną, cerę szarą i podkrążone oczy. Wieczorem, po powrocie z pracy, jedząc ciasteczka i pijąc miętową herbatę, opowiada o podróży samochodem przez Hiszpanię z innymi kobietami i mężczyznami, którzy wybrali się na poszukiwanie pracy. Jechali całymi dniami, mijali miasta, góry, rzeki. Aż któregoś dnia kierowca samochodu pokazał im miasto, w którym było dużo domów z cegły, wszystkie podobne, z czarnymi dachami. I powiedział: Jesteśmy na miejscu”. Aamma wysiadła razem z innymi, ponieważ podróż była opłacona z góry, wzięli swoje rzeczy i poszli ulicami miasta. Ale kiedy Aamma pokazała kopertę, na której było nazwisko i adres brata Namana, ludzie zaczęli się śmiać i powiedzieli jej, że to jest Paryż, a nie Marsylia. Wtedy musiała wsiąść do pociągu i podróżować jeszcze całą noc, zanim przybyła na miejsce.

Kiedy Lalla słyszy tę historię, śmieje się, ponieważ widzi pasażerów samochodu idących ulicami Paryża, a przekonanych, że są w Marsylii.

To miasto jest naprawdę bardzo duże. Lalla nigdy nie myślała, że tyle ludzi może mieszkać w jednym miejscu. Od czasu swego przyjazdu spędza całe dni, chodząc po

mieście, z południa na północ i ze wschodu na zachód. Nie zna nazw ulic, nie wie, dokąd idzie. Czasem wędruje wzdłuż nabrzeża, ogląda sylwetki statków towarowych, to znów zdąża wielkimi ulicami w stronę centrum albo labiryntem uliczek starego miasta wchodzi na schody, spaceruje od placu do placu, od kościoła do kościoła, aż do wielkiej esplanady, skąd widać, ponad morzem, obronny zamek. Albo znów siada na ławce w parku, patrzy na gołębie chodzące po zakurzonych alejkach. Jest tyle ulic, tyle domów, sklepów, okien, samochodów. Wszystko wiruje przed oczami, od oszałamiającego hałasu i spalin boli ją głowa. Lalla nie rozmawia z ludźmi. Siada czasami na stopniach któregoś z kościołów, dobrze ukryta w płaszczu z brązowej wełny, i patrzy na przechodniów. Widzi mężczyzn, którzy najpierw patrzą na nią, a później przystają na rogu ulicy i wyglądają tak, jakby paląc papierosa, pilnowali jej. Ale Lalla umie bardzo szybko zniknąć, nauczył ją tego Hartani; przechodzi dwie lub trzy ulice, jakiś sklep, przemyka się wśród stojących samochodów i nikt nie zdoła pójść jej śladem.

Aamma chciała, żeby i ona pracowała w szpitalu, ale Lalla jest zbyt młoda, trzeba być pełnoletnim. O pracę nie jest łatwo. W kilka dni po przyjeździe Lalla poszła odwiedzić brata starego Namana. Nazywa się ASAP, ale ludzie tutejsi wołają na niego Józef. Ma sklep korzenny na ulicy Chapeliers, niezbyt daleko od posterunku żandarmerii. Kiedy zobaczył Lallę, wyglądał na zadowolonego i uściskał ją, opowiadając o bracie, ale od razu nie wzbudził jej zaufania. Zupełnie nie przypomina Namana. Jest niski, prawie łysy, ze złymi szarzielonymi oczkami i uśmiechem niewróżącym nic dobrego. Kiedy się dowiedział, że Lalla szuka pracy, oczy zaczęły mu błyszczeć niespokojnie. Powiedział Lalli, że właśnie potrzebuje dziewczyny do pomocy w sklepie, do układania, porządkowania, a nawet do prowadzenia kasy. Ale mówiąc, spoglądał bez przerwy na brzuch i piersi Lalli wilgotnymi oczkami; odpowiedziała wtedy, że przyjdzie nazajutrz, i natychmiast wyszła. Ponieważ nie wróciła, któregoś wieczoru zjawił się w domu Aammy. Ale Lalla wymknęła się, gdy tylko go zobaczyła, i zrobiła długi spacer uliczkami starego miasta, była niewidoczna jak cień tak długo, aż nabrała pewności, że kupiec wrócił do siebie.

To dziwny kraj, miasto, z tymi wszystkimi ludźmi; oni naprawdę nie zwracają na ciebie uwagi, jeśli się nie pokazujesz. Lalla nauczyła się prześlizgiwać cicho wzdłuż murów, po schodach. Zna wszystkie miejsca, z których można patrzeć, nie będąc widzianym, kryjówki za drzewami, na wielkich parkingach pełnych aut, w kątach bram, na szerokich przestrzeniach. Nawet pośrodku prostej, szerokiej ulicy, którą płynie do przodu i powraca nieprzerwany strumień ludzi i samochodów, Lalla wie, że potrafi stać się niewidoczna. Na początku nosiła na sobie znak palącego słońca pustyni, a jej długie, czarne i kręcone włosy pełne były słonecznych iskier. Ludzie patrzyli za nią ze zdumieniem, jak na przybysza z innej planety. Ale minęły miesiące i Lalla zmieniła się. Obcięte krótko włosy są matowe, prawie szare. W cieniu uliczek, w wilgotnym zimnym mieszkaniu Aammy skóra Lalli również zmatowiła, stała się blada i szara. A poza tym jest jeszcze ten brązowy płaszcz, który znalazła u żydowskiego handlarza starzyzną, blisko katedry. Sięga jej prawie do kostek, ma zbyt długie rękawy i opadające ramiona, a co szczególne, uszyto go z resztek wełnianego dywanu zniszczonego i wytartego przez czas, w kolorze muru lub starego papieru; kiedy Lalla wkłada płaszcz, ma uczucie, jakby naprawdę stawała się niewidzialna.

Słuchając ludzi, poznała nazwy ulic. To obce nazwy, tak obce, że recytuje je czasami półgłosem, kiedy idzie pośród domów:

„La Major
La Tourette
Place de Lenche
Rue du Petit-Puits
Place Vivaux
Place Sadi-Carnot

La Tarasque
Impasse des Muettes
Rue du Cheval
Cours Belsunce”.

Jest tyle ulic, tyle nazw! Lalla wychodzi co dzień, jeszcze zanim obudzi się ciotka, do kieszeni brązowego płaszcza chowa kawałek czerstwego chleba i zaczyna iść. Najpierw krąży wokół dzielnicy Panier, aż ulicą de la Prison dojdzie do morza, wraz ze słońcem, które oświetla ściany ratusza. Siada na chwilę, żeby popatrzeć na jadące samochody, ale nie na długo, ponieważ policjanci przyszliby zapytać, co tu robi.

Później idzie na północ, w górę wielkimi hałaśliwymi ulicami – Canebière, bulwarem Dugommier, bulwarem d’Athènes. Widać tu ludzi ze wszystkich krajów świata mówiących wszystkimi językami: ludzi bardzo czarnych, o wąskich oczach, ubranych w długie, białe suknie i plastikowe kaptcie, ludzi z północy, o jasnych włosach i oczach, żołnierzy, marynarzy, a także grubych ludzi interesu, którzy szybko chodzą, niosąc śmieszne, małe, czarne teczki. Bardzo również lubi siadać w kącie bramy i patrzeć na wszystkich, którzy idą, przychodzą, podążają, biegną. Kiedy jest dużo ludzi, nikt na nią nie zwraca uwagi. Może myślała, że jak oni, czeka na kogoś, na coś, albo biorą ją za żebraczkę.

W zatłoczonych dzielnicach widać dużo biedaków i to na nich przede wszystkim patrzy Lalla. Widzi kobiety w łachmanach, mimo słońca bardzo blade, które trzymają za rękę zupełnie małe dzieci. Widzi starych mężczyzn ubranych w długie, połatane płaszcze, pijaków o niespokojnych oczach, kłoszardów, głodnych cudzoziemców, którzy niosą tekturowe walizki i puste worki na żywność. Widzi samotne dzieci o brudnych buziach, splątanych włosach, ubrane w stare, za obszernie na ich chude ciała ubrania; idą szybko, jakby gdzieś zdążyły, a spojrzenie ich jest spłoszone i brzydkie jak spojrzenie zbłąkanych psów. Ze swej kryjówki spoza stojących aut albo z cienia bramy wjazdowej Lalla patrzy na tych ludzi, którzy wyglądają na zgubionych, poruszających się jak w półśnie. Jej ciemne oczy błyszczą dziwnie i w tej chwili może spływa na nich odrobina światła pustyni, ale ledwie je czują, nie wiedząc, skąd przychodzi. Może odczuwają przelotny dreszcz, lecz oddalają się szybko, giną w nieznanym tłumie.

W niektóre dni Lalla idzie bardzo daleko, idzie tak długo ulicami, że aż bołą ją nogi i musi przysiąść na brzegu chodnika, by odpocząć. Idzie na wschód, wzdłuż wielkiej ulicy, wysadzonej drzewami, którą sunie wiele samochodów i ciężarówek, a później poprzez wzgórze zdąża w głąb dolinek. Są to dzielnice, gdzie spotyka się wiele niezabudowanych terenów, domy wysokie jak skalne brzegi, zupełnie białe, z tysiącami jednakowych okienek; dalej stoją wille otoczone laurowymi krzewami i drzewami pomarańczowymi, ze złym psem, który biega wzdłuż ogrodzenia, głośno szczekając. Jest tu także dużo kotów, chudych, zjeżonych, które mieszkają na poddaszach i pod stojącymi samochodami.

Lalla wciąż idzie, na los szczęścia, różnymi drogami. Przemierza odległe dzielnice, gdzie wiją się kanały pełne komarów, wchodzi na cmentarz, wielki jak miasto, z rzędami szarych kamieni, zardzewiałych krzyży. Wspina się na wzgórze, tak daleko, że ledwie widać morze, brudnoniebieską plamę między sześcianami budynków. Dziwna mgła unosi się nad miastem, jakaś wielka chmura szaroróżowożółta, w której słabnie blask światła. Słońce przesuwa się już w dół po stronie zachodniej i Lalla czuje, jak zmęczenie i senność ogarniają jej ciało. Patrzy z daleka na iskrzące się miasto, słyszy hałas motorów, pociągi, które nikną w czarnych paszczach tuneli. Nie boi się, a jednak coś w niej wiruje jak zawrót głowy, jak wiatr. A może to *szergui*, wiatr pustyni, który dociera aż tu, który przebył morze, góry, miasta, drogi i teraz tu nadchodzi? Trudno to odgadnąć. Tyle tu sił, tyle hałasów, tyle ruchu, że może wiatr zgubił się w uliczkach, na schodach, esplanadach.

Lalla patrzy na samolot, który wznosi się powoli w blade niebo, hucząc niby grzmot. Krąży nad miastem, przelatuje przed słońcem, gasząc je na ułamek sekundy, i oddala się w

stronę morza, coraz mniejszy. Lalla wpatruje się weń ze wszystkich sił aż do chwili, w której staje się niezauważalnym punktem. Może będzie leciał nad, pustynią, tam, nad przestrzeniami piasku i kamieni, tam, gdzie wędruje Hartani?

Wtedy odchodzi również Lalla. Zmęczona wraca powoli do miasta.

Jeszcze coś Lalla bardzo lubi robić: lubi siadać na stopniach wielkich schodów przed dworcem i patrzeć na podróżnych, którzy chodzą w dół i w górę. Niektórzy zadyszani, o zmęczonych oczach, nieuczesani schodzą po schodach, zataczając się w świetle. Odjeżdżający natomiast się śpieszą, by się nie spóźnić na pociąg; przeskakują po dwa stopnie, walizy i torby objijają im nogi, a nieruchome oczy patrzą prosto w stronę wejścia na dworzec. Potykają się na ostatnich stopniach, nawołują, żeby się nie pogubić.

Lalla bardzo lubi przebywać w pobliżu dworca. Tutaj to wielkie miasto wygląda, jakby nie było jeszcze ukończone, jakby wciąż jeszcze zostawała wielka dziura, przez którą ludzie nieustannie przybywają i odjeżdżają. Czasami myśli, że chciałaby odjechać, wsiąść do pociągu jadącego na północ przez kraje i miasta, których nazwy przyciągają i przerażają: Irun, Bordeaux, Amsterdam, Lyon, Dijon, Paryż, Calais. Kiedy ma trochę pieniędzy, wchodzi na dworzec, kupuje bilet peronowy i w bufecie coca-cole. Przechadza się po wszystkich peronach obok pociągów, które dopiero co przyjechały albo zaraz odjadą. Czasami nawet wsiada do wagonu, na chwilę zajmuje miejsce na ławce z zielonego moleskinu. Do przedziału wchodzi ludzie, siadają kolejno i nawet pytają: „Czy wolne?” i Lalla nieznacznie kiwa głową. Później, kiedy głośnik zapowiada odjazd pociągu, szybko wyskakuje na peron.

Dworzec jest również jednym z miejsc, gdzie można patrzeć, nie będąc widzianym, ponieważ zbyt wiele tu ruchu i pośpiechu, by na cokolwiek zwracano uwagę. Na dworcu spotyka się bardzo różnych ludzi, złych, porywczych, o purpurowych twarzach, którzy krzyczą na całe gardło, ludzi bardzo smutnych, a także bardzo biednych, zagubionych starców, szukających w strachu peronu, z którego odjeżdża ich pociąg, kobiety mające dużo dzieci, które idą z trudem ze swym bagażem wzdłuż za wysokich wagonów. Wszyscy, których przywiodła tu bieda: Murzyni ze statków, w drodze do zimnych krajów, ubrani w kolorowe koszulki, z workiem plażowym jako całym bagażem; mieszkańcy Północnej Afryki, ciemni, ubrani w stare marynarki, w góralskich czapczkach lub czapkach z nausznikami; Turcy, Hiszpanie, Grecy. Wszyscy wyglądają na zaniepokojonych i zmęczonych, błądzą na wietrze po peronach, wpadają na siebie pośród tłumu obojętnych podróżnych i drwiących żołnierzy.

Lalla patrzy na nich schowana między kabiną telefoniczną a tablicą ogłoszeń. Tonie w cieniu, kołnierz płaszczka chroni jej twarz barwy miedzi. Ale od czasu do czasu serce jej mocniej uderza, oczy rzucają jakby błysk niczym odbicie słońca na kamieniach pustyni. Patrzy na tych, którzy odjeżdżają do innych miast w stronę głodu, zimna, nieszczęścia, na tych, którzy będą w poniżeniu i w samotności. Przechodzą trochę pochyleni, z pustką w oczach, w ubraniach już zniszczonych od spania na ziemi, podobni do pokonanych żołnierzy.

Idą w stronę czarnych miast, ku niskiemu niebu, ku dymom, w stronę zimna, choroby, która rozdziera klatkę piersiową. Zdążają do miast na błotnistych terenach poniżej autostrad, ku pokojom wydrążonym w ziemi, podobnym do grobów, otoczonych wysokimi murami i parkanami. Może już nie wrócą, mężczyźni i kobiety, które przechodzą jak widma, ciągną nazbyt ciężkie bagaże i dzieci; może umrą w tych krajach, których nie znają, daleko od swoich wsi, daleko od rodzin? Jadą do obcych krajów, które zabiorą im życie, które ich zmiążdżą i pochłoną. W swojej kryjówce Lalla się nie rusza, wzrok jej się mąci, kiedy o tym wszystkim myśli. Tak bardzo chciałaby odjechać, iść ulicami miasta długo, długo, aż zniknęłyby domy, ogrody, nawet drogi i nabrzeża, a pozostałaby jedna ścieżka jak kiedyś, która zwięzając się, prowadziła na pustynię.

Nad miastem zapada noc. Na ulicach zapalają się światła, wokół dworca, na żelaznych masztach wielkie kreski, czerwone, białe, zielone, nad kawiarniami i kinami. Lalla idzie

bezgłośnie ciemnymi ulicami, prześlizguje się pod murem. Mężczyźni mają okropne twarze, kiedy przychodzi noc i kiedy latarnie słabo je oświetlają. Ich oczy błyszczą twardo, dźwięk kroków odbija się w korytarzach, w bramach. Lalla idzie teraz szybko, jakby próbowała uciekać. Chwilami zdąża za nią jakiś mężczyzna, usiłuje się do niej zbliżyć, wziąć za rękę; wtedy Lalla chowa się za autem, później znika. Znowu prześlizguje się jak cień, zawraca w ulice starego miasta aż do dzielnicy Panier, gdzie mieszka Aamma. Wchodzi po nieoświetlonych schodach, żeby nie było jej widać. Stuka lekko do drzwi, a kiedy słyszy głos ciotki, mówi z ulgą swoje imię.

Tak wyglądają dni Lalli tu, w wielkim mieście, w Marsylii, na tych wszystkich ulicach pełnych mężczyzn i kobiet, których nigdy nie pozna.

Jest tu wielu żebraków. W pierwszym okresie, tuż po przyjeździe, Lallę bardzo to dziwiło. Teraz już przywykła. Ale patrzy na nich inaczej niż większość ludzi w mieście, którzy tylko nieznacznie zbaczą z drogi, by ich nie zdeptać, a śpiesząc się, nawet przechodzą nad nimi.

Radicz jest żebrakiem. Poznała go, spacerując w pobliżu dworca. Któregoś dnia wyszła wcześniej z dzielnicy Panier, jeszcze po ciemku, bo była zima. W uliczce i na schodach starego miasta ludzi było niewiele, a po dużej alei poniżej szpitala jeździły tylko nieliczne ciężarówki z włączonymi reflektorami; widać było również kilka ciepło otulonych w płaszcze kobiet i mężczyzn na motorowerach.

Właśnie tam zobaczyła Radicza. Siedział skulony w kącie bramy, chronił się, jak mógł, przed wiatrem i mżawką. Wyglądał na bardzo zziębniętego i kiedy Lalla podeszła do niego, spojrzał na nią dziwnym wzrokiem, zupełnie nie tak, jak zwykle chłopcy patrzą na dziewczynę. Popatrzył na nią, nie spuszczać oczu, ale tak jak ze spojrzenia zwierząt niewiele można było z nich wyczytać. Lalla stanęła przed nim i zapytała:

– Co tu robisz? Nie zimno ci?

Chłopiec pochylił głowę, nie uśmiechnął się. Potem wyciągnął rękę.

– Daj mi coś.

Lalla miała tylko kawałek chleba i pomarańczę, które zabrała na obiad. Dała to chłopcu. Chwycił szybko pomarańczę i nie mówiąc „dziękuję”, zaczął jeść.

W ten sposób Lalla go poznała. Później widywała go często na ulicach blisko dworca albo na wielkich schodach. W ładną pogodę chłopiec siedzi całymi godzinami, patrzy prosto przed siebie, nie zwracając uwagi na ludzi. Ale Lallę lubi, może z powodu pomarańczy. Powiedział jej, że nazywa się Radicz, nawet napisał nazwisko gałązką na ziemi, ale zdziwił się, kiedy powiedziała mu, że nie umie czytać.

Ma ładne, bardzo czarne i proste włosy i skórę koloru miedzi, zielone oczy i cień wąsów nad wargami. Szczególnie ładny jest jego uśmiech, w którym błyszczą bardzo białe zęby. Nosi małe kółko w lewym uchu, twierdzi, że złote. Ale jest biednie ubrany, ma stare spodnie, poplamione i podarte, kilka starych swetrów nałożonych jeden na drugi i męską, za dużą dla niego marynarkę. Na gołych stopach nosi czarne skórzane buty.

Lalla bardzo lubi go spotykać przypadkiem na ulicy, bo zawsze jest inny. Są dni, kiedy jego oczy są smutne i zamglone, jakby zagubił się w marzeniu i nic nie mogło go z niego wyrwać. Kiedy indziej jest wesoły, a oczy mu błyszczą; snuje przeróżne niedorzeczne historie, które wymyśla w miarę opowiadania, i śmieje się długo, bezgłośnie, a Lalla musi śmiać się razem z nim.

Chciałaby bardzo, żeby odwiedził ją w mieszkaniu ciotki, ale nie ma odwagi, bo Radicz jest Cyganem, a to z pewnością nie spodobałoby się Aammie. Nie mieszka w dzielnicy Panier ani nawet w sąsiedztwie. Mieszka bardzo daleko, gdzieś na zachodzie, blisko kolei, gdzie są niezabudowane tereny, zbiorniki z benzyną i kominy dymiące dzień i noc.

Lalla wie to od niego, ale on nigdy długo nie opowiada o swoim domu ani o rodzinie. Po prostu mówi, że mieszka zbyt daleko, żeby przychodzić co dzień, więc kiedy już przyjdzie,

woli spać pod gołym niebem, niż wracać do siebie. Jest mu wszystko jedno, zna dobre kryjówki, gdzie nie jest zimno, gdzie nie czuje się wiatru i gdzie nikt, naprawdę nikt, nie może go znaleźć.

Na przykład schowek pod schodami w zniszczonych budynkach komór celnych. Jest tam dziura akurat jak dla dziecka i Radicz wślizguje się przez nią i zatyka wejście kawałkiem kartonu. Albo na budowach są szopy na narzędzia lub ciężarówki z plandeką. Radicz dobrze zna to wszystko.

Najczęściej można go znaleźć przy dworcu. Kiedy jest ładnie, a słońce świeci, siada na stopniach wielkich schodów, a Lalla obok niego. Razem patrzą, jak przechodzą ludzie. Czasami Radicz pokazuje jej kogoś i mówi:

– Zaraz zobaczysz.

Idzie prosto do podróżnego, który opuszcza dworzec trochę oszołomiony światłem i prosi go o monetę. Ponieważ ma ładny uśmiech i coś smutnego w oczach, podróżny staje, przeszukuje kieszenie. Najczęściej dają mu coś mężczyźni koło trzydziestki, dobrze ubrani i bez wielkiego bagażu. Z kobietami jest trudniej, one wypytyują, a Radicz tego nie lubi. Kiedy zauważy młodą kobietę o miłym wyglądzie, popycha Lallę i mówi:

– Idź ty, poproś ją.

Ale Lalla nie ma odwagi prosić o pieniądze. Trochę się wstydzi. Chwilami jednak chciałaby mieć trochę pieniędzy, żeby zjeść ciastko lub pójść do kina.

– Robię to ostatni rok – mówi Radicz. – W następnym wyjadę, będę pracował w Paryżu.

Lalla pyta, dlaczego.

– W przyszłym roku będę za stary, wtedy ludzie nie dadzą nic, powiedzą, że trzeba pracować.

Przez chwilę patrzy na Lallę; potem pyta, czy pracuje, i Lalla potrząsa głową.

Radicz wskazuje kogoś, kto przechodzi obok autobusu.

– On także ze mną pracuje, mamy tego samego szefa.

To młody Murzyn, bardzo szczupły, wyglądający jak cień; idzie w stronę podróżnych i próbuje brać ich walizy, ale bez powodzenia. Radicz wzrusza ramionami.

– Nie umie się do tego zabrać. Nazywa się Baki, nie wiem, co to znaczy, ale Murzyni śmieją się, kiedy wymawiają jego imię. On nigdy nie przynosi szefowi wiele pieniędzy.

A ponieważ Lalla patrzy na niego zdziwiona, tłumaczy:

– Och, przecież ty nie wiesz[^] szef to jest taki sam Cygan jak ja, nazywa się Lino, a tam, gdzie mieszkamy, jest hotel, taki wielki dom, pełno w nim dzieci, które pracują dla Lino.

Radicz zna po imieniu wszystkich żebraków miasta. Wie, gdzie mieszkają, z kim pracują, nawet ci, którzy są kloszardami i mieszkają samotnie. Niektóre dzieci pracują całymi rodzinami, z braćmi, siostrami. Kradną w dużych sklepach i na targowiskach. Najmniejsi uczą się czatować albo zabawiają sprzedawców, czasami służą za zmienników. Kradną przede wszystkim kobiety, Cyganki w długich, kwiecistych sukniach z twarzą zakrytą czarną zasłoną, spod której widać tylko błyszczące, czarne jak u ptaka oczy. Natomiast starcy, kobiety, mężczyźni, wygłodzeni biedacy chwytają za spódnice i marynarki przechodniów i przytrzymują ich, mamrocząc zaklęcia, póki nie dostaną małej monety.

Lalla czuje, jak serce jej się ściska na ich widok, tak samo jak wówczas, gdy spotyka młodą, brzydką kobietę z małym dzieckiem przy piersi, która żebrze na rogu wielkiej ulicy. Nie bardzo wiedziała, co to strach, bo tam, u Hartaniego, były tylko węże i skorpiony, w najgorszym razie złe duchy, które gestykują w cieniu nocy. Ale tu, tu jest strach przed pustką, przed nieszczęściem, przed głodem, strach, który nie ma imienia i który zdaje się wpełzać z małych okienek, wpólotwartych na odrażające, cuchnące podziemia; który z biednych podwórek zdaje się przedostawać do pokoi zimnych jak groby albo przebiegać jak zły wiatr te wielkie ulice, gdzie ludzie bez przerwy chodzą, pojawiają się, znikają, tłoczą, właśnie tak, bez końca, dzień i noc, przez miesiące, lata, w niestrudzonym szuraniu pantofli

na gumie, a w ciężkim powietrzu słycać brzęczenie ich słów, silników, narzekań, zdyszanych oddechów.

Czasami w głowie kręci się tak bardzo, że trzeba usiąść szybko, natychmiast, i Lalla szuka wzrokiem punktu oparcia. Jej twarz koloru miedzi szarzeje, oczy gasną, upada, powoli, jak na dno wielkiej studni, bez nadziei złapania się czegoś.

– Co się pani stało? Lepiej już? Już dobrze?...

Gdzieś woła jakiś głos, bardzo daleko od jej ucha, Lalla, nim otworzy oczy, czuje zapach czosnku. Siedzi skulona przy niskim murze. Jakiś mężczyzna trzyma ją za rękę i pochyla się nad nią.

– Już lepiej, już lepiej... – udaje się jej wydobyć głos bardzo wolno, a może wymawia te słowa tylko w myśli?

Mężczyzna pomaga jej iść, prowadzi ją na taras jakiejś kawiarni. Gapie się rozchodzą, a mimo to Lalla słyszy głos kobiety, mówiącej wyraźnie:

– Ona jest po prostu w ciąży.

Mężczyzna sadza ją przy stoliku. Ciągłe pochyla się ku niej. Jest niski i gruby z ospowatą twarzą, z wąsami, prawie łysy.

– Napije się pani czegoś, to panią wzmocni.

– Jestem głodna – mówi Lalla. Wszystko jej zubożniało, może myśli, że umrze. – Jestem głodna – powtarza wolno.

Mężczyzna jest wystraszony i jąka się. Wstaje, biegnie do kontuaru; zaraz wraca z kanapką i koszykiem słodkich bułek. Lalla nie słucha go. Je szybko, najpierw kanapkę, później wszystkie bułki, jedną po drugiej. Mężczyzna patrzy na nią, na jego tłustej twarzy widać jeszcze silne wzruszenie, mówi potoczycie, później milknie ze strachu, żeby nie zmęczyć Lalli.

– Kiedy widziałem, jak pani upadła, ot tak, zwyczajnie, przede mną, coś mi się stało! Czy zdarza się to pani po raz pierwszy? Chcę przez to powiedzieć, że to straszne, ci wszyscy ludzie tam na ulicy szli za panią, o mało pani nie rozdeptali i nawet nie przystanęli... to jest... Nazywam się Paul, Paul Esteve, a pani? Czy mówi pani po francusku? Pani nie jest stąd, prawda? Czy dosyć się pani najadła? Chce pani, żebym poszedł po jeszcze jedną kanapkę?

Jego oddech pachnie mocno czosnkiem, tytoniem, winem, ale Lalla się cieszy, że jest przy niej, uważa, że jest miły, i oczy jej błyszczą. On dostrzega to, zaczyna mówić, jak przedtem, o wszystkim, stawia pytania i sam na nie odpowiada.

– Już pani nie jest głodna? Napije się pani trochę? Koniaku? Nie, lepiej coś słodkiego, to dobre, kiedy się jest słabym. Colę? Sok? Czy nie nudzę pani? Widzi pani, ja po raz pierwszy widzę, jak ktoś przy mnie mdleje, tak po prostu upada na ziemię, i to był dla mnie szok, naprawdę. Ja pracuję. Jestem urzędnikiem na poczcie, no tak, nie mam zwyczaju, to znaczy, może pani mimo wszystko powinna pójść do lekarza, chce pani, żebym zatelefonował?

Już się podnosi, ale Lalla potrząsa głową i mężczyzna siada. Później Lalla wypija trochę gorącej herbaty i zmęczenie ustępuje. Twarz odzyskuje kolor miedzi, światło błyszczą w jej oczach. Wstaje, a mężczyzna towarzyszy jej aż na ulicę.

– Pani, pani jest pewna, że już wszystko będzie w porządku? Może pani iść?

– Tak, dziękuję – odpowiada Lalla.

Zanim odszedł, Paul Esteve pisze swoje nazwisko i adres na kawałku papieru.

– Jeśli pani będzie czegoś potrzebować...

Ściska dłoń Lalli. Jest niewiele od niej wyższy. Jego niebieskie oczy są jeszcze wilgotne ze wzruszenia.

– Do widzenia – mówi Lalla. Odchodzi tak szybko, jak tylko może, nie odwracając się.

Wszędzie tu można spotkać psy. Ale zachowują się inaczej niż żebracy, wolą żyć w dzielnicach Panier między placem Lenche i ulicą Refuge. Lalla widzi je, przechodząc, uważa na

nie. Mają zjezoną sierść, są bardzo chude, ale niepodobne do dzikich psów, które kiedyś w Cité kradły kury i barany. Te są większe i silniejsze i w ich wyglądzie jest coś bardzo groźnego. Krążą wokół każdego stosu śmieci, ogryzają kości, zjadają głowy ryb, odpadki, które wyrzucają rzeźnicy. Jednego psa Lalla zna bardzo dobrze. Codziennie znajduje go w tym samym miejscu, na dole schodów przy ulicy, która prowadzi do wielkiego kościoła. Jest cały czarny z białym krawatem schodzącym na klatkę piersiową. Nazywa się Dib albo Hib, Lalla dobrze nie wie, ale w gruncie rzeczy jego imię nie ma żadnego znaczenia, bo on nie ma pana. Lalla słyszała, jak jakiś chłopiec tak na niego wołał na ulicy. Kiedy spostrzeża Lallę, wygląda tak, jakby się cieszył, i macha ogonem, ale nie zbliża się do niej, nikomu też nie pozwala zbliżyć się do siebie. Lalla mówi do niego kilka słów, ale nie zatrzymuje się, a jeśli ma coś do zjedzenia, rzuca mu kawałek.

Tu, w dzielnicy Panier, wszyscy się mniej więcej znają. Tu nie jest tak jak w pozostałej części miasta, gdzie widać płynący ulicami tłum mężczyzn i kobiet, któremu towarzyszy wielki hałas silników i odgłos kroków. Tu, w dzielnicy Panier, ulice są krótkie, zakręcają, dochodzą do innych ulic, uliczek, pasaży, schodów i przypomina to raczej wielkie mieszkanie z korytarzami i pokojkami, które przylegają jeden do drugiego. A jednak oprócz wielkiego czarnego psa Diba albo Hiba i kilkorga dzieci, których imion nie zna, większość ludzi jakby jej nie widziała. Lalla prześlizguje się bezgłośnie, idzie od jednej ulicy do drugiej, zdąża drogą słońca i światła.

Może tu ludzie też się boją? Czego? Trudno powiedzieć. Jakby czuli się pilnowani i jakby uważali na każdy gest, na każde słowo. Ale nikt ich nie pilnuje. A może bierze się to stąd, że mówią tak różnymi językami? Są tu ludzie z Afryki Północnej, z Maghrebu – Marokańczycy, Algierczycy, Tunezyjczycy, mieszkańcy Mauretanii, a także ludzie z Afryki – Senegalczycy, Malijczycy, Dahomejczycy oraz Żydzi, którzy pochodzą zewsząd, ale nigdy nie mówią językiem swego kraju. Są też Portugalczycy, Hiszpanie, Włosi i dziwni ludzie, którzy nie są podobni do innych – Jugosłowianie, Turcy, Armeńczycy, Litwini. Lalla nie rozumie, co znaczą te słowa, ale tak się ich tutaj nazywa i Aamma dobrze zna wszystkie te nazwy. Są przede wszystkim Cyganie, na przykład ci mieszkający w sąsiednim domu, tak liczni, że nigdy nie wiadomo, czy już się ich widziało, czy też dopiero co przyjechali. Nie lubią Arabów ani Hiszpanów, ani Jugosłowian. Nie lubią nikogo, bo nie mają zwyczaju mieszkać w takim miejscu jak dzielnica Panier, a więc zawsze są gotowi do bójk, nawet młodzi chłopcy, nawet kobiety, które według tego, co mówi Aamma, noszą żyletki w ustach. Czasami nocą budzi ze snu odgłos ulicznej bójk. Lalla schodzi po schodach aż na ulicę i widzi w bladym świetle latarni mężczyznę, który czołga się po ziemi z nożem w piersiach. Nazajutrz widać na ziemi smugę, długą, kleistą, przy której brzęczą muchy.

Czasami pojawiają się również ludzie z policji, zatrzymują wielkie, czarne auto na dole przy schodach i idą do domów, szczególnie tam, gdzie mieszkają Arabowie i Cyganie. Są policjanci, którzy mają mundur i czapkę, ale nie ci są najgroźniejsi; najgroźniejsi są inni, ubrani tak jak wszyscy w szary garnitur i sweter z golfem. Stukają do drzwi mocno, bo trzeba im szybko otwierać, bez słowa wchodzą do mieszkania i sprawdzają, kto w nim mieszka. U Aammy policjant siada na kanapie ze skaju, która służy Lalli za łóżko, i Lalla myśli, że zrobi tam dziurę i że tego wieczoru, gdy ona się położy, będzie jeszcze ślad w miejscu, gdzie siedział gruby mężczyzna.

– Nazwisko? Imię? Nazwa plemienia? Pozwolenie na pobyt? Pozwolenie na podjęcie pracy? Nazwisko pracodawcy? Numer książeczki ubezpieczalni? Umowa na wynajem lokalu i pokwitowanie za zapłacony czynsz?

Nawet nie spogląda na dokumenty, które kolejno podaje mu Aamma. Siedzi na kanapie ze znużoną miną, pali gauloise'a. Patrzy jednak na Lallę, która stoi na baczność przed drzwiami do pokoju ciotki. Zwraca się do Aammy:

– To twoja córka?

– Nie, bratanica – odpowiada Aamma.
Bierze wszystkie dokumenty i sprawdza je.
– Gdzie są jej rodzice?
– Nie żyją.
– Aha – mówi policjant. Patrzy na dokumenty, jakby się zastanawiał.
– Czy pracuje?
– Jeszcze nie, proszę pana – odpowiada Aamma. Mówi „proszę pana”, ponieważ się boi.
– Ale będzie tu pracować?
– Tak, proszę pana, jeśli znajdzie pracę. Niełatwo jest znaleźć pracę dla młodej dziewczyny.

– Ma siedemnaście lat?
– Tak, proszę pana.
– Trzeba uważać, wiele niebezpieczeństw czyha tu na siedemnastoletnią dziewczynę.
Aamma nic nie mówi. Policjant myśli, że nie zrozumiała, więc mówi jaśniej. Powoli oddziela każde słowo, a jego oczy błyszczą, jakby wszystko to zaczęło bardziej go interesować.

– Uważaj, aby twoja córka nie skończyła na ulicy Poids de la Farine. Wiele jest tam dziewcząt takich jak ona, rozumiesz?

– Tak, proszę pana – odpowiada Aamma. Nie ośmiela się sprostować, że Lalla nie jest jej córką.

Ale policjant czuje na sobie twarde spojrzenie Lalli, które psuje mu humor. Przez kilka sekund nic nie mówi, a kiedy milczenie staje się nie do wytrzymania, grubas wybucha i raz jeszcze zaczyna wścickłym głosem z oczami zwężonymi gniewem.

– Tak, wiem, tak się mówi, a później pewnego dnia twoja córka znajdzie się na ulicy, dziwka za dziesięć franków. Żebyś mi wtedy nie przychodziła i nie płakała, mówiąc, że nie wiedziałaś, bo cię uprzedziłem!

Krzyczy prawie z nabrzmiałymi żyłami na skroniach. Aamma stoi bez ruchu sparaliżowana, ale Lalla nie boi się grubego mężczyzny. Spogląda na niego twardo, podchodzi bliżej i mówi tylko:

– Proszę już stąd iść.

Policjant patrzy na nią osłupiały, jakby rzuciła mu obelgę. Zaraz otworzy usta, wstanie, może spoliczkuje Lallę. Ale spojrzenie dziewczyny jest twarde jak metal, trudno je wytrzymać. Więc policjant wstaje gwałtownie i w jednej chwili jest na zewnątrz, zbiega ze schodów. Lalla słyszy, jak trzaskają drzwi na ulicę. Poszedł.

Aamma płacze teraz, chwyciła się za głowę i siedzi na kanapie. Lalla zbliża się do niej, obejmuje jej ramiona, całuje w policzek, pocieszając.

– Może będę musiała stąd odejść – mówi łagodnie, tak jak przemawia się do dziecka. – Byłoby może lepiej, gdybym odeszła.

– Nie, nie – mówi Aamma i płacze coraz bardziej.

Nocą, kiedy wszystko wokół niej śpi i kiedy słyhać tylko hałas wiatru na blaszanych dachach i szum kapiącej gdzieś wody, Lalla leży na kanapie z oczami otwartymi w ciemności. Myśli o domu w Cité, tam daleko, kiedy przychodził zimny wiatr nocy. Myśli, że chciałaby popchnąć drzwi i znaleźć się od razu na zewnątrz, jak kiedyś, otoczona tysiącami gwiazd. Czułaby pod bosymi stopami ziemię twardą i zmarzniętą. Słyszałaby skrzypienie zimna, okrzyki lelków, pohukiwanie sowy, ujadanie dzikich psów. Myśli o tym, że poszłaby, tak zwyczajnie, sama przez noc, aż do kamiennych wzgórz, pośród śpiewu świerszczy, albo wzdłuż wydmowej ścieżki, prowadzona oddechem morza.

Ze wszystkich sił wpatruje się w ciemność, jakby jej spojrzenie mogło na nowo otworzyć niebo, wywołać zaginione kształty, linie dachów z blachy i smołowanego papieru, ściany z desek i kartonu, sylwetki wzgórz i ludzi stamtąd – starego Namana, dziewczyny przy studni,

Sussiego, synów Aammy, a przede wszystkim Hartaniego, takiego, jakim był – nieruchomy w upale pustyni, stojący na jednej nodze, z osłoniętym ciałem i twarzą, bez jednego słowa, bez oznak zmęczenia czy gniewu – nieruchomy przed nią, jakby czekał na śmierć, gdy ludzie z Czerwonego Krzyża przyszli ją zabrać. Chce również zobaczyć tego, którego nazwała Es Ser, Tajemnica, którego spojrzenie przychodziło z daleka i ogarniało ją, przenikała jak światło słońca. Ale czy oni mogą przyjść aż tu, na drugą stronę morza, na drugą stronę wszystkiego?

Czy mogą odnaleźć drogę pośród tych wszystkich dróg, odnaleźć bramę pośród tylu bram? Ciemność jest wciąż nieprzejrzysta, pustka pokoju wielka, tak wielka, że wszystko kręci się wokół i tworzy wir przed ciałem Lalli; dziewczyna czuje zawrót głowy, który ciągnie ją do przodu. Całą mocą trzyma się kanapy, przeciwstawia się ciałem tak naprężonym, jakby zaraz miało się rozerwać. Chciałaby krzyknąć, wyć, żeby zburzyć tę ciszę, wyrwać nocy ciężar. Ale z jej zaciśniętego gardła nie wychodzi żaden dźwięk, każdy oddech sprawia ból i wydobywa się ze świstem jak para. Przez minuty, może godziny, walczy całym ciałem ściśniętym przez skurcze. Wreszcie gdy ukazuje się pierwsze światło świtu na podwórku domu, Lalla czuje nagle, jak wir się oddala i znika. Ciało dziewczyny opada na kanapę miękkie i bezkształtne. Lalla myśli o dziecku, które nosi, i po raz pierwszy odczuwa strach, że skrzywdziła kogoś, kto jest od niej zależny. Kładzie dłonie po obu stronach brzucha, aż ciepło przenika głęboko. Płacze długo, cicho, spokojnym szlochem, tak jak się oddycha.

Są więźniami w dzielnicy Panier. Może wcale o tym nie wiedzą. Może sądzą, że któregoś dnia będą mogli odejść gdzieś indziej, wrócić do swoich wsi, gór i błotnistych dolin, odnaleźć tych, których opuścili: rodziców, dzieci, przyjaciół. Ale to niemożliwe. Wąskie ulice o murach pokrytych grzybem, ciemne mieszkania, wilgotne i zimne pokoje, gdzie szare powietrze ciąży na piersiach, duszne warsztaty, gdzie dziewczęta pracują przy maszynach, szyjąc spodnie i sukienki, szpitalne sale, budowy, drogi, na których huczą pneumatyczne młoty, wszystko to trzyma ich, pęta, czyni więźniami, nie będą się mogli uwolnić.

Teraz Lalla znalazła pracę. Jest sprzątaczką w hotelu Sainte-Blanche przy wejściu do starego miasta w stronie północnej, niedaleko od wielkiej ulicy, na której spotkała Radicza po raz pierwszy. Co dzień wychodzi wcześniej, przed otwarciem sklepów. Szczelnie owija się płaszczem z powodu zimna i idzie przez całe stare miasto wzdłuż ciemnych uliczek, wchodzi na schody, gdzie brudna woda cieknie ze stopnia na stopień. Pusto jest jeszcze na dworze; kilka psów o zjeżonej sierści szuka resztek w stosie śmieci. Lalla ma w kieszeni kawałek czerstwego chleba, bo w hotelu nie dostaje nic do jedzenia, czasem dzieli ten chleb ze starym, czarnym psem, którego nazywają Dib lub Hib. Jak tylko przychodzi, właściciel hotelu daje jej wiadro i szczotkę, żeby umyła schody, choć są tak brudne, że Lalla uważa, iż to próżny trud. Właściciel, mężczyzna niezbyt stary, z twarzą poźółkłą i opuchniętymi oczami, wygląda, jakby nie sypiał wystarczająco długo. Parter trzypiętrowego i walącego się hotelu Sainte-Blanche zajmuje przedsiębiorstwo pogrzebowe. Kiedy Lalla po raz pierwszy tam weszła, przeraziła się i omal natychmiast nie uciekła, tak bardzo było tam brudno, zimno i cuchnęło. Ale teraz się przyzwyczaiła. Podobnie jak do mieszkania Aammy albo do dzielnicy Panier, to kwestia przyzwyczajenia...

Trzeba tylko zamknąć usta i oddychać powoli, małymi haustami, żeby nie wpuścić do wnętrza ciała zapachu nędzy, choroby i śmierci, jaki unosi się tu, na schodach, korytarzach, w kątach, gdzie żyją pająki i karaluchy.

Właściciel hotelu jest Grekiem albo Turkiem, Lalla nie wie dokładnie. Daje jej wiadro i szczotkę, a sam wraca położyć się w swoim pokoju na pierwszym piętrze, gdzie są oszklone drzwi, żeby mógł widzieć, kto wchodzi i wychodzi. W hotelu mieszkają godni pożałowania ludzie, biedacy, wyłącznie mężczyźni: Afrykańczycy z północy, którzy pracują na budowach, Murzyni z Antyli, a także Hiszpanie, którzy nie mają rodzin, domu i którzy czekają tu, aż znajdą coś lepszego. Ale przyzwyczajają się i zostają. Często też wracają do swego kraju,

niczego nie znalazłszy, bo mieszkania są drogie, a ich samych nikt w mieście nie chce. A więc mieszkają w hotelu Sainte-Blanche, po dwóch lub trzech w pokoju. Co rano, idąc do pracy, stukają w oszklone drzwi właściciela i płacą za noc z góry.

Kiedy Lalla skończy czyścić szczotką zabrudzone stopnie schodów i klejące się linoleum korytarzy, szoruje ubikacje i jedyną salkę z prysznicami, choć tu warstwa brudu jest taka, że nawet twarde włosie szczotki nie zdoła jej naruszyć. Później sprząta pokoje; opróżnia popielniczki, zmiata okruszki i kurz. Właściciel daje jej swoje klucze i Lalla chodzi od pokoju do pokoju. W hotelu nie ma już nikogo. Szybko kończy sprzątać pokoje, ponieważ mieszkają tu mężczyźni bardzo biedni, którzy nie mają prawie nic, jedynie tekturowe walizki, plastikowe worki z brudną bielizną i kawałek mydła w gazetowym papierze. Czasami w kopercie na stole jest kilka zdjęć; Lalla ogląda przez moment niewyraźne twarze na lśniącej papierze, słodkie twarze dzieci, kobiet, w pół zatarte jak za mgłą. Są również listy, czasami w wielkich kopertach, albo klucze, puste portmonetki, pamiątki kupowane na bazarach blisko starego portu, plastikowe zabawki dla dzieci, które widziała na niewyraźnych fotografiach. Lalla patrzy na to przez długą chwilę, trzyma przedmioty w mokrych dłoniach, ogląda te wątpliwe skarby jak w półśnie, jakby przenikała do świata zamglonych zdjęć, odnajdywała dźwięki głosów, rozmowy, widziała światło uśmiechów. Później nagle wszystko to znika i Lalla dalej zmiata pokoje, ściera okruszki po zjedzonych w pośpiechu posiłkach mężczyzn, przywraca smutną i szarą anonimowość, którą przedmioty i zdjęcia zburzyły na chwilę. Czasami na nieposłanym łóżku Lalla znajduje magazyn pełen nieprzyzwoitych zdjęć, nagie kobiety o rozłożonych udach, o nabrzmiałych piersiach jak ogromne pomarańcze; kobiety o ustach pomalowanych na jasnoczerwono, spojrzeniu naznaczonym błękitem i zielenią, o włosach rudych i jasnych. Stronice pisma są pomięte, posklejane spermą, zdjęcia brudne i zużyte, jakby leżały na ulicy pod stopami ludzi. Lalla patrzy na pismo przez długą chwilę i serce jej zaczyna bić szybciej ze strachu i zażenowania; później odkłada pismo na posłane łóżko, wygładziwszy starannie stronice i uporządkowawszy okładkę, jakby i ona była cenną pamiątką.

Przez cały czas, gdy pracuje na schodach i w pokojach, Lalla nie widzi nikogo. Nie zna twarzy mężczyzn mieszkających w hotelu, a oni, idąc rano do pracy, śpieszą się i przechodzą, nie widząc jej. Zresztą Lalla tak się ubiera, żeby jej nie zauważali. Pod brązowy płaszcz kładzie szarą suknię Aammy, sięgającą prawie do kostek. Zawiązuje wielką chustkę dookoła głowy, a nogi obuwa w sandały z czarnego kauczuku. W ciemnych korytarzach hotelu na tle burego linoleum i poplamionych drzwi jest ledwie widoczna, szara i czarna, podobna do kupki szmat. Zna ją tu tylko właściciel i stróż nocny, który zostaje aż do rana, Algierczyk, wysoki i szczupły, z surową twarzą i pięknymi zielonymi oczami, przypominającymi oczy Namana rybaka. Wita Lallę zawsze po francusku i mówi jej kilka miłych słów. Ponieważ zwraca się do niej ceremonialnie, poważnym głosem, Lalla odpowiada mu uśmiechem. Może on jeden zorientował się, że Lalla jest młodą dziewczyną, on jeden widział w cieniu szmatek jej piękną twarz koloru miedzi i oczy pełne światła. Dla innych jakby nie istniała.

Gdy Lalla kończy pracę w hotelu Sainte-Blanche, słońce jest jeszcze wysoko na niebie. Wówczas schodzi wielką ulicą w kierunku morza. W tej chwili nie myśli już o niczym, jakby o wszystkim zapomniała. Na ulicy, na chodnikach tłum ciągle się spieszy, zawsze ku nieznanemu. Mężczyźni w błyszczących okularach idą wielkimi krokami, biedacy w wytartych garniturach zdążają w przeciwną stronę z oczami czujnymi jak u lisa. Dziewczeta w obcisłych strojach stukają obcasami, właśnie tak: krakab, krakab, krakab. Samochody, motory, rowery, ciężarówki, autobusy jadą z pełną szybkością w stronę morza lub w górę miasta, wiozą mężczyzn i kobiety o jednakowych twarzach. Lalla idzie chodnikiem, widzi to wszystko, ruch, kształt, wybuchy światła i wszystko to w nią przenika, tworzy jakby wir. Jest głodna, ciało ma zmęczone pracą w hotelu, a mimo to chce iść dalej, zobaczyć więcej światła, przepędzić cień, jaki pozostał w jej wnętrzu. Zimny wiatr dmucha porywiście na ulicy, unosi

kurz i stare gazety, Lalla przymyka oczy i idzie trochę pochylona, jak kiedyś na pustyni, w stronę źródła światła na końcu ulicy.

Kiedy dociera do portu, czuje wielkie oszołomienie; chwieje się na brzegu chodnika. Tutaj wiatr hula swobodnie, gna przed sobą wodę z portu, trzaska sprzętami na statkach. Światło pada z jeszcze większej dali, zza horyzontu, zupełnie z południa. Lalla idzie wzdłuż nabrzeży w stronę morza. Hałas, jaki robią ludzie i silniki, wiruje wokół niej, ale ona nie zwraca już na to uwagi. To biegnie, to znów idzie spokojnie w stronę wielkiego kościoła, później dalej jeszcze, wchodzi w opuszczoną strefę nabrzeży, gdzie wiatr wznosi trąby cementowego pyłu.

Tutaj panuje cisza, jakby Lalla naprawdę przyszła na pustynię. Przed sobą widzi wielką przestrzeń wybrzeży, gdzie światło słońca silnie błyszczący. Lalla idzie powoli wzdłuż wielkich statków towarowych, pod stalowymi dźwigami, między rzędami czerwonych kontenerów. Nie ma tu ludzi ani hałasu silników samochodowych, jest tylko biały kamień i cement, i ciemna woda basenów. Wtedy Lalla wybiera miejsce między dwoma rzędami ładunków okrytych niebieską plandeką i siada osłonięta od wiatru, aby zjeść chleb z serem, patrząc na wodę w porcie. Czasami wielkie morskie ptaki przelatują z piskiem i Lalla myśli o swoim miejscu wśród wydm i o białym ptaku, który był księciem morza. Dzieli chleb z mewami, przylatuje też kilka gołębi. Tu panuje spokój, nikt jej tu nie znajdzie. Tylko od czasu do czasu jakiś wędkarz idzie wzdłuż nabrzeża z wędką w ręku, szukając miejsca, w którym znalazłby złocianki, ale ledwie zerka na Lallę kątem oka i odchodzi w głąb portu. Albo jakieś dziecko idzie z rękami w kieszeniach i bawi się, kopiąc zardzewiałą puszkę po konserwach.

Lalla czuje, jak przenika ją słońce, wypełnia po trochu; wypędza to, co jest w niej czarne i smutne. Nie myśli już o domu Aammy, o ciemnych podwórkach, po których ściekają mydliny. Nie myśli już o hotelu Sainte-Blanche ani nawet o tych wszystkich ulicach, alejach, bulwarach, po których chodzą ludzie i nieustannie pokrzykują. Upodabnia się do skały pokrytej porostami i mchem, nieruchoma, nie myśli o niczym, rozpiera ją słoneczne ciepło. Czasami nawet zasypia oparta o niebieską plandekę i śni o tym, że płynie statkiem po spokojnym morzu aż na drugi koniec świata.

Wielkie statki towarowe prześlizgują się wolno po czarnych basenach, płyną ku bramie portu, płyną w poszukiwaniu morza. Lalla bawi się, podążając za nimi wzdłuż nabrzeży tak daleko, jak tylko może. Nie potrafi odczytać ich nazw, ale ogląda bandery, plamy rdzy na kadłubach, wielkie bomby, zgięte w pół jak anteny, kominy, na których widać rysunki gwiazd, krzyży, kwadratów, słońc. Przed statkami towarowymi płynie, kołysząc się jak owad, holownik, a kiedy statki wychodzą na otwarte morze, włączają syrenę tylko raz lub dwa, tak jakby chciały powiedzieć „do widzenia”.

Woda w porcie jest również piękna i Lalla siada często z plecami opartymi o pachołek z nogami wiszącymi nad wodą.

Ogląda plamy mieniającej się nafty, które pokazują i chowają swoje kręgi, i wszystko to, co unosi się na powierzchni: butelki po piwie, skórki pomarańczy, plastikowe woreczki, kawałki drewna i liny i brązową pianę, która przypływa nie wiadomo skąd i strzępi się jak ślina wzdłuż brzegów. Kiedy przepływa statek, słychać plusk fali, która rozbija się, uderzając o brzeg. Od czasu do czasu wiatr mocno wieje, tworząc na powierzchni wody w basenach zmarszczki, drgania mączące odbicie statków.

W zimowe dni, kiedy jest dużo słońca, Radicz Cygan przychodzi odwiedzić Lallę. Idzie powoli wzdłuż nabrzeży, ale Lalla rozpoznaje go z daleka, wychodzi z kryjówki między plandekami i gwiżdże na palcach tak jak kiedyś pasterze w krainie Hartaniego. Chłopiec nadbiega i siada obok niej na skraju nabrzeża, przez chwilę nic nie mówią, patrząc na wodę w porcie.

Później chłopiec pokazuje Lalli coś, czego ona nigdy nie zauważyła: na powierzchni czarnej wody ukazują się maleńkie, pękające bąble tworzące falę. Najpierw Lalla patrzy w górę, bo sądzi, że to krople deszczu. Ale niebo jest błękitne. Wtedy pojmuje: są to bańki,

które wydostają się z głębi i pękają na powierzchni wody. Razem zabawiają się, oglądając pękające bąbelki.

– Tam! Tam!... Jeszcze, jeszcze!

– Tam, popatrz!

– I tam...

Skąd biorą się te bańki? Radicz mówi, że to ryby oddychają, ale Lalla uważa, że raczej rośliny, i myśli o tajemniczych trawach, które poruszają się powoli na dnie portu.

Potem Radicz wyjmuje pudełko zapalek. Mówi, że chce zapalić, ale tak naprawdę to nie o papierosy mu chodzi, podoba mu się palenie zapalek. Kiedy Radicz ma trochę własnych pieniędzy, idzie do sklepu z papierosami i kupuje wielkie pudełko zapalek z tańczącą Cyganką na etykiecie. Potem znajduje jakiś spokojny kąt i zapala jedną zapalną po drugiej. Robi to bardzo szybko, tylko po to, by zobaczyć, jak mała, czerwona główka syczy niczym raca, po czym piękny, pomarańczowy płomień tańczy na końcu małego kawałka drewna pod osłoną jego dłoni.

W porcie wieje mocny wiatr i Lalla rozpościera przestronne jak namiot poły płaszcza; czuje wtedy cierpkie ciepło fosforu, które drażni jej nozdrza. Za każdym razem, kiedy Radicz zapala zapalną, oboje śmieją się głośno i próbują na zmianę schwycić mały kawałek drewna. Radicz pokazuje Lalli, jak spalić zapalną do końca. Słychać cichy syk, kiedy Lalla chwytą zapalną za czerwony jeszcze, zwęglony koniec, który parzy jej palec wskazujący i kciuk, ale nie jest to oparzenie nieprzyjemne; Lalla patrzy na płomień pochłaniający całą zapalną i na węgiel, który skręca się jak żywy.

Później palą jednego papierosa we dwoje, oparci o niebieską plandekę, patrząc przed siebie na ciemną wodę portu i niebo w kolorze cementu i kurzu.

– Ile masz lat? – pyta Radicz.

– Siedemnaście, ale wkrótce będę mieć osiemnaście – mówi Lalla.

– Ja będę miał czternaście w przyszłym miesiącu oświadcza Radicz.

Zastanawia się chwilę ze zmarszczonymi brwiami.

– Czy już... spałeś z mężczyzną?

Tym pytaniem zaskakuje Lalę.

– Nie... A raczej tak... Dlaczego?

Radicz jest tak zaabsorbowany, że zapomina dać Lalli papierosa; zaciąga się raz za razem, nie połykając dymu.

– Ja tego jeszcze nie robiłem – mówi.

– Nie robiłeś czego?

– Nie spałem jeszcze z kobietą.

– Jesteś za młody.

– To nieprawda – odpowiada Radicz. Denerwuje się i jąka. – To nieprawda! Ja... moi przyjaciele wszyscy to robili, a są nawet tacy, którzy mają własną kobietę i wyśmiewają się ze mnie, mówią, że jestem pedałem, bo nie mam dziewczyny. – Zastanawia się jeszcze, paląc papierosa. – Ale mnie wszystko jedno, co oni mówią. Ja myślę, że to niedobrze sypiać z kobietą, ot tak, tylko po to, żeby uchodzić za spryciarza, dla żartu. To podobnie jak z papierosami. Wiesz, nie palę nigdy przy innych tam w hotelu i oni myślą, że ja nigdy nie paliłem, i to też ich śmieszy. Ale to dlatego, że oni nie wiedzą, a ja... mnie jest wszystko jedno, wolę, żeby nie wiedzieli.

Teraz znów daje Lalli papierosa. Niedopałek jest prawie zupełnie wypalony. Lalla zaciąga się lekko, później rozgniała go na nabrzeżu.

– Wiesz, że ja będę miała dziecko?

Nie bardzo wie, dlaczego powiedziała to Radiczowi. On patrzy na nią przez chwilę, nic nie odpowiadając. Jest w jego oczach jakiś cień, ale nagle się rozjaśnia.

– To dobrze – mówi z powagą. – To dobrze, bardzo się cieszę.

Jest tak zadowolony, że aż wstaje. Przechadza się nad wodą, później wraca do Lalli.

– Przyjdiesz odwiedzić mnie tam, gdzie mieszkam?

– Jeśli chcesz – odpowiada Lalla.

– Wiesz, to jest daleko, trzeba jechać autobusem, a później długo iść w stronę zbiorników. Kiedy zechcesz, pójdziemy razem, bo inaczej byś się zgubiła.

Oddała się biegiem. Słońce jest teraz bardzo nisko, niezbyt daleko od linii wielkich zabudowań, które widać po drugiej stronie wybrzeża. Statki towarowe, ciągle nieruchome, podobne są do wielkich porzewiałych brzegów, a mewy przelatują przed nimi powoli, tańcząc nad masztami.

Są takie dni, kiedy Lalla słyszy głos strachu. Nie bardzo wie, co znaczą te mocne uderzenia w blachę i ten głuchy łomot, który wdziera się przez podeszwy stóp i dudni we wnętrzu ciała. Może to samotność, a może głód, głód czułości, światła, pieśni, głód wszystkiego...

Gdy tylko Lalla przestępuje próg hotelu Sainte-Blanche po skończonej pracy, czuje, jak zbyt jasne światło pada na nią z nieba i przytłacza. Chowa głowę w kołnierz brązowego płaszcza, włosy aż po brwi skrywa pod szarą chustką Aammy, ale biel nieba, a także pustka ulic zawsze jej dosięgają. To jest jak mdłości, które podnoszą się ze środka brzucha, docierają do gardła, wypełniają usta goryczą. Lalla szybko siada, obojętnie gdzie, nie usiłując zrozumieć, nie dbając o patrzących na nią ludzi, ponieważ boi się znowu zemdleć. Opiera się ze wszystkich sił, próbuje uspokoić bicie serca, ruchy wnętrzości. Kładzie obie dłonie na brzuchu, żeby łagodne ich ciepło przeniknęło przez sukienkę, weszło w nią, dotarło aż do dziecka. Właśnie tak leczyła się dawniej, kiedy przychodziły silne bóle w dole brzucha, jak zwierzę szarpiące trzewia. Później kołysze się w przód i w tył, właśnie tak, siedząc na brzegu chodnika obok stojących aut.

Ludzie przechodzą, nie zatrzymując się. Zwalniają trochę, jakby chcieli podejść, ale kiedy Lalla podnosi głowę, w jej oczach jest tyle cierpienia, że szybko odchodzą, bo napawa ich to strachem.

Po chwili pod dłońmi Lalli ból słabnie. Znów może oddychać swobodniej. Mimo zimnego wiatru jest mokra od potu, a wilgotna sukienka lepi się do pleców. Może to głos strachu, głos, który nie brzmi w uszach, lecz w ciele i stopach, głos, który wyludnia ulicę?

Lalla wraca w stronę starego miasta, wspina się powoli na zniszczone stopnie schodów, po których cieknie cuchnąca woda z rynsztoka. Na górze skręca w prawo, później idzie ulicą du Bon Jésus. Na starych, odrapanych murach widać jakieś znaki pisane kredą, litery i niezrozumiałe, na wpół starte rysunki. Na ziemi jest wiele czerwonych jak krew plam, nad którymi krążą muchy. Czerwony kolor dźwięczy w głowie Lalli, wyje jak syrena gwizdem drążącym dziurę, pustoszy jej umysł. Powoli Lalla przechodzi nad pierwszą plamą, drugą, trzecią. Z czerwonymi plamami pomieszane są jakieś dziwne, białe rzeczy przypominające chrząstki, złamane kości, skórę i w głowie Lalli syrena wyje coraz głośniejsze. Próbuje biec, schodząc ulicą, ale wilgotne kamienie są śliskie, szczególnie kiedy się nosi kauczukowe sandały. Ulica Timon: ciągle jeszcze widać znaki wypisane kredą na starych murach, słowa, może imiona? Później naga kobietę o piersiach w kształcie oczu i Lalla myśli o nieprzyzwoitym piśmie rozpostartym na nieposłanym łóżku w hotelowym pokoju. Dalej ogromny fallus narysowany kredą na starych drzwiach niczym groteskowa maska.

Lalla idzie dalej, oddycha z trudem. Pot cieknie jej po czole i plecach, moczy łądzwie, drażni pod pachami. O tej godzinie nie ma nikogo na ulicy, tylko kilka psów o zjeżonej sierści, które warczą, ogryzają kość. Okna przy ziemi mają kraty, sztaby, wyżej – pozamykane okiennice; domy wydają się opuszczone. Chłód śmierci wyziera z piwnic, z czarnych okien. Jakby śmiertelny oddech powiewał wzdłuż ulic, wypełniał przegniłe zakamarki na dole murów. Dokąd iść? Znów powoli idzie, skręca jeszcze na prawo w stronę

starego domu. Lalla zawsze trochę się boi, kiedy widzi te wielkie okna z kratami, bo wydaje się jej, że to więzienie, w którym kiedyś umarli ludzie; mówi się nawet, że czasami nocą słyhać jęki więźniów za kratami. Teraz idzie w dół ulicą des Pistoles, następnie de la Charité, by zobaczyć przez kamienny, szary portal dziwną, różową kopułę, którą bardzo lubi. Czasami siada na progu jakiegoś domu i długo przygląda się kopule przypominającej obłok, zapomina o wszystkim do chwili, kiedy jakaś kobieta pyta ją, co tu robi.

Ale dziś nawet różowa kopuła napawa ją strachem, jakby za wąskimi oknami kryła się jakaś groźba. Nie patrząc za siebie, szybko odchodzi i cichymi ulicami wraca w stronę morza. Tylko bielizna głośno łopocze na wietrze, białe prześcieradło o wystrzępionych brzegach, ubranka dzieci, koszule mężczyzn, niebieska i różowa bielizna kobiet. Lalla nie chce na to patrzeć, bo ukazują jakby niewidzialne nogi, ramiona, piersi, ciała pozbawione głów. Idzie wzdłuż ulicy Rodillat, tam też są te niskie okna, zakratowane, zamknięte sztabami, gdzie mężczyźni i kobiety żyją jak więźniowie. Lalla chwilami słyszy strzępy zdań, odgłosy zmywania lub gotowania, nosową muzykę i myśli o tych wszystkich, którzy uwięzieni w ciemnych i zimnych pokojach żyją razem z karaluchami i szczurami, o tych wszystkich, którzy nie zobaczą już światła, którzy nie odetchną już wiatrem.

Tam, za oknem o popękanych i poczerniałych szybach, mieszka otyła, kaleka kobieta, sama z dwoma chudymi kotami. Opowiada zawsze o swym ogrodzie, o różach i drzewach, o wielkim cytrynowym drzewie, dającym najpiękniejsze owoce na świecie, a teraz ma tylko zimne i ciemne schronienie i dwa ślepe koty. Tutaj jest dom Ibrahima, starego orańskiego żołnierza.

Ibrahim walczył przeciw Niemcom, Turkom, Serbom, tam, w miejscach, których nazwy niestrudzenie powtarza, gdy Lalla go o to prosi: Saloniki, Warna, Bjała. Ale czy i on nie umrze schwyty w sidła odrapanego domu, gdzie na każdym stopniu ciemnych i śliskich schodów grozi upadek, a mury ciążą na chudej klatce piersiowej jak mokry płaszcz? Tam znów mieszka Hiszpanka z sześciorgiem dzieci: wszystkie śpią w jednym pokoju o wąskim oknie albo błąkają się po dzielnicy Panier ubrane w łachmany, blade, wiecznie głodne. Tam, w tamtym domu o popękanych ścianach, jakby mokrych od złej wilgoci, chore małżeństwo kaszle tak głośno, że Lalla zrywa się czasami w nocy, jak gdyby przez mury naprawdę mogła ich słyszeć. A małżeństwo cudzoziemców, on Włoch, ona Greczynka, mężczyzna jest co wieczór pijany i co wieczór bije żonę mocnymi ciosami pięści w głowę tylko dlatego, że ona tam jest i patrzy na niego załamionymi oczami w twarzy nabrzmiałej zmęczeniem. Lalla nienawidzi tego mężczyzny, zaciska zęby, kiedy o nim myśli, ale boi się również tego odurzenia alkoholem, spokojnego i beznadziejnego, i uległości kobiety, ponieważ to właśnie ukazuje się w każdym kamieniu i w każdej płamie na przeklętych ulicach tego miasta, w każdym znaku wypisanym na murach dzielnicy Panier.

Wszędzie jest głód, strach, zimna bieda, wszędzie stare, znoszone i wilgotne ubrania i stare twarze naznaczone piętnem, skazane.

Ulica Panier, Bouleau, przecznica Bousseaue, wszędzie te same, odrapane ściany, szczyty budynków, które muska zimne światło, dół murów, gdzie cuchnie zielona woda, gdzie gniją stosy odpadków. Nie ma tu os ani much, spokojnie podrywających się w powietrze, w którym porusza się kurz. Są tylko ludzie, karaluchy, wszystko, co żyje w norach bez światła, bez powietrza, bez nieba. Lalla kręci się ulicami jak stary pies ze zjeżoną sierścią, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Siada na chwilę na stopniach schodów przy murze; rośnie za nim jedyne drzewo w mieście, stary figowiec pełen zapachów. Przez chwilę myśli o drzewie, które tak lubiła, kiedy stary Naman naprawiał sieci, snując opowiadania. Ale podobnie jak stare, osłabione psy, Lalla nie może zostać długo w jednym miejscu. Wyrusza przez ciemny labirynt, podczas gdy światła nieba powoli ubywa. Siada jeszcze na chwilę na ławce na placu zabaw dla dzieci. Czasami lubi patrzeć na maluchy, które drepczą niepewnie z rozłożonymi rączkami. Ale teraz jest już tylko mrok, a na jednej z ławek siedzi stara,

ciemnoskóra kobieta w obszernej kolorowej sukni. Lalla siada obok niej i próbuje nawiązać rozmowę.

– Pani tutaj mieszka? Skąd pani pochodzi? Z jakiego kraju?

Stara kobieta patrzy, nie rozumiejąc, później zaczyna się bać i zasłania twarz skrajem kolorowej sukni.

Lalla przygląda się ścianie domu w głębi placu. Zna każdą plamę na tynku, każdą rysę, każdy ślad rdzy. Na dachu widać czarne tuby kominów, rynny, niżej małe okienka o brudnych szybach... Pod oknem starej Idy wisi na sznurku bielizna, sztywna od deszczu i kurzu. Jeszcze niżej mieszkają Cyganie. Tam większość okien ma wybite szyby, a niektórym brak nawet poprzeczek. To tylko czarne dziury otwarte jak oczodoły.

Lalla wpatruje się w nie i znowu czuje zimno i przerażającą obecność śmierci. Drży. Wielka pustka panuje na tym placu, wir pustki i śmierci, który rodzi się w tych oknach, krąży między ścianami domów. Na ławce obok niej stara Mulatka nie rusza się, nie oddycha. Lalla widzi tylko jej wychudzone ramię o żyłach tak wyraźnych jak struny i dłoń o długich palcach poplamionych henną, w której trzyma skraj sukienki, zasłaniając twarz od strony Lalli.

Może to jakaś pułapka, również tutaj? Lalla chciałaby wstać i uciec, ale czuje się jakby przykuta do ławki, niczym we śnie. Pomału nad miastem zapada noc, pochłania kąty, pęknięcia, wchodzi przez okna. Teraz jest zimno i Lalla otula się brązowym płaszczem, podnosi kołnierz. Ale zimno przenika przez podeszwy kauczukowych sandałów aż do pośladków, łądzwi. Lalla zamyka oczy, żeby walczyć, żeby nie widzieć pustki, która wiruje na placu wokół porzuconych zabawek przed oczami ślepych okien.

Kiedy znowu otwiera oczy, nie ma już nikogo. Stara Mulatka w kolorowej sukience odeszła, zanim Lalla zdała sobie z tego sprawę. Dziwne, ale niebo i ziemia są mniej ciemne, jakby noc się cofnęła.

Lalla znów idzie cichymi uliczkami. Schodzi po schodach, gdzie ziemia jest podziurawiona przez mechaniczne młoty. Zimno zamiata ulicę, trzaska blachą szop na narzędzia.

Kiedy Lalla przychodzi nad morze, widzi, że dzień jeszcze nie minął. Nad katedrą między wieżami widać wielką, jasną plamę. Lalla przebiega przez szeroką ulicę, nie widzi podjeżdżających aut, które trąbią i migają reflektorami. Zbliża się powoli do kościelnego dziedzińca, wchodzi po schodach, idzie między kolumnami. Przypomina sobie, jak po raz pierwszy przyszła do katedry. Bardzo się wtedy bała, było tu tak przestronnie i pusto jak na wysokim brzegu. Później Radicz żebrak pokazał jej, gdzie spędza noce latem, kiedy wiatr wiejący od morza jest ciepły jak oddech. Pokazał jej miejsce, z którego widać wchodzące do portu nocą wielkie statki towarowe z czerwonymi i zielonymi światłami. Pokazał jej także miejsce, skąd widać księżyc i gwiazdy między kolumnami placu.

Ale tego wieczoru nie ma nikogo. Biało-zielony kamień jest lodowaty, cisza ciężka, przerywana tylko odległym piskiem opon samochodowych i pokrzykiwaniem nietoperzy latających pod sklepieniem. Gołębie już śpią na gzymsach przytulone do siebie.

Lalla siada na chwilę na stopniach osłonięta kamienną balustradą. Patrzy na ziemię poplamioną ptasim łajnem i pokrytą kurzem. Wiatr wieje gwałtownie, gwizdząc między kratami. Samotność jest tu tak ogromna jak na statku na pełnym morzu. Boli i ściska w gardle, uciska skronie, dziwnie odbija dźwięki i mruga światłami w dali wzdłuż ulic.

Później, kiedy noc nadeszła, Lalla wraca do centrum miasta, na górę. Przechodzi przez plac Lenche, gdzie mężczyźni tłoczą się wokół drzwi do barów, idzie w górę ulicą Accoules z dłonią na podwójnej, żelaznej poręczy z wygładzonego żelaza, którą tak lubi. Ale nawet tu trwoga nie znika. Jest za nią, jak jeden z wielkich psów o zjeżonej sierści, o wygłodniałym spojrzeniu, który krąży wzdłuż rynsztoków w poszukiwaniu kości. To głód, bez wątplenia głód, który draży brzuch, draży pustkę w głowie, ale jest to głód wszystkiego, wszystkiego, co jest zabronione, niedostępne. Od tak dawna ludzie nie jedli do syta, od tak dawna nie zaznali

odpoczynku ani szczęścia, ani miłości, tylko pokoje w suterrenach, zimne, gdzie unoszą się opary strachu, tylko te ciemne ulice, po których biegają szczury, gdzie płyną przegniłe wody, gdzie zbierają się nieczystości. Zło.

Idąc wąskimi ulicami – Refuge, Moulins, Belles-Ecuelles, Montbrion – widzi jakby wyrzucone przez morze odpadki, zardzewiałe puszki po konserwach, stare papiery, kawałki kości, zgniłe pomarańcze, jarzyny, szmaty, potłuczone butelki, kauczukowe obręcze, kapsle, zdechłe ptaki z wyrwanymi skrzydłami, rozgniecione karaluchy, kurz, zgniłe resztki jedzenia. To są znaki samotności, opuszczenia, jakby ludzie już uciekli z tego miasta, z tego świata i zostawili wszystko na pastwę chorób, śmierci, zapomnienia. Jakby na tym świecie zostało już tylko kilkoro ludzi, nieszczęśników, którzy dalej żyją w tych rozpadających się domach, w mieszkaniach podobnych do grobów, podczas gdy pustka wchodzi przez otwarte okna, chłód nocy ściska klatkę piersiową, zasnuwa oczy starców i dzieci.

Lalla idzie wśród ruin, stąpa po stosach odpadłych sztukaterii. Nie wie, dokąd zmierza. Przechodzi kilka razy tę samą ulicę wokół wysokich murów szpitala. Może tam, w wielkiej, podziemnej kuchni o zakopconych oknach Aamma przeciera szczotką czarne kafelki, których nigdy nie doczyści? Lalla nie chce wracać do Aammy nigdy więcej. Krąży wzdłuż ciemnych ulic, podczas gdy cichnie wiatr i zaczyna padać drobny deszcz. Nagle widzi mężczyzn, czarne sylwetki bez twarzy, które również wydają się zagubione. Lalla znika, by ich przepuścić, znika we framudze drzwi, chowa się za stojącymi samochodami. Kiedy ulica znów jest pusta, wychodzi, idzie dalej, bezgłośnie, zmęczona, pijana brakiem snu.

Ale nie chce zasnąć. Chciałaby się odprężyć, zapomnieć. Miasto jest zbyt niebezpieczne, a strach nie pozwala biednym dziewczynom sypiać tak jak dzieciom bogaczy.

W nocnej ciszy zbyt wiele jest hałasów, odgłosów głodu, strachu, samotności. Są dźwięki głosów pijanych kloszardów w schroniskach, hałasy z arabskich kawiarni, gdzie nie ustaje monotonna muzyka i flegmatyczne śmiechy palaczy haszyszu. Jest przerażający hałas, jaki co wieczór robi mężczyzna bijący żonę silnymi uderzeniami pięści, i przenikliwy głos kobiety, która najpierw krzyczy, a potem popłakuje i jęczy. Teraz Lalla wyraźnie słyszy te dźwięki, jakby nigdy nie przestawały rozbrzmiewać. A szczególnie jeden dźwięk, który wszędzie za nią podąża, który wchodzi jej do głowy i brzucha, i niesie cały czas tę samą groźbę, głos kaszłającego dziecka, nocą, gdzieś w sąsiednim domu, może to syn Tunezyjki, otyłej i bladej, z zielonymi, trochę szklanymi oczami. A może to inne dziecko kaszle w jakimś domu odległym o kilka ulic, a inne z kolei odpowiada mu gdzieś na poddaszu, w pokoju o popękanych suficie, inne, które nie może spać w lodowatej alkwie, i jeszcze inne, jakby było ich dziesiątki, setki, chore dzieci, które kaszlą nocą, wydając ten sam ochrypły dźwięk, który rozrywa gardło i oskrzela. Lalla staje oparta plecami o bramę i zatyka uszy dłońmi, żeby nie słuchać tego dziecięcego kaszlu, który się niesie zimną nocą od domu do domu.

Dalej jest zakręt, skąd widać, jak z balkonu, wielkie skrzyżowanie ulic podobne do ujścia rzeki i migające światła, które oślepiają. Lalla schodzi ze wzgórza wzdłuż schodów, mija pasaż Lorette, przechodzi przez wielkie podwórze o murach poczerńniętych od dymu i nędzy, gdzie słychać hałas odbiorników radiowych i głosy ludzi. Staje na chwilę z głową zwróconą w stronę okien, jakby ktoś miał się w nich ukazać. Ale słychać tylko nieludzki dźwięk radia, które wykrzykuje coś, powtarza powoli jedno zdanie: „Przy dźwiękach tej muzyki bogowie wchodzą na scenę!”

Ale Lalla nie rozumie, co to znaczy, nieludzki głos zagłusza kaszel dzieci, wrzaski pijanych mężczyzn i płacz kobiet. Później jest inny pasaż, ciemny jak korytarz prowadzący na bulwar.

Tu przez chwilę Lalla nie czuje już strachu ani smutku. Tłum śpieszy się, ludzie mają błyszczące oczy, ruchliwe ręce, ich nogi uderzają o płyty chodnika, biodra się kołyszą, zmięte ubrania elektryzują. Jeźdźnią jadą samochody, ciężarówki, motocykle z zapalonymi reflektorami, a odblaski w witrynach zapalają się i gasną nieustannie. Lalla daje się nieść

prądowi ludzi, nie myśli już o sobie, jest pusta, jakby naprawdę nie istniała. Dlatego zawsze wraca na wielkie ulice, żeby zgubić się w ich strumieniu, żeby iść na los szczęścia.

Tak wiele jest światła! Lalla patrzy na nie, idąc prosto przed siebie. Niebieskie, czerwone, pomarańczowe, fioletowe, światła stałe, które suną do przodu, te, które tańczą w miejscu jak płomienie zapalek. Lalla myśli o niebie pełnym gwiazd, o wielkiej pustynnej nocy, kiedy leżała wyciągnięta na twardym piasku obok Hartaniego i oddychali spokojnie, jakby mieli tylko jedno ciało.

Trudno to sobie przypomnieć. Trzeba iść, tu, iść razem z innymi, jakby wiadomo było, dokąd się idzie, ale wędrówka nie ma końca, nie ma też kryjówki w zagłębieniu wydmy. Trzeba iść, by nie upaść, by inni nie rozdeptali.

Lalla idzie aż do końca ulicy, później wraca inną ulicą i jeszcze inną. Ciągłe widać światła, a zgiełk ludzi i silników rozbrzmiewa nieustannie. Wtedy nagle powraca strach, przerażenie, jakby wszystkie odgłosy opon i kroków zataczały wielkie, koncentryczne koła na brzegach gigantycznego lejka.

Lalla teraz widzi ich znowu. Są tam, wszędzie, siedzą przy starym, poczerniałym murze, zgromadzeni na ziemi pośrodku ekskrementów i nieczystości: żebracy, ślepi starcy o wyciągniętych rękach, młode kobiety o popękanych wargach z dzieckiem przyczepionym do zwiotczalej piersi, małe dziewczynki ubrane w łachmany z twarzami w krostach, które czepiają się ubrań przechodniów, staruchy koloru sadzy ze zmierzwionymi włosami, wszyscy ci, których głód i zimno wyгнаły z nor i którzy niesieni niczym odpadki przez fale żyją pośrodku obojętnego miasta w oszałamiającym zgiełku głosów i silników, zmoczeni deszczem, przesycając wiatrem, jeszcze brzydsi i biedniejsi w złym świetle elektrycznych żarówek. Spoglądają na przechodniów zamglonymi oczami, wilgotnymi i smutnymi, których spojrzenie powraca nieustannie i ucieka jak spojrzenie psów. Lalla idzie powoli obok żebraków, patrzy na nich ze ściśniętym sercem i znowu czuje straszną pustkę, która tworzy wir, tu, w obliczu opuszczonych ciał. Idzie tak powoli, że jakaś żebraczka chwytą ją za płaszcz i chce przyciągnąć ku sobie. Lalla szamoce się, odczepia gwałtownie palce, które zaciskają się na tkaninie; patrzy z litością i odrazą na twarz młodej jeszcze kobiety, na jej policzki spuchnięte od alkoholu, naznaczone czerwonymi plamami z powodu zimna, a przede wszystkim na niebieskie oczy ślepcy, prawie przezroczyste, w których źrenica nie większa jest od łebka szpilki.

– Chodź! Chodź tu! – powtarza żebraczka, kiedy Lalla usiłuje odczepić jej palce o złamanych paznokciach. Później strach zwycięża, Lalla wrywa płaszcz z rąk żebraczki i ucieka, podczas gdy inni żebracy zaczynają się śmiać, a kobieta, wpółuniesiona na chodniku pośrodku stosu łachmanów, wykrzykuje przekleństwa.

Z bijącym sercem Lalla biegnie ulicą: potrąca ludzi, którzy spacerują, wchodzą i wychodzą z kawiarni, z kin; mężczyźni w garniturach, którzy dopiero co zjedli kolację i których twarz błyszczy jeszcze z wysiłku, jaki uczynili, jedząc i pijąc; wyperfumowani chłopcy, pary, spacerujący żołnierze, cudzoziemcy o czarnej skórze i kędzierzawych włosach, mówiący słowa, których ona nie rozumie, z głośnym śmiechem próbujący ją pochwycić.

W kawiarniach wciąż gra muzyka, muzyka przenikliwa i głośna, która rozbrzmiewa głucho w ziemi, wibruje w ciele, w brzuchu, w uszach. Ta niezmienna muzyka z kawiarni i barów wraz ze światłem neonów, z kolorami czerwieni, zieleni, pomarańczy bije w ściany, stoły, w umalowane twarze kobiet.

Od jak dawna Lalla idzie pośród tego kłębowiska, tej muzyki? Sama już nie wie. Godziny, może całe noce, noce bez dnia, który by położył im kres. Myśli o przestrzeni kamiennego płaskowyzu, o pagórkach kamieni tnących jak ostrza, o ścieżkach zajęcy i zmij w świetle księżycy, rozgląda się wokół siebie, jakby tu miały się jej ukazać. Hartani ubrany w płaszcz z grubej tkaniny, z błyszczącymi oczami w bardzo czarnej twarzy, z długimi, powolnymi gestami jak ruchy antylopy. Ale jest tylko ta ulica, ciągle ta ulica i skrzyżowania pełne

twarży, oczu, ust, krzykliwe głosy, słowa, szepty. Hałas silników i klaksonów, brutalne światła. Nie widać nieba, jakby biała zasłona skrywała ziemię. Jakże mogliby przyjść aż tutaj Hartani i błękitny wojownik pustyni, Es Ser, Tajemnica, jak nazwała go kiedyś? Nie mogliby jej zobaczyć poprzez tę białą zasłonę, która oddziela tu miasto od nieba. Nie mogliby jej rozpoznać pośród tyłu twarzy, tyłu ciał, pośród wszystkich aut, ciężarówek, motorowerów. Nie mogliby nawet wyłowić jej głosu z morza głosów mówiących w różnych językach i muzyki, która rozbrzmiewa i od której drży ziemia. Dlatego Lalla już ich nie szuka, już do nich nie mówi, jakby na zawsze zniknęli, jakby dla niej umarli.

Żebracy są tam, w samym sercu miasta. Deszcz przestał padać i noc jest bardzo jasna, późna, koło północy. Ludzi niewiele. Wchodzą, wychodzą z kawiarni i barów i pędzą do samochodów. Lalla skręca na prawo w wąską, wspinającą się ulicę i idzie, chowając się za samochodami. Na chodniku stoi kilku mężczyzn, nieruchomo, nie rozmawiając. Patrzą w górę ulicy, w stronę brudnego budynku o małych drzwiach pomalowanych na zielono, wpółotwartych na oświetlony korytarz.

Lalla również staje i patrzy, schowana za samochodem. Serce jej bije szybko, a wielka pustka przerażenia wieje nad ulicą. Budynek przypomina brudną fortecę z oknami, w których szyby zastąpiono gazetami. Niektóre okna są oświetlone brzydkim, twardym światłem albo dziwnym ciemnym blaskiem w kolorze krwi. Można by powiedzieć, że to nieruchomy olbrzym z dziesiątkami oczu, które patrzą albo śpią, olbrzym pełen sił zła, który pożre małych ludzi czekających na ulicy. Lalla jest tak słaba, że opiera się o maskę samochodu, cała drży.

Wiatr zła wieje nad miastem, to on sprowadza na nie pustkę, strach, biedę, głód; to on drąży te wiry na placach i przez niego cisza ciąży w samotnych pokojach, gdzie duszą się dzieci i starcy. Lalla go nienawidzi, podobnie jak tych wszystkich olbrzymów z otwartymi oczami królujących nad miastem tylko po to, by pożerać mężczyzn i kobiety, miażdżyć ich w swoim brzuchu.

Później małe, zielone drzwi otwierają się na oścież i na chodniku naprzeciw Lalli staje kobieta. To na nią patrzą mężczyźni, nie ruszając się, paląc papierosy. Kobieta jest bardzo niska, prawie karlica, o szerokim ciele i nabrzmiałej głowie, położonej jakby na ramionach bez szyi... Ale twarz ma dziecięcą, z małymi ustami koloru wiśni i z bardzo czarnymi oczami, pomalowanymi na zielono. Najbardziej, zaraz po wzroście, zdumiewają w niej włosy: krótkie, kręcone, koloru czerwonej miedzi, iskrzą się dziwnie w świetle korytarza i tworzą jakby nadnaturalną płomienną aureolę na jej głowie, głowie tłustej lalki.

Lalla patrzy na włosy niskiej kobiety zafascynowana. Nie porusza się, prawie nie oddycha. Zimny wiatr wieje gwałtownie, ale niska kobieta stoi przed wejściem do budynku, a jej płomienną głowę rzucają ognisty blask. Ubrana jest w czarną spódnicę, bardzo krótką, odsłaniającą grube, białe uda, i w fioletowy sweterek z dekoltem. Na nogach ma lakierowane czółenka na bardzo wysokim obcasie. Zmarznięta robi kilka kroków, a jej obcasy dzwonią w ciszy ulicy.

Mężczyźni podchodzą do niej, paląc papierosy. Przeważnie są to Arabowie o bardzo czarnych włosach, o szarawej cerze, jakiej Lalla nie zna, jakby żyli pod ziemią, a wychodzili tylko nocą. Nic nie mówią. Wyglądają na brutalnych, upartych, mają zaciśnięte usta, twarde spojrzenia. Niska kobieta o płomiennych włosach nawet na nich nie patrzy. Z kolei ona zapala papierosa, pali szybko, kręcąc się przed domem. Kiedy pokazuje plecy, wygląda jak garbata.

Później w górze ulicy ukazuje się druga kobieta. Jest bardzo wysoka, mocno zbudowana, już podstarzała, z piętnem zmęczenia i braku snu. Ma na sobie obszerny nieprzemakalny płaszcz z niebieskiej ceraty, a jej czarne włosy potargał wiatr.

Idzie powoli w dół ulicy, stukając wysokimi obcasami, zatrzymuje się obok karlicy przed drzwiami. Arabowie zbliżają się, rozmawiają z nią. Ale Lalla nie słyszy, co mówią. Jeden po drugim odchodzą i stają z daleka z oczami utkwionymi w dwóch nieruchomych kobietach, które palą papierosy. Wiatr uderza porywami wzdłuż uliczki, przykleja ubrania do ciał kobiet,

powiewa ich włosami. W tej uliczce jest tyle nienawiści i rozpacz, jakby bez końca prowadziła w dół przez wszystkie stopnie piekła, nie sięgając nigdy dna, nie zatrzymując się nigdy. Jest tyle głodu, nienasyconego pożądania, gwałtu. Milczący mężczyźni patrzą, nieruchomi na brzegu chodnika jak ołowiani żołnierze, ich oczy utkwione są w brzuchach kobiet, w ich piersiach, w linii bioder, w bladej skórze szyi, w gołych nogach. Może nigdzie nie ma uczucia, nie ma litości, nie ma dobra. Może biała zasłona, która oddziela ziemię od nieba, zdusiła wszystkich ludzi, zatrzymała bicie ich serc, zabiła wszystkie wspomnienia, wszystkie dawne pragnienia, całe piękno?

Lalla czuje nieustanne wirowanie pustki, które przenika w nią, tak jakby wiejący w uliczce wiatr był długim, obrotowym ruchem. Może wiatr zerwie dachy z brudnych domów, wyważy okna, drzwi, skruszy przegniłe mury, wszystkie samochody zamieni w stopy żelastwa. Tak musi się stać, zbyt wiele tu nienawiści, zbyt wiele cierpienia... Ale wielka rudera ciągle stoi, przytłaczając ludzi wysokością. To nieruchomy olbrzym o krwawych, okrutnych oczach, który pożera mężczyzn i kobiety. W jej wnętrzościach milczący mężczyźni, których członek pali jak głównia, rzucają kobiety na stare, brudne materace. Po chwili ubierają się i odchodzą, a papieros, który położyli na brzegu stołu, nie zdążył nawet zgasnąć. Wewnątrz olbrzymów-pożeraczy stare kobiety leżą pod ciężarem mężczyzn, a ci brudzą ich poźółkłe ciała. Wtedy w brzuchach tych kobiet rodzi się pustka, pustka wielka i zimna, która ogarnia wszystko wokół.

Nagle Lalla czuje, że dłużej nie wytrzyma. Chce krzyczeć, płakać, ale to niemożliwe. Pustka i strach ścisnęły ją za gardło i ledwie może oddychać. Wtedy zaczyna uciekać. Biegnie uliczką, a dźwięk jej kroków głośno rozbrzmiewa w ciszy. Mężczyźni oglądają się i patrzą, jak ucieka. Karlica krzyczy coś, ale jakiś mężczyzna bierze ją za szyję i wciąga do domu. Pustka, na chwilę zakłócona, zamyka się za nimi, ogarnia ich. Kilku mężczyzn rzuca papierosy do rynsztoka i odchodzi w stronę wielkiej ulicy, prześlizgując się jak cienie. Pojawiają się inni i stają na brzegu chodnika; patrzą na wysoką kobietę o czarnych włosach, tkwiącą w drzwiach budynku.

Koło dworca nocuje wielu żebraków; otuleni w łachmany śpią wśród kartonowych pudeł pod bramami. W oddali błyszczą dworzec z wielkimi latarniami, białymi jak gwiazdy. Lalla położyła się na ziemi w kącie bramy, schroniwszy się za kamiennym słupkiem w wielkim jeziorze wilgotnego cienia. Głowę i kończyny niczym żółw schowała, jak tylko mogła, pod brązowym płaszczem. Kamień jest zimny i twardy, a pisk mokrych samochodowych opon przyprawia o dreszcze. Ale mimo wszystko widzi, jak otwiera się niebo, jak niegdyś na kamiennym płaskowyżu, i Lalla mocno zamknąwszy oczy, może znowu ujrzeć noc pustyni przez rozdzierającą się zasłonę.

Lalla mieszka w hotelu Sainte-Blanche. Ma małe pokoiki, ciemną klitkę pod dachem, którą dzieli ze szczotkami i wiadrami, ze starymi, od lat zapomnianymi przedmiotami. Jest tu żarówka, stół i stare połowę łóżko. Kiedy zapytała właściciela, czy mogłaby tu mieszkać – nie zadając pytań, powiedział po prostu „tak”. Nie robił żadnych uwag, powiedział, że może tu spać, że łóżko nie jest używane. Odejmie tylko pieniądze za światło i wodę z jej pensji i na tym koniec. Dlatego Lalla uważa, że choć brudny i nieogolony, porządny z niego człowiek, bo nie stawia pytań. Wszystko mu jedno.

Z Aammą było inaczej. Kiedy Lalla oznajmiła, że nie będzie już u niej mieszkać, jej twarz zamknęła się i Aamma powiedziała wiele przykrych rzeczy. Myślała, że Lalla odchodzi, by żyć z jakimś mężczyzną. Ale mimo wszystko zgodziła się, bo w sumie było jej to na rękę z powodu synów, którzy wkrótce powinni przyjechać. Dla wszystkich nie starczyłoby miejsca.

Teraz Lalla zna trochę lepiej ludzi w hotelu Sainte-Blanche. Wszyscy są bardzo biedni, przybyli z krajów, w których jada się niewiele, gdzie prawie nie ma środków do życia. Mają surowe twarze, nawet najmłodszy, i nie chcą dużo mówić. Na piętrze, na którym mieszka Lalla, nie ma nikogo, bo to właściwie już strych i pełno tu myszy. Ale akurat niżej jest pokój, w

którym mieszka trzech Murzynów, trzech braci. Oni nie są źli ani smutni. Zawsze są weseli i Lalla bardzo lubi słuchać, jak śmieją się i śpiewają w każdą sobotę po południu i w niedzielę. Nie zna ich imion, nie wie, co robią w mieście. Ale spotyka ich czasami na korytarzu, idąc do ubikacji, albo kiedy schodzi wcześniej rano, żeby wytrzeć schody. Nie mają prawie żadnych sprzętów, tylko kilka pudeł pełnych ubrań i jedną gitarę.

Dwa pokoje obok zajmują Afrykańczycy z północy, pracują na budowach i nigdy nie zostają w hotelu zbyt długo. Są mili, ale milczący i Lalla też rzadko z nimi rozmawia. W ich pokojach nie ma niczego, ponieważ wszystkie ubrania kładą do walizek, a walizki wsuwają pod łóżka. Boją się kradzieży.

Lalla najbardziej lubi młodego Murzyna z Afryki, który mieszka razem z bratem w maleńkim pokoju na drugim piętrze, zupełnie w końcu korytarza. Jest to najładniejszy pokój, bo wychodzi na tę część podwórza, gdzie rośnie drzewo. Lalla nie zna imienia starszego, ale wie, że młodszy nazywa się Daniel. Jest bardzo, bardzo czarny i włosy ma tak kręcone, że zawsze czepiają się ich jakieś rzeczy: kawałki słomy, pióra, żdźbła trawy. Ma zupełnie okrągłą głowę i nieproporcjonalną szyję. Poza tym cały jest długi, z długimi ramionami i długimi nogami, i śmiesznym, jakby trochę tanecznym chodem. Zawsze wesoły, śmieje się przez cały czas, kiedy rozmawia z Lallą. Ona nie bardzo go rozumie, bo mówi dziwnym, śpiewnym akcentem. Ale nie ma to wielkiego znaczenia, bo robi śmieszne gesty długimi rękami i najróżniejsze grymasy ustami pełnymi białych zębów. To właśnie jego najbardziej lubi Lalla z powodu gładkiej twarzy, z powodu śmiechu i dlatego też, że przypomina trochę dziecko. Pracuje razem z bratem w szpitalu, a w soboty i niedziele gra w piłkę nożną. To jego wielka pasja. W pokoju ma plakaty i zdjęcia przypinane do ścian, do drzwi wewnątrz szafy. Ilekroć widzi Lallę, pyta, kiedy przyjdzie zobaczyć, jak gra na stadionie.

Poszła tam kiedyś w niedzielne popołudnie. Siadła na najwyższych ławkach i patrzyła na niego. Wyglądał jak mała, czarna plama na zielonym trawniku stadionu i po tym mogła go rozpoznać. Grał jako środkowy napastnik. Ale Lalla nigdy mu o tym nie powiedziała, może dlatego, by nie przestał jej prosić, wybuchając głośnym śmiechem, dźwięczącym w korytarzach hotelu.

Mieszka tu również w maleńkim pokoiku na drugim końcu korytarza pewien stary mężczyzna. Nigdy z nikim nie rozmawia i nikt nie wie dokładnie, skąd pochodzi. Twarz mu zjadła jakaś straszliwa choroba, nie ma nosa ani ust, tylko dwie dziurki zamiast nozdrzy i bliznę w miejscu warg. Ale ma piękne oczy, głębokie i smutne, i zawsze jest grzeczny i łagodny. Mieszka bardzo biednie, prawie nie je i wychodzi tylko wcześniej rano, żeby pozbierać owoce porzucane na targu albo pospacerować w słońcu. Lalla nie zna jego imienia, ale bardzo go lubi. Przypomina trochę starego Namana, ma podobne dłonie, silne i zręczne, spalone przez słońce, dłonie, które wiele potrafią. Te ręce przywodzą Lalli na myśl rozpalony krajobraz, przestrzenie piasku i kamieni, karłowate zarośla, wyschnięte rzeki. Ale on nigdy nie opowiada o swoim kraju ani o sobie, trzyma to w tajemnicy. Mówi do Lalli ledwie kilka słów, kiedy mija ją na korytarzu: o pogodzie, o wiadomościach, które słyszał w radiu. Być może on jeden w hotelu zna tajemnicę Lalli, bo zapytał dwukrotnie, czy nie za ciężko jej pracować. Nie powiedział nic więcej, ale Lalla pomyślała, że wie, iż spodziewa się dziecka, i nawet przestraszyła się, czy nie powie o tym właścicielowi, który nie chciałby jej dłużej trzymać w hotelu. Ale stary nikomu nic nie powiedział. Co poniedziałek płaci za tydzień z góry za mieszkanie i nikt nie wie, skąd bierze pieniądze. Jedną Lalla domyśla się, że jest bardzo biedny, bo w jego pokoju nie ma nic innego do jedzenia prócz zepsutych owoców, które spadły na ziemię na targu. Więc czasami, kiedy ma trochę pieniędzy, kupuje jedno lub dwa piękne jabłka, pomarańczę i sprzątając, kładzie je na jedynym krześle w pokoju. Stary mężczyzna nie powiedział jej nigdy „dziękuję”, ale ona widzi w jego oczach, że cieszy się, kiedy ją spotyka.

Innych lokatorów Lalla zna i nie zna zarazem. Nie zostają w dzień w domu; to Arabowie, Portugalczycy, Włosi, którzy przychodzą tylko na noc. Są również tacy, którzy zostają za dnia, ale których Lalla nie lubi: dwóch Arabów z pierwszego piętra, którzy wyglądają na brutali i upijają się denaturatem do nieprzytomności, i tego, który czyta sprośne czasopisma i rozrzuca zdjęcia nagich kobiet na nieposłanym łóżku po to, by Lalla zbierała je i na nie patrzyła. To Jugosłowianin, który ma na imię Gregori. Któregoś dnia Lalla weszła do jego pokoju, gdy tam był. Chwyił ją za rękę i chciał przewrócić na łóżko, ale zaczęła krzyczeć i przestraszył się. Pozwolił jej odejść, rzucając przekleństwa. Od tego dnia Lalla nie przestępuje progu pokoju, dopóki mężczyzna nie wyjdzie.

Ale oni właściwie nie istnieją, z wyjątkiem starego o zjedzonej twarzy. Nie istnieją, bo nie zostawiają śladu po sobie, jakby byli cieniami, zjawami. Kiedy pewnego dnia wyjeżdżają, nikt o nich nie pamięta, jakby nigdy ich tu nie było. Polowe łóżko jest zawsze takie samo; i rozpadające się krzesło, i poplamione linoleum, i tłuste ściany, z których odpada farba, i wisząca naga żarówka, i czarne kropki zrobione przez muchy. Nic się nie zmienia.

Ale z zewnątrz przychodzi przede wszystkim światło, które wdziera się przez zabrudzone szyby, szare światło podwórka, blade odbłaski słońca i dźwięki: dźwięki odbiorników radiowych, warkot samochodowych silników na wielkiej ulicy, głosy kłócących się mężczyzn, szum ciekących kranów, spuszczonej wody, skrzypienie schodów, szum wiatru poruszającego blachą i rynnami.

Lalla słucha tych wszystkich dźwięków, leżąc nocą na łóżku, wpatrzona w żółtą plamę zapalanej żarówki. Tu nie mogą istnieć mężczyźni ani dzieci, nic, co żyje; słucha hałasu nocy, jakby była wewnątrz jakiejś groty i jakby sama nie bardzo istniała. W jej brzuchu, właśnie teraz, coś podskakuje, pulsuje, coś nieznanego...

Lalla zwija się w kłębek z kolanami pod brodą i próbuje słuchać tego, co się w niej rusza, tego, co zaczyna żyć. Czuje strach, ciągle ten strach, który każe uciekać ulicami i rzuca nią jak piłką. Ale równocześnie ogarnia ją fala dziwnego szczęścia, ciepła i światła, które zdaje się nadchodzić z bardzo daleka, spoza mórz i miast, i które łączy Lallę z pięknem pustyni. Wtedy, jak co noc, Lalla zamyka oczy, oddycha głęboko. Powoli szare światło wąskiego pokoju gaśnie i ukazuje się cudowna noc. Pełna gwiazd, zimna, cicha, samotna. Rozpościera się nad ziemią bez granic, nad przestrzenią nieruchomych wydm. Obok Lalli jest Hartani ubrany w płaszcz z grubej tkaniny, a twarz chłopca koloru miedzi błyszczący w świetle gwiazd. Jego spojrzenie dociera aż do niej, znajduje ją tutaj, w tym wąskim pokoju, w chorobliwej jasności żarówki i porusza się w niej, w jej brzuchu, budzi życie. Tak dawno zniknął, ona tak dawno odeszła na drugą stronę morza, jakby została wygnana, a przecież spojrzenie młodego pasterza jest bardzo wyraźne – czuje, jak naprawdę porusza się w niej, w tajemnicy jej brzucha. I wtedy znikają oni, ludzie tego miasta, policjanci, mężczyźni z ulicy, lokatorzy hotelu, znikają wszyscy, a razem z nimi ich miasto, ich domy, ulice, ich auta, ich ciężarówki i pozostaje tylko przestrzeń pustyni, gdzie Lalla i Hartani leżą razem, oboje owinięci w wielki płaszcz z grubej tkaniny, otoczeni czarną nocą i miriadami gwiazd, tulą się do siebie, żeby nie czuć zimna ogarniającego ziemię.

Kiedy w dzielnicy Panier ktoś umiera, wszystkim zajmuje się zakład pogrzebowy na parterze hotelu. Na początku Lalla sądziła, że to ktoś z rodziny właściciela hotelu; ale to kupiec jak inni. Myślała, że ludzie przychodzili umierać do hotelu, a później zajmował się nimi zakład pogrzebowy. Pracuje w rum tylko właściciel, pan Cherez, dwóch karawaniarzy i kierowca.

Kiedy w Panier ktoś umiera, pracownicy zakładu jadą limuzyną i przyczepiają wielkie, czarne szarfy ze srebrnymi łzami na drzwiach domu. Przed drzwiami na chodniku stawiają mały stolik nakryty czarną serwetą również ze srebrnymi łzami. Na stoliku jest talerzyk, żeby ludzie mogli kłaść karteczkę z nazwiskiem, kiedy składają wizytę zmarłemu.

Kiedy umarł pan Ceresola, Lalla wiedziała o tym od razu, bo zobaczyła jego syna w zakładzie na parterze hotelu. Syn pana Ceresoli jest otyłym mężczyzną z resztką włosów na głowie i sterczącymi wąsami, a na Lallę patrzy zawsze tak, jakby była przezroczysta. Ale pan Ceresola był inny. Lalla bardzo go lubiła. Ten stary Włoch, niezbyt wysoki i szczupły, chodził z trudem z powodu reumatyzmu. Zawsze w czarnym garniturze, też pewnie bardzo starym, bo na łokciach i kolanach materiał był poprzecierany. Do tego nosił stare buty z czarnej skóry, zawsze starannie wyczyszczone, a w zimne dni wełniany szalik i czapkę. Pan Ceresola miał twarz wysuszoną i pomarszczoną, zawsze ogorzałą, krótko obcięte siwe włosy i dziwne szylkretowe okulary, naprawiane plastrem i sznurkiem.

Tu, w Panier, ludzie bardzo go lubili, bo był grzeczny i dla wszystkich miły i godnie wyglądał w niemodnym, czarnym ubraniu i wyglansowanych butach. Poza tym wszyscy wiedzą, że kiedyś był cieślą, prawdziwym mistrzem ciesielskim, który przybył z Włoch przed wojną, bo nie lubił Mussoliniego. Tak opowiadał czasami, kiedy idąc po zakupy, spotykał Lallę na ulicy. Mówił, że przyjechał do Paryża bez pieniędzy, mając tylko na zapłacenie dwóch lub trzech nocy w hotelu, i nie znał ani słowa po francusku, a kiedy poprosił o mydło do mycia, dano mu garnek gorącej wody.

Kiedy Lalla go spotykała, pomagała mu nieść paczki, bo poruszał się z trudem, szczególnie po schodach prowadzących na ulicę Panier. Wówczas opowiadała jej o Włoszech, o swojej wsi i o czasach, kiedy był robotnikiem w Tunezji, o domach, które budował wszędzie: w Paryżu, Lyonie, na Korsyce. Miał dziwny, donośny głos i Lalla z trudem go rozumiała, ale bardzo lubiła słuchać, jak mówi. Teraz nie żyje. Kiedy Lalla to zrozumiała, tak posmutniała, że syn pana Ceresoli popatrzył na nią zaskoczony, jakby się zdziwił, że ktoś może myśleć o jego ojcu. Lalla wyszła bardzo szybko, ponieważ nie lubi oddychać powietrzem zakładu pogrzebowego ani patrzeć na wieńce z celuloиду, na trumny, a przede wszystkim na karawaniarzy o złych oczach.

Więc poszła ulicami powoli, ze zwieszoną głową i tak przyszła aż do domu pana Ceresoli. Przy drzwiach wisiały szarfy i stał stolik z czarną serwetką i talerzykiem. Była również wielka, czarna tablica nad drzwiami z dwiema literami w kształcie księżycowych rogalików – o, takich:

Lalla wchodzi do domu, idzie schodami o wąskich stopniach jak wtedy, gdy nosiła paczki panu Ceresoli, powoli, zatrzymując się na każdym półpiętrze dla zaczerpnięcia oddechu. Dziś jest bardzo zmęczona, czuje się taka ociężała, jakby miała zasnąć, jakby miała umrzeć, doszedłszy na ostatnie piętro.

Staje przed drzwiami, chwilę się waha. Później popycha drzwi i wchodzi do małego mieszkania. Najpierw nie poznaje miejsca, bo okiennice są zamknięte i jest ciemno. W mieszkaniu nie ma nikogo i Lalla idzie w stronę dużego pokoju, gdzie widać stół przykryty ceratą, a na nim koszyk owoców. W głębi jest alkowa z łóżkiem. Podeszedłszy bliżej, Lalla dostrzega pana Ceresolę leżącego na plecach, jakby spał. W panującym tu półmroku, z zamkniętymi oczami i rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała, wygląda tak spokojnie, że Lalla myśli przez chwilę, iż tylko się zdrzemnął i wkrótce się obudzi. Mówi szeptem, żeby nie przeszkadzać:

– Panie Ceresola? Panie Ceresola?

Ale pan Ceresola nie śpi. Widać to po jego ubraniu: ten sam czarny garnitur, te same wyglansowane buty, ale marynarka źle leży, kołnierz unosi się za głową, i Lalla myśli, że się pogniecie. Na policzkach i podbródku starca jest cień, a wokół oczu niebieskie sińce, jakby go ktoś uderzył. Lalla myśli także o starym Namanie, o tym jak leżał na ziemi w swoim domu i nie mógł już oddychać. Myśli o nim tak intensywnie, że przez kilka sekund widzi na łóżku właśnie jego z twarzą wygładzoną przez sen, z rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała. Życie drży jeszcze w półmroku pokoju jakby bardzo cichym, ledwie słyszalnym szeptem. Lalla podchodzi bliżej, dokładniej ogląda zgasłą twarz koloru wosku, siwe włosy opadające na

skronie sztywnymi pasmami, wpółotwarte usta, policzki zapadnięte pod ciężarem obwisłej szczęki. Twarz wygląda dziwnie, brak na niej szylkretowych okularów i pan Ceresola wydaje się nagi, słaby z powodu tych niepotrzebnych już teraz śladów na nosie, wokół oczu, na skroniach. Jego ciało stało się nagle zbyt małe, zbyt chude dla czarnego ubrania i jakby znikło, jakby została już tylko maska i woskowe ręce, i to ubranie wiszące jak na wieszaku. Wtedy nagle wraca strach; strach, który pali skórę, mąci spojrzenie. Półmrok przytłacza, jest trucizną, która paraliżuje. Półmrok wynurza się z głębi podwórek, sunie wąskimi uliczkami przez stare miasto, pogrąża tych wszystkich, których spotyka, więźniów wąskich pokoi: małe dzieci, kobiety, starców. Przenika do domów, pod wilgotne dachy, do piwnic, w najmniejsze szczeliny.

Lalla stoi nieruchomo przed zwłokami pana Ceresoli. Czuje, jak ogarnia ją chłód, a dziwny woskowy kolor pokrywa skórę jej twarzy i rąk. Pamięta jeszcze zły wiatr, który wiał tamtej nocy nad Cité, kiedy stary Naman umierał; zimno, które zdawało się wpełzać ze wszystkich dziur w ziemi, żeby unicestwić ludzi.

Powoli, nie spuszczać oczu z martwego ciała, Lalla cofa się do drzwi mieszkania. Śmierć jest w szarym cieniu, który unosi się między ścianami, na schodach, na odpadającej farbie korytarzy. Lalla schodzi tak szybko, jak może, z bijącym sercem, z oczami pełnymi łez. Wyskakuje na dwór i próbuje biec w dół miasta, w stronę morza, otoczona wiatrem i światłem. Ale ból w brzuchu zmusza ją, by siadła na ziemi zgięta w pół. Jęczy, podczas gdy ludzie przechodzą obok niej, patrzą ukradkiem i oddalają się pełni strachu; oni również, widać to po sposobie, w jaki idą tuż przy murach, zgięci, jak psy o zjeżonej sierści.

Śmierć jest wszędzie, także w nich, nie mogą uciec, myśli Lalla. Śmierć mieszka w czarnym zakładzie na parterze hotelu Sainte-Blanche, wśród bukietów gipsowych fiołków i płyt z lastryka. Mieszka tam w starym, przegniłym domu, w pokojach mężczyzn, na korytarzach. Oni o tym nie wiedzą, nawet się tego nie domyślają. Nocą wychodzi z zakładu pogrzebowego pod postacią karaluchów, szcurków, pluskiew i rozpełza się po wszystkich wilgotnych pokojach, po wszystkich siennikach, pełza i mrowi się na deskach, w szczelinach, wypełnia wszystko jak zatruty ciem.

Lalla wstaje, robi chwiejnie kilka kroków, rękami przyciska dół brzucha, gdzie czuje promieniujący ból. Nie patrzy na nikogo. Dokąd mogłaby iść? Oni, oni żyją, jedzą, piją, rozmawiają, a przez cały ten czas pułapka zamyka się za nimi. Wszystko stracili, wygnani, bici, upokorzeni, pracują w mroźnym wietrze na drogach, w deszcz, kopią dziury w kamienistej ziemi, kaleczą ręce i głowy, doprowadzeni do szaleństwa przez młoty pneumatyczne. Są głodni, boją się, złodowaciele od samotności i pustki. A kiedy przystają, śmierć unosi się wokół nich, jest tam, pod ich stopami, w zakładzie na parterze hotelu Sainte-Blanche. Karawaniarze o złych oczach wymazują ich, gaszą, ciało czynią niewidzialnym, zastępują twarz woskową maską, dłonie rękawiczkami, które wychodzą z pustych ubrań.

Dokąd iść? Gdzie zniknąć? Lalla chciałaby znaleźć kryjówkę, jak niegdyś w grocie Hartaniego, na wysokim brzegu, miejsce, z którego byłoby widać tylko morze i niebo.

Dochodzi aż do placu i siada na ławce, pod ścianą odrapanego domu z pustymi oknami jak oczy martwego olbrzyma.

Później całe miasto ogarnęła jakaś gorączka. Może z powodu wiatru, który zaczął wiać pod koniec zimy, ale nie był to wiatr nieszczęścia i choroby, jak wówczas gdy stary Naman umierał, lecz wiatr gwałtu i zimna: nad wielkimi ulicami unosił kurz i stare gazety, oszołamiał, chwał ludźmi; Lalla nie знаła dotąd podobnego wiatru. Taki wiatr wdziera się do środka głowy i wiruje, przenika ciało jak zimny prąd, wzbudzając silne dreszcze. Więc tego popołudnia, ledwie wyszła, ruszyła biegiem prosto przed siebie, nie patrząc nawet na zakład pogrzebowy, w którym nudził się ubrany na czarno mężczyzna.

Na zewnątrz, na wielkich ulicach, jest dużo światła, bo wiatr przyniósł je ze sobą. Światło odbija się, iskrzy na maskach samochodów, w szybach domów i również przenika do środka

głowy Lalli, gra na skórze, lśni we włosach. Dziewczyna widzi dziś wokół siebie, po raz pierwszy od tak dawna, odwieczną biel kamieni i piasku, blask ostry jak krzemień, jak gwiazdy. Daleko przed nią, na końcu wielkiej ulicy, we mgle ukazują się miraż, kopuły, minarety, wieże i karawany, które łączą się ze zgiełkiem ludzi i aut.

To wiatr światła, przybyły z zachodu, który zdąża w stronę cieni. Lalla słyszy, jak niegdyś, trzask światła na asfalcie, długi dźwięk odbłasków na szybach i skrzypienie żaru. Gdzie jest? Tyle tu światła, że czuje się jakby wyizolowana pośrodku sieci igiełek. Może idzie teraz przez ogromną przestrzeń kamieni i piasku, gdzie pośrodku pustyni czeka Hartani? Może z powodu światła i wiatru, idąc, śni i może wielkie miasto zniknie wkrótce, wyparuje w gorącu wschodzącego słońca, po strasznej nocy?

Na rogu ulicy, blisko schodów prowadzących na dworzec, staje przed nią Radiez żebrak. Jego twarz jest zmęczona i niespokojna i Lalla z trudem go poznaje, bo chłopiec stał się podobny do mężczyzny. Nosi ubranie, którego Lalla nie zna, brązowy garnitur wisi na jego kościstym ciele, a wielkie buty z czarnej skóry muszą ranić gołe stopy.

Lalla chciałaby z nim porozmawiać, powiedzieć, że pan Ceresola umarł i że nigdy więcej nie wróci do pracy w hotelu Sainte-Blanche ani do żadnego z tych pokoi, gdzie śmierć może przyjść w każdej chwili i zamienić ludzi w woskowe maski. Ale za duży jest wiatr i zbyt wiele hałasu, by rozmawiać, więc pokazuje tylko Radiczowi garść zmiętych w dłoni banknotów.

– Spójrz!

Radiez szeroko otwiera oczy, ale nie stawia pytań. Może sądzi, że Lalla ukradła te pieniądze albo jeszcze gorzej.

Lalla z powrotem wkłada banknoty do kieszeni płaszcza. To wszystko, co zostaje z dni spędzonych w hotelowym mroku, z wycierania szczotką linoleum i zamiatania szarych pokoi, cuchnących potem i tytoniem. Kiedy oznajmiła właścicielowi hotelu, że odchodzi, też nic nie powiedział. Wziął pieniądze, policzył, dorzucił za jeszcze jeden tydzień i wręczył je Lalli, po czym bez dodatkowych słów położył się do łóżka. Zrobił to wszystko bez pośpiechu, w piżamie, ze źle ogolonymi policzkami i brudnymi włosami, a później wrócił do lektury gazety, jakby nic poza tym nie miało znaczenia.

A więc teraz Lalla jest odurzona wolnością. Patrzy wokół siebie na ściany, okna, auta, ludzi, jakby byli tylko kształtami, obrazami, zjawami i jakby wiatr i światło miały ich wymieść. Radicz wygląda tak żałośnie, że żal go jej.

– Chodź!

Prowadzi chłopca za rękę przez kłębowisko tłumy. Razem wchodzi do wielkiego sklepu, gdzie błyszczą światło, nie wspaniałe światło słoneczne, tylko biały i twardy blask odbijany przez mnóstwo lusterek. Ale ten blask również upaja, oszołamia, oslepia. Z Radiczem, który idzie chwiejnie tuż za nią, Lalla przechodzi przez dział perfum, kosmetyków, peruk i mydeł. Przystaje wszędzie, kupuje kilka mydeł we wszystkich kolorach i podsuwa je do wachania Radiczowi. Później małe flakoniki perfum, których zapach wdycha przez chwilę, idąc wzdłuż przejść, od tego zapachu kręci się w głowie aż do omdlenia. Szminki, cienie do powiek, zielone, czarne, koloru ochry, pudry, brylantyny, kremy, sztuczne rzęsy, tropy. Lalla każe sobie to wszystko pokazywać i pokazuje również Radiczowi, który milczy; później długo wybiera małą kwadratową buteleczkę lakieru do paznokci w kolorze ceglastym i szkarłatną szminkę do ust. Siedzi na wysokim stołku, przed lustrem, i sprawdza kolory na wierzchu dłoni, podczas gdy sprzedawczyni, o włosach koloru słomy, patrzy na nią głupim wzrokiem.

Na piętrze Lalla prześlizguje się między ubraniami, ciągle trzymając Radicza za rękę. Wybiera podkoszulek, granatowe płócienne spodnie, później tenisówki i czerwone skarpetki. W przymierzalni zostawia starą sukienkę, szary fartuch i sandały z kauczuku, ale zatrzymuje brązowy płaszcz, bo bardzo go lubi. Od razu lepiej idzie, odbijając się na elastycznych

podeszwach, z jedną ręką w kieszeni spodni. Czarne włosy opadają w ciężkich lokach na kołnierz płaszcza, lśnią w białym elektrycznym świetle.

Radicz patrzy na nią, uważa, że jest piękna, ale nie ośmiela się tego powiedzieć. Jej oczy błyszczą radością. Widać jakby błyski ognia w czarnych włosach Lalli, w miedzianej czerwieni twarzy. Światło elektryczne ożywiło kolor słońca pustyni, jakby przyszło tutaj, do domu towarowego, prosto z kamienistych równin.

Może naprawdę wszystko znikło i został tylko wielki sklep pośrodku bezkresnej pustyni, podobny do fortecy z kamieni i błota. Ale to piasek otacza całe miasto, opasuje, słychać, jak trzeszczą nadbudowy betonowych budynków, podczas gdy na murach pojawiają się pęknięcia, a lustrzane płyty drapaczy chmur upadają.

Spojrzenie Lalli niesie palącą siłę pustyni. Gorące światło jest w jej czarnych włosach, na grubym warkoczku, który splata na ramieniu. Gorące światło jest w jej bursztynowych oczach, na skórze, na wystających kościach policzkowych, na wargach. W wielkim sklepie pełnym hałasu i białego elektrycznego światła ludzie rozstępują się, przystają, kiedy przechodzi Lalla i Radicz żebrak. Kobiety, mężczyźni zatrzymują się ze zdziwieniem, bo nigdy nie widzieli nikogo, kto by przypominał tych dwoje. Lalla idzie środkiem przejścia ubrana w granatowe ogrodniczki i brązowy płaszcz. Ma szyję i twarz koloru miedzi, nie jest wysoka, a jednak zdaje się ogromna, kiedy idzie tak środkiem przejścia i później, kiedy zjeżdża ruchomymi schodami na parter.

To z powodu światła tryskającego z jej oczu, ze skóry, z włosów, światła prawie nadnaturalnego. Za nią idzie dziwny, szczupły chłopiec, w męskim ubraniu, z gołymi stopami w butach z czarnej skóry. Czarne i długie włosy otaczają jego trójkątną twarz o zapadniętych policzkach i głęboko osadzonych oczach. Idzie z tyłu, nie ruszając ramionami, trochę bokiem jak bojaźliwe psy, milczący. Również na niego ludzie spoglądają ze zdumieniem, jakby był cieniem pozbawionym ciała. Z twarzy chłopca wyczytać można trwogę, ale próbuje zatuszować ją dziwnym, twardym uśmiechem, podobnym raczej do grymasu.

Czasami Lalla odwraca się i daje mu znak albo bierze go za rękę.

– Chodź!

Ale chłopiec szybko pozwala się wyprzedzić.

Kiedy znowu są na ulicy, w słońcu i wietrze, Lalla pyta go:

– Jesteś głodny?

Radicz patrzy na nią błyszczącymi, rozgorączkowanymi oczami.

– Będziemy jeść – mówi Lalla. Pokazuje, co zostało z garści zmiętych banknotów w kieszeni nowych spodni.

Wielkimi, prostymi ulicami idą ludzie, jedni szybko, inni powoli, pociągając nogami. Auta wciąż jadą wzdłuż chodników, jakby czyhały na coś, na kogoś, na jakieś miejsce do zaparkowania. Na bezchmurnym niebie widać jaskółki, lecą dolinami ulic, wydając przenikliwe piski. Lalla cieszy się, że idzie tak zwyczajnie, trzymając Radicza za rękę, nic nie mówiąc, jakby szli na koniec świata i nigdy nie mieli wrócić. Myśli o krajach, jakie są po drugiej stronie morza, o ziemiach czerwonych i żółtych, o czarnych skałach jak zęby na piasku. Myśli o oczkach słodkiej wody patrzących w niebo i o smaku *szergui*, wiatru, który unosi warstwę kurzu i posuwa do przodu wydmy. Myśli także o grocie Hartaniego na wysokim brzegu, z której widziała niebo, tylko niebo. Teraz jakby szła wzdłuż ulic w stronę tego kraju, jakby wracała. Ludzie rozstępują się na ich drodze z oczami zwężonymi od światła, niczego nie rozumieją. Ona mija ich, nie widząc, jakby szła przez tłum cieni. Milczy. Ścisła bardzo mocno rękę Radicza, idzie prosto przed siebie, w stronę słońca.

Kiedy przychodzą nad morze, wiatr wieje silniej. Auta trąbią gniewnie, uwięzione w korkach przy porcie.

Znowu na twarzy Radicza wyczytać można strach i Lalla mocno trzyma go za rękę, żeby dodać mu odwagi. Nie może się zawahać, bo inaczej upojenie wiatrem i światłem zniknie, zostawi ich na pastwę losu i już nie będą mieli odwagi być wolni.

Idą wzdłuż wybrzeża, nie patrząc na statki. Światło odbite od wody tańczy na policzku Lalli, lśni w nim jej miedziana skóra, włosy. Wokół niej jest czerwony blask, czerwień żaru. Chłopiec patrzy na nią, pozwala, by przeniknęło weń wydzielane przez Lallę ciepło, które go upaja. Serce bije mu mocno, wali w skroniach, na szyi.

Teraz ukazują się wysokie, białe mury, szyby wielkiej restauracji. To tam Lalla chce iść. Powyżej portu widać maszty z kolorowymi flagami, które łopoczą na wietrze. Lalla zna dobrze ten dom, już od dawna widzi go z daleka, bardzo biały, z wielkimi szymbami odbijającymi blask zachodzącego słońca.

Wchodzi bez wahania, popychając szklane drzwi. Wielka sala jest ciemna, ale na okrągłych stolikach lśnią białe płomy obrusów. W jednej chwili Lalla wszystko widzi wyraźnie: bukiety róż w kryształowych wazonach, srebrne nakrycia, rżnięte szklanki, lśniące czystością serwetki, dalej krzesła pokryte granatowym aksamitem i wywoskowany parkiet, po którym przechodzą ubrani na biało kelnerzy. To nierzeczywiste i odległe, a jednak tu właśnie wchodzi, stąpając powoli i cicho po lśniącym parkiecie i trzymając mocno za rękę Radicza żebraka.

– Chodź – mówi Lalla. – Tu usiądziemy.

Pokazuje stolik blisko dużego okna. Przechodzą przez salę restauracyjną. Przy białych stolikach mężczyźni i kobiety unoszą głowy znad talerzy i przestają jeść, mówić. Kelnerzy zastygają z łyżką w naczyniu z ryżem albo z nachyloną butelką białego wina, z której wlewają do szklanki wąziutki strumyczek strzępiący się jak płomień, który gaśnie.

Później Lalla i Radicz siadają przy okrągłym stoliku, po przeciwnych stronach pięknego, białego obrusa, oddzieleni bukietem róż. Wtedy ludzie znów zaczynają jeść, rozmawiać, ale ciszej; wino zaczyna płynąć, łyżka nakłada ryż, a głosy szepczą przytłumione hałasem aut przesuwających się przed ogromnymi oknami jak ryby w akwarium.

Radicz nie śmie rozglądać się. Tylko z całej siły patrzy na twarz Lalli. Nigdy nie widział twarzy piękniejszej, jaśniejszej. Światło z okna pada na ciężkie, czarne włosy, jest niczym płomień wokół twarzy Lalli, na jej szyi, ramionach i na dłoniach leżących płasko na białym obrusie. Oczy Lalli podobne są do dwóch krzemieni w kolorze metalu i ognia, a jej twarz przypomina maskę z gładkiej miedzi.

Mężczyzna wysokiego wzrostu stoi przed ich stolikiem. Ubrany jest w czarny garnitur, a jego koszula jest tak biała jak obrusy na stołach. Ma otyłą, znudzoną, zniewieściałą twarz, z ustami bez warg. Właśnie miał powiedzieć dwójce dzieci, by natychmiast, bez dyskusji wyszły, kiedy jego smutne spojrzenie napotyka wzrok Lalli, i nagle zapomina, co miał powiedzieć. Spojrzenie Lalli jest twarde jak krzemień, pełne takiej siły, że mężczyzna ubrany na czarno musi odwrócić oczy. Robi jeden krok do tyłu, jakby miał odejść, po czym odzywa się dziwnym, nieco przytłumionym głosem:

– Państwo... Państwo napiją się czegoś?

Lalla wpatruje się w niego, nie mrugnawszy okiem.

– Jesteśmy głodni – mówi tylko. – Proszę przynieść nam coś do jedzenia.

Mężczyzna ubrany na czarno oddala się i powraca, niosąc kartę, którą kładzie na stole. Ale Lalla zwraca kartę, nie przestając wpatrywać się w oczy mężczyzny. Może za chwilę przypomni sobie o nienawiści i będzie się wstydział strachu.

– Proszę nam podać to samo co im – wydaje polecenie Lalla. Pokazuje na ludzi przy sąsiednim stoliku, którzy obserwują ich od czasu do czasu znad okularów, odwracając się lekko.

Mężczyzna rozmawia z jednym z kelnerów, który nadchodzi, popychając mały wózek pełen różnokolorowych dań. Na talerzach kelner kładzie pomidory, liście sałaty, anchois,

oliwki i kapary, zimne ziemniaki, jajka posypane tartym żółtkiem i dużo innych rzeczy. Lalla patrzy na Radicza, który je szybko, nachylony nad swoim talerzem jak pies, który ogryza kość, i ma ochotę się roześmiać.

Światło i wiatr ciągle dla niej tańczą, nawet tu, nad szklankami i talerzami, na lustrach ścian, bukietach kwiatów.

Na stolik przynoszą półmiski jedne po drugich, ogromne, lśniące, pełne dań, których Lalla nie zna: ryby pływające w pomarańczowym sosie, góry jarzyn, talerze z czymś czerwonym, zielonym, brązowym, przykryte srebrnymi kopułkami, które Radicz unosi, żeby wdychać zapachy. Maître d'hôtel uroczyście nalewa im wino koloru bursztynu, później do innego kieliszka, szerokiego i lekkiego, wino o barwie rubinu, prawie czarne. Lalla moczy wargi w napoju, ale wypija tylko sam kolor, patrząc nań pod światło. Światło oszołamia ich bardziej niż wino, a także barwy i zapachy pożywienia. Radicz je szybko, wszystko naraz i jeden po drugim wypija kieliszki wina. Ale Lalla prawie wcale nie je; patrzy tylko na jedzącego chłopca i innych na sali, którzy jakby zastygli nad swoimi talerzami. Czas wolniej upływa albo to jej spojrzenie wszystko zatrzymuje, razem ze światłem. Na zewnątrz samochody suną ciągle przed oknami, a między statkami widać szary kolor morza.

Kiedy Radicz zjadł wszystko, co było na półmiskach, wyciera usta serwetką i opiera się plecami o krzesło. Jest trochę zaczerwieniony, oczy błyszczą mu mocno.

– Dobre było? – pyta Lalla.

– Tak – odpowiada Radicz. Tak bardzo się najadł, że ma czkawkę. Lalla daje mu do wypicia szklankę wody i każe patrzeć sobie w oczy, póki czkawka nie minie.

Gruby mężczyzna, ubrany na czarno, zbliża się do ich stolika.

– Kawa?

Lalla kiwa głową. Kiedy maître d'hôtel przynosi rachunek, Lalla wyciąga go ku niemu.

– Proszę odczytać.

Wyjmuje z kieszeni płaszczą zwój zmiętych banknotów i rozprostowuje je jeden po drugim na obrusie. Maître d'hôtel bierze pieniądze. Ma odejść, ale zmienia zdanie.

– Jakiś pan chciałby z panią porozmawiać, tam, przy stoliku przy drzwiach.

Radicz bierze Lallę za ramię i ciągnie gwałtownie.

– Chodź, idziemy stąd.

Kiedy Lalla zbliża się do drzwi, widzi przy sąsiednim stoliku mężczyznę koło trzydziestki, trochę smutnego.

Mężczyzna wstaje i idzie w jej stronę. Mówi niewyraźnie:

– Ja, proszę mi wybaczyć, że tak panią zaczepiam, ale ja...

Lalla z uśmiechem patrzy mu prosto w twarz.

– Jestem fotografem i chciałbym zrobić pani zdjęcie, jeśli tylko pani zechce.

Ponieważ Lalla nie odpowiada i dalej się uśmiecha, coraz bardziej się płacze.

– To dlatego, że widziałem panią, przed chwilą, jak weszła pani do restauracji i to było nadzwyczajne, jest pani... To było naprawdę niezwykle.

Wyjmuje długopis z kieszeni marynarki i pisze szybko swój adres i nazwisko na kawałku papieru. Ale Lalla pochyla głowę i nie bierze kartki.

– Nie umiem czytać – mówi.

– A więc proszę mi powiedzieć, gdzie pani mieszka.

Ma szaroniebieskie oczy, bardzo smutne i wilgotne jak u psa. Lalla patrzy na niego oczami pełnymi światła, a mężczyzna chce jeszcze coś powiedzieć.

– Mieszkam w hotelu Sainte-Blanche – mówi Lalla. I bardzo szybko wychodzi.

Na dworze czeka na nią Radicz żebrak. Wiatr zwiewa mu długie włosy na szczupłą twarz. Nie wygląda na zadowolonego. Kiedy Lalla do niego mówi, wzrusza ramionami.

Razem idą aż nad morze. Nie jest ono takie jak na plaży Namana rybaka. Wzdłuż wybrzeża biegnie długi cementowy mur, uczepiony szarych skał. Krótkie fale uderzają z hukiem w ich zagłębienia; piana wznosi się jak mgła. Ale to dobrze, Lalla lubi oblizywać wargi i czuć smak soli. Z Radiczem idzie wśród skał aż do wnęki chroniącej od wiatru. Słońce piecze tu mocno, lśni na pełnym morzu i na słonych skałach. Po miejskim zgiełku i wszystkich dziwnych zapachach restauracji dobrze mieć przed sobą tylko morze i niebo. Na zachodzie widać małe wysepki, kilka czarnych skał, które wynurzają się z morza jak wieloryby – to Radicz tak powiedział. Są również łodzie z wielkimi białymi żaglami, wyglądające jak dziecinne zabawki.

Kiedy słońce zaczyna chylić się ku zachodowi, a wiatr cichnie, przychodzi ochota na marzenia, na rozmowę. Lalla patrzy na maleńkie skalne rośliny pachnące miodem i pieprzem; drżą przy każdym podmuchu wiatru we wgłębieniach szarych skał, nad morzem. Myśli, że chciałaby stać się tak mała, żeby żyć w gęstwinie tych roślinek; mieszkałaby wtedy w zakamarku skalnym i jedna kropelka wody wystarczyłaby jej na cały dzień, a okruszynka chleba na dwa.

Radicz wyjmuje z kieszeni marynarki trochę uszkodzoną paczkę papierosów; jednego daje Lalli. Mówi, że nie pali nigdy przy innych, tylko wtedy, kiedy jest w miejscu, które lubi, że Lalla jest pierwszą osobą, przy której pali. Są to amerykańskie papierosy z kawałkiem kartonu i bawełną na jednym końcu, mają mdły zapach miodu. Oboje palą powoli, patrząc na morze. Wiatr rozgania niebieski dym.

– Chcesz, żebym ci opowiedział o miejscu, w którym mieszkam, tam, obok zbiorników?

Radicz ma teraz trochę zmieniony głos, ochrypli, jakby wzruszenie ścisnęło go za gardło. Mówiąc, nie patrzy na Lallę, pali papierosa do chwili, kiedy parzy sobie wargi i czubki palców.

– Wiesz, dawniej nie mieszkalem z szefem. Mieszkalem z ojcem i matką w przyczepie, jeździliśmy z jarmarku na jarmark, mieliśmy strzelnicę, no, nie taką z karabinami, ale z drewnianymi kulami i puszkami po konserwach. Później ojciec umarł, a ponieważ było nas dużo i nie mieliśmy dość pieniędzy, matka sprzedała mnie szefowi i przyjechałem mieszkać tu, w Marsylii... Z początku nie wiedziałem, że matka mnie sprzedała, któregoś dnia chciałem odejść, ale szef złapał mnie i zbił, i powiedział, że nie mogę wrócić do matki, bo ona mnie sprzedała i teraz on jest jak gdyby moim ojcem; potem już nie odchodziłem od niego, nie chciałem widzieć matki. Z początku się smuciłem, bo nikogo nie znałem i byłem sam. Ale później przyzwyczałem się, bo szef jest miły i daje nam do jedzenia wszystko, co chcemy, i tak było dla mnie lepiej, niż gdybym został z matką, która nie chciała się mną zajmować. Było nas przy szefie sześciu chłopaków, no, z początku siedmiu, ale jeden umarł, miał zapalenie płuc i od razu umarł. A więc siadaliśmy w miejscach, które szef opłacał, i wieczorem przynosiliśmy pieniądze, trochę zatrzymywaliśmy, a reszta była dla szefa, kupował za nią żywność. Szef zawsze mówił, żebyśmy uważali i nie dali się zgarnąć policji, bo wtedy wzięliby nas do zakładu opieki społecznej, a on nie mógłby nas stamtąd wyciągnąć. Dlatego nie zostawialiśmy zbyt długo w tym samym miejscu i szef później prowadził nas gdzie indziej. Najpierw mieszkaliśmy w hangarze na północy, a później mieliśmy przyczepę, taką jak przyczepa mojego ojca, i obozowaliśmy z Cyganami za miastem. Teraz mamy wielki dom dla nas wszystkich, tuż przed zbiornikami, są tam inne dzieci, pracują dla szefa, który nazywa się Marcel i jest tam też Anita z dziećmi, dwoma chłopcami i trzema dziewczynkami, mnie się wydaje, że największa z nich jest naprawdę jej córką. Pracujemy w okolicy dworca, ale nie co dzień, żeby nas nie zgarnęli, chodzimy także do portu oraz w stronę Belsunce albo Canebiere, ale szef mówi, że jestem za stary, żeby żebrać, mówi, że to dobre dla małych i dla dziewczyn, i chce, żebym pracował poważnie, uczy mnie kraść z kieszeni, w sklepach, na targach. Popatrz, widzisz, ten garnitur, koszula, buty, wszystko to zwędził dla mnie w sklepie, podczas gdy ja stałem na czatach. Gdybyś chciała, mogłabyś mieć swoje ciuchy za darmo, to

łatwe, tylko byś wybrała, a ja bym ci podał, znam sposoby. Na przykład do portfeli trzeba dwóch, jeden bierze i od razu oddaje drugiemu, żeby nie dać się złapać z pieniędzmi, szef mówi, że nadają się do tego fachu, bo mam długie i zwinne ręce. Mówi, że takimi rękami można albo grać na instrumencie, albo kraść. Teraz robimy to we trójkę, z córką Anity odwiedzamy domy towarowe. Czasami szef mówi do Anity: „Chodźcie, zrobimy zakupy w domu towarowym” i bierze wtedy dwóch chłopców, a czasami córkę Anity i jednego chłopaka, i ten chłopak to zawsze ja... Wiesz, dom towarowy jest duży, jest tyle działów, że możesz się zgubić: spożywcze, z ubraniami, butami, mydłami, płytami, wszystko. Wtedy we dwóch pracuje się szybko. Mamy torbę z podwójnym dnem. na rzeczy mniejsze, na jedzenie, a resztę Anita kładzie na brzuchu, ma coś takiego okrągłego, co wkłada pod sukienkę, jakby była w ciąży, a szef ma płaszcz nieprzemakalny z kieszeniami od wewnątrz, a więc zabieramy wszystko, co chcemy, i znikamy! Wiesz, na początku się bałem, że mnie chwycą, ale trzeba tylko wybrać właściwy moment i nie wahać się. Jeżeli się zawahasz, złapią cię pilnujący. Teraz bardzo dobrze ich rozpoznaję, nawet z daleka, oni wszyscy chodzą w ten sam sposób, patrzą kątem oka, mógłbym rozpoznać ich na kilometr. Ale ja najbardziej lubię pracować na ulicy, przy samochodach. Szef mówi, że nauczy mnie pracować przy samochodach, to jego specjalność. Czasami idzie do miasta i przyprowadza samochód, żebym mógł się wprawiać. Nauczył mnie otwierać zamki za pomocą drutu albo wytrychem. Wytrychem możesz otworzyć większość samochodów. Uczy mnie także pociągać za przewody pod deską rozdzielczą i odblokowywać autoalarm. Ale mówi, że jestem za młody, żeby prowadzić. Więc biorę, co jest w autach. Czasami jest masa rzeczy w skrytkach na rękawiczki, książeczki czekowe, dokumenty, nawet pieniądze, a pod siedzeniami aparaty fotograficzne, odbiorniki radiowe. Ja najbardziej lubię pracować wcześniej rano, zupełnie sam, kiedy nie ma nikogo na ulicach, z wyjątkiem kotów. Szef chce, żebym nauczył się otwierać zamki w drzwiach domów, w bogatych willach, tu, blisko morza, mówi, że we dwóch można by zrobić dobrą robotę, bo ważymy niewiele i umiemy się wspinać po murach. Więc uczy nas sposobów otwierania zamków, a także okien. On sam nie chce już tego robić, twierdzi, że jest za stary i nie mógłby biec w razie potrzeby, ale naprawdę to dlatego, że raz go złapali i on się boi. Ja już raz byłem z takim typem, co się nazywa Rito, on jest starszy ode mnie, pracował kiedyś z szefem i zabrał mnie ze sobą. Poszliśmy na jakąś ulicę, blisko Prado, on obserwował jakiś dom i wiedział, że nie ma w nim nikogo. Ja nie wszedłem do środka, zostałem w ogrodzie, podczas gdy Rito zabierał, co mógł, później przenieśliśmy wszystko do samochodu, w którym czekał szef. Bałem się, bo to ja zostałem w ogrodzie na czatach, i wydaje mi się, że bałbym się mniej, gdybym pracował wewnątrz domu. Ale trzeba wszystko umieć, zanim się zacznie, inaczej się wpada. Żeby wejść do środka, najpierw trzeba znaleźć dobre okno, później wspiąć się po drzewie albo po rynnie. Nie może kręcić się w głowie. I nie trzeba wpadać w panikę, jeśli nadejdą gliny, trzeba się nie ruszać albo schować pod dachem, bo jeśli zaczniesz uciekać, złapią cię w pięć sekund. Więc szef pokazuje nam to wszystko u nas w hotelu. Każe nam się wspinać po domu, chodzić nocą po dachu, uczy nas nawet skakać jak spadochroniarze. Ale on mówi, że nie zostaniemy tu w nieskończoność, kupimy przyczepę i pojedziemy do Hiszpanii. Ja wolałbym pojechać do Nicei, ale wydaje mi się, że szef woli Hiszpanię. Nie chcesz jechać z nami? Wiesz, powiedziałbym szefowi, że jesteś moją przyjaciółką, on o nic nie zapyta, powiedziałbym tylko, że jesteś moją przyjaciółką i że będziesz mieszkała z nami w przyczepie, tak byłoby dobrze. Może ty także mogłabyś się nauczyć pracować w sklepach albo razem obrabialibyśmy auta, raz ty, raz ja, w ten sposób ludzie by się nie zorientowali. Wiesz, Anita jest bardzo miła, jestem pewien, że polubiłabyś ją. Ma niebieskie oczy i jasne włosy, nikt nie uwierzy, że jest Cyganką. Gdybyś poszła z nami, byłoby mi wszystko jedno, czy jądę do Nicei czy do Hiszpanii, czy gdziekolwiek...

Radicz milknie. Chciałby zapytać Lallę o wiele rzeczy, o dziecko, które jest w jej brzuchu, ale nie ośmiela się. Zapalił drugiego papierosa, a od czasu do czasu daje go Lalli, żeby się

zaciągnęła. Oboje patrzą na morze tak piękne, na czarne wysepki jak wieloryby i na statki zabawki, które posuwają się powoli po wodzie pełnej światła. Od czasu do czasu wiatr, wieje tak mocno, jakby chciał przewrócić morze i niebo.

Teraz Lalla ogląda swoje zdjęcia na stronicach magazynów, na okładkach gazet. Patrzy na stosy zdjęć, na odbitki stykowe, na kolorowe makiety, gdzie widać jej twarz prawie naturalnej wielkości. Przegląda czasopisma od końca do początku, trzymając je nieco na ukos i pochylając głowę na bok.

– Podobają ci się? – pyta fotograf z odcieniem niepokoju w głosie, jakby to miało znaczenie.

Ale w niej budzi to śmiech, bezgłośny śmiech, w którym błyszczą białe zęby. Śmieje się z tego wszystkiego, ze zdjęć, z gazet, jakby to był żart, jakby to nie ją było widać na tych kartach papieru. Po pierwsze to nie ona. To Hawa, takie imię sobie nadała, takie podała fotografowi i on tak do niej mówi: tak ją nazwał, kiedy spotkał ją na schodach w dzielnicy Panier i zaprowadził do siebie, do wielkiego, pustego mieszkania na parterze nowego budynku.

Teraz Hawa jest wszędzie, na stronicach magazynów, na stykówkach, na ścianach pokoju. Hawa ubrana na biało z czarnym paskiem w talii, sama pośrodku skalnej przestrzeni, bez cienia; Hawa w czarnym jedwabiu, z apaszką przewiazaną na czole; Hawa stojąca w labiryncie ulic starego miasta: ochra, czerwień, złoto; Hawa nad Morzem Śródziemnym; Hawa pośrodku tłumy na korso Belsunce albo na schodach dworca; Hawa ubrana w strój koloru indygo, bosa na asfalcie placu wielkiego jak pustynia, z sylwetkami zbiorników i dymiących kominów; Hawa, która idzie, tańczy; Hawa, która śpi; Hawa o pięknej twarzy koloru miedzi, o ciele długim i gładkim, które lśni w słońcu; Hawa o spojrzeniu orła, z ciężkimi włosami, które opadają kaskadą na jej ramiona: włosy wygładzone przez wodę jak hełm z galalitu.

Ale kim jest Hawa? Co dzień, kiedy się budzi w wielkim, szarobiałym salonie, gdzie śpi na materacu, na podłodze, idzie po cichu umyć się do łazienki, później wychodzi przez okno i podąża ulicami na los szczęścia, aż nad morze.

Fotograf budzi się, otwiera oczy, ale się nie rusza, zachowuje się tak, jakby niczego nie słyszał, by nie przeszkadzać Hawie. Wie, że jest właśnie taka i nie wolno jej zatrzymywać. Zostawia tylko otwarte okno, żeby mogła wrócić jak kot.

Czasami wraca dopiero nocą. Wślizguje się do mieszkania przez okno. Fotograf słyszy ją; wychodzi z ciemni i siada obok niej w salonie, żeby trochę porozmawiać. Zawsze na jej widok czuje lekkie wzruszenie, gdyż twarz jej jest taka pełna światła i życia, i mruży oczy, bo przychodząc z ciemni, jest oślepiiony. Zawsze mu się wydaje, że ma dużo do powiedzenia, ale kiedy Hawa siedzi przed nim, nie wie już, o czym miał opowiadać. To ona mówi, co widziała, co słyszała na ulicach, i mówiąc, je chleb, który kupiła, owoce, daktyle, które kilogramami znosi do fotografa.

Najbardziej niezwykle są listy: przychodzą ze wszystkich stron, mają na kopercie imię Hawy. Przekazują je redakcje żurnali, czasopism, dopisując nazwisko i adres fotografa. On jest szczęśliwy i jednocześnie niespokojny, otrzymując tyle listów. Hawa prosi, by je czytał, i słucha z głową przechyloną na bok, pijąc miętową herbatę (teraz kuchenka fotografa pełna jest puszek z herbatą granulowaną i jaśminową, a także z miętą). Listy mówią czasami o rzeczach niezwykłych. Bardzo niemądrze piszą dziewczęta, które gdzieś zobaczyły zdjęcie Hawy i piszą tak, jakby ją znały od dawna. Albo listy od chłopców, którzy zakochują się w niej i piszą, że jest piękna jak Nefretete albo jak księżniczka Inków i że chcieliby ją któregoś dnia spotkać.

Lalla śmieje się.

– Kłamcy!

Kiedy fotograf pokazuje jej dopiero co zrobione zdjęcia: Hawa z oczami jak migdały, błyszczącymi niczym drogie kamienie, o skórze koloru bursztynu, pełna błysków światła, o wargach w trochę ironicznym uśmiechu i ostrym profilu; Lalla Hawa znowu się śmieje i powtarza:

– Co za kłamca! Co za kłamca!

Bo uważa, że zdjęcia nie są do niej podobne.

Są również listy poważne, mówiące o kontraktach, pieniądzach, spotkaniach, o pokazach mody. O wszystkim decyduje fotograf, on zajmuje się wszystkim. Dzwoni do krawców, zapisuje w kalendarzu spotkania, podpisuje kontrakty. On wybiera modele, kolory, decyduje o miejscu, w którym robione będą zdjęcia. Później zabiera Hawę czerwonym volkswagen-furgonetką i jadą bardzo daleko, tam, gdzie nie ma już domów, tylko szare wzgórza pokryte kolczastymi krzewami, albo do ujścia wielkiej rzeki, na gładkie bagniste plaże, gdzie niebo i woda są tej samej barwy. Lalla Hawa bardzo lubi podróżować furgonetką fotografa. Patrzy, jak krajobraz przesuwają się za szybami, patrzy na czarną, wijącą się drogę, na domy, na ugory, które znikają po bokach, odchodzą. Ludzie na skraju drogi patrzą obojętnie jak we śnie. Może Lalla Hawa śni snem, w którym nie ma już ani dnia, ani nocy, głodu ani pragnienia, tylko umykanie kredowych krajobrazów, jezyn, skrzyżowań dróg, mijanych miast pełnych ulic, pomników, hoteli.

Fotograf nie przestaje robić zdjęć Hawie. Zmienia aparaty, mierzy światło, naciska wyzwalacz. Twarz Hawy jest wszędzie, wszędzie – w słońcu, jaśniejąca na zimnym niebie albo w sercu nocy, imię jej drży na falach radiowych, w rozmowach telefonicznych. Fotograf sam zamyka się w ciemni przy małej, pomarańczowej lampce i ogląda bez końca twarz, która nabiera kształtu na papierze w kwasowej kąpieli. Najpierw oczy, ogromne plamy, które się pogłębiają, później czarne włosy, zarys warg, kształt nosa, cień pod brodą. Oczy patrzą gdzieś w dal, jak zawsze u Lalli Hawy, w dal, na drugą stronę świata i serce fotografa zaczyna bić szybciej, jak wtedy, gdy po raz pierwszy uchwycił blask jej spojrzenia w restauracji Galeres i gdy odnalazł ją później, przypadkiem, na schodach starego miasta.

Daje mu swój kształt, obraz, nic więcej. Czasami dotyk dłoni albo iskrę elektryczną, kiedy jej włosy dotykają jego ciała, a także swój zapach, trochę cierpki, trochę ostry jak zapach owoców cytrusowych, i dźwięk swego głosu, jasny śmiech. Ale kim ona jest? Może już tylko tematem snu, jak śni w ciemni z aparatami z mieszkiem i soczewkami, które powiększają cień jej oczu, zarys uśmiechu, sen, który śni razem z innymi mężczyznami na stronicach gazet i na łniących zdjęciach magazynów.

Zawozi Hawę samolotem do Paryża, wolno jadą taksówką pod szarym niebem, wzdłuż Sekwany, na służbowe spotkanie. Robi zdjęcia na brzegach błotnistej rzeki, na wielkich placach, na ulicach bez końca. Fotografuje niestrudzenie piękną twarz koloru miedzi, po której światło spływa jak woda. Hawa w kombinezonie z czarnej satyny, Hawa w granatowym, nieprzemakalnym płaszczu z włosami splecionymi w gruby warkocz. Za każdym razem, kiedy spojrzeniem napotyka wzrok Hawy, czuje drżenie serca i dlatego robiąc zdjęcia, coraz to więcej zdjęć, spieszy się. Robi krok do przodu, cofa się, zmienia aparaty, przykłęka na ziemi. Lalla śmieje się z niego:

– Można by powiedzieć, że tańczysz.

Chciałby się rozgniewać, ale to niemożliwe. Wyciera czoło mokre od potu. Później nagle Lalla znika z pola widzenia. Zmęczyła się pozowaniem. Odchodzi. On, by nie odczuwać pustki, będzie dalej na nią patrzył godzinami, nocą, w zaimprovizowanej ciemni w łazience hotelowego pokoju, czekając będzie liczył uderzenia serca, aż jej piękna twarz, a przede wszystkim spojrzenie, głębokie światło tryskające z migdałowych oczu, światło koloru cienia, ukaże się w kuwecie z wywoływaczem. Z daleka wygląda to tak, jakby ktoś inny, nieznan, spoglądał przez te źrenice, osądzał w milczeniu. Następnie ukazuje się kolejno, powoli, podobne do nabierającej kształtu chmury, czoło, linia wystających kości policzkowych,

szczegóły miedzianej skóry, zniszczonej przez słońce i wiatr. Jest w niej coś tajemniczego, coś, co przypadkiem ukazuje się na papierze, co można zobaczyć, ale nie osiąść, nawet gdyby zdjęcia robione były w każdej sekundzie jej istnienia, aż do śmierci. Jest również uśmiech, bardzo łagodny, trochę ironiczny, pogłębiający kąciki warg, zwężający migdałowe oczy. Wszystko to fotograf chciałby uchwycić aparatem, a później odtworzyć w ciemni. Czasami ma wrażenie, że wszystko pojawi się naprawdę, uśmiech, światło oczu, piękno rysów. Ale trwa to tylko krótką chwilę. Na kartce papieru zanurzonej w wywoływaczu rysunek porusza się, zmienia, zaciera, pokrywa cieniem i obraz jakby przesłaniał żyjącą osobę.

A może tkwi to w czym innym, nie w obrazie? Może w chodzie, w ruchu? Fotograf patrzy na gesty Lalli Hawy, na to, jak siada, jak porusza rękami, wnętrzem dłoni zwróconym do góry, na ich doskonałą linię od łokcia po czubki palców. Patrzy na kształt jej szyi, sprężystych pleców, szerokich stóp i dłoni, ramion, na ciężkie, czarne włosy z popielatymi błyskami, które grubymi lokami opadają na ramiona. Patrzy na Lallę Hawę i chwilami jakby dostrzega inną twarz, twarz młodej kobiety, inne ciało za jej ciałem; inna postać, ledwie zauważalna, lekka, ulotna ukazuje się w głębi, później znika, pozostawiając niepokojące wspomnienie. Kim ona jest? Ta, którą on nazywa Hawa, kim jest, jakie imię nosi naprawdę?

Czasami Hawa patrzy na niego albo przypatruje się ludziom w restauracjach, w poczekalniach lotnisk, w biurach, patrzy tak, jakby jej oczy miały ich po prostu zetrzeć, obrócić w nicłość, do której powinni należeć.

Kiedy spogląda tym dziwnym spojrzeniem, fotografa przenika dreszcz, przenika weń jakby zimno. Nie wie, co to jest. Może w Hawie żyje inna istota, która ogląda i osądza świat jej oczyma, jakby w tej chwili wszystko – olbrzymie miasto, rzeka, place, ulice, wszystko – zniknęło i pozwalało oglądać pustynną przestrzeń, piasek, niebo, wiatr.

Więc fotograf prowadzi Lallę do miejsc przypominających pustynię: wielkie kamieniste równiny, bagna, esplanady, puste przestrzenie. Dla niego Lalla kroczy w blasku słońca, jej spojrzenie przeczesuje horyzont jak spojrzenie drapieżnych ptaków poszukujących cienia, podczas gdy fotograf robi zdjęcia.

Czego ona szuka? Czego chce od życia? Fotograf patrzy na jej oczy, twarz, czuje głębię niepokoju jej blasku. Widać również nieufność, instynkt ucieczki, dziwny błysk, jaki pojawia się czasami w oczach dzikich zwierząt. Powiedziała mu o tym któregoś dnia, kiedy się tego spodziewał; mówiła spokojnie o dziecku, które nosi w sobie, które zaokrągliła jej brzuch i uwypukla piersi.

– Wiesz, któregoś dnia odejdę, odejdę i nie próbuj mnie zatrzymywać, bo odejdę na zawsze...

Nie chce pieniędzy, to jej nie interesuje. Za każdym razem, kiedy fotograf wręcza jej pieniądze, zapłatę za godziny pozowania, Hawa bierze banknoty, wybiera jeden lub dwa i resztę mu zwraca. Czasami nawet oddaje mu pieniądze, garście banknotów i drobnych, jakie wyjmuje z kieszeni spodni, jakby nie chciała nic zatrzymać dla siebie.

Czasami przebiega ulicami miasta w poszukiwaniu żebraków i daje im pieniądze, garście drobnych, dokładnie przykładając dłoń do ich ręki, żeby nic nie zgubili. Rozdaje pieniądze Cygankom o zasłoniętych twarzach, które boso błądzą wielkimi ulicami, i starym, na czarno ubranym kobietom siedzącym przy wejściu na pocztę; kloszardom wyciągniętym na ławkach skwerów i starcom grzebiącym w śmietnikach bogaczy, kiedy zapada noc. Wszyscy oni dobrze ją znają i kiedy widzą, jak nadchodzi, patrzą na nią błyszczącymi oczami. Kloszardzi myślą, że jest prostytutką, bo tylko one dają im pieniądze, i żartują sobie, i śmieją się głośno, ale mimo wszystko są zadowoleni, kiedy ją widzą.

Teraz wszędzie mówi się o Hawie. W Paryżu odwiedzają ją dziennikarze, pewnego wieczoru jakaś kobieta zadaje jej pytania w hotelowym hallu:

– Mówi się o pani, mówi się o tajemnicy Hawy. Kim jest Hawa?

– Nie nazywam się Hawa, kiedy się urodziłam, nie miałam imienia, więc nazywałam się Bla Esm, to znaczy: „Bez imienia”.

– A więc dlaczego Hawa?

– To imię mojej matki, a ja nazywam się Hawa, córka Hawy, to wszystko.

– Z jakiego kraju pani przyjechała?

– Kraj, z którego pochodzę, nie ma imienia, jak ja.

– Gdzie to jest?

– Tam, gdzie nie ma już niczego i nikogo.

– Dlaczego jest pani tutaj?

– Lubię podróżować.

– Co pani lubi w życiu?

– Życie.

– A do jedzenia?

– Owoce.

– Pani ulubiony kolor?

– Niebieski.

– Pani ulubiony kamień?

– Kamyk przydrożny.

– A w muzyce?

– Kołysanki.

– Mówi się, że pisze pani wiersze?

– Nie umiem pisać.

– A film? Czy ma pani jakieś plany?

– Nie.

– Czym dla pani jest miłość?

Ale nagle Lalla Hawa ma już tego dosyć, odchodzi bardzo szybko, nie odwracając się, popycha drzwi hotelu i znika w tłumie.

Teraz na ulicy ludzie ją rozpoznają, dziewczęta podsuwając jej zdjęcia, proszą o autograf. Ale ponieważ Hawa nie umie pisać, rysuje tylko znak swego plemienia, jaki odciska się na skórze wielbłądów i kóz, i który przypomina trochę serce:

Tyle tu wszędzie ludzi, na ulicach, w sklepach, na drogach. Tyle ludzi się popycha, patrzy na siebie. Ale kiedy spojrzenie Lalli Hawy spoczywa na nich, wtedy jakby wszystko zniknęło, stawało się nieme i puste.

Lalla Hawa chce szybko przejść przez te miejsca, żeby wiedzieć, co jest dalej. Którejś nocy fotograf zaprowadził ją na dancinę w Pałace, Paris-Palace, tak to się nazywa. Do tańca założyła czarną suknię z dekoltem na plecach, bo fotograf chciał robić zdjęcia.

Tam również jest takie miejsce, które przypomina wielkie, puste place, gdzie są tylko sylwetki domów i karoserie stojących w słońcu aut. To miejsce straszne i puste, gdzie mężczyźni i kobiety cisną się i stroją miny w dusznym mroku ze światełkami, z błyskami elektrycznego światła, w chmurach papierosowego dymu, przy grzmotach, które uderzają, sprawiając, że ziemia i ściany drżą.

Lalla Hawa siada w kącie na schodach i patrzy na tańczących, na ich twarze lśniące od potu, na ich stroje pełne iskier. W głębi sali, jakby w grotcie, grają muzycy: poruszają gitarami, uderzają w bębny, ale melodia zdaje się dochodzić skądinąd, podobna do krzyków olbrzymów.

Później Lalla tańczy na parkiecie wśród ludzi. Tańczy tak, jak nauczyła się kiedyś, sama pośród innych, aby ukryć strach, ponieważ dużo tu hałasu, za dużo światła. Fotograf siedzi na schodku, bez ruchu, nie myśląc nawet o robieniu zdjęć. Na początku ludzie nie zwracają uwagi na Hawę, bo światło ich oślepia. Później jakby poczuli, że dzieje się coś niezwykłego, czego nie przewidzieli. Odsuwają się, kolejno przerywają taniec, aby patrzeć na Lallę Hawę.

W kręgu światła jest zupełnie sama, nie widzi nikogo. Tańczy w wolnym rytmie muzyki elektrycznych instrumentów, muzyka jakby była we wnętrzu jej ciała. Światło lśni na czarnym materiale sukni, na skórze koloru miedzi, we włosach. W ciemności nie widać jej oczu, ale spojrzenie jej sięga ludzi, wypełnia salę całą swą siłą, całym pięknem. Hawa tańczy boso na gładkim parkiecie, jej smukłe stopy uderzają w rytm bębnów, a może to raczej ona dyktuje palcami i piętami rytm muzyki. Faluje jej giętkie ciało, biodra, ramiona i ręce lekko odchylone jak skrzydła. Światło reflektorów odbija się od niej, otacza ją, wiruje wokół jej kroków. Jest zupełnie sama w wielkiej sali, sama pośrodku esplanady, sama jak kiedyś na kamiennej równinie, a muzyka elektryczna gra tylko dla niej w powolnym i ciężkim rytmie. Może oni wszyscy zniknęli, pożarci? Oni, to znaczy ci, którzy byli wokół niej, mężczyźni, kobiety, ulotne odbicia oślepiających lusterek. Teraz już ich nie widzi, nie słyszy. Zniknął nawet fotograf siedzący na schodku. Upodobnili się do skał, do wapiennych bloków. Ale ona, ona może się poruszać, nareszcie jest wolna, wiruje z rozpostartymi ramionami, a jej stopy uderzają o ziemię czubkiem palców, później piętą, jak na promieniach wielkiego koła, którego oś wznosi się aż do nocy.

Tańczy, by odejść, by stać się niewidzialną, by wzbić się jak ptak ku chmurom. Pod bosymi stopami plastikowa ziemia w kolorze piasku zaczyna palić, a powietrze wiruje wokół ciała z szybkością wiatru. W upojeniu tańcem światło reflektorów, zimne i okrutne, zmienia się w piękne światło słoneczne, w którym ziemia, skały i nawet niebo są białe. Powolna i ciężka muzyka elektrycznych gitar, organów i bębnów przenika w nią, ale Lalla chyba już tego nie słyszy. Muzyka jest tak powolna i głęboka, że pokrywa jej skórę koloru miedzi, włosy, oczy. Upojenie tańcem udziela się wszystkim wokół; mężczyźni i kobiety, którzy przystanęli na chwilę, zaczynają znów tańczyć, naśladowując rytm ciała Hawy, uderzają o ziemię palcami stóp i piętami. Nikt nic nie mówi, nikt nie oddycha. Czekają w upojeniu, aż ruch tańca dosięgnie ich, porwie, podobny do silnych podmuchów wiejących nad morzem. Ciężkie włosy Hawy unoszą się i dotykają rytmicznie ramion, jej dłonie o rozstawionych palcach drżą. Bose stopy mężczyzn i kobiet uderzają coraz silniej o parkiet, podczas gdy rytm muzyki staje się coraz szybszy. W wielkiej sali nie ma już ścian, lusterek, blasków. Znikły unicestwione przez szal tańca, wywrócone. Nie ma już miast bez nadziei, nie ma miast przepaści, miast żebraków i prostytutek, gdzie ulice są pułapkami, a domy grobami. Tego wszystkiego już nie ma. Pełne upojenia spojrzenie tancerzy starło wszelkie przeszkody, dawne kłamstwa. Teraz wokół Lalli Hawy jest bezkresna przestrzeń kurzu i białych kamieni, żywa przestrzeń piasku i soli, fale i wydmy. Jak kiedyś na końcu koziej ścieżki, gdzie wszystko zdawało się mieć kres, niczym na końcu świata, u stóp nieba, na progu wiatru. Jak wtedy, gdy po raz pierwszy poczuła spojrzenie Es Sera, którego nazwała Tajemnicą. Wówczas, w samym środku uniesienia, wirując coraz szybciej, czuje znów na sobie, po raz pierwszy od dawna, spojrzenie, które uważnie się w nią wpatruje. Pośrodku ogromnej i nagiej przestrzeni, daleko od tańczących ludzi, daleko od zamglonych miast, przenika ją spojrzenie Tajemnicy, sięga jej serca. Nagle światło zaczyna palić, jest nie do zniesienia jak biały i gorący wybuch; jego promienie obejmują całą salę niczym błyskawica, która stłuc musi wszystkie żarówki, neonowe tuby, która na gitarach razi gromem muzyków i rozsadza wszystkie głośniki.

Powoli, wciąż wirując, Lalla upada, ześlizguje się na lakierowaną podłogę, podobna do połamanego manekina. Przez długą chwilę jest sama, leży z twarzą schowaną we włosy, póki nie podejździe do niej fotograf, podczas gdy tancerze odsuwają się, nie pojmując jeszcze tego, co im się przydarzyło.

Przyszła śmierć. Zaczęła od kóz, owiec i koni, które zostawały w korycie rzeki z rozdętym brzuchem i sztywnymi nogami. Później przyszła kolej na dzieci i starców, którzy majaczyli i nie mogli już wstać. Umarło tak wielu, że trzeba było zrobić dla nich cmentarz w dolnym

biegu rzeki, na wzgórzu z czerwonego pyłu. Zabierano ich o świcie, bez ceremonii, zawiniętych w stare płótna, grzebano w pośpiesznie wykopanym dołku, na którym ustawiano później kilka kamieni, żeby dzikie psy ich nie odgrzebały. Równocześnie ze śmiercią pojawił się wiatr *szergui*. Dmuchał porywami, spowijając ludzi palącymi fałdami, zbierając całą wilgoć ziemi. Każdego dnia Nur błędził korytem rzeki z innymi dziećmi w poszukiwaniu skorupiaków. Zastawiał również sidła ze splecionej trawy i gałązek na króliki i skoczki, ale często uprzedzały go lisy.

Głód drażył ludzi i uśmiercał dzieci. Od dnia, kiedy przybyli pod czerwone miasto, nie otrzymali żadnej żywności, a zapasy kończyły się. Każdego dnia szejk wysyłał wojowników pod mury miasta, żeby prosili o żywność i ziemię dla swego ludu. Ale notable zawsze przyrzekali i nie dawali niczego. Mówili, że sami są biedni. Nie było deszczów, susza utwardziła ziemię, a zapasy zboża wyczerpały się. Czasami sam wielki szejk i jego synowie jechali prosić o ziemię, nasiona, o część palmowych lasów. Ale notable mówili, że nawet dla nich ziemi nie starcza; żyzne tereny, od źródeł rzeki do morza, były zajęte, a chrześcijańscy żołnierze przyjeżdżają często do miasta Agadir i biorą dla siebie największą część zbiorów.

Za każdym razem Ma el Ainin słuchał odpowiedzi, nic nie mówiąc, później wracał do swego namiotu w korycie rzeki. Ale teraz w jego sercu nie narastał już gniew ani niecierpliwość. Od nadejścia śmierci i palącego wiatru pustyni każdego dnia dzielił ze swoim ludem rozpacz... Mężczyźni błędzący wzdłuż pustych brzegów rzeki albo przykucnięci w cieniu obozowiska jakby widzieli przed sobą nieuchronność zagłady. Te czerwone ziemie, wyschnięte pola, wąskie tarasy obsadzone oliwkami, te ciemne kępy palm – wszystko było im obce, dalekie, podobne do złudzenia.

Mimo rozpaczki Larhdaf i Saadbu chcieli atakować miasto, ale szejk nie pozwalał na gwałt. Błękitni ludzie pustyni byli teraz zbyt zmęczeni, od tak dawna wędrowali i pościli. Większość wojowników miała gorączkę, była chora na szkorbut, ich nogi pokrywały jątrzące się rany. Nawet broń nie nadawała się do użytku.

Mieszkańcy miasta obawiali się ludzi pustyni i bramy pozostawały zamknięte przez cały dzień. Tych, którzy spróbowali zbliżyć się do murów, przywitały salwy wystrzałów: to było ostrzeżenie.

Więc kiedy Ma el Ainin zrozumiał, że nie można już mieć nadziei, że wszyscy umrą kolejno w rozpalonym korycie rzeki, pod murami bezlitosnego miasta, dał sygnał odjazdu na północ. Tym razem nie było modlitwy, śpiewów ani tańca. Jedni po drugich, powoli jak chore zwierzęta, które rozprostowują nogi i podnoszą się chwiejnie, błękitni ludzie opuścili koryto rzeki, rozpoczęli wędrówkę w nieznaną.

Teraz grupa wojowników szejka inaczej już wyglądała. Szli razem z mężczyznami i zwierzętami jak oni w postrzępionych ubraniach, ze spojrzeniem gorączkowym i pustym. Może przestali wierzyć w słuszność tego długiego marszu, może szli dalej tylko z nawyku, u kresu sił, gotowi upaść w każdej chwili. Twarze pochylonych kobiet zakrywały niebieskie zasłony, wiele z nich nie miało już dzieci, które zostały w czerwonej ziemi, w dolinie Sus. Wreszcie na końcu karawany ciągnącej się przez całą dolinę wlokły się dzieci, starcy, ranni wojownicy, wszyscy, którzy szli powoli. Nur był pośród nich, prowadząc ślepego wojownika. Nie wiedział już nawet, gdzie jest jego rodzina, zagubiona w chmurze pyłu. Tylko kilku wojowników jechało jeszcze na koniach. Był z nimi wielki szejk na swoim wielbłądzie owinięty płaszczem.

Nikt nic nie mówił. Każdy szedł dla siebie, z poczerwiałą twarzą, rozgorączkowanymi oczami patrząc ciągle na czerwoną ziemię wzgórz, na zachód, by znaleźć drogę przez góry aż do świętego miasta Marakesz. Wędrowali w świetle, które biło w głowę, w szyję, sprawiało ból w członkach, które paliło aż do wnętrza ciała. Nikt nie słyszał już wiatru ani odgłosu kroków mężczyzn, które wyrównywały pustynię. Każdy słyszał jedynie bicie własnego serca, drżenie nerwów, cierpienie, które gwizdza i zgrzyta w uszach.

Nur nie czuł już ręki ślepego wojownika uczeplonej jego ramienia. Szedł przed siebie, nie wiedząc czemu, nie mając nadziei, że kiedyś przystanie. Może w dniu, w którym ojciec i matka postanowili opuścić obozowiska południa, zostali skazani na błąkanie się aż do kresu istnienia, w tym niemającym końca marszu do studni, wzdłuż wyschniętych dolin. Ale czy w ogóle są na świecie ziemie inne od tych niezmiernych przestrzeni, które w pyłe łączą się z niebem, inne od tych gór bez cienia, gdzie pełno ostrych kamieni, rzek bez wody, kolczastych krzewów, z których każdy może przez najmniejszą ranę zadać śmierć? Codziennie, w dali, na zboczu wzgórza, blisko studni, mężczyźni widzieli nowe domy, twierdze z czerwonej gliny, otoczone polami i lasami palmowymi. Ale widzieli je jak miraż drżące w przegrzanym powietrzu, odległe, niedostępne. Mieszkańcy miast nie pokazywali się. Uciekali w góry albo chowali się za murami, gotowi do zwycięskiej walki z błękitnymi ludźmi pustyni.

Na czele karawany synowie Ma el Ainina na koniach pokazywali wąskie ujście doliny, pośród gór.

– Droga! Droga północna!

Wiele dni wędrowali przez góry. Pałący wiatr wiał w wąwozach. Ogromne błękitne niebo rozpościerało się nad czerwonymi skałami. Nie było tu nikogo, ani człowieka, ani zwierzęcia, tylko czasami ślad węża na piasku albo bardzo wysoko na niebie cień sępa. Posuwano się, nie szukając życia, nie widząc znaku nadziei. Mężczyźni i kobiety wmieszani w stado zwierząt szli jak ślepcy, jeden za drugim, stawiając stopy na śladach poprzednika. Kto ich prowadził? Droga wiała się wzdłuż wąwozów, przechodziła przez uskoki, łączyła z korytami wyschłych potoków.

Wreszcie dotarli na brzeg *uedu*⁹ Isen, wezbranego od topniejących śniegów. Woda, piękna i czysta, toczyła się skocznie między wyschniętymi brzegami. Ale ludzie patrzyli na nią bez wzruszenia. Nie należała do nich, nie mogli jej zatrzymać. Przez wiele dni pozostali na brzegach rzeki, podczas gdy wojownicy wielkiego szejka z Larhdafem i Saadbu szli w górę szlakiem Sziszawa.

– Czy przybyliśmy, czy tu jest nasza ziemia? – pytał ciągle ślepy wojownik.

Zimna woda rzeki spływała kaskadami po skałach i droga stawała się coraz trudniejsza. Później karawana dotarła do wioski *szlehow* w głębi doliny. Tu czekali na nich wojownicy szejka. Rozstawili wielki namiot, a szejkowie z gór poświęcili barany, żeby przyjąć Ma el Ainina. Wioska Aglagla leżała u stóp wysokiej góry. Ludzie pustyni zajęli miejsca blisko murów wioski, nie prosząc o nic. Wieczorem dzieci z wioski przyniosły pieczone mięso i zsiadłe mleko i każdy mógł nasycić głód, czego nie robił od tak dawna. Później rozniecili wielkie ognisko z cedrowego drewna, bo noc dokuczała chłodem.

Nur patrzył długo na taniec płomieni w bardzo czarnej nocy. Rozległy się również śpiewy, dziwna muzyka, jakiej od dawna nie słyszał, smutna i powolna, której towarzyszyły dźwięki fletu. Mężczyźni i kobiety ze wsi prosili Ma el Ainina o błogosławieństwo i żeby wyleczył ich z różnych chorób.

Teraz podróżni szli w stronę drugiego zbocza góry, w kierunku świętego miasta. Może tam ludzie pustyni znajdą wreszcie kres cierpienia, obiecany przez błękitnych wojowników Ma el Ainina, ponieważ właśnie w Marakeszu Mulaj Hafid, dowódca wiernych, przed czterema laty przyjął od Ma el Ainina przysięgę na wierność. Właśnie tam król nadał szejkowi ziemię, żeby mógł zbudować na niej dom nauki Gudfia. A później w świętym mieście najstarszy syn Ma el Ainina czekał na swego ojca, by przyłączyć się do świętej wojny; i wszyscy czcili Mulaja Hiba, którego nazywano Dehiba, Złota Parcela, i którego nazywano Mulaj Sebaa, Lew, bo jego wybrali na króla ziem południa.

Wieczorem, kiedy karawana stawała i zapalały się ogniska, Nur prowadził ślepego wojownika tam, gdzie siedzieli żołnierze Ma el Ainina, i razem słuchali opowieści o tym, co

9 *ued* (arab.) - okresowa rzeka w krajach pustynnych (przyp. tłum.).

zdarzyło się wówczas, gdy wielki szejik i jego synowie przybyli razem z wojownikami pustyni, wszyscy na szybkich wielbłądach, i jak weszli do świętego miasta i zostali przyjęci przez króla razem z dwoma synami Ma el Ainina.

O mulaju Sebaa, Lwie, i Mohammedzie Esz Szems, którego nazywano Słońce. Opowiadali również o darach, jakie ofiarował król, aby szejik mógł wybudować mury miasta Smara. I o podróży, jaką odbyli ze stadami wielbłądów tak licznymi, że pokrywały całą równinę, podczas gdy kobiety, dzieci i zapasy żywności załadowano na pokład wielkiego parowego statku, który nazywał się Bachir i żeglował przez wiele dni i wiele nocy z Mogadoru do Marsa Tarfaja.

Opowiadali również śpiewnymi głosami legendę Ma el Ainina i brzmiało to jak opowiadanie snu, który przyśnił się kiedyś. Głos wojowników mieszał się z trzaskiem płomieni i Nur poprzez spirale dymu widział chwilami lekką sylwetkę starego człowieka podobną do płomienia pośrodku obozowiska.

– Wielki szejik urodził się daleko na południu, w kraju, który nazywają Hodh, a jego ojciec był synem Mulaja Idrisa, a matka była z linii Proroka. Kiedy wielki szejik się urodził, ojciec nazwał go Ahmed, ale matka nazwała go Ma el Ainin, Woda Oczu, bo w chwili jego narodzin płakała z radości...

W ciemności nocy Nur słuchał z głową opartą o kamień, u boku ślepego wojownika.

– Kiedy miał siedem lat, odmawiał Koran, nie robiąc żadnego błędu. Wtedy jego ojciec, Mohammed el Fadel, wysłał go do wielkiego świętego miasta Mekki i w drodze chłopiec czynił cuda... Umiał leczyć chorych, a tym, którzy prosili go o wodę, odpowiadał: „Niebo ześle ci wodę” i zaraz potem wielki deszcz płynął po ziemi...

Ślepy wojownik kiwał głową jakby w rytm słów i Nur powoli zapadał w sen.

– Wtedy przybyli ludzie ze wszystkich zakątków pustyni, żeby obejrzyć dziecko, które umiało czynić cuda, a dziecko, syn wielkiego Mohammeda Fadela ben Maminna, kładło odrobinę śliny na oczy chorego, dmuchało na jego wargi i wkrótce potem chory wstawał i całował dziecko w rękę, bo był wyleczony...

Nur czuł, jak ciało ślepego wojownika drży przy nim, a głowa kołysze się wolno na ramionach. Falowanie płomieni i dymu zlewało się z monotonnym głosem opowiadającego; nawet ziemia zdawała się poruszać w rytm głosu.

– Wtedy wielki szejik zamieszkał w świętym mieście Szengetti przy studni Nazaran blisko Ed Dachla, by udzielać nauk, bo znał naukę gwiazd i liczb, i głosić słowo Boże. Wtedy ludzie pustyni stali się jego uczniami i nazywano ich Berik Al-lah – ci, którzy otrzymali błogosławieństwo od Boga...

Głos wojownika dalej śpiewał nocą przy płomieniach wznoszących się, tańczących z dymem, który okrywał ludzi i przyprawiał ich o kaszel. Nur słuchał opowiadania o cudach, o źródłach tryskających na pustyni, o deszczach, które zalewały wyschnięte pola, i o słowach wielkiego szejika, na placu Szengetti albo przed jego domem w Nazam. Słuchał o początku długiego marszu Ma el Ainina przez pustynię aż do *smara*, ziemi krzewów, gdzie wielki szejik założył miasto. Wysłuchał legendy o tym, jak walczył przeciw Hiszpanom w El Ajun, w Ifni, w Tiznit, razem ze swoimi synami: Rebbo, Taalebem, Larhdafem, Esz Szemsem i tym, którego nazywano Mulaj Sebaa, Lew...

W ten sposób co wieczór ten sam głos opowiadał dalej legendę, właśnie tak, śpiewając, i Nur zapominał, gdzie się znajduje, jakby błękitny człowiek opowiadał jego własną historię.

Po drugiej stronie gór weszli na wielką, czerwoną równinę i wędrowali na północ od wsi do wsi. W każdej wsi mężczyźni o gorączkowym spojrzeniu, kobiety, dzieci przyłączali się do karawany i zajmowali miejsca tych, którzy zmarli. Wielki szejik jechał przodem na białym wielbłądzie, w otoczeniu synów, wojowników, a Nur widział w dali obłok kurzu, który zdawał się ich prowadzić.

Kiedy przybyli przed wielkie miasto Marakesz, nie ośmielili się do niego zbliżyć i rozłożyli obozowisko nad wyschniętą rzeką na południu. Przez dwa dni błękitni ludzie czekali, prawie nie ruszając się, pod osłoną namiotów i szałasów. Gorący letni wiatr okrywał ich kurzem, ale czekali, wszystkie siły przeznaczyli na czekanie.

Wreszcie trzeciego dnia synowie Ma el Ainina powrócili. Obok nich na białym koniu przyjechał mężczyzna wysokiego wzrostu, ubrany jak wojownicy północy, a jego imię obiegało wszystkie wargi. Mulaj Hiba, ten, którego nazywają Mulaj Dehiba, Złota Parcela, Mulaj Sebaa, Lew.

Kiedy ślepy wojownik usłyszał to imię, zaczął drżeć i łzy potoczyły się z jego wypalonych oczu. Wybiegł prosto przed siebie z rozłożonymi ramionami, wydając długi krzyk, rodzaj przenikliwego jęku, który rozdzierał uszy.

Nur usiłował go pochwycić, ale ślepiec biegł, potykając się o kamienie, chwiejąc się na pokrytej pyłem ziemi. Ludzie pustyni rozstępowali się przed nim, a kilku nawet przeraziło się i odwróciło spojrzenie, bo sądzili, że ślepiec jest opętany przez demona.

Ślepego wojownika przepełniała radość i nadludzkie cierpienie. Kilka razy padał na ziemię, potykając się o korzeń lub kamień, ale za każdym razem wstawał i biegł dalej w kierunku miejsca, w którym znajdowali się Ma el Ainin i Mulaj Hiba, choć ich nie widział. Wreszcie Nur pochwycił go i ujął za ramię, ale mężczyzna biegł dalej, ciągnąc za sobą Nura. Zdązał prosto przed siebie, jakby widział Ma el Ainina i jego syna, nieomylnie posuwał się w ich stronę. Wtedy wojownicy szejka przerazili się, chwycili za karabiny, by zagrozić ślepcowi drogę. Ale szejk powiedział:

– Pozwólcie mu podejść.

Później zsiadł z wielbłąda i zbliżył się do ślepego wojownika.

– Czego chcesz?

Ślepiec rzucił się na ziemię z ramionami wyciągniętymi do przodu, a szloch wstrząsał jego ciałem, dławił go. Z gardła wydobywał się dalej jedynie długi, przenikliwy jęk, słabszy teraz i zdyszany jak skarga. Wtedy odezwał się Nur:

– Zwróć mu wzrok, wielki królu.

Ma el Ainin patrzył przez długą chwilę na człowieka leżącego na ziemi, na jego ciało wstrząsane szlochem, na ubranie w strzępach, na stopy i ręce pokaleczone w drodze. Nic nie mówiąc, klęknął obok ślepca, położył rękę na jego szyi. Błękitni ludzie i synowie szejka stali. Cisza panowała w tej chwili tak wielka, że Nur poczuł zawrót głowy. Dziwna, nieznana siła biła z pokrytej pyłem ziemi, tworzyła wir wokół ludzi. Może to światło zachodu, a może siła spojrzenia, które zastygło w tym miejscu, próbowały wydostać się stąd jak uwięziona woda. Ślepy wojownik powoli wstał, twarz jego ukazała się w świetle, pobrudzona piaskiem i wodą łez. Skrawkiem haiku w kolorze nieba Ma el Ainin otarł twarz mężczyzny. Później przeciągnął dłonią po jego czole, po spalonych powiekach, jakby chciał coś zetrzeć. Czubkami palców zmoczonymi w ślinie przetarł powieki ślepca i bez słowa podmuchał łagodnie na jego twarz. Cisza trwała tak długo, że Nur nie pamiętał już tego, co było przedtem i co sam powiedział. Klęcząc w piasku obok szejka, spoglądał tylko na twarz ślepego wojownika, na której zdawało się pojawiać nowe światło. Mężczyzna już nie jęczał. Tkwił nieruchomy przed szejkiem z rozpostartymi ramionami, z szeroko otwartymi chorymi oczami, jakby powoli upajał się spojrzeniem szejka. Później przybyli synowie Ma el Ainina, przybliżył się również Mulaj Hiba; pomogli staremu człowiekowi wstać. Bardzo łagodnie Nur wziął pod ramię wojownika i podniósł go. Mężczyzna szedł wsparty na ramieniu chłopca, a światło zachodu lśniło na jego twarzy jak złoty kurz. Nie mówił. Posuwał się bardzo powoli, jak człowiek, który przeszedł długą chorobę, stawiając stopy płasko na kamienistej ziemi.

Szedł chwiejnie, ale jego ramiona nie były już rozpostarte i w ciele nie było cierpienia. Ludzie pustyni stali nieruchomo i w milczeniu patrzyli, jak idzie ku drugiemu krańcowi równiny. Nie cierpiał już, a twarz jego była spokojna i łagodna, spojrzenie pełne światła

złocistego słońca, które dotykało horyzontu. Na ramieniu Nura jego dłoń stała się lekka jak dłoń człowieka, który wie, dokąd podąża.

Ued Tadla, 18 czerwca 1910

Żołnierze opuścili Zettat i Ben Ahmed przed świtem. Kolumną, która wyruszyła z Ben Ahmed – dwa tysiące piechurów uzbrojonych w karabiny Lebel – dowodził generał Moinier. Posuwali się powoli po spalonej równinie w kierunku rzeki Tadla. Na czele kolumny jechał generał Moinier, dwóch francuskich oficerów i cywilny obserwator. Towarzyszył im, na koniu jak oficerowie, przewodnik mauretański ubrany w strój wojowników południa.

Tego samego dnia inna kolumna, licząca tylko pięciuset ludzi, opuściła miasto Zettat, aby okrążyć buntowników Ma el Ainina w drodze na północy.

Przed żołnierzami rozciągała się jak okiem sięgnąć naga ziemia koloru ochry, czerwonoszara, lśniąca pod błękitnym niebem. Upalny, letni wiatr wiał nad ziemią, wzbijał kurz, jak mgła zasłaniał światło.

Nikt się nie odzywał. Oficerowie spinali konie ostrogami, starając się wysunąć bardziej naprzód, by wydostać się z chmury pyłu. Oczy badały horyzont, wypatrując wody, osiedli zbudowanych z gliny, wroga.

Generał Moinier od tak dawna czekał na tę chwilę. Ilekroć mówiono o południu, o pustyni, myślał o nim, o Ma el Aininie, nieprzejednanym fanatyku, człowieku, który przysiągł wypędzić wszystkich chrześcijan z ziemi pustynnej; o nim, przywódcy buntowników, mordercy gubernatora Coppelani.

– To nic poważnego – mówiono w sztabie w Casablance, w Fort-Trinquet, w Fort-Gouraud. – Fanatyk, rodzaj czarownika, zaklinacz deszczu, który pociągnął za sobą wszystkich obszarpańców z Dra, z Tinduf, wszystkich czarnych z Mauretanii.

Ale starzec z pustyni był nieuchwytny. Widziano go na północy, blisko pierwszych posterunków kontrolnych. Kiedy wyruszano tam, znikał. Później znów mówiono, że jest tym razem na wybrzeżu, w Rio de Oro, w Ifni. Oczywiście sprzymierzywszy się z Hiszpanami, miał wszystkie atuty po swojej stronie. Co oni tam robili w El Ajunie, w Tarfaj, na przylądku Juby? Po tej wyprawie stary szejek, szczwany jak lis, wracał z wojownikami na swoje terytorium, tam, na południe od Dra, do Sagiet el Hamra, do fortecy Smara. Niemożliwością byłoby wypędzić go stamtąd. A poza tym istniała tajemnica, przesady. Ilu ludzi mogło przejść przez ten region?

Jadąc konno obok oficerów, obserwator wspominał podróż Kamila Douls w tysiąc osiemset osiemdziesiątym siódmym roku i jego relację ze spotkania z Ma el Aininem przed pałacem w Smarze: ubrany w wielki haik koloru nieba, w wysokim, białym turbanie na głowie, szejek podszedł do niego i długo mu się przyglądał. Douls był więźniem Maurów, ubranie miał w strzępach, twarz naznaczoną znużeniem i słońcem, ale Ma el Ainin patrzył na niego bez nienawiści, bez pogardy. To przeciągłe spojrzenie, milczenie, które jeszcze trwało, przyprowadziły obserwatora o dreszcze, ilekroć myślał o Ma el Aininie. Ale chyba on jeden to odczuwał, czytając kiedyś relację Doulsa. „Fanatyk”, mówili oficerowie, „dziki”, „dzikus, który myśli tylko o tym, żeby grabić i zabijać, spalić i powyrzynać wszystkie prowincje południa, jak w tysiąc dziewięćset czwartym, kiedy został zamordowany Coppelani w Tagant, jak w sierpniu tysiąc dziewięćset piątego, kiedy zamordowano Mouchampa w Udźda”.

Jednak każdego dnia, kiedy jechał z oficerami, obserwator czuł w sobie niepokój, obawę, której nie mógł pojąć. Jakby się bał napotkać nagle w szczelinie wyschłego strumyka spojrzenie wielkiego szejka, samego na pustyni.

Teraz jest skończony, nie może dłużej stawiać oporu, to kwestia miesięcy, tygodni może, podda się albo rzuci do morza, zginie, nikt już go nie popiera i on dobrze o tym wie...

Od tak dawna czekali na tę chwilę oficerowie i sztab armii w Oranie, Rabacie, nawet w Dakarze. „Fanatyk” wpadł w potrzask – z jednej strony morze, z drugiej pustynia. Stary lis

będzie musiał się poddać. Czyż nie opuścili go wszyscy? Na północy Mulaj Hafid podpisał akt w Algeciras, kładący kres świętej wojnie. Zgodził się na protektorat francuski. Później był dekret z października tysiąc dziewięćset dziewiątego roku, podpisany przez samego syna Ma el Ainina, Ahmeda Hiba, którego nazywają Mulaj Sebaa, Lew, w którym proponuje podporządkowanie szejka prawu Machzen i błaga o ratunek. „Lew” jest osamotniony podobnie jak inni synowie szejka: Esz Szems w Marakeszu i Lardhaf, bandyta, łupieżca z Hammady. Nie mają już środków, nie mają broni, a ludność Sus ich opuściła. Dysponują tylko garstką wojowników, obszarpańców mających tylko stare karabiny o lufach z brązu, jatagany i włócznie. Średniowiecze!

Cywilny obserwator, jadąc konno z oficerami, myśli o wszystkich, którzy czekają na upadek wielkiego szejka. Europejczycy z Afryki Północnej, „chrześcijanie”, jak ich nazywają ludzie pustyni, ale czy ich prawdziwą religią nie jest religia pieniądza? Hiszpanie z Tangeru, z Ifni, Anglicy z Tangeru, z Rabatu, Niemcy, Holendrzy, Belgowie i wszyscy bankierzy, wszyscy ludzie interesu, którzy czekają tylko na upadek arabskiego cesarstwa i snują już plany okupacji, dzielą pola uprawne, lasy dębów korkowych, kopalnie, gaje palmowe. Agenci Banku Paryskiego i Holenderskiego, którzy podnoszą opłaty celne we wszystkich portach. Speculanci deputowanego Etienne, którzy utworzyli Towarzystwo Szmaragdów Sahary, Towarzystwo Azotanów Gurara-Twat, dla których naga ziemia powinna stać się szlakiem linii kolejowych, dróg transsaharyjskich, transmauretańskich, a szlak ten otwiera armia wystrzałami z karabinów.

Co może jeszcze uczynić stary człowiek ze Smary, sam przeciw fali pieniądza i kul? Co może jego dzikie spojrzenie osaczonego zwierzęcia przeciw tym, którzy spekulują, pożądamy ziemi, miast, przeciw tym, którzy chcą bogactwa, jakie obiecuje im nędza tego ludu?

Obok cywilnego obserwatora jadą konno oficerowie o niewzruszonych twarzach, niewymawiający zbędnych słów. Spojrzenia mają utkwione w linii horyzontu poza kamiennymi wzgórzami, gdzie rozciąga się mglista dolina Hedu Tadla.

Może nawet nie myślą o tym, co robią? Jadą konno po niewidzialnej drodze, którą otwiera dla nich przewodnik Targai na płowym koniu.

Za nimi strzelcy senegalscy, sudańscy, ubrani w mundury szare od kurzu, pochyleni, idą ciężko, podnosząc wysoko nogi, jakby przestępowali przez bruzdy. Ich miarowe kroki zgrzytają na twardej ziemi. Za nimi chmura czerwonego i szarego pyłu wznosi się powoli, brudzi niebo.

To zaczęło się dawno. Teraz nic już nie można zrobić, jakby ta armia ruszała na podbój zjaw.

Ale on nigdy nie zechce się poddać, szczególnie Francuzom. Będzie wolał pozabijać swoich ludzi aż do ostatniego i raczej samemu się zabić obok synów, niż zostać schwytanym... I tak będzie dla niego lepiej, proszę mi wierzyć, rząd nie przyjmie jego kapitulacji po zabójstwie Coppelaniego... proszę sobie przypomnieć. Nie, to fanatyk, okrutnik, dzikus, musi zginąć, on i całe jego plemię. Berik Al-lah, Błogosławieni przez Boga, tak się nazwali. Średniowiecze, nieprawdaż?

Stary lis został zdradzony przez swoich, opuszczony. Plemiona jedne po drugich odchodziły od niego, bo przywódcy wiedzieli, że pochodowi chrześcijan nie można się oprzeć, nadchodzą z północy i południa, przepływają nawet morze, przechodzą przez pustynię, byli u jej bram w Tindufie, w Tabelbali, w Wadanie, zajęli nawet święte miasto Szengetti, gdzie na początku Ma el Ainin udzielał nauk.

W Bu Denib rozegrała się może ostatnia wielka bitwa, kiedy generał Vigny zmiażdżył sześć tysięcy ludzi Mulaja Hiba. Wtedy syn Ma el Ainina uciekł w góry. Znikł bez wątpienia po to, by ukryć swój wstyd, bo stał się lachme, ciałem bez kości, jak to mówią, pokonanym. Stary szejek pozostał sam, więzień fortecy Smara; nie wiedział, że zwyciężyły go pieniądze, a nie broń; pieniądze bankierów, które opłaciły żołnierzy sułtana Mulaja Hafida i ich piękne

mundury; pieniądze, których żołnierze chrześcijańscy szukali w portach, pobierając swoją część z opłat celnych; pieniądze z ograbionych ziem, z bezprawnie przywłaszczonych palmowych lasów, danych tym, którzy umieli je brać. Jak on mógłby to zrozumieć? Czy wiedział, czym jest Bank Paryski i Bank Holenderski; czy wiedział, czym była pożyczka na budowę linii kolejowych, czy wiedział, czym było Towarzystwo Eksploatacji Azotanów w Gurara-Twat? Czy wiedział choć o tym, że kiedy modlił się i udzielał swego błogosławieństwa ludziom pustyni, rządy Francji i Wielkiej Brytanii podpisały porozumienie, które dawało kraj zwany Marokiem jednemu państwu, a kraj zwany Egiptem drugiemu? Czy wiedział, że podczas gdy on dawał swoje słowo i oddech ostatnim wolnym ludziom – Izargen Arussijn, Tidrarin, Uled Bu Sebaa, Tobalt, Regibat Sahel, Uled Delim, Imragen. Podczas gdy sprawował władzę nad własnym plemieniem Berik Al-lah, konsorcjum bankowe, którego najważniejszymi członkami były: Bank Paryski i Bank Holenderski, przyznało królowi Mulaj Hafidowi pożyczkę wartości sześćdziesięciu dwóch i pół miliona franków w złocie, której pięcioprocentową stopę zagwarantowały wpływy z opłat celnych w portach wybrzeża, i że obcy żołnierze weszli do kraju pilnować, aby co najmniej sześćdziesiąt procent dziennych wpływów z komór celnych przelewano do Banku? Czy wiedział, że w chwili podpisywania aktu w Algeciras, który na północy kładł kres świętej wojnie, zadłużenie króla Mulaja Hafida wynosiło dwieście sześć milionów franków w złocie i było wówczas oczywiste, że nie będzie on mógł spłacić swych wierzycieli? Stary szejik o tym nie wiedział, bo jego wojownicy nie walczyli dla złota, ale jedynie dla błogosławieństwa, i ziemia, której bronili, nie do nich należała ani do nikogo innego, bo była tylko wolną przestrzenią ich spojrzenia, darem Boga.

Dzikus, fanatyk, który powiedział swoim wojownikom przed walką, że uczyni ich niezwycięzonymi i nieśmiertelnymi, który wysłał ich uzbrojonych jedynie we włócznię i szablę przeciw działom i karabinom maszynowym...

Teraz grupa czarnych strzelców zajmuje całą dolinę rzeki Tadla przed brodem, podczas gdy notable z Kasby Tadla przyszli poddać się oficerom francuskim. Dymy z obozowych ognisk wznoszą się w wieczornym powietrzu i cywilny obserwator patrzy, jak na każdym postoju piękne, nocne niebo powoli się zasnuwa.

Myśli ciągle o spojrzeniu Ma el Ainina – tajemniczym, głębokim, które spoczęło na Kamilu Doulsie przebranym za tureckiego kupca i które przeszło go na wskroś, aż do duszy. Może wtedy odgadł on, co przynosi ten obcy człowiek ubrany w łachmany, ten pierwszy złodziej obrazów, który co wieczór pisał swój dziennik na stronicach Koranu? Ale teraz jest za późno i nic już nie przeszkodzi dopełniającemu się przeznaczeniu. Z jednej strony morze, z drugiej pustynia. Horyzonty zamykają się dla ludu ze Smary, zamykają ostatnich nomadów. Otacza ich głód, pragnienie, znają strach, chorobę, klęskę.

Dawno poradzilibyśmy sobie z waszym szejkiem i jego obszarpańcami, gdybyśmy chcieli. Działo siedemdziesiąt pięć milimetrów przed jego pałacem z gliny, kilka karabinów maszynowych i zostałyby wymiecione. Może uważano, że nie wart tego. Powiedziano sobie, że lepiej poczekać, aż sam upadnie, jak robaczywy owoc... Ale teraz, po morderstwie Coppolaniego, to już nie wojna: to policyjna operacja przeciw rozbójnikowi, ot co.

Starego człowieka zdradzili nawet ci, których chciał bronić. Ludzie z Sus, z Tarudant, Agadiru ogłosili nowinę: „Wielki szejik Mulaj Ahmed ben Mohammed el Fadel, którego nazywają Ma el Ainin, Woda Oczu, maszeruje na północ z wojownikami pustyni, tymi z Dra, z Sagiet el Hamra i nawet z błękitnymi ludźmi z Walata, z Szengetti. Są tak liczni, że pokrywają całą równinę. Idą na północ, w stronę świętego miasta Fez, żeby obalić sułtana i mianować na jego miejsce Mulaję Hiba, którego nazywają Sebaa, Lew, najstarszego z synów Ma el Ainina”.

Ale sztab nie uwierzył w nowinę. Ubawiło to oficerów. Stary człowiek ze Smary oszalał. Zupełnie jakby z tą gromadą obserwatorów mógł obalić sułtana i wyprzeć armię francuską!

Wyglądało na to, że stary Jis został przyparty do morza i pustyni i wybrał samobójstwo; to jedyne wyjście, jakie mu zostało – zginąć razem ze swoim plemieniem.

A więc dziś, dwudziestego pierwszego czerwca tysiąc dziewięćset dziesiątego roku, grupa czarnych strzelców maszeruje z trzema oficerami francuskimi i cywilnym obserwatorem na czele. Pierścień okrążenia zamyka się, by uchwycić starego szejka i jego obszarpańców. Słońce piecze żołnierzy w oczy światłem zmieszonym z kurzem. W dali, na wzgórzu nad kamienistą równiną, pojawia się miasteczko koloru ochry, ledwie widoczne na tle pustyni. „Kasba Zidanija”, mówi przewodnik. Ale zaraz zatrzymuje swego konia. W oddali grupa wojowników galopuje wzdłuż linii wzgórz. Czarni strzelcy zajmują pozycje, podczas gdy oficerowie na koniach ustawiają się z boku. Trzaskają wystrzały, żadna kula nie gwizdże ani nie uderza. Cywilny obserwator myśli, że przypomina to bardziej hałas, jaki czynią na wsi polujący myśliwi. Szejk Ma el Ainin nie jest daleko, jego wojownicy posuwają się drogą El Borudż na południe. Grupa odjeżdża, ale teraz oficerowie pozostają blisko żołnierzy. Każdy uważnie bada zarośla. Słońce stoi jeszcze wysoko na niebie, kiedy odbywa się druga potyczka na drodze El Borudż. W gorącej ciszy znowu rozbrzmiewają wystrzały. Generał Moinier wydaje rozkaz szarży w kierunku doliny. Senegalczycy strzelają, przyklękając na ziemi, później biegną z bagnetami wysuniętymi do przodu. Plemię Beni Mussa zabiło czternastu czarnych żołnierzy, zanim uciekło przez zarośla, pozostawiając na polu dziesiątki rannych. Wtedy grupa Senegalczyków szarżuje dalej w głąb doliny. Żołnierze wypierają zewsząd błękitnych ludzi, ale nie są to niepokonani wojownicy, których się spodziewano. To ludzie w łachmanach, zarośnięci, bez broni, którzy kuleją, upadają na kamienistą ziemię. Żebracy, chudzi, spaleni przez słońce, trawieni gorączką, potykający się o siebie i wydający krzyki rozpacz, podczas gdy Senegalczycy owładnięci pragnieniem morderczej zemsty strzelają do nich, przygwożdżając do czerwonej ziemi uderzeniami bagnetów. Na próżno generał Moinier każe trąbić do odwrotu. Kobiety i mężczyźni uciekają przed czarnymi żołnierzami, padają na ziemię. Dzieci oniemiałe z przerażenia biegną przez zarośla, a stada baranów i kóz tratują się, becząc. Wszędzie ciała błękitnych ludzi ścielą ziemię. Rozbrzmiewają ostatnie odgłosy wystrzałów, później nic już nie słychać, znowu nad doliną ciąży upalna cisza.

Na szczycie wzgórza oficerowie, nieruchomi na potykających się z niepokojem koniach, patrzą na wielką, porośniętą krzewami przestrzeń, na której zniknęli błękitni ludzie, jakby pochłoneła ich ziemia. Wracają senegalscy strzelcy. Niosą ciała martwych towarzyszy, nie spoglądają ani razu na leżące na ziemi setki mężczyzn i kobiet w łachmanach. Gdzieś na zboczu doliny pośród kolczastych zarośli obok ciała martwego wojownika siedzi chłopiec i wpatruje się w zakrwawioną twarz o zgasłych oczach.

Ulicą oświetloną przez wschodzące słońce idzie bez pośpiechu wzdłuż zaparkowanych samochodów szczupły chłopiec. Przemyka tuż przy karoseriach, odbija się w lusterkach, na lakierowanych błotnikach, na reflektorach, ale on nie na to patrzy. Pochyliła się trochę nad każdym autem i jego spojrzenie bada wewnątrz: siedzenia, podłogę pod siedzeniami, tylną szybę, skrytkę na rękawiczki.

Posuwa się w milczeniu, samotny na wielkiej, pustej ulicy, na której słońce zapala pierwsze światło poranka, czyste i wyraźne. Niebo nabrało już błękitnej barwy, jest przejrzyste, bez jednej chmury. Letni wiatr wieje od morza, wpada w ulice, dmucha wzdłuż prostych alei, wiruje w ogródkach, pochylając drzewa palmowe i wielkie araukarie.

Radicz bardzo lubi letni wiatr; nie jest to zły wiatr, który porywa kurz, przenika wewnątrz ciała i mrozi do szpiku kości. To lekki wiatr pełen słodkich zapachów, wiatr pachnący morzem i trawą, który budzi chęć snu. Radicz czuje się szczęśliwy, bo spał pod gołym niebem, w opuszczonym ogrodzie, z głową między korzeniami wielkiej pinii, niedaleko od morza.

Przed wschodem słońca zbudził się i poczuł od razu, że zaczął wiać letni wiatr. Więc jak pies wytarzał się w trawie, a później, nie zatrzymując się, pobiegł aż nad brzeg morza. Patrzył na nie przez długą chwilę z wysokości drogi: tak piękne i tak spokojne, szare jeszcze od nocy, ale już miejscami poplamione błękitem i różowością wschodu. Nawet przez moment miał ochotę zejść po zimnych jeszcze skałach, zdjąć ubranie i zanurzyć się w falach. To letni wiatr wezwał go aż nad morze, pokazał wodę. Ale przypomniał sobie, że zostało mu niewiele czasu, że musi się śpieszyć, bo niedługo obudzą się ludzie. A więc ruszył w stronę ulic w poszukiwaniu aut.

Zbliża się teraz do dużego skupiska domów i ogrodów. Idzie wzdłuż parkowych alejek, gdzie stoją auta. W ogrodach w zasięgu wzroku nie ma nikogo. Rolety w domach są jeszcze opuszczone, balkony puste. Letni wiatr wieje w stronę fasad, trzepocząc roletami. Słychać również jakieś dźwięki w gałęziach mimoz i drzew laurowych, a wielkie palmy kołyszą się, skrzypiąc.

Światło pojawia się powoli, najpierw na niebie, później na szczytach domów, i zapalone latarnie bledną. Radicz bardzo lubi tę godzinę, ponieważ ulice są jeszcze puste, domy pozamykane, nie ma nikogo, jakby był sam na świecie. Idzie powoli wzdłuż alejek i myśli, że całe miasto należy do niego, że wszyscy inni odeszli. Może podczas gdy spał w pustym parku, kobiety i mężczyźni uciekli jak po katastrofie, odbiegli ku górą, porzucając domy i auta. Radicz posuwa się wzdłuż stojących samochodów, zagląda do środka, patrzy na puste siedzenia, nieruchome kierownice, i ma dziwne wrażenie, że ktoś obserwuje go, zagraża mu. Staje, podnosi głowę w stronę szczytów domów. Światło jutrzeńki oświetla już górną część fasad różową poświatą. Ale rolety i okna są zamknięte, a wielkie balkony puste. Wiatr wieje, jego szum jest bardzo łagodny, powolny; to dźwięk nie dla ludzi. Radicz czuje wciąż pustkę, która wstała nad miastem, zastąpiła odgłosy i ruchy ludzi.

Może kiedy spał z głową między korzeniami starej pinii, potajemnie, jak przybysz z innego świata, letni wiatr uspił wszystkich mieszkańców i teraz leżą w łóżkach, w pokojach o zamkniętych okiennicach, pogrążeni w magicznym śnie, który nigdy się nie skończy. A więc miasto może nareszcie odpocząć, oddychać – wielkie, puste ulice z nieruchomymi autami, zamknięte sklepy, pogaszone latarnie i czerwone światła; a więc trawa będzie mogła spokojnie rosnąć w pęknięciach asfaltu, parki zamienią się w lasy, a szczury i ptaki będą mogły chodzić wszędzie bez obawy, jak przedtem, gdy nie było ludzi. Radicz przystaje na chwilę. Na drzewach budzą się właśnie szpaki, wróble i kosy. Szczególnie głośno śpiewają kosy, przelatują ciężko z palmy na palmę albo podskakują na mokrym asfalcie wielkich parkingów. Chłopiec bardzo lubi kosy. Mają piękne czarne pióra i bardzo żółty dzióbek i skaczą w taki szczególny sposób, z głową przechyloną na bok, aby dostrzec niebezpieczeństwo. Przypominają złodziei i dlatego Radicz je lubi. Są jak on – trochę roztrzepane, dosyć sprytne i umieją wydawać przenikliwie ostrzegawcze gwizdy; potrafią śmiać się, gulgocząc jakby, co bardzo go śmieszy. Radicz idzie powoli po placach parkingów i od czasu do czasu pogwizduje w odpowiedzi kosom. Może kiedy chłopak spał w opustoszałym parku z głową między korzeniami pinii, mężczyźni i kobiety cicho opuścili wielkie miasto, a kosy zajęły ich miejsce. Ta myśl bardzo cieszy Radicza i chłopiec gwizdże głośniejsze na palcach, chce powiedzieć kosom, że zgadza się z nimi – wszystko należy do nich, wszystko, domy, ulice, auta, nawet sklepy i wszystko, co w nich jest.

W parku wokół domów jest coraz jaśniej. Krople rosy błyszczą na dachach samochodów, na liściach krzewów. Radicz z największym wysiłkiem opiera się pokusie, by stanąć i przyjrzeć się wszystkim kroplom światła. W pustce parkingu, wśród wysokich białych murów, opuszczonych rolet, pustynnych balkonów te krople lśnią ze zwiększoną mocą, jakby one tylko były prawdziwe i żywe. Drżą trochę na wietrze, który wieje od morza, wyglądają jak tysiące nieruchomych oczu patrzących na świat.

Wtedy raz jeszcze Radicz czuje groźbę, która zawisała nad parkingiem, nad wszystkim, niebezpieczeństwo, które czai się wokół. To spojrzenie lub światło, którego chłopak nie widzi, nie może zrozumieć. Groźba czai się pod kołami stojących samochodów, w odbiciach lusterek, w bladym świetle latarni, które mimo dnia nadal się palą. To wywołuje dreszcz na skórze i chłopiec czuje, jak serce mu zamiera, później bije szybciej, a wewnętrzna część dłoni wilgotnieje od zimnego potu. Ptaki poznikały, z wyjątkiem jaskółek, które popiskując, przelatują z pełną szybkością. Kosy odleciały na drugą stronę wielkich betonowych bloków i powietrze zamilkło. Nawet wiatr cichnie pomału. Świt nie trwa długo nad wielkim miastem, pokazuje swój cud przez chwilę, później znika. Nadchodzi dzień. Niebo nie jest już szare i różowe, nabiera przytłumionych barw. Od zachodu widać mgiełkę, tam, gdzie wielkie kominy zbiorników już na pewno zaczęły wypluwać trujące dymy.

Radicz widzi to wszystko, wszystko, co się dzieje, i jego serce się ściska. Wkrótce ludzie, mężczyźni i kobiety, otworzą okiennice i drzwi, uniosą rolety i wyjdą na balkony, będą iść ulicami miasta i uruchamiać silniki aut, ciężarówek i jechać, patrząc na wszystko niedobrymi oczami. Stąd to spojrzenie, ta groźba. Radicz nie lubi dnia. Lubi tylko noc i świt, kiedy wszystko jest ciche, niezamieszkane, kiedy są tylko nietoperze i bezdomne koty.

Więc idzie dalej alejami wielkiego parkingu, uważnie badając wnętrza stojących aut. Od czasu do czasu widzi coś, co mogłoby być interesujące, i obmacuje klamkę drzwiczek, szybko przechodząc obok – a nuż są otwarte. Znalazł trzy auta z niezamkniętymi drzwiami, ale na razie je zostawia, bo nie ma pewności, czy sprawa jest warta zachodu. Mówi sobie, że zaraz wróci, jak okrąży blok, bo otwarte auta okrada się szybko.

Słoneczne światło jest coraz jaśniejsze ponad drzewami, ale słońca jeszcze nie widać. Jedynie piękne, gorące światło ukazuje się, rozlewa po niebie. Radicz nie lubi dnia, ale bardzo lubi słońce i cieszy się na myśl, że zobaczy, jak wstaje. Pojawia się wreszcie rozżarzony krążek, który rzuca błysk w głąb jego oczu, i Radicz oślepiony przystaje na chwilę.

Serce mu wali, krew pulsuje w skroniach. Groźba osacza go, a on nie wie, skąd nadchodzi. Wstaje dzień, a razem z nim narasta ciężar strachu, spływa z wysokości wielkich, starych ścian z setkami błękitnych rolet, z wysokości płaskich dachów zjeżonych antenami, z wysokości betonowych słupów, z wysokości wielkich drzew palmowych o gładkich pniach. Przede wszystkim przeraża cisza dnia i elektryczne światła latarni, które ciągle palą się, przenikliwie bzycząc, jak gdyby codzienne dźwięki ludzi i samochodów zastygły we śnie, w jakiejś osłonie – zatarte szlaki, gardła ściśnięte, twarze o zamkniętych oczach.

– Dobra, idziemy.

To Radicz powiedział na głos, by dodać sobie odwagi. Jego ręka znowu maca klamki drzwiczek, oczy badają zimne wnętrza pojazdów. Światło słońca iskrzy się w kroplach rosy poprzczepianych do masek i szyb.

– Nic... Nic.

W pośpiechu zapomina na moment o strachu. Dzień już wstał, słońce wyszło przed chwilą nad dachy wielkich domów. Świeci z pewnością nad morzem, zapalając iskrzące błyski na grzbietach fal. Radicz posuwa się, nie patrząc wokół siebie.

– W porządku, dziękuję.

Jedne drzwiczki są otwarte. Bez szmeru chłopak wślizguje się do samochodu; jego ręce sięgają wszędzie: pod siedzenia, do zakamarków, do kieszeni drzwiczek, otwierają skrzynkę na rękawiczki. Jego ręce dotykają szybko, zręcznie, jak dłonie ślepeca.

– Nic!

Nic! Samochód jest w środku pusty, zimny i wilgotny jak piwnica.

– Dranie!

Po niepokoju przychodzi gniew i chłopak idzie dalej aleją wzdłuż domów, uważnie obserwując wnętrza każdego samochodu. Nagle drgnął na dźwięk jakiegoś hałasu: warkot silnika i łoskot blachy. Ukryty za zielonym mikrobusem widzi, jak przejeżdża ciężarówka

zamiataczy ulic, którzy opróżniają śmietniki. Samochód krąży wokół domów, nie zatrzymując się na parkingu. Oddala się schowany do połowy za żywopłotem z krzewów laurowych i pniami palmowych drzew. Radiczowi przypomina dziwnego owada z metalu, może skarabeusza o okrągłym grzbiecie i drżącym chodzie.

Kiedy wszystko znów ucichło, Radicz widzi na podłodze furgonetki coś, czym mógłby się zainteresować. Przybliża się do tylnej szyby i dostrzega ubrania, dużo ubrań zgromadzonych z tyłu w pomarańczowych plastikowych torbach. Również z przodu leżą ubrania, pudełka z butami, a na ziemi pod siedzeniem widać trudną do zauważenia dla kogoś, kto się na tym nie zna, krawędź radia tranzystorowego. Drzwiczki furgonetki są zamknięte, ale przednia szyba niedomknięta. Radicz ciągnie ze wszystkich sił, wiesza się na niej, żeby powiększyć otwór. Milimetr po milimetrze szyba obsuwa się i wkrótce Radicz może przełożyć długie, szczupłe ramię tak, by czubkami palców zwolnić blokadę drzwi. Otwiera samochód i wślizguje się na przedni fotel.

Furgonetka jest bardzo duża, ma głębokie siedzenia z ciemnego skaju. Radicz cieszy się, że jest w środku. Siedzi przez chwilę na zimnym fotelu, ręce trzyma na kierownicy, patrzy na parking i na drzewa przez wielką przednią szybę. U góry szyba ma odcień zielonoszmaragdowy i kiedy porusza się głową, daje to dziwny blask na białym niebie. Na prawo od kierownicy jest radio. Radicz przekręca gałki, ale radio nie włącza się. Jego dłoń naciska guzik skrzynki na rękawiczki i wieczko odskakuje. W skrzynce są dokumenty, długopis, para ciemnych okularów.

Radicz prześlizguje się nad oparciem przedniego siedzenia aż do tylnej platformy. Ogląda szybko ubrania. Są nowe – garnitury, koszule, damskie kostiumy i spodnie, swetry, wszystko złożone w plastikowych workach. Radicz układa obok siebie stos ubrań, później pudełka z butami, krawaty, szaliki. Upycha ubrania do spodni, których nogawki zawiązuje. Nagle przypomina sobie o tranzystorze. Prześlizguje się cicho na przednie siedzenie z głową pochyloną ku podłodze, rękoma dotyka radia i unosi je trochę. Przekręca guzik i tym razem rozbrzmiewa muzyka, dźwięki gitary, które prześlizgują się i toczą jak śpiew ptaków o świcie.

Właśnie wtedy słyszy hałas nadjeżdżających policyjnych samochodów; nie widział, jak jadą, może nawet nie usłyszał ich naprawdę. Cichy odgłos opon na asfaltowej okrężnej alejce, szmer unoszącej się rolety gdzieś na ogromnej i cichej fasadzie budynku białego od światła; może zaalarmowało go coś innego, gdy z głową w dół słuchał z tranzystora muzyki ptaków. We wnętrzu jego ciała poza oczami albo we wnętrzościach coś się skręcało, zaciskało i pustka jak zimno wypełniała karoserię furgonetki. Wtedy podniósł się i zobaczył.

Czarne policyjne auto nadjeżdża szybko aleją parkingu. Opony rozpryskują wodę na asfalcie i kamykach i Radicz wyraźnie widzi twarze policjantów, ich czarne mundury. W tej samej chwili czuje twarde i mordercze spojrzenie, które obserwuje go z wysokości jednego z balkonów domu, gdzie roleta szybko się podniosła.

Czy trzeba pozostać w ukryciu w wielkim samochodzie, kiedy jest się osaczonym jak zwierzę? Policjanci przyjechali po niego, wie o tym, nie ma co do tego wątpliwości. Więc jego ciało rozpręża się natychmiast, Radicz wyskakuje przez przednie drzwiczki furgonetki i zaczyna biec po chodniku w stronę muru otaczającego parking.

Czarne auto nagle przyśpiesza, bo policjanci go zobaczyli. Słysząc głosy, krótkie krzyki rozbrzmiewające w parku, które odbijają się od wielkich, białych murów. Radicz słyszy przenikliwe gwizdki i chowa głowę w ramionach, jak przed kulami. Jego serce wali tak mocno, że nie słyszy prawie nic innego, jakby cały parking, domy, drzewa w parku i asfaltowe aleje uderzały razem z nim, podskakiwały i czuły ból.

Nogi same biegną, biegną, uderzają asfaltową ziemię, uderzają pulchną ziemię grządek. Przeskakują nad masami kwiatów, nad trawnikami. Zmykają ze wszystkich sił, oszalałe, ogarnięte paniką, nie wiedząc, dokąd zmierzają, nie wiedząc, gdzie się zatrzymają. Nagle

widać wysoki mur oddzielający park, a nogi nie mogą unieść się w powietrzu. Biegną wzdłuż muru, kluczą między nieruchomymi samochodami. Chłopak nie musi się odwracać, by wiedzieć, że czarne auto policjantów ciągle jest tam, zupełnie blisko, że pokonuje zakręty z pełną prędkością, aż piszcza opony, wyje silnik. Później pojawia się z tyłu, na długiej, prostej linii, na której końcu jest otwarta ulica i drobne ciało Radicza, pędzącego jak spłoszony królik. Czarne auto policjantów rośnie, zbliża się, jego koła pożerają aleję z asfaltu i żwiru. Radicz, biegnąc, słyszy dźwięk unoszonych rolet i myśli, że teraz wszyscy są na balkonach, żeby patrzeć, jak on biegnie. I nagle widzi dziurę w murze, drzwi może; ciało Radicza przeskakuje przez ten otwór. Teraz jest z drugiej strony muru, sam jeden na wielkiej ulicy, która prowadzi do morza. Ma trzy, cztery minuty przewagi, jest to czas, w którym auto policyjne wyjedzie z parkingu i zakręci na ulicy. O tym również chłopak wie, nie myśląc nawet, jakby to oszalałe serce i nogi za niego myślały. Ale dokąd iść? Na końcu ulicy, niecałe sto metrów stąd, jest morze, skały. To w tamtą stronę instynktownie biegnie, tak szybko, że ciepło powietrza dnia wyciska mu łyżę z oczu. Uszy słyszą tylko dźwięk wiatru, widzi jedynie czarną wstęgę szosy, na której lśni słoneczne światło, a na samym końcu, nad murem gzymsu pomieszanym ze sobą mleczne kolory nieba i morza. Biegnie tak szybko, że nie słyszy już teraz opon czarnego policyjnego auta na szosie ani dwóch przeraźliwych dźwięków klaksonu wypełniających przestrzeń między domami.

Jeszcze kilka kroków, jeszcze, nogi, jeszcze kilka uderzeń, serce, jeszcze, bo morze jest już niedaleko, morze i niebo połączone, gdzie nie ma już domów ani ludzi, ani aut. Wtedy, w tym samym momencie, kiedy ciało chłopaka wyskakuje na szosę nadmorskiej drogi prosto ku pomieszanym ze sobą morzu i niebu, jak sarna, którą ma pochwytać zgraja psów, wtedy nadjeżdża wielki niebieski autobus z zapalonymi jeszcze reflektorami. Wschodzące słońce uderza jak błyskawica w jego wypukłą szybę, ciało Radicza roztrzaskuje się na masce i reflektorach przy wielkim łoskocie blachy i pisku hamulców. Niedaleko stąd, na skraju parku z drzewami palmowymi, stoi nieruchomo młoda kobieta ponura jak cień i patrzy. Nie rusza się, tylko patrzy, podczas gdy ze wszystkich stron nadbiegają ludzie, gromadzą się na drodze wokół autobusu, czarnego auta i prześcieradła, które okrywa strzaskane ciało złodzieja.

Tiznit, 23 października 1910

W miejscu, gdzie miasto łączy się z czerwoną ziemią pustyni i widać stare mury z suchego kamienia, ruiny domów z gliny, pośród akacji, z których kilka spłonęło, gdzie swobodnie wieje wiatr pełen pyłu, daleko od studni, daleko od cienia drzew palmowych, tam właśnie umiera stary szejk.

Przybył tu, do miasta Tiznit, u kresu daremnego marszu. Na północy, w kraju pokonanego króla, od miasta do miasta idą obcy żołnierze, niszcząc wszystko, co stawia im opór. Na południu żołnierze chrześcijańscy weszli do świętej doliny Sagiet el Hamra, zajęli nawet miasto Smara, pusty pałac Ma el Ainina. Wiatr nieszczęścia zaczął wiać nad kamiennymi murami, przez otwory strzelnic, wiatr, który niszczy wszystko, który wszystko pustoszy.

Teraz wieje tu niedobry wiatr, ciepły wiatr przychodzący z północy, który przynosi morską mgłę. Wokół Tiznitu błękitni ludzie, rozsiani jak zagubione zwierzęta, czekają pod osłoną szałasów z gałęzi.

Nad całym obozem słychać tylko jeden dźwięk, szum wiatru, który kołacze gałęziami akacji, a czasami również krzyk spętanych zwierząt. Panuje wielka cisza, straszna cisza, która trwa od ataku żołnierzy senegalskich w dolinie rzeki Tadla. Teraz głosy wojowników zamilkły, śpiewy ucichły. Nikt już nie mówi o tym, co ma nastąpić, może dlatego, że nic już się nie wydarzy. To nad wysuszoną ziemią wieje wiatr śmierci, zły wiatr, który przychodzi z ziem zajętych przez cudzoziemców, z Mogadoru, Rabatu, Fezu, Tangeru. Ciepły wiatr, który przynosi szum morza, a nawet innego świata, hałas wielkich białych miast, w których królują bankierzy i kupcy.

W domu z błota o dachu na wpół zapadniętym, na płaszczu położonym na ubitej ziemi leży stary szejek. Upał dusi, powietrze pełne jest brzęczenia much i os. Czy wie teraz, że wszystko stracone, skończone? Wczoraj, przedwczoraj przybyli z południa wysłannicy, aby przekazać mu nowiny. Ale nie chciał słuchać nowin z południa, o opuszczeniu Smary, o ucieczce Hassena i Larhdafa, starszych synów Ma el Ainina, w stronę równiny Tagent, o ucieczce Mulaja Hiba w stronę gór Atlasu. Wysłannicy teraz zabierają ze sobą nowinę, którą przekażą tym, którzy na nich czekają: „Wielki szejek Ma el Ainin wkrótce umrze. Jego oczy już nie widzą, jego wargi nie mogą mówić”. Powiedzą, że wielki szejek umiera w najbiedniejszym domu w Tiznit, jak żebrak, z dala od synów, daleko od swego ludu.

Wokół zrujnowanego domu siedzi kilku mężczyzn. To ostatni wojownicy z plemienia Berik Al-lah. Uciekli przez równinę rzeki Tadla, nie oglądając się, nie próbując zrozumieć. Inni wrócili na południe, ku swoim drogom, bo zrozumieli, że nie ma na co już czekać, że obiecane ziemie nigdy nie będą im dane. Ale ci nie chcieli ziemi. Kochali wielkiego szejka, czcili go jak świętego. On dał im boskie błogosławieństwo i to ich połączyło z nim jak słowa przysięgi.

Dzisiaj Nur jest razem z nimi. Siedzi na zakurzonej ziemi pod osłoną dachu z gałęzi i patrzy na dom z błota o na pół zawalonym dachu, w którym zamknięty jest wielki szejek. Nie wie jeszcze, że Ma el Ainin kona. Od kilku dni nie widział go. Szejek nie wychodził już w białym, ubrudzonym płaszczu, wsparty na ramieniu sługi, z idącą za nim Lallą Meymuną, pierwszą żoną, matką Mulaja Sebaa, Lwa. Na początku, kiedy przybył do Tiznit, wysłał posłańców, żeby sprowadzili synów. Ale posłańcy nie wrócili. Co wieczór przed modlitwą Ma el Ainin wychodził z domu, by patrzeć na północ, na drogę, którą Mulaj Hiba powinien przyjechać. Teraz jest już za późno i wiadomo, że synowie już nie przybędą.

Od dwóch dni jest niewidomy, jakby śmierć najpierw zabrała mu oczy. Już kiedy wychodził, by obrócić się na północ, to nie oczy wypatrywały syna ale cała twarz, ręce, ciało, które pragnęło obecności Mulaja Hiba. Nur patrzył na niego, na lekką sylwetkę, prawie upiorną, otoczoną sługami, za którą postępował cień Lalli Meymuny. I czuł chłód śmierci, od którego ciemniał krajobraz, jak gdyby chmura przesłaniała słońce.

Nur myślał o ślepym wojowniku, leżącym w wąwozie, w korycie rzeki Tadla. Myślał o zgasłej twarzy przyjaciela, którego może zjadły już szakale, i o tych wszystkich, którzy zmarli w drodze, pozostawieni słońcu i nocy.

Później dogonił niedobitków z karawany, zbiegłych przed masakrą, i szli dalej razem przez wiele dni, umierając z głodu i zmęczenia. Uciekali jak wygnańcy wzdłuż najtrudniejszych dróg, omijając miasta, ledwie ośmielając się próbować wody ze studni. Wtedy wielki szejek zachorował i trzeba było zatrzymać się tutaj, u bram Tiznit, na zakurzonej ziemi, gdzie wiał zły wiatr.

Większość błękitnych mężczyzn poszła dalej drogą bez celu, bez końca, w stronę równiny Dra, by odnaleźć opuszczone szlaki. Ojciec i matka Nura zawrócili w stronę pustyni. Ale on nie mógł iść z nimi. Może czekał jeszcze na cud, na tę obiecaną przez szejka ziemię, gdzie byłby spokój i zasobność, gdzie obcy żołnierze nigdy nie mogliby wkroczyć? Błękitni mężczyźni odchodzili kolejno, zabierając swe stada. Ale tylu zmarłych było na ich drodze! Nigdy nie odnajdą dawnego spokoju, nigdy wiatr nieszczęścia ich nie opuści. Czasami rozlegał się Zgiełk:

– Mulaj Hiba nadjeżdża, Mulaj Sebaa, Lew, nasz król.

Ale było to tylko złudzenie, które rozpływało się w gorącej ciszy.

Teraz jest za późno, bo szejek Ma el Ainin umiera. Wiatr nagle ustaje, ciężar powietrza każe ludziom wstać. Wszyscy podnoszą się, patrzą ku zachodowi, gdzie słońce schodzi w dół niskiego horyzontu. Ziemia, pełna kurzu, z kamieniami tnącymi jak ostrza, pokrywa się barwą w kolorze topniejącego metalu. Niebo zasnuwa delikatna, cienka mgiełka, przez którą słońce, nienaturalnie powiększone, wygląda jak czerwony krążek.

Nikt nie wie, dlaczego wiatr nagle ustał ani dlaczego na horyzoncie pojawił się ten kolor dziwny i spalony. Ale Nur znowu czuje zimno, które przenika go jak gorączka, i zaczyna drżeć. Odwraca się ku staremu, walącemu się domowi, gdzie leży Ma el Ainin. Idzie powoli, przyciągany tajemniczą siłą, z oczami utkwionymi w czarnych drzwiach.

Wojownicy Ma el Ainina, Berik Al-lah o ciemnych twarzach, patrzą na chłopca, jak zbliża się do domu, ale żaden z nich nie zagraża mu drogi. Ich spojrzenia są puste i zmęczone, jakby żyli we śnie. Może oni również stracili wzrok w czasie próżnego marszu, a czy ich wypaliło słońce i piasek pustyni?

Powoli Nur idzie po kamienistej ziemi w stronę domu o ścianach z błota. W zachodzącym słońcu błyszczą stare mury, powiększa się cień drzwi.

Nur wchodzi przez nie, jak niegdyś ze swoim ojcem do grobowca świętego. Przez chwilę trwa w bezruchu, nie widząc nic w mroku, czując wilgotny chłód. Kiedy oczy jego przywykają do ciemności, widzi wielką, pustą izbę, klepisko. W kącie leży stary szejk, złożony na swoim płaszczu, z głową wspartą na kamieniu. Lalla Meymuna siedzi obok niego, owinięta w czarny płaszcz, z zakrytą twarzą.

Nur nie robi żadnego hałasu, wstrzymuje oddech. Po długiej chwili Lalla Meymuna zwraca twarz ku chłopcu, ponieważ poczuła jego spojrzenie. Czarny woal odsuwa się, odsłaniając piękną twarz koloru miedzi. Oczy jej błyszczą w półmroku, łzy płyną po policzkach. Serce Nura zaczyna bić bardzo mocno i chłopak czuje kłujący ból w środku ciała. Chce cofnąć się ku drzwiom, odejść, kiedy stara kobieta prosi, by wszedł. Idzie powoli ku środkowi izby, pochylony z bólu. Kiedy jest przed szejkiem, nogi odmawiają mu posłuszeństwa i pada ciężko na ziemię, z ramionami wyciągniętymi do przodu. Dłonie dotykają białego płaszcza Ma el Ainina i Nur pozostaje tak z twarzą przy wilgotnej ziemi. Nie płacze, nie mówi nic, nie myśli o niczym, ale jego dłonie chwyciły połę wełnianego płaszcza i ściskają mocno, aż do bólu. Obok niego Lalla Meymuna siedzi w bezruchu, owinięta czarnym płaszczem, przy mężczyźnie, którego kocha, i nie widzi już nic, niczego już nie słyszy.

Ma el Ainin oddycha powoli, boleśnie. Jego oddech podnosi z trudem klatkę piersiową, chrapliwe dźwięki wypełniają cały dom. W półmroku wychudzona twarz wydaje się jeszcze bielsza, prawie przezroczysta.

Nur patrzy na starego człowieka ze wszystkich sił, jakby to jego spojrzenie mogło opóźnić nadejście śmierci. Wpółotwarte wargi Ma el Ainina wymawiają strzępy słów, zduszone przez rżenie. Może nuci jeszcze imiona synów, Mohammeda Rebbo, Mohammeda Larhdafa, Taaleba, Hassena, Saadbu, Ahmeda Esz Szemsa, którego nazywają Słońce, a przede wszystkim imię tego, którego oczekiwał każdego wieczoru na drodze północnej, na którego wciąż czeka, Ahmeda Dehiba, tego, którego nazywają Mulaj Sebaa, Lew.

Lalla-Meymuna ściera połą swego czarnego płaszcza pot perlący się na twarzy Ma el Ainina, ale on nawet nie czuje dotyku tkaniny na czole i policzkach.

Chwilami jego ramiona sztywnieją, a tors napręża się, bo Ma el Ainin chce usiąść, wargi mu drżą, przewraca oczyma. Nur zbliża się, pomaga Meymunie podnieść Ma el Ainina i oboje podtrzymują umierającego. Stary szejk siedzi przez kilka sekund z niewiarygodną energią w tak kruchym ciele, ramiona wyciągnął do przodu, jakby miał wstać. Chuda twarz pełna jest wielkiego przerażenia i Nur czuje, że ogarnia go trwoga z powodu tego pustego spojrzenia, tych bladych tęczywek; przypomina sobie ślepego wojownika i dłoń Ma el Ainina, która dotknęła jego oczu, jego oddech. Teraz Ma el Ainin zna tę samotność, od której nie można uciec, i nikt już nie ukoi pustki jego spojrzenia.

Cierpienie Nura jest tak wielkie, że chciałby odejść, opuścić ten dom cienia i śmierci, pobiec zakurzoną równiną w stronę złocistego światła zachodu. Ale nagle odczuwa moc w dłoniach, w oddechu. Powoli, jakby chciał sobie przypomnieć dawne gesty, przesuwa wnętrzem dłoni po czole Ma el Ainina, nie wymawiając ani słowa. Moczy końce palców śliną i dotyka powiek, które drżą z niepokoju. Chucha delikatnie na twarz, wargi, oczy starego

człowieka. Otacza tors ramieniem i pomału lekkie ciało poddaje się, układa do tyłu. Teraz twarz Ma el Ainina jest spokojna, wolna od cierpienia. Z zamkniętymi oczyma stary człowiek oddycha powoli, bezgłośnie, jakby chciał zasnąć. Nur również czuje w sobie spokój, ból zniknął z jego ciała. Cofa się, nie przestając patrzeć na szejka. Później wychodzi z domu, podczas gdy czarny cień Lalli Meymuny kładzie się na ziemi do snu.

Noc wolno zapada. Słychać krzyki ptaków latających nad korytem rzeki, nad palmowym lasem. Od morza zaczyna wiać ciepły wiatr, szeleszcząc liśćmi zniszczonego dachu. Meymuna zapala oliwną lampkę, daje szejkowi pić. Przed drzwiami domu Nur czuje, że gardło ma ściśnięte i palące, nie może spać. Kilka razy w ciągu nocy, na znak Meymuny, zbliża się do starca, dotyka dłonią jego czoła, dmucha na wargi i powieki. Ale zmęczenie i przygnębienie zniszczyły jego moc, nie zdoła już odsunąć niepokoju, który wprawia w drżenie wargi Ma el Ainina. Może to ból we wnętrzu jego własnego ciała osłabia oddech.

Tuż przed świtaniem, kiedy powietrze jest ciche i nieruchome, kiedy nie ma żadnego hałasu ani brzęczenia owadów, Ma el Ainin umiera. Meymuna, która trzyma jego dłoń, wie o tym i kładzie się na ziemi obok tego, którego kocha, i zaczyna płakać, nie tłumiąc już szlochu. Wtedy Nur stojący blisko drzwi patrzy po raz ostatni na delikatną sylwetkę wielkiego szejka w białym płaszczu, tak lekkiego, że zdaje się unosić nad ziemią. Później oddała się, jest sam w nocy na popielatej równinie oświetlonej pełnią księżyca. Ból i zmęczenie nie pozwalają mu iść daleko. Upada na ziemię, blisko kolczastych zarośli i natychmiast zasypia, nie słysząc głosu Lalli Meymuny, która płacze tak, jakby śpiewała pieśń.

Tak właśnie odeszła któregoś dnia, bez uprzedzenia. Wstała przed świtem, jak to robiła tam, w swoim kraju, aby iść nad morze lub do bram pustyni. Przez chwilę nasłuchiwała oddechu fotografa, który spał w wielkim łóżku, oszołomiony upałem lata. Na zewnątrz słychać już było przenikliwe krzyki jaskółek, może w dali cichy dźwięk strumienia wody polewaczki. Lalla zawahała się, ponieważ chciała coś fotografowi pozostawić, jakiś znak, wiadomość, powiedzieć mu do widzenia. Ponieważ nie miała nic, wzięła kawałek mydła i narysowała znak swego plemienia, którym podpisywała zdjęcia na ulicy, w Paryżu; gdyż jest to najstarszy rysunek, jaki zna, i dlatego też, że przypomina serce.

obrazek

Później odeszła ulicami miasta, by nigdy więcej nie powrócić.

Podróżowała pociągami dniami, nocami z miasta do miasta, z kraju do kraju. Czekwała na dworcach tak długo, aż sztywniały jej nogi, a plecy i pośladki były obolałe.

Ludzie przychodzili i odchodzili, rozmawiali, patrzyli, ale nie zwracali uwagi na sylwetkę młodej kobiety o zmęczonej twarzy, owiniętej mimo upału w dziwny, stary, brązowy płaszcz sięgający aż do stóp. Może myśleli, że była biedna lub chora. Czasami w wagonach odzywali się do niej, ale nie rozumiała ich języka i zadowalała się uśmiechem.

Później statek płynie powoli po spokojnym morzu, oddała się od Algeciras, zmierza w stronę Tangeru. Na mostku lśni słońce i sól, a ludzie zebrali się w cieniu, mężczyźni, kobiety, dzieci siedzą obok swoich pudeł i waliz. Niektórzy od czasu do czasu, aby odpędzić strach, śpiewają jakąś pieśń, nosową i smutną, później śpiew cichnie i słychać już tylko warkot silnika. Lalla patrzy na ciemnoniebieskie, gładkie morze, na grzbiety martwych fal. W bruździe piany zostawionej przez statek skaczą delfiny, gonią się, rozpierzchają. Lalla myśli o białym ptaku, który był prawdziwym księciem morskim, który fruwał nad plażą w czasach starego Namana. Jej serce bije szybciej. Patrzy z upojeniem, jakby naprawdę miała go zobaczyć. Ramiona wyciągnęła nad powierzchnię morza, na skórze czuje pieczenie słońca, tak jak dawniej, i widzi światło, piękne i okrutne światło nieba.

Głos ludzi śpiewających nosową piosenkę nagle ją niepokoi i czuje lzy płynące po twarzy, choć nie bardzo rozumie ich przyczynę. Tak dawno słyszała tę piosenkę, jak w minionym śnie, na pół zatartym. Są to ludzie o czarnej skórze, ubrani tylko w cętkowane koszule i w

plócienne, za krótkie spodnie, z nagimi stopami w japonkach. Jeden po drugim, właśnie tak, kołysząc się z na wpół zamkniętymi oczami śpiewają pieśń nosową i smutną, której nikt inny zrozumieć nie może.

Kiedy Lalla słyszy ich pieśń, czuje w głębi duszy pragnienie ujrzenia białej ziemi, wysokich palm w czerwonych dolinach, pól kamieni i piasku, wielkich samotnych plaż, a nawet wsi z domami z biota i desek, o dachach z blachy i papy. Przymyka oczy i widzi to przed sobą, jakby nigdy nie odjechała, tylko spała, godzinę lub dwie.

W głębi niej, we wnętrzu jej nabrzmiałego brzucha, jest również ten ruch, wstrząsy, które bołą, uderzają wewnątrz skóry. Teraz myśli o dziecku, które chce przyjść na świat, które już żyje, które śni. Drży i ściska dłońmi rozciągnięty brzuch, oparta plecami o żelazną, wibrującą ściankę, poddaje się ciężkiemu kołysaniu statku. Nuci, trochę dla siebie, a trochę dla dziecka, które przestaje kopać i słucha, jak śpiewa starą piosenkę, śpiewaną przez Aammę, piosenkę matki.

„Któregoś dnia kruk będzie biały, morze wyschnie, znajdziemy miód w kwiecie kaktusa, zrobimy łóżko z gałązek akacji, któregoś dnia, och, któregoś dnia, nie będzie już trucizny w ustach węża, a kule karabinu nie będą już niosły śmierci, bo tego dnia opuszczę moją miłość...”.

Warkot silnika zagłusza jej głos, ale we wnętrzu brzucha nieznane dziecko uważnie słucha słów i zasypia. Wtedy, żeby zrobić więcej hałasu i dodać sobie odwagi, Lalla śpiewa głośniejsze słowa ulubionej piosenki:

– *Mediter-ra-ne-e-e...*

Statek sunie powoli po gładkim morzu, pod ciężkim niebem. Teraz widać na horyzoncie brzydką szarą plamę, jak chmurę przyczepioną do morza: Tanger. Wszystkie twarze zwrócone są w stronę miasta, ludzie przestali rozmawiać; nawet czarnoskórzy już nie śpiewają. Afryka wyłania się przed dziobem statku, niewyraźna, bezludna. Woda morska staje się szara, płytsza. Na niebie latają mewy, one również są szare, mizerne i strachliwe.

A więc wszystko się zmieniło? Lalla myśli o pierwszej podróży do Marsylii, kiedy wszystko było jeszcze nowe, ulice, domy, ludzie. Myśli o mieszkaniu Aammy, o hotelu Sainte-Blanche, o pustych polach wokół zbiorników, o wszystkim, co zostało za nią w wielkim morderczym mieście. Myśli o żebraku Radiczu, o fotografii, o dziennikarzach, o tych wszystkich, którzy stali się jak cienie. Teraz nie ma nic prócz swego ubrania i brązowego płaszcza, który dała jej Aamma zaraz po przyjeździe. Ma również pieniądze, zwój nowych banknotów, jakie wzięła z kieszeni marynarki fotografa, nim odeszła. Ale jest tak, jakby nic się nie zdarzyło, jakby nigdy nie opuściła Cité z desek i papy ani kamiennej równiny i wzgórz, gdzie żyje Hartani. Jakby po prostu spała, godzinę lub dwie.

Patrzy na pusty horyzont, na rufę okrętu, później na szarą ziemię i na góry, gdzie powiększają się plamy domów arabskiego miasta. Drży, ponieważ w jej brzuchu dziecko zaczęło się gwałtownie ruszać.

W autokarze jadącym zakurzoną drogą, który zatrzymuje się, by zabrać wieśniaków, kobiety, dzieci, Lalla czuje jeszcze dziwne oszołomienie. Światło ogarnia ją, a drobny pył wstępuje ku górze jak mgła, z każdej strony autokaru, dostaje się do środka samochodu, klei do gardła i skrzypi pod palcami: Lalla czuje pył i światło, i jest to dla niej jak nowa skóra, jak świeży oddech.

Czy możliwe, żeby istniało cokolwiek innego? Czy jest inny świat, inne twarze, inne światło? Kłamstwo wspomnień zginie w warkocie dychawicznego autokaru, w upale, w kurzu. Światło ściera wszystko, wszystko spala, jak niegdyś, na kamiennej równinie. Lalla znów czuje ciężar tajemniczego spojrzenia na sobie, wokół siebie: nie jest to już spojrzenie mężczyzn, pożądlive i zaborcze, ale tajemnicze spojrzenie tego, który zna Lallę i który ma nad nią władzę niczym jakiś bóg.

Autokar jedzie zakurzoną drogą, wspina się na szczyty wzgórz. Wszędzie widać tylko suchą ziemię, spaloną, podobną do starej skóry węża. Nad dachem autobusu niebo i światło parzą, a wewnątrz gorąco potęguje się jak w piecu. Lalla czuje krople potu ciekące po czole, szyi, plecach. W autokarze ludzie są nieruchomi, zobojętniali. Mężczyźni owinęli się w wełniane płaszcze, kobiety skryte za niebiesko-czarnymi zasłonami przykucnęły na podłodze, między siedzeniami. Tylko kierowca porusza się, wykrzywia, patrzy w lusterko. Kilkakroć jego spojrzenie napotyka Lallę i ona odwraca głowę. Gruby mężczyzna o płaskiej twarzy ustawia lusterko, by lepiej ją widzieć, później gniewnym gestem ustawia je w poprzedniej pozycji. Przez radio, grające na cały regulator, które gwizdże i pluje, słychać długie zawodzenie nosowej muzyki, kiedy autokar mija słup elektryczny.

Cały dzień autokar jedzie po asfaltowych szosach i zakurzonych drogach, przez wyschnięte rzeki, staje w wioskach z błota, gdzie czekają nagie dzieci. Chude psy biegną obok autokaru, próbują gryźć koła. Czasami autokar psuje się na pustynnej równinie. Podczas gdy kierowca z płaskim nosem pochyla się nad otwartą maską, żeby oczyścić dyszę gaźnika, mężczyźni i kobiety wychodzą, siadają w cieniu samochodu albo oddają mocz, kucając wśród zarośli euforbii. Niektórzy wyjmują z kieszeni małe cytryny, które długo żują, mlaskając językiem.

Później autokar rusza w dalszą podróż, trzęsie się na drogach, wspina na wzgórza, jedzie w kierunku zachodzącego słońca. Noc zapada szybko nad pustynną równiną, pokrywa kamienie i zamienia kurz w popiół. Wtedy, nagle, w nocy autokar staje i Lalla zauważa w dali po drugiej stronie rzeki światła. Noc jest gorąca, pełna brzęczenia owadów, krzyku ropuch. Ale po godzinach spędzonych w autokarze przypomina to ciszę.

Lalla wysiada, idzie powoli wzdłuż rzeki. Rozpoznaje budynek publicznej łaźni, później bród. Rzeka jest czarna, przypływ odepchnął prąd słodkiej wody. Lalla przechodzi na drugi brzeg, woda sięga do połowy ud, ale chłód rzeki przynosi ulgę. W półmroku Lalla widzi sylwetkę kobiety niosącej paczkę na głowie, jej długa suknia podkasana jest aż do brzucha.

Trochę dalej zaczyna się ścieżka do Cité. Później domy z błota i desek, jeden, jeszcze jeden. Lalla nie poznaje już domów, nawet blisko brzegu rzeki, gdzie płynie woda podczas przyboru. W słabym świetle elektrycznym uliczki, domy z desek i blachy wyglądają na opuszczone. Lalla słyszy dźwięk szepczących głosów, płacz dzieci. Gdzieś nad miastem unosi się nierzeczywiste wycie dzikiego psa. Lalla stąpa po dawnych śladach, zdejmując tenisówki, żeby lepiej czuć chłód, i ziarna piasku.

W uliczkach Cité ciągle prowadzi ją to samo spojrzenie przeciągłe i bardzo łagodne, docierające ze wszystkich stron naraz, z głębi nieba, poruszające się z wiatrem. Lalla idzie obok domów, które zna, czuje zapach gasnącego żaru, rozpoznaje szelest wiatru w arkuszach papy, na blasze. Wszystko to nagle do niej powraca, jakby nigdy stąd nie odjechała, jakby tylko spała, godzinę lub dwie.

Więc zamiast iść w stronę domu Ikiker, tam, blisko studni, Lalla podąża drogą do wydm. Jest ociężała ze zmęczenia, czuje ból w krzyżu, ale prowadzi ją nieznane spojrzenie i Lalla wie, że powinna wyjść z miasta. Boso idzie szybciej, niż powinna, między kolczastymi zaroślami i karłowatymi palmami, aż na wydmy. Nic się tu nie zmieniło. Lalla idzie wzdłuż szarych wydm jak kiedyś. Od czasu do czasu przystaje, rozgląda się, zrywa łodyżkę pustynnej rośliny, by roztrzeć ją w palcach i poczuć zapach pieprzu, który lubiła. Rozpoznaje wszystkie zagłębienia, wszystkie ścieżki, które prowadzą do kamienistych wzgórz, te, które wiodą ku słonym bagnom, te, którymi zdąża się donikąd. Noc jest głębsza i łagodna, a ponad nią błyszczą gwiazdy. Ile czasu dla nich minęło? Nie zmieniły miejsca, ich płomień nie wypalił się, jak płomień czarodziejskich lamp. Może wydmy poruszyły się, ale czy to wiadomo? Stary szkielet, który pokazywał swoje szpony i rogi i który tak ją przerażał, zniknął teraz. Nie ma już porzuconych puszek po konserwach, a niektóre zarośla spłonęły, gałęzie ich zostały połamane na opał do *brasem*.

Lalla nie odnajduje już swego miejsca na wierzchołku wydmy. Przejście, które prowadziło na plażę, zasypał piasek. Z trudem wspina się na wydmy zimnego piasku, aż na ich grzbiecie. Oddech jej świszczę, a ból w krzyżu jest tak ostry, że Lalla mimo woli jęczy. Zaciskając zęby, zamienia jęk w pieśń. Myśli o piosence, którą lubiła śpiewać, kiedyś, kiedy się bała:

– *Mediterrane-e-e...*

Próbuje śpiewać, ale jej głos nie jest wystarczająco silny. Idzie teraz po twardym piasku plaży, blisko morskiej piany. Wiatr wieje lekko, a szum fal nocą jest łagodny, i Lalla czuje znowu oszołomienie jak na statku i w autokarze, jakby wszystko to na nią czekało. Może to spojrzenie Es Sera, którego nazywa Tajemnicą, a który jest na plaży, zmieszany ze światłem gwiazd, z szumem morza, z bielą piany. To noc bez trwogi, noc odległa, jakiej Lalla dotąd nie znała.

Dochodzi teraz do miejsca, w którym stary Naman lubił wyciągać swą barkę, żeby rozgrzać smołę albo reperować sieci. Ale miejsce jest opustoszałe. Tylko figowiec rośnie przy wydmy, z grubymi konarami odrzuconymi do tyłu z powodu wiejących wiatrów. Lalla z rozkoszą wdycha znajomy mocny i mdły zapach, patrzy na ruch liści. Siada u stóp wydmy, niedaleko drzewa i patrzy na nie długo, jakby w każdej chwili miał się ukazać stary rybak.

Drzewo figowe ciąży nad ciałem Lalli, od bólu zdrętwiały jej nogi i ramiona. Osuwa się na zimny piasek i natychmiast zasypia, ukojona szumem morza i zapachem figowca.

Księżyc wstaje na wschodzie, wchodzi w noc nad kamiennymi wzgórzami. Jego blade światło oświetla morze i wydmy, obmywa twarz Lalli. Później zrywa się także wiatr, ciepły wiatr od morza. Wieje nad twarzą Lalli, po jej włosach, przysypuje ciało piaskiem. To niebo jest tak wielkie, a ziemia nieobecna. Poniżej konstelacji rzeczy zmieniły się, poruszyły. Miasta powiększyły swe kręgi, są niczym pleśń w zagłębieniach dolin pod osłoną zatok i rzecznych ujść. Ludzie umarli, domy zawaliły się w chmurze pyłu i karaluchów. A jednak na plaży blisko figowca, gdzie przychodził stary Naman, jest tak, jakby nic się nie zdarzyło. Jakby młoda kobieta nie przestała spać.

Księżyc posuwa się powoli, aż do zenitu. Później opuszcza się ku zachodowi po stronie morza. Niebo jest czyste, bezchmurne. Na pustyni, poza równinami i kamiennymi wzgórzami, głucho zimno piasku rozlewa się jak woda. Jak gdyby cała ziemia, a nawet niebo, księżyc i gwiazdy, wstrzymały oddech, zatrzymały swój czas.

Wszystko znieruchomiało teraz, podczas gdy nadchodzi *fidżar*, pierwszy brzask.

Na pustyni lisy i szakale nie gonią już skoczków i królików. Rogata żmija, skorpion, stonoga zastygły na zimnej ziemi pod czarnym niebem. Pochwycił ich *fidżar*, zamienił w kamienie, w kamienny pył, w parę, bo jest to godzina, w której niebo roztacza się nad ziemią, mrozi ciała, a czasami przerywa życie i oddech. W zagłębieniu wydmy Lalla nie rusza się. Drży, długie dreszcze wstrząsają jej ciałem, szczęka zębami, ale śpi.

Wtedy przychodzi drugi brzask, biały. Światło zaczyna mieszać się z czernią powietrza. Iskrzy się w morskiej pianie, na skorupach soli na skałach, na ostrych kamieniach u stóp starego figowca. Blade i szare światło rozjaśnia szczyt wzgórz, ściiera pomału gwiazdy: Kozę, Psa, Węża, Skorpiona i trzy gwiazdy siostrzane, Mintaka, Alnilama, Alnitaka. Później niebo jakby zachwiało się, pokrywa je wielka, biaława powłoka, która gasi ostatnie gwiazdy. W zagłębieniach wydmy małe, kolczaste rośliny drżą, a w pokrywających je włoskach krople rosy wyglądają jak perły.

Kilka ich sływa po policzkach Lalli, są jak łzy. Młoda kobieta budzi się i cichutko jęczy. Nie otwiera jeszcze oczu, ale jej skarga wznosi się ku górze, miesza z nieprzerwanym szumem morza, który dociera do jej uszu. Ból w brzuchu przychodzi i mija, wysyła coraz bliższe wołania, rytmiczne jak szum fal.

Lalla unosi się na posłaniu z piasku, ale ból jest tak silny, że brak jej tchu. Wtedy nagle zdaje sobie sprawę, że nadeszła chwila narodzin dziecka, teraz, tu, na tej plaży, i strach ogarnia ją, przeszywa, ponieważ Lalla wie, że jest sama, że nikt nie przyjdzie jej pomóc, nikt.

Chce się podnieść, chwiejnie stawia kilka kroków na zimnym piasku, ale upada i skarga jej zamienia się w krzyk. Jest tylko szara plaża i wydmy pogrążone jeszcze w nocy, a przed nią morze, ciężkie, szare i zielone, ciemne, zmieszane jeszcze z czernią.

Leżąc na boku z podkurczonymi kolanami, Lalla jęczy znowu, zgodnie z powolnym rytmem morza. Ból przychodzi falami, długimi jak rozstawione ostrza, których wyższy grzbiet przesuwają się po ciemnej powierzchni wody, łapie chwilami trochę bladego światła i rozpryskuje się. Lalla śledzi narastanie bólu, patrząc na morze. Każde drgnienie, przybyłe z głębi horyzontu, z ciemnej strefy, gdzie noc jest wciąż nieprzenikniona i wolno blednąca, sięga wschodnich krańców plaży i rozpościera się nieco ukośnie, rzucając warstwy piany, podczas gdy woda pełźnie po twardym piasku. Czasami ból jest tak silny, jakby brzuch jej opróżniał się, rozdarty, i jęk narasta w gardle, tłumi huk fali rozbijającej się na piasku.

Lalla klęka i próbuje iść na czworakach wzdłuż wydmy, aż do drogi. Wysięk jest tak wielki, że mimo chłodu poranka pot zalewa jej ciało i twarz. Czeka z oczami utkwionymi w bielejącym morzu, odwraca się w stronę drogi po drugiej stronie wydmy, krzyczy, woła: „Hartani! Hartani!” jak kiedyś, kiedy szła kamiennym płaskowyżem, a on chował się w zagłębieniach skał. Próbuje również gwizdać jak pasterze, ale wargi ma popękane i drżące.

Niedługo ludzie obudzą się w domach Cite, odrzuca przykrycia, a kobiety pójdą do studni nabrać wody. Może dziewczęta będą błąkać się po zaroślach w poszukiwaniu suchych gałązek, a kobiety rozpalą *brasero*, żeby upiec trochę mięsa i podgrzać owsianą papkę, wodę na herbatę. Ale to wszystko jest daleko, w innym świecie. Jest jak trwający sen, tam, na błotnistej równinie, gdzie żyją ludzie, u ujścia wielkiej rzeki. Albo jeszcze dalej, po drugiej stronie morza, w wielkim mieście żebraków i złodziei, w morderczym mieście o białych domach i samochodach-zasadzkach. *Fidżar* roztoczył swe białe zimne światło w chwili, kiedy starcy spotykają śmierć, w przerażeniu.

Lalla czuje, że ciało jej pozbywa się brzemienia, a serce zaczyna bić powoli, bardzo boleśnie. Fale cierpienia są teraz tak bliskie, że Lalla czuje już tylko jeden, ciągły ból, który faluje i drga we wnętrzu jej brzucha. Powoli z nieskończonym trudem czołga się na łokciach wzdłuż wydmy. Przed nią, o kilka sążni, na stosie kamieni rysuje się sylwetka drzewa, bardzo czarna na białym niebie. Nigdy figowiec nie wydawał jej się tak wielki, tak silny... Jego szeroki pień wygina się w tył, grube gałęzie ma rozłożone, a piękne, koronkowe liście poruszają się na chłodnym wietrze, błyszczą w świetle dnia. Ale piękny i mocny jest przede wszystkim zapach. Otacza Lallę, wydaje się przyciągać ją, oszołamia i jednocześnie wzbudza wstęt, faluje razem z przyplływami bólu. Oddychając ciężko, Lalla unosi tułów; bardzo wolno, z trudem odrywa się od piasku. Rozłożone nogi zostawiają za nią, niczym holowany statek, bruzdę na piasku.

Powoli Lalla ciągnie zbyt wielki ciężar, pojękując, kiedy ból staje się zbyt silny. Nie spuszcza oczu z sylwetki wielkiego figowca o czarnym pniu, o jasnych liściach, które błyszczą w świetle dnia. W miarę jak Lalla się doń zbliża, drzewo rośnie, ogromnieje, zdaje się zajmować całe niebo. Jego cień rozpościera się wokół jak ciemne jezioro, którego czepiają się ostatnie barwy nocy. Powoli, czołgając się, Lalla wchodzi w ten cień, pod wysokie gałęzie, potężne niczym ramiona olbrzyma. Właśnie tego Lalla chce, wie, że tylko ono może jej teraz pomóc. Silny zapach drzewa przenika ją, upaja i uspokaja jej umęczone ciało, łączy się z zapachem morza i alg. U stóp wielkiego drzewa piasek obnaża skały przeżarte morskim powietrzem, wygładzone, zniszczone przez wiatr i deszcz. Między nimi potężne korzenie przypominają ramiona z metalu. Zaciskając zęby, by nie jęczeć, Lalla otacza pień rękoma, unosi się powoli, wstaje na drżących kolanach. Ból we wnętrzu ciała jest teraz jak rana, która otwiera się pomału i rozdziera. Lalla nie może już myśleć o niczym innym, tylko o tym, co widzi, co słyszy, co czuje. Stary Naman, Hartani, Aamma, a nawet fotograf, kim są, co się z nimi stało? Ból, który bije z brzucha młodej kobiety i rozprzestrzenia się na morze, na całą powierzchnię wydmy, aż do bladego nieba, jest silniejszy od wszystkiego, wszystko zaciera,

wszystko pustoszy. Ból wypełnia jej ciało jak potężny hałas, czyni je wielkim jak góra wyrastająca z ziemi.

Czas płynie wolniej z powodu bólu, bije w rytmie serca, w rytmie oddychających płuc, w rytmie skurczów macicy. Powoli, jakby unosila ogromny ciężar, Lalla prostuje się przy pniu figowca. Wie, że tylko on może jej pomóc, jak drzewo, które kiedyś, w dniu jej urodzin, pomogło jej matce. Instynktownie odnajduje odwieczne gesty o niepojętym znaczeniu, których nikt jej nie uczył. Przykucnęła u stóp wielkiego, ciemnego drzewa, rozwiązała pasek sukienki. Brązowy płaszcz rozłożyła na ziemi, na kamienistym gruncie. Przyczepia płócienny pasek do pierwszej dużej gałęzi figowca i skręca go, żeby był bardziej wytrzymały. Kiedy chwytą zań obiema rękami, drzewo chwieje się trochę, strącając krople rosy. Czysta woda spływa po twarzy Lalli, która pije ją z przyjemnością, oblizując językiem wargi.

Niebo wskazuje teraz godzinę czerwoną. Ostatnie plamy nocy znikają, a na wschodzie ponad kamiennymi wzgórzami mleczna biel ustępuje miejsca łunie ostatniego brzasku. Morze staje się ciemniejsze, prawie fioletowe, podczas gdy na szczytach fal zapalają się iskierki purpury, a piana lśni, jeszcze bielsza. Lalla nigdy nie patrzyła tak intensywnie na nadejście dnia, z szeroko otwartymi, pełnymi bólu oczami, z twarzą spaloną blaskiem światła. Teraz nagle skurcze stają się gwałtowne, straszne, a ból podobny do wielkiego, czerwonego światła, które oślepia. Żeby nie krzyknąć, Lalla gryzie kawałek materiału sukienki na ramieniu, a jej ręce uniesione nad głową ciągną płócienny pasek tak mocno, że drzewo porusza się, a ciało podnosi. Przy każdym skurczu, rytmicznie, Lalla zawiesza się na gałęzi drzewa. Pot cieknie jej teraz po twarzy i oślepia, krwawy kolor bólu jest przed nią, w morzu, na niebie, w pianie każdej rozbijającej się fali. Czasem przez zaciśnięte zęby wbrew jej woli wyrывa się krzyk, przysłuszony szumem morza. To krzyk bólu i jednocześnie rozpacz, z powodu tego światła, całej tej samotności.

Drzewo pochyla się lekko przy każdym wstrząsie, lśni szerokimi liśćmi. Lalla wdycha jego zapach, zapach cukru i nasion, który zna, który ją uspokaja, ucisza. Lalla ciągnie za dużą gałąź, jej krzyż dotyka pnia figowca, krople rosy dalej padają na jej ręce, na twarz, na ciało. Widać nawet bardzo małe, czarne mrówki, które biegną po jej rękach, uczepionych paska, i uciekają wzdłuż jej ciała.

Trwa to bardzo długo, tak długo, że Lalla czuje, iż ścięga jej ramion stwardniały jak liny, ale jej palce tak mocno ściskają płócienny pasek, że nic nie może ich oderwać. Później czuje nagle, że ciało jej opróżnia się, podczas gdy ręce ciągną gwałtownie za pasek. Bardzo wolno Lalla ześlizguje się po płóciennym pasku, jej krzyż i plecy dotykają korzeni figowca. Powietrze wreszcie wchodzi do jej płuc i w tej samej chwili słyszy przeraźliwy krzyk dziecka.

Na plaży czerwone światło stało się pomarańczowe, później złote. Słońce powinno już dotykać kamiennych wzgórz na wschodzie, w krainie pasterzy. Lalla trzyma dziecko w ramionach, przecina zębami pępowninę i zawiązuje ją jak pasek wokół małego brzuszka, wstrząsanego płaczem. Bardzo powoli czołga się po twardym piasku w stronę morza i klęka w pianie, zanurza krzyczące dziecko w słonej wodzie i starannie je kąpie. Później wraca do drzewa, kładzie dziecko na dużym brązowym płaszczu. Tymi samymi instynktownymi ruchami, których nie rozumie, robi dołek w piasku blisko korzeni figowca i zakopuje łożysko. Później wyciąga się wreszcie u stóp drzewa, z głową blisko tak mocnego pnia: rozsuwa płaszcz, bierze dziecko w ramiona i zbliża je do nabrzmiętych piersi. Wtedy niemowlę zaczyna ssać, opierając małą twarzyczkę o zamknięte oczy na jej piersi. Lalla już nie walczy ze zmęczeniem. Patrzy przez chwilę na piękne światło wstającego dnia i na niebieskie morze o falach ukośnych, podobnych do biegnących zwierząt. Nie śpi, jak gdyby unosila się na powierzchni wody, długo, długo. Czuje przy sobie, małą, ciepłą istotkę, która tuli się do jej piersi, chce żyć, ssie żarłocznie jej mleko. „Hawa, córka Hawy”, mówi Lalla, tylko raz, bo to śmieszne i przynosi ulgę, jak uśmiech, po tylu cierpieniach. Później czeka, spokojnie, aż przyjdzie ktoś z Cité z desek i papy, chłopak-poławiacz krabów, stara kobieta po suche

drewno albo mała dziewczynka lubiąca przechadzać się po wydmach i oglądać morskie ptaki. Tutaj zawsze ktoś przychodzi, a cień figowca jest bardzo miły i świeży.

Agadir, 30 marca 1912

A więc przyszedli po raz ostatni, pojawili się na wielkiej równinie blisko morza, u ujścia rzeki. Przychodzili ze wszystkich stron, ci z północy – Ida lub Truma, Ida lub Taman, Ait Daud, Neska la, Ait Hadi, Ida lub Zeman, Sidi Amil, ci z Rigudin, z Amizmiz, z Iczemraren, ci ze wschodu, spoza Tarudant, z Tazenachat, z Warzazat – Ait Kalla Asserag, Ait Kedif, Atmaz gin, Ait Tumert, Ait Jus, Ait Zarhal, Ait Udinar, Ait Mudžit, ci z gór Sarhro, ze wzgórz Bani; ci z wybrzeży morskich od Essawiry aż do warownego Agadiru, ci z Tiznit, z Ifni, z Aoereora, z Tan-Tan, z Gulimin – Ait Mellul, Lahussin, Ait Bella, Ait Bucha, Sidi Ahmed lub Mussa, Ida Gumar, Ait Baha; przede wszystkim ci z wielkiego południa, wolni ludzie pustyni, Imragen, Arib, Ulad Jahia, Ulad Delim, Arussijn, Chalifija, Regibat Zahel, Sebaa, ludy języka szleh, Ida lub Belal, Ida lub Maribat, Ait ba Amran.

Zebrali się w korycie rzeki tak licznie, że mogliby pokryć całą dolinę. Ale w większości nie byli to wojownicy, lecz kobiety i dzieci, ranni mężczyźni, starcy, wszyscy, którzy uciekali zakurzonymi drogami, wygnani nadejściem obcych żołnierzy, niewiedzący, dokąd iść dalej. Morze zatrzymało ich tutaj, przed wielkim miastem Agadir.

W większości nie wiedzieli, czemu przyszedli aż nad koryto rzeki Sus. Może to tylko głód, rozpacz i zmęczenie przywiodły ich do ujścia rzeki, nad morze? Dokąd mieli iść? Od miesięcy, od lat błądzili w poszukiwaniu ziemi, rzeki, studni, gdzie mogliby postawić namioty i zrobić zagrody dla baranów. Wielu zmarło, zginęło na drogach, które prowadzą donikąd, na pustyni, pod wielkim miastem Marakesz albo w wąwozach iiedii Tadla. Ci, którzy mogli uciec, wrócili na południe, ale stare studnie wyschły, a obcy żołnierze byli wszędzie. W mieście Smara, gdzie wznosi się pałac Ma el Ainina z czerwonych kamieni, wiał teraz pustynny wiatr, który spala wszystko. Chrześcijańscy żołnierze otoczyli wolnych ludzi pustyni, zajęli studnie w świętej dolinie Sagiet el Hamra. Czego chcieli ci cudzoziemcy? Chcieli wszystkiej ziemi, nie ustaną, dopóki nie zdobędą jej całej, to pewne.

Od wielu dni ludzie pustyni byli tu, na południe od warownego miasta, i czekali. Z górskimi plemionami połączyli się ostatni wojownicy Ma el Ainina, Berik Al-lah: mieli na twarzach znak opuszczenia i rozpacz po śmierci Ma el Ainina. W spojrzeniach ich błyszczała gorączka, głód. Każdego dnia ludzie pustyni patrzyli w stronę twierdzy, tam, gdzie powinien ukazać się Mulaj Sebaa, Lew, ze swymi wojownikami na koniach. Ale w oddali czerwone mury miasta były ciche, bramy zamknięte. I ta cisza, która trwała od wielu dni, nabrzmiała jakąś groźbą. Wielkie czarne ptaki krążyły po błękitnym niebie, a nocą słychać było skowyt szakali.

Nur był tam również. Sam w tłumie pokonanych mężczyzn. Od dawna przyzwyczał się do samotności. Jego ojciec, matka i siostry wrócili na południe, ku drogom bez końca. Ale on nie mógł wrócić, nawet po śmierci szejka.

Każdego wieczoru, leżąc na zimnym piasku, myślał o drodze, którą Ma el Ainin otworzył ku północy, ku nowej ziemi, i którą teraz miał iść Lew, by stać się prawdziwym królem. Od dwóch lat jego ciało przyzwyczało się do głodu i zmęczenia, a w umyśle pozostało tylko pragnienie tej drogi, która miała się wkrótce otworzyć.

Któregoś ranka w obozie rozległa się wrzawa:

– Mulaj Hiba, Mulaj Sebaa Lew! Nasz król! Nasz król!

Zagrzmiały wystrzały, a dzieci i kobiety wołały drżącymi głosami. Tłum obrócił się ku piaszczystej równinie, a Nur zobaczył jeźdźców szejka, spowitych czerwoną chmurą.

Krzyki i odgłos wystrzałów zagłuszały tętent końskich kopyt. Czerwona mgła wznosiła się wysoko w niebo poranka, kłębiła się nad doliną rzeki. Tłum wojowników wybiegł naprzeciw jeźdźcom, strzelając w niebo z karabinów o długich lufach. Byli to w większości mężczyźni z

gór, *szlehowie*, ubrani w płaszcze z grubej tkaniny, ludzie dzicy, zarośnięci, o płonących oczach. Nur nie rozpoznał wojowników pustyni, błękitnych ludzi, którzy szli za Ma el Aininem aż do jego śmierci. Ich nie nazaczył głód i pragnienie, nie spaliła w ciągu dni i miesięcy pustynia: przychodzili ze swoich pól, ze swoich wsi, nie wiedząc, przeciw komu i dlaczego będą się bić.

Przez cały dzień wojownicy biegli przez dolinę aż do murów Agadiru, podczas gdy konie Mulaja Sebaa, Lwa, galopowały, wznosząc wielką, czerwoną chmurę. Czego chcieli? Biegli i krzyczeli tylko, a głosy kobiet i dzieci drżały nad korytem rzeki. Chwilami Nur widział, jak w czerwonej chmurze, otoczeni błyskami światła, wymachując włóczniami, przejeżdżają jeźdźcy Lwa.

– Mulaj Hiba! Mulaj Sebaa, Lew!

Głosy dzieci wołały wokół „ niego. Później jeźdźcy zniknęli po drugiej stronie równiny, pod murami Agadiru.

Tego dnia upojenie panowało w całej dolinie. Ogień słońca palił wargi. Wiatr pustynny zerwał się dopiero pod wieczór, pokrywając obozowiska złotą mgłą, chowając mury miasta. Nur schronił się przy drzewie, owinięty w płaszcz. Z nastaniem nocy upojenie ustępowało. Świeżość cienia spłynęła na osuszoną ziemię w godzinie modlitwy, kiedy zwierzęta poklekały, by schronić się przed wilgocią nocy.

Nur myślał jeszcze o lecie, które miało nadejść, o suszy, o studniach, powolnych stadach, które jego ojciec miał zaprowadzać aż do solanek, na drugą stronę pustyni, do Ulata, Wadan Szenszan. Myślał o samotności tych ziem bez granic, tak odległych, że nic się już nie wie o morzu ani o górach. Od tak dawna nie zaznał odpoczynku. Jakby ze wszystkich stron było już tylko to: przestrzenie pyłu i kamieni, wąwozy, wyschnięte rzeki, skały ostre jak noże, a przede wszystkim strach jak cień nad wszystkim, co się widzi.

W godzinie posiłku, kiedy miał dzielić chleb i kleik z prosa z błękitnymi ludźmi, Nur wpatrywał się w wygwieżdżoną noc, która okryła ziemię. Jego skórę piekło zmęczenie i gorączka powodująca silne dreszcze, które wstrząsały całym ciałem.

W naprędcie ustawionym obozie, pod osłoną gałęzi i liści, błękitni ludzie już nie rozmawiali. Nie opowiadali już legendy Ma el Ainina, nie śpiewali. Owinięci w podziurawione płaszcze, patrzyli na żar i mrugali powiekami, kiedy wiatr wiał dymem ku ziemi. Może niczego już nie oczekiwali, z zatrwożonymi oczami, z bijącym wolno sercem. Ogniska gasły jedno po drugim i ciemność zawładnęła całą doliną. W dali migotało wysunięte w czarne morze miasto Agadir. Wtedy Nur kładł się na ziemi z głową zwróconą ku światłom i jak co wieczór myślał o wielkim szejku Ma el Aininie, którego pochowano przed zrujnowanym domem w Tiznit w ziemi, z twarzą zwróconą ku wschodowi; w dłoń włożono mu całe jego bogactwo: świętą księgę, rylec, hebanowy różaniec. Czerwony pył pustyni okrył jego ciało, później położono wielkie kamienie, żeby szakale nie odkopały zwłok; ludzie ubili ziemię bosymi stopami, aż stała się gładka i twarda jak płyta. Blisko grobu rosła młoda akacja o białych kolcach, jak ta przed domem modlitwy w mieście Smara.

Wtedy błękitni ludzie pustyni, Berik Al-lah, ostatni towarzysze Gudfia, uklękli kolejno na grobie i powiedli lekko dłońmi po gładkiej ziemi, później dotknęli twarzy, jakby chcieli otrzymać ostatnie błogosławieństwo wielkiego szejka.

Nur myślał o tej nocy, kiedy wszyscy mężczyźni opuścili równinę Tiznit, i jak został sam z Lallą Meymuną przy grobie. Zimną nocą słuchał głosu starej kobiety, która śpiewnie zawodziła w środku walącego się domu. Usnął na ziemi obok grobu, spał bez ruchu, bez snów, jakby on również umarł. Nazajutrz i w ciągu następnych dni prawie nie oddalał się od grobu, siedział na rozgrzanej ziemi, zawinięty w wełniany płaszcz, z oczami i gardłem spalonymi gorączką. Wiatr przynosił pył na ziemię grobu, powoli go zacierał. Później gorączka opanowała ciało Nura i stracił przytomność. Kobiety z Tiznit zabrały go do siebie i opiekowały się nim, gdy bredził na progu śmierci. Kiedy wyzdrowiał, po wielu tygodniach,

poszedł znowu w stronę walącego się domu, w którym umarł Ma el Ainin, ale nie było już nikogo: Lalla Meymuna wróciła do swego plemienia, a wiatr przyniósł piasek, tak że Nur nie mógł odnaleźć grobu.

Może właśnie tak miało się wszystko odbyć – myślał Nur – może wielki szejek powrócił do swego prawdziwego kraju, zagubionego w piasku pustyni, uniesionego przez wiatr. Teraz Nur patrzył na wielką przestrzeń rzeki Sus, w nocy ledwie oświetloną przez mgłę Mlecznej Drogi, wielką jasność, która, jak mówią, jest śladem krwi baranka anioła Gabriela. Była to taka sama cicha ziemia jak w pobliżu Tiznit i Nur chwilami miał wrażenie, że słyszy jeszcze długą, śpiewną skargę Lalli Meymuny, ale był to głos szakala, który skamlał nocą. Tutaj duch Ma el Ainina żył jeszcze, krył się w szczelinach albo świecił niewyraźnie na każdym ostrym kamieniu.

Nur czuł jego spojrzenie, tam, na niebie, w plamach cienia na ziemi. Czuł je na sobie jak niegdyś na placu w Smarze, i przenikał go dreszcz. Spojrzenie wchodziło weń, pogłębiało oszołomienie. Co oznaczało? Może prosiło o coś, właśnie tak, milcząco, na równinie, otaczając ludzi swoim światłem. Może prosiło ich, by połączyli się z nim tam, gdzie przebywał, zjednoczony z szarą ziemią, rozsiany przez wiatr, zamieniony w proch... Nur zasypiał, kołysany nieśmiertelnym spojrzeniem, nie ruszając się, nie śniąc.

Kiedy błękitni ludzie i wojownicy usłyszeli po raz pierwszy huk dział, pobiegli w stronę wzgórza, aby popatrzeć na morze. Huk wstrząsał niebem jak grzmoty. Zobaczyli na pełnym morzu przy Agadirze samotny pancerny statek podobny do monstualnego i powolnego zwierzęcia, który miotał błyskawice. Dopiero po długiej chwili rozległo się najpierw głucho dudnienie, a po nim rozdzierający huk pocisku eksplodującego w środku miasta. Po kilku minutach wysokie mury z czerwonego kamienia były już tylko stosem ruin, znad których unosił się czarny dym pożarów. Później z rozwalonych domów wyszli ludzie, mężczyźni, kobiety, dzieci, pokrwawieni i krzyczący. Wypełnili dolinę rzeki, oddalając się od morza tak szybko, jak tylko mogli, ogarnięci paniką.

Krótki błysk płomienia pojawiał się wielokrotnie na końcu dział krążownika Cosmao, a rozdzierający huk pocisków, które wybuchwały w Kasbie Agadir, dudnił w całej dolinie rzeki Sus. Czarny dym pożarów unosił się wysoko w błękitne niebo, rzucając cień na obozowisko nomadów.

Wtedy ukazali się konni wojownicy Mulaja Sebaa. Przejechali koryto rzeki, kierując się przed mieszkańcami miasta ku wzgórzom. W dali krążownik Cosmao znieruchomiał na morzu barwy metalu, a jego działa odwróciły się powoli w stronę doliny, gdzie uciekali ludzie pustyni. Ale płomień nie błyskał już na końcu dział. Panowała długa cisza, w której słychać było tylko wrzawę biegnących ludzi i krzyki zwierząt, podczas gdy czarny dym unosił się w niebo.

Kiedy żołnierze chrześcijańscy ukazali się na zburzonych murach miasta, nikt od razu nie zrozumiał, kim są. Może Mulaj Sebaa i jego ludzie sądzili przez chwilę, że byli to wojownicy północy, których Mulaj Hafid, dowódca wiernych, wysłał na świętą wojnę. Ale były to cztery bataliony pułkownika Mangina, przybyłe forsownym marszem aż do zbuntowanego miasta Agadir, cztery tysiące ludzi w mundurach strzelców afrykańskich, senegalskich, sudańskich, saharyjskich, uzbrojonych w karabiny Lebel i kilkanaście karabinów maszynowych Nordenfeldt. Żołnierze posuwali się powoli w stronę rzeki, ustawiając się półkolem, podczas gdy na drugim brzegu u stóp kamienistych wzgórz trzytysięczna armia jeźdźców Mulaja Sebaa zaczęła zataczać koła, tworząc wielki wir i wzbijając w niebo czerwony kurz. 2000 dala od tumultu Mulaj Sebaa ubrany w biały płaszcz patrzył z niepokojem na długą linię żołnierzy chrześcijańskich, podobną do kolumny owadów sunących po wysuszonej ziemi. Wiedział, że bitwa jest z góry przegrana, jak kiedyś w Bu Denib, kiedy kule czarnych strzelców skosiły około tysiąca jego jeźdźców przybyłych z południa. Nieruchomy, na koniu drżącym ze zniecierpliwienia, patrzył na dziwnych ludzi, którzy posuwali się powoli w stronę rzeki, jak

na ćwiczeniach. Wiele razy Mulaj Sebaa próbował wydać rozkaz odwrotu, ale wojownicy z gór go nie słuchali. Pędzili konie galopem we frenetycznej gonitwie, oszołomieni kurzem i zapachem prochu, wydając okrzyki w swym dzikim języku, wołając imiona świętych. Kiedy gonitwa się skończy, ruszą w stronę pułapki, która na nich jest zastawiona, zginą wszyscy.

Teraz Mulaj Sebaa nie mógł już nic zrobić i żyły bólu napęły mu oczy. Z drugiej strony koryta wyschniętej rzeki pułkownik Mangin kazał rozstawić karabiny maszynowe na każdym skrzydle armii, na szczycie kamiennych wzgórz. Kiedy mauretańscy jeźdźcy uderzą ku środkowi, w chwili, kiedy będą przechodzić koryto rzeki, zmiecie ich krzyżowy ogień i pozostanie tylko podobiać rannych bagnietami.

Gdy jeźdźcy przestali krążyć po równinie, na chwilę zapadła ciężka cisza. Pułkownik Mangin patrzył przez lornetkę, próbował zgadnąć. Czy nie wycofają się teraz? Wtedy trzeba by maszerować od nowa całymi dniami, po tej pustynnej ziemi, ku horyzontowi, który ucieka i doprowadza do rozpacz. Ale Mulaj Sebaa siedział nieruchomo na koniu, wiedział, że koniec jest bliski. Wojownicy z gór, synowie przywódców plemion przybyli tu walczyć, a nie uciekać. Przestali krążyć, by przed atakiem odmówić modlitwę.

Później wszystko stało się bardzo szybko, w okrutnym słońcu południa. Trzy tysiące jeźdźców zaszarżowało zwartym szykiem, jak na paradzie, wymachując skałkowymi karabinami i długimi włóczniami. Kiedy przybyli nad koryto rzeki, podoficerowie dowodzący karabinami maszynowymi spojrzeli na pułkownika Mangina, który uniósł rękę. Pozwolił przejechać pierwszym jeźdźcom, później opuścił nagle rękę i stalowe działa zaczęły wyrzucać potoki kul, sześćset na minutę, z ponurym dźwiękiem, który przecinał powietrze i rozbrzmiewał w całej dolinie, aż do gór. Czy istnieje czas, skoro potrzeba kilku minut, by zabić tysiąc ludzi i tysiąc koni? Kiedy jeźdźcy zrozumieli, że wpadli w zasadzkę, że nie przejdą przez ten mur kul, chcieli się cofnąć, ale było za późno. Ogień karabinów maszynowych wymiatał koryto rzeki, a ciała ludzi i koni nie przestawały padać, jakby ścinało ich wielkie, niewidzialne ostrze. Strumyki krwi płynęły po kamieniach, mieszając się z wątlymi nitkami wody. Później znów zapadła cisza, podczas gdy ostatni jeźdźcy uciekali ku wzgórzom, brocząc krwią, na koniach o zjeżonej ze strachu sierści.

Bez pośpiechu armia czarnych żołnierzy ruszyła wzdłuż koryta rzeki, kompania za kompanią, z oficerami i pułkownikiem Manginem na czele. Poszli wschodnią drogą, w stronę Tarudant, Marakeszu, w pogoni za Mulajem Sebaa, Lwem. Odeszli, nie oglądając się na miejsce masakry, nie patrząc na roztrzaskane ciała leżące na kamieniach ani na powalone konie, ani na sępy, które już przyszybowały nad brzegi rzeki. Nie spojrzeli także na ruiny Agadiru, czarny dym wznosił się jeszcze ku błękitnemu niebu. W oddali krążownik Cosmao posuwał się wolno po morzu koloru metalu, biorąc kurs na północ.

Wtedy cisza skończyła się i usłyszano krzyki żywych – rannych ludzi i zwierząt, kobiet, dzieci – które brzmiały jak jeden, niekończący się jęk, jak pieśń. Był to głos pełen przerażenia i cierpienia, który podnosił się ze wszystkich stron naraz, na równinie i w korycie rzeki.

Nur szedł po kamieniach, pośród leżących ciał. Już żarłoczne muchy i osy, brzęcząc, krążyły czarnymi chmurami wokół trupów i Nur czuł mdłości w ściśniętym gardle.

Powolnymi gestami, jakby budzili się ze snu, kobiety, dzieci, mężczyźni rozsuwali zarośla i w milczeniu szli korytem rzeki. Przez cały dzień, aż do zapadnięcia nocy, nosili ciała ludzi na brzeg, by je potem pochować. Kiedy nadeszła noc, zapalili ogniska, by odpędzić szakale i dzikie psy. Kobiety ze wsi przyniosły chleb i zsiadłe mleko. Nur jadł i pił z przyjemnością. Spał później na ziemi, nie myśląc nawet o śmierci.

Następnego dnia od świtu mężczyźni i kobiety kopali groby dla wojowników, później pogrzebali także ich konie. Na grobach umieścili wielkie rzeczne kamienie.

Kiedy skończyli, ostatni błękitni ludzie poszli znów drogą południową, tą, która jest tak długa, że zdaje się bez końca. Nur szedł razem z nimi, boso, miał tylko wełniany płaszcz i odrobinę chleba zawiniętą w wilgotne płótno. Byli ostatnimi Imazighen, ostatnimi wolnymi

ludźmi, Tobalt, Tekna, Tidrarin, Arussijan, Sebaa, Regibat Zahel, ostatnimi żywymi z Berik Al-lah, z Błogosławionych przez Boga. Nie mieli nic prócz tego, co widziały ich oczy, czego dotykały ich bose stopy. Przed nimi rozciągała się ziemia płaska jak morze, pobłyskująca solą. Falowała, tworzyła białe miasta o wspinających murach, z kopułami, które pękały jak bańki. Słońce paliło ich twarze i ręce, światło pogłębiało szaleństwo, w którym cienie ludzkie podobne są do studni bez dna.

Co wieczór krwawiące wargi poszukiwały chłodu studni, słonawego błota alkalicznych rzek. Później otaczała ich zimna noc, łamała ciało i oddech, kładąc ciężar na barki. Wolność nie miała granic, była tak rozległa jak przestrzeń ziemską, piękna i okrutna jak światło, łagodna jak woda oczu. Co dzień o pierwszym brzasku wolni ludzie powracali ku swym siedzibom, na południe, tam, gdzie nikt inny nie umiał żyć. Co dzień tymi samymi gestami zacierali ślady ognisk, zakopywali ekskrementy. Zwróceni ku pustyni, odmawiali modlitwę bez słów. Odchodzili jak we śnie, znikali.